

Szczepan Twardoch
PRZEMIENIENIE
Wydawnictwo Dębogóra.

Copyright by Wydawnictwo Dębogóra Szczepan Twardoch, 2008

Redakcja: Joanna Mika Redakcja techniczna: Agnieszka Bryś

ISBN 978-83-88482-99-1

Oci mamę po otcicha ylasypo matkachalejsme napul sirotcia napul deti vsechhleddmejmena
na nahrobcichajinyh pamdtkdchmy bezprizomi my umisteniv betonoyych internatech

Jaromir Nohavica "Svatky slunovratu"

Wydawnictwo Dębogóraul.

Dąbrowki 762-006 Dębogóradystribucja: klubkkk.

com.pl.

PROLOG

Niezła chata, nie?

powiedział gruby facet w lateksowych rękawiczkach, rozglądając się po mieszkaniu.

Się dorabiają namoherowych rentach, katabasy.

Zawrzyj mordę, Bańczyk warknął komisarz.

Niechce mi się słuchać twojego esbeckiego pierdolenia.

Jest śledztwo, trup z dziurą w głowie, niska na podłodze i narzędziebrodni.

Szukaj odcisków, a nie pierdolmi tu Urbanem, dobra?

Bańczykmruknął coś pod adresem wyszczekanego gnojka, alewziął się do roboty.

Komisarz Świetliknie cieszył się popularnością ani wśród kolegów, ani wśród podwładnych, bo, jak sammówił, nie znosił milicyjnej mentalności.

KomisarzŚwietlik byłnowoczesnym policjantem.

To nie przysparzało mu przyjaciół.

Komisarz nie obawiałsięjednak o swoją pozycję.

Był od nichwszystkich lepiejwykształcony, miał dobre układy z pismakami i mocne plecy w komendzie, a nawet, dzięki koledze z roku, w ministerstwie.

Niefikną mu.

Trup należał do świętej pamięci księdza Piotra Ponińskiego.

Komisarz Świetlik czytywał czasem "Tygodnik", więc kojarzyłnazwisko.

Młody, inteligentny, habilitacja w drodze.

Poglądy, jak na kapłana, często kontrowersyjne, z tymi moherami to Bańczyk nie trafił, bo padre dyrektor prędzej zjadłby własne okulary, niż wpuścił takiego księdza jak Poniński do swojego radia.

Tak się dobrze zapowiadał, a teraz już sienie zapowiada.

Poli.

ejant wyciągnął z kieszeni lateksowe rękawiczki, naciągnął je nadłonie i przystąpił do wstępnych oględzin.

Trup siedział na fotelu; stopy równospoczywały na podłodze, głowa była odchylna do tyłu, usta otwarte.

Świetlik spojrzął na pistolet i łuskę dziura miała średnicę 7,62 milimetra.

Pistolet leżał obok fotela, tak jakby po strzale wypadł z ręki księdza.

Świetlik mógłby się założyć, że na spluwie będą odciski Ponińskiego, ale jakoś nie był przekonany do samobójczego charakteru tej śmierci.

No bo kto, chcąc się zabić, strzela sobie dokładnie w środek czoła, jakby chciał pistoletem namalować indyjską tilakę?

Z drugiej strony, jeśli ktoś chciał upozorować samobójstwo, dlaczego zrobił to tak głupio?

Byle dureń przecież księdza nie zabija ot tak sobie.

Rabunkowe tło jest wykluczone, na biurku stoibały mac, wyglądający na dobre kilka tysięcy, ksiądz ma na przegubie ostentacyjnie drogi zegarek, longines de ville, w szufladzie Bańczyk znalazł portfel, w nim tysiąc złotych.

Trzeba mupatrzeć na ręce, żeby nie zwinął.

Zbrodnia kochanków mogłaby to być, owszem, ale jak pedzio-kochanek nosiw Polsce taki śliczny, srebrzysty walther bez żadnych numerów?

Policyjny nos podpowiadał Świetlikowi, że w bazie danych tej giwery nie będzie.

Klasyczny "czyścioch", wyniesiony w częściach z fabryki, rzecz nijaknie pasująca do zbrodni w afekcie.

Broń profesjonalisty.

Obszukał trupa w poszukiwaniu komórki i innych drobiazgów.

Telefonu nie znalazł, w kieszeni marynarki wymacał za toniewielki, podłużny kształt, który okazał się cyfrowym dyktafonem Sony.

Świetlik nacisnął przycisk "on" i nic się nie stało, jakby urządzenie miało całkowicie wyczerpane baterie.

Dreszcz podniecenia przebiegł komisarzowi po plecach.

Czyżby ksiądz Poniński nagrał własną śmierć?

Co tam macie, panie komisarzu?

Dyktafonik, co?

zapytał Bańczyk, przyglądając się srebrnemu pudełku w pokrytej lateksem dłoni przełożonego.

Gównu warknął Świetlik, bo nie znosił starego techniki,

schował dyktafon do plastikowej torebki, wstał, zebrał swoje rzeczy.

Nadzieję następną chce mieć raport za komenderował.

Na dziewiętnastą jutro czy w poniedziałek?

zapytał drugi technik, do tej pory zajęty omiataniem tafli lustra miotełką.

Na dziewiętnastą dzisiaj, Orządała.

Cały dzień przedwami.

I od razu mówię, chuj mnie obchodzi wasza żona i dziecko.

Zrozumiano?

rzucił i wyszedł.

Po drodze na komendę wstąpił do kiosku i kupił baterie.

W firmie przywitał się z portierem, wspinał po schodach, zamknął w swoim pokoju i nacisnął "play".

Piotr Poniński patrzył przez okno nabłyszczący po deszczu bruk ulicy Świętego Jana i czuł, jak z każdym oddechem opuszczają go resztki wiary.

Upozował się przy parapacie, jak dandysz romantycznej ryciny łokieć ścianę, skroń wsparta na dłoni i przyglądał się, jak przechodnie wysypują się na drogę spod markiz i z knajpianych przedsiónek, gdzie schowali się przed ulewą.

Strząsają krople wody z parasoli i wracają do swoich pieszych podróży.

Parowały granitowe kostki, mokre i rozgrzane upałem.

Deszcz wracał, skąd przyszedł, w niebo.

Biurko Ponińskiego przemówiło.

Dźwięk był stłumiony przez kolumny książek, o porcelanę spodka i filiżanki zadzwoniła żeczka, a cały mebel, potężny, mieszczańsko poważny istuletni, rezonował jak pudłokontrabas: to wibrowała leżąca na blacie komórka.

Książka podniósł drgający aparat i wpatrywał się przez chwilę w wyświetlacz.

Odebrał.

Tak.

Proszę przyjść do redakcji, jestem sam odpowiedział spokojnie, chociaż wnętrzości natychmiast ścisnęła mu żelazna łapa.

Odłożył telefon, wrócił na miejsce przy oknie; na ulicy panował już zwykły tej porze ruch.

Uspokoił się, opanował podniecenie.

9.

W Boga wierzył coraz mniej.

Od paru lat, z każdym oddechem oddawał część tej wiary.

Zaczął się wcześniej, parę miesięcy poświęcając, najpierw trochę się bał, potem się dziwił, aż w końcu się w swoim niedowiarstwie rozsmakował i odnalazł w nim intelektualną podniętę.

Dziewczyna w niebieskiej sukience szła po bruku, bosy, ostrożnie stawiała opalone stopy, letnie sandały niosła w rękę.

Była bardzo rasowa, miała piękne biodra, strzeliste piersi i dobry gust, ale szybko zniknęła z zakretem.

Popatrzył jeszcze chwilę, przeszło dwóch zmokniętych policjantów w brzydkich, workowatych mundurach, potem grupa mężczyzn siwiejące włosy, złote oprawki okularów, pastelowe sweterki zarzucone na ramiona, śniada cera.

Włosi albo Hiszpanie, CEOs in business strip, rano business meeting a po południu zwiedzanie miasta.

Pewnie śpią w Copernicusie albo innym hotelu z pokojami po tysiąc złotych za noc i żrą na kolację policzki wołowe duszone w kakaona puree ziemniaczanym czy coś równie wyrafinowanego.

Poniński nagle zrobił się łodowy, poszedł więc do redakcyjnej kuchenki i sprawdził, co jest w lodówce.

Wbrew myślom o wyrafinowanej cuisine, nabral ochoty na kanapkę z pomidorem.

Odkroił pajdę chleba, przetarł ją serkiem topionym i skroił pół wielkiego pomidora o nieregularnym kształcie przynosiła je Beata, sekretarz redakcji, podobno z ogrodu dziadka.

Były pyszne i słodkie, wątpił, czy jakakolwiek kuchnia mogła zapewnić tak zmysłową frajdę, jak tencudowny pomidorna świeżym chlebie, z solą, pieprzem i posiekaną czerwoną cebulką.

Zjadł kanapkę stojąco i od razu nabral ochoty na drugą.

Półówka pomidora sama się to prosiła.

W kuchni wisiało lustro, obrócił się bokiem, brzuch jeszcze mu się niezaokrąglił.

Panicznie bał się utyc, tłuści ludzie wzbudzali w nim obrzydzenie, miał wrazenie, że ich dusze również toną w spoconym sadle, jeśli oczywiście człowiek posiada duszę.

Uznał, że dzisiaj może sobie

10

pozwolić na drugą kanapkę, będzie potrzebował dużo siły, ukroił więc kromkę i zmienił resztę pomidora w plasterki.

Nie podchodził już do okna, siadł za biurkiem i otworzył laptop, by odpisać na zaległe e-maile.

Kiedy zapiszczał domofon, kończył właśnie trzecią wiadomość.

Skoncentrował się na korespondencji i prawie zapomniał o spotkaniu, więc był nawet odrobinę zaskoczony świergotem elektronicznego dzwonka, ale zaraz wrócił na właściwe tory.

Zamknął komputer, poszedł do centralki domofonu i nie podnosząc w ogóle słuchawki, nacisnął przycisk otwierający drzwi.

Usłyszał warczenie elektromagnesu piętroniżej, ciężkie drzwi zaczęły się i na schodach rozległy się kroki.

Poniński włączył ukryty w kieszeni cyfrowy dyktafon i wyszedł na klatkę.

Wiedział, że wspinający się po schodach człowiek miał dokładnie czterdzieści dwa lata i trzy miesiące, ale widział go po raz pierwszy i był zaskoczony, bo facet wyglądał najwyżej na trzydzieści pięć.

Szczupły, szedł sprężysto, miał modną fryzurę i garnitur od Zegna, z ostatniej kolekcji, lniany, dwurzędowy, popielaty.

Poniński natychmiast rozpoznał, że to właśnie Ermenegildo Zegna i pozazdrościł.

Świetnie leżał na gościu, wąsko skrojony podkreślał młodzieńczą figurę, a Piotr Poniński, chociaż nie brakowało mu pieniędzy, ciągle nie mógł wydać dwunastu tysięcy na garnitur.

W tym momencie jego zazdrość wzrosła jeszcze bardziej, bo uzmysłowił sobie, że skoro człowiek nawet lniane, codzienne ciuchy od Zegna, to nie jest tak, że rok oszczędzał, żeby kupić sobie

jednego Zegnę na specjalne okazje.

Jeszcze przed drzwiami uściśnieli sobie dłonie, Poniński wskazał swojemu gościowi drogę i wszedł do środka.

Czego się pan napije?

Szklankę wody poproszę odpowiedział przybyły.

Rozejrzał się po pokoju, zaczął wzrokiem oglądać grafiki na ścianach, o biblioteczkę, poczym podszedł do okna.

Stanął dokładnie

w tym samym miejscu, z którego gospodarz zwykł kontemplować życie miasta.
Zapatrzył się
na ulicę.

Poniński wrócił z kuchni z wodą, wskazał miejsce na fotelu, przy niskim, szklanym stoliku.
Sam usiadł naprzeciwko.

A więc słucham, co pana do mnie prowadzi?
powiedział.

Księżę, muszę księdzu opowiedzieć pewną historię.

Poniński milczał chwilę.

Nie znosił tej kastrującej apostrofy, "księżę", mimo jej staroświeckiego wdzięku.

Proszę księdza.

Niech będzie pochwalony.

Nie nosił przecież koloratki, chyba żeżnowu ktoś zakapował na niego dokurii i musiał się tłumaczyć biskupowi.

Wtedy, owszem, wkładał.

Dawno dałby sobie spokój z Kościołem, nie było powodów do obaw pozycję miał pewną i mocną, zupełnie niezależną od kościelnej hierarchii, był uznanym intelektualistą, redaktorem z prawie gotową habilitacją na zupełnie świeckiej uczelni.

Porzucenie kapłaństwa mogłoby być problemem dla jakiegoś diecezjalnego kleszki, który, kiedy zrzucił sutannę, zostaje bez środków do życia bo co może robić były ksiądz?

Byćbył księdzem dla takiego wikarego znikąd to społeczny stygmat.

Dla potencjalnych pracodawców byłaby to swojego rodzaju perwersja zatrudnić księdza.

Więc nie zatrudniają.

Ale to nie jego problem, on jest w końcu Ponińskim, nawet gdyby nie zrobiona samodzielnie kariera, zawsze ma jeszcze rodzinę pewność, że za trzydzieści albo czterdzieści lat będzie się znajdował w tym miejscu, gdzie teraz znajduje się Bartoszewskiczy inny Niekwestionowany Autorytet.

Jest mu to przeznaczone, z racji urodzenia, wrodzonej inteligencji i starannego wykształcenia.

Ale nie porzuci Kościoła.

W końcu znalazł się tam nie przypadkiem, nie został księdzem z głupiego kaprysu ani z życiowego niedacznictwa, zwanego czasem powołaniem.

Wytrzyma więc, zniesie to, że traktuje się go czasem jak istotę pozbawioną płci,

12

zniesie nawet to, że uwodzić starają się go tylko takie kobiety, których szczerze nieznosi, miłośniczki koloratek.

Dlaczego to akurat mnie chce pan opowiedzieć tę historię, panie Szarzyński?
zapytał, przewrotnie, bo chyba zna odpowiedź.

Gość napił się wody, wyprostował w fotelu.

Jest ksiądz bardzo inteligentny, się ksiądz tego domyśli.

Bardzo ważne jest dla mnie, aby ksiądz zrozumiał, dlaczego opowiadam to właśnie księdzu, ale myślę, że nie będziemy mieli tym kłopotu, zważywszy na księdza bystry umysł powiedział bez namyślnym tonem, dając pochlebstwom rys szczerości.

Dobrze uśmiechnął się Poniński.

Niech pan mówi, zamieniam się w słuch.

Gość wyjął z wewnętrznej kieszeni mały, czarny pistolet.

Ksiądz zamarł.

Bał się broni.

Szczególnie bał się broni w rękach właśnie tego człowieka.

Ale nie dał tego po sobie poznać.

Po co to panu?

zapytał trochę głupio.

Tego również się ksiądz domyśli, zanim skończy opowiadać odparł gość.

Zrobił krótką pauzę, usiadł wygodnie, założył nawet nogę na nogę.

No i co, jakoś nie udało się wam w końcu drugie przemienienie?

Nie tak to wszystko miało wyglądać, prawda?

zapytał.

Poniński patrzył na swojego rozmówcę bez emocji.

Nie mam pojęcia, o czym pan mówi odparł beznamiętnie i bardzo przekonywująco.

Jak siadzi woli.

Zaczniemy więc od początku uśmiechnął się gość.

Nazywam się Antoni Szarzyński.

W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym rozpocząłem służbę w Czwartym Wydziale Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach, w pionie Służby Bezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ 1

Przekręcił kluczyk w stacyjce.

Wycieraczki jeszcze działały, ścierając wodę z szyby.

Patrzył na monumentalną fasadę katowickiej komendy, podzieloną na granatowe i pomarańczowe pola, oddzielające od siebie pasy okien.

Chociaż rano wydarł z kalendarza kartkę z ostatnim dniem lipca, to pogoda była raczej kwietniowa:

deszcz, burza, kilka kwadransów ostrego słońca i znowu deszcz.

Odetchnął głęboko i wyszedł, naciągnął na głowę kapturi szybkoprzebiegł kilkadziesiąt metrów parkingu, które dzieliły go od wejścia do Pentagonu.

W ten sposób katowiczanie nazywali siedzibę Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Od stanu wojennego tak brzmiała oficjalna nazwa wojewódzkiej komendy MO, jakby w nawiązaniu do starego nazewnictwa z lat pięćdziesiątych, kiedy w Warszawie było MBP, w województwach Wojewódzkie Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego, a w powiatach powiatowe. Ktoś uznał, że skoro walka klasowa się wzmaga, to porawróć do sprawdzonych rozwiązań z okresu utrwalania władzy ludowej.

Przy wejściu okazał legitymację, przywitał się uprzejmie z milicjantem w przeszklonej budce, który tylko coś odburknął.

Zapytał go o II Sekcję Wydziału Czwartego i cerber w stalowym mundurze chętnie wywarcał dyrektwy: trzecie piętro, pokój 342.

Ruszył po schodach, rozpinając amerykańską, wojskową kurtkę.

Odnalazł odpowiednie drzwi, na kartce widniało już, obok innych, jego nazwisko.

Wszedł.

Pokój prezentował się jak każdy

w resorcie: beżowa lamperia, trzy biurka z taniej sklejki, trzy bureszafy pancerne, maszyna do pisania.

Dwóch esbeków.

Trzech, licząc razem z nim.

Dzień dobry, podporucznik Szarzyński jestem.

zaczął niepewnie.

Esbek przy biurku z lewej był niski i pękaty, rozlaną głowę zdobił czarny wąs, wyrastający prosto z dziurki kartoflanego nosa, stanowiąc najbujniejsze owłosienie łysiejącego łba.

Pod pachamikoszuli, wczorajszej, sądząc po przybrudzonych mankietach, wykwiwały wielkie, wilgotne plamy.

Kołnierzyk miał rozpięty, pomięty krawat rozluźniony.

Aromat kwaśnego potu wypełniał cały gabinet.

Na powitanie Antka burknął coś, nie podnosząc nawet wzroku na rozłożonej na biurku płachty "Sportu".

Przy prawym blacie siedział człowiek nieco grzeczniej szy, booderwał się od dokumentów, obdarzył Antka spojrzeniem, wahał się chwilę i odpowiedział:

Bry.

Miciński, kapitan.

Siadajcie, kolego, to jest wasze biurko.

Szarzyński skinął głową, a kapitan powrócił do lektury.

Był raczej szczupły, wyższy od baryłkowatego kolegi, także łysy i także wąsaty, garnitur miał równie kiepski, ale przynajmniej koszulę czystą.

Antek ściągnął kurtkę, odwiesił i siadł na krześle.

Wbił wzrok w pustą blat biurka i szary bakelit telefonu z czerwoną lampką.

Otworzył szufladę, potem drugą w środku papier, ołówki, gumka, granatowe, błyszczące płachty świeżych kalek.

Odwrócił się na krześle i otworzył szafę pancerną, klucz był w zamku.

Półki były puste, z przyklejonymi paskami papieru, na których umieszcikiedys opisy segregatorów z dokumentami.

Sześć zero, kurwa mać.

Trzy zero było doprzerwy powiedział w przestrzeń tęgi czytelnik "Sportu".

Antek uznał, że piłka może być jakąś płaszczyzną porozumienia.

16

Sześć zero?

zapytał głupio, uśmiechając się serdecznie.

Gardził tłuszczochami, bo wiedział, że charakter człowieka przeziara przez jego fizyczność, tego spojrzenia nauczył go Drzewiecki.

Jego życzliwość była wyrachowana, potrzebował jej.

Wyobrażasz, sobie, Waldek?

Sześć zero przegrali z Górnikiem wczoraj.

Sześć zero!

W niedzielę chuje z Ruchu wygrał z Elkaesem, a teraz to.

Jakby tego meczu, kurwa, nie przesunęła środe, to inaczej by to wyglądało esbek z gazetą, ignorując agajenie, zwrócił się do Micińskiego.

Kapitan zmierzył kolegę ciężkim spojrzeniem.

Bierz się do roboty lepiej nie podjął rozmowy, ale pochwili uniósł głowę znad dokumentów i zapytał:

Poważnie, Zagłębie przegrało z Górnikiem sześć zero?

No. Tak zacząć ligę, pierwsza kolejka i sześć zero.

Jakim tak dalej pójdzie, to jak nic spadną do drugiej, zobaczysz.

Kibic ze złością trzasnął gazetą o biurko, przeciągnął się, otworzył szufladę i wyciągnął szarą

teczkę, nad którą widocznie zamierzał pracować.

Szarzyński zrozumiał, że porozumienie z kolegami z pokoju jest jeszcze zbyt wcześnie. Przestał się wiercić, zagapił się na ścianę.

Czego, tak naprawdę, chciał od życia?

W domu dziecka marzył o rodzicach, to jego pierwsze wspomnienie, miało być może cztery lata. Pani dyrektor Ponińska, opiekunowie i opiekunki, byli dobrzy i troskliwi, może nawet trochę go kochali.

Ale to nie to samo, co mieć rodziców.

Mieć taką mamę trwał przy tej myśli jeszcze kiedy zaczął chodzić do szkoły, potem gasła powoli, kiedy zajął się nim pan Drzewiecki i kiedy zrozumiał, że tak ma szczęście, jak na sierotę.

Potem jego marzenia jakoś normalnie stały się zwyczajne, chłopięce.

Chciał być żołnierzem, milicjantem, strażakiem, pilotem, kierowcą i kosmonautą.

Podstawówkę mieli swoją, przy Pilchowickim domu dziecka, dopiero do liceum poszedł na zewnątrz, do Gliwic, chociaż dalej, po

szkole, mieli jeszcze dodatkowe zajęcia w bidulu.

Wtedy karierzeszła na dalszy plan, marzył o dziewczynach i najpierw czyniłzadłość tym marzeniom pod kołdrą albo w łazience.

W trzeciej klasie spodobał się Kaśce Korczyńskiej, którejojciec budował rafinerięw Iraku, a matka przesiadywaław "Gondoli".

Kasia miałaciąglewolną chatę itam, na łóżku jej rodziców, marzenia o dziewczynach zamieniłysię w zwyczajne ruchybioder, usta zlepionez ustami i w otwartą nagość.

Kaśce się znudził, bo znalazła sobie długowłosego studentaPolitechniki, który grałna gitarze i zabierał jąwBieszczady, alepo Kaśce byłaAgnieszkaRylik, która smakowała nawet lepiej,bo dawała mniej chętnie.

Mniej chętnie nieznanczy rzadko, pierwszy raz popatrzył wtedy świadomięna swoje odbicie w lustrze,zobaczył tam już niepo prostu siebie, Antka, tylko wysokiego,smukłego chłopca o pełnych ustach, wąskich biodrach i szerokichramionach pływaka i zrozumiał, że przy odrobinie starań zawszeznajdzie sobie dziewczynę, która rozłoży przed nim nogi.

Przestał więcmarzyć o tym, co mógł mieć kiedy tylko chciał.

Używałkobiet, bo miałpotrzebę, ichciałsmakowały o wiele lepiej niżsamotny onanizm, ale nie miał potrzebybliskości.

Pieścił je, bo tolubiły, mówiłim miłe rzeczy, ale sam nie potrzebował ani pieszczot, ani czułychsłów.

W czwartej klasie nie wiedział, co chce robić w życiu.

Niemiał żadnych,specjalnych zainteresowań owszem, lubił różnierzeczy,interesował sięmotoryzacją, zrobił prawo jazdy, lubiłpiłkę, grał w szkolnej drużynie i kibicował Górnikowi,chodził dokina, czytał książki, które podsuwał mu Drzewiecki, ale podczaskiedyinni koledzy wiedzieli, co chcą robićwiększość wybierała się na Politechnikę, na górniczy, architekturę, budownictwoalbo do Zabrze na medycynę, ktoś tam uparł się na filologię na Jagiellońskim, był nawet jeden filozof w czarnym golfie, który, poolimpiadzie, nie musiał zdawać egzaminów i wybrał filozofięw Warszawie on, Antek, nie widział siebie nigdzie.

W pewien

18

sposób zdawał sobie sprawę ze swojej nadzwyczajności i togoparaliżowało, bo czuł całym sobą, że nie możeżak poprostu"kimś zostać".

Wiedział, że Drzewiecki macośwspólnego z resortem, czasem rozmawiali o różnych rzeczach: o stalinizmie, zimnej wojnie,o Ameryce i o ruskich; Antek nigdy niepotrafił starego umiejscowićna mapie, w którą wierzyli jego koledzy, aktóra dzielila ludzina tych, co są za komuną, i na tych, co są przeciwko.

Drzewieckinie był ani taki, ani taki,mówił czasemtakie rzeczy, że kiedy na historii Antekpowtórzył jako swojeopinie Drzewieckiego o ZwiązkuSocjalistycznych Republik Radzieckich, wyleciał z klasy, prostodo dyrektora.

Jednocześnie o Radiu Wolna Europa i Amerykanach wyrażał się z pogardą.

Zapytał więcz głupiafrant Drzewieckiego, co on sądzi o tym,żemoże poszedłby do szkoły milicyjnej,do Szczytna.

Wydawało mu się to atrakcyjne, lubił kryminały,chociażwolał te amerykańskieod polskich, i jakoś wrócił dochłopięcych marzeń mógłbybyć jak śledczy z filmów.

Zdawałsobieoczywiście sprawę, co o milicji myślą jego rówieśnicy i wiedział,że jego decyzja spotkałaby się z pogardą, jednak nie miałprzyjaciół, a opinie innych najego temat nie miały dlań znaczenia.

To nie była poza, niemusiał dusić w sobie wściekłości,kiedystyszał,że ktoś mówio nimcoś złego. Rozwagał i analizował jeślimówił toktoś, od kogoś coś zależało, nauczycielalbo wychowawca, to uznawał, że warto popracować nad tym człowiekiem, abyzmieniłzdanie.

Nigdy jednak nie posuwał się do lizusostwa czy pochlebstw, bo to byłaby poważna ujma dla poczuciałasnej wyjątkowości.

Po prostu, poprawiał oceny, uczył się lepiej, robił, ogólnie rzecz biorąc, to, czego wymagał od niego ten ktoś, od kogo coś zależało.

Jeśli zaś źle mówił o nim chłopakalbodziewczyna, kolega ze szkoły albo z bidula, to dla Antka było totalnie samoobojętne, jakby ktoś powiedział, że nie lubi pomidorówki.

Nie chował nawet urazy, bo za co?

Zapytał więc Drzewieckiego o milicję.

Stary pokiwał głową,

19.

po czym powiedział mu, że ma iść studiować historię do Krakowa.

Postudiuje trochę i potem się zobaczy.

Rady Drzewieckiego zawsze były słuszne, posłuchał więc tym razem.

Niemiał zamiłowania do historii, ale wolał studiować dzieje ludzkości niż uczyć się o maszynach na polibudzie.

Wkuł więc to, co było potrzebne, zdał maturę na piątkach i jednej czwórce, zdał też egzaminy.

W domu dziecka pożegnano go uroczystie, a Antek wyjechał bez żalu, chociaż wiedział, bo widział też inne sierocińce, że ten, do którego trafił, był wyjątkowy:

mało dzieci, jeden opiekun na trójkę podopiecznych, dobre jedzenie, prawie wszyscy szli na studia, były tam same sieroty, bezrodziców, nie było dzieci odebranych matkom.

W Krakowie zamieszkał w akademiku.

Zaczynał się nowy semestr i mijało właśnie pół roku po zabójstwie Staszka Pyjasa, całe akademickie środowisko było poruszone, rozszalone i jednocześnie rozentuzjasmowane opozycyjnością.

Antek nie miał poglądów politycznych, chociaż, dzięki Drzewieckiemu, orientował się niezłe w tej sferze, zarówno polityki wewnętrznej PRL, jak i polityki zagranicznej; nie wiedział, jak ma się odnieść do tej narzucającej się, antykomunistycznej atmosfery, wszedł więc w pociąg do Gliwic i pojechał do swojego opiekuna, zapytać go o to osobiście.

Drzewiecki powiedział mu wtedy, że ma robić to, co robi większość jego kolegów, ale zachowując jednocześnie ostrożność i pewien dystans, bez nadmiernego zaangażowania. Posłuchał Drzewieckiego, chodził na spotkania Studenckich Klubów Solidarności, słuchał, czasem potakiwał.

Nigdy nie dyskutowali nigdzie się nie zapisał.

Studiował niezbyt pilnie, ale tak, żeby lepiej lub gorzej zdać wszystkie egzaminy, wieczorami pił w knajpach i winiarniach, podrywał młode poetki-opozycjonistki i dymał je po akademikach i stacjach, a czasem, te bardziej wyzwolone, na podkrakowskich łąkach.

Podobało mu się takie życie, ta atmosfera undergroundowej, artystycznej wolności, podobało

mu się, że mogli śmiać się z urzędników, spieszących rano do swoich urzędów; zaczął nawet trochę hipisować, chociaż w rozsądnych granicach, włosy zapuścił o pięć centymetrów dłuższe niż zwykle, akurat tyle, żeby dobrze wyglądać wśród kolegów, nie wkurzając niepotrzebnie przeciętnego milicjanta.

Latem był w Bieszczadach i na Mazurach, nauczył się paru gitarowych chwytów, a jesienią, na początku drugiego roku, dał się ochrzcić w duszpasterstwie akademickim i zaczął czasem przychodzić do kościoła, kontynuując, na wzór swoich znajomych, rozrywkowo-erotyczny tryb życia.

Do opozycji się nie zapisał, ale wyraźnie sympatyzował, po drugim roku pojechał do Gliwic odwiedzić Drzewieckiego i z miną zblazowanego artysty opowiadał taki sztych o tym, jak męczy go artystyczny Kraków.

Opiekun rzekł prosto, że skoro już wystarczy mu akademickie życie, to powinien złożyć papiery do Wyższej Szkoły Oficerskiej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Antek odparł z odrazą, że nie chce być milicjantem, na co Drzewiecki uśmiechnął się i wyjaśnił, że nie chodzi o Szczytno, lecz o Legionowo.

Szkołę SB.

Antek milczał wtedy przez chwilę.

W byciu milicjantem, w tym śmiesznym, niebiesko-szarym mundurze z palemkami, było coś włączającego, coś niskiego, groteskowego.

Z milicjantów się śmiali, esbeków nienawidzili i bali się, a lepiej być obiektem nienawistnego strachu niż kpin.

Był wtedy, oczywiście, pod wpływem świata, w którym żył, dobrze czuł się w mentalnej opozycji, ale to Drzewiecki był jedyną osobą, której ufał.

Rozmawiali wtedy długo i opiekun tłumaczył mu, że musi być wśród tych, którzy mają aktywny

wpływna rzeczywistość, nie wśród tych, którzy, wbrew swojemu przekonaniu, są tylko przedmiotami działań.

Nikt mu nie każe przeciwzyć w marksizmi socjalizm, nikt nie traktuje Lenina poważnie, to tylko pozór, otoczka, pod którą kryje się materia państwa, takiego samego, jak każde inne.

A bez państwa człowiek jest zwierzęciem.

21.

Wysłał papiery do Legionowa, Drzewiecki swoimi kanałami załatwił formalności, chociaż było już po terminie.

Antek zabrał swoje rzeczy z krakowskiej stacji, nie żegnając się z nikim.

Rozpowiadano potem, że SB porywa ludzi i jego też porwali i może nawet zamordowali, jak Pyjasa.

Poniekąd była to prawda, ale nie myślał o tym wiele, zanurzył się w nowej szkole i już po paru tygodniach wiedział, że to właśnie jest to, co jest mu przeznaczone robić w życiu.

Drzewiecki miał rację chociaż oficjalnie zachowywaną pozorami, decorum socjalizmu, jak powiedzieliby jego dawni znajomi z Krakowa, to nikt nie traktował tego poważnie.

Poważnie traktowano jedynie służbę.

Jedyną liczącą się ideologią była lojalność wobec resortu, nie "socjalistycznej Ojczyzny", tylko właśnie resortu.

Antek odnalazł się w tym świecie tak łatwo, jakby żył w nim od zawsze, a wspomnienia dawnego, studenckiego życia, chociaż miłe, nie nęciły do powrotu.

Okazywały się zresztą bardzo pomocne, więcej wiedziało "prawdziwym" niż chłopcy z resortowych rodzin, synowie "starych czekistów" jak mówili o sobie z dumą.

Prosto z liceów, w których uczniowie pochodzili wyłącznie z nomenklaturowych rodzin, trafiali do WSO, często nie straciwszy nawet jeszcze dziewictwa.

Antek był od nich starszy, inteligentniejszy, więcej przeżył i szybko stał się nieformalnym przywódcą całej dużej grupy kolegów.

Razem chodzili na dyskoteki, wprawiał ich w zażenowanie, bezceremonialnie podrywając najfajniejsze laski, uczył ich, jak się ubierać, pomagał zorganizować prawdziwe rifle i levisy, a jednocześnie w szkole szło mu świetnie, zarówno na kursach teoretycznych, jak i na praktyce, na wojskowej unitarcei potem, na strzelaniu i wychowaniu fizycznym z elementami samoobrony.

W szkole rozkwit Solidarności przywitani z pogardą ledwie widocznym cieniem obawy, stan wojenny z radością.

Antkowe sentymenty z lat studenckich były już martwe.

Zatrzymywał się czasem w korytarzu i gapił na portret Feliksa Dzierżyńskiego.

Przyglądał się trójkątnej twarzy Felka, jak go w myślach na

żywał, i próbował w tych zimnych oczach odnaleźć siebie.

Życiorys Dzierżyńskiego znali na pamięć, to należało do esprit d'corps.

Wykładowcy lubili Antka, tak jak lubi się każdego wdzięcznego, bezkonfliktowego ucznia.

Otrzymał indywidualny tok nauczania i po pierwszych dwóch semestrach przeskoczył rok, szkołę skończył z wyróżnieniem, po czym skierowano go na praktykę do RUSW w Gliwicach, gdzie przez rok, pod opieką oficera operacyjnego kapitana Ziębika, nauczył się więcej niż przez cztery lata szkoły, i w końcu osiągnął to, o czym marzył.

Został oficerem operacyjnym w WUSW Katowice.

Skierowano go do Wydziału Czwartego, z czego nie był specjalnie zadowolony, bo wydawało mu się, że są ciekawsze sprawy niż inwigilacja środowisk kościelnych, ale Drzewiecki powiedział, że tak naprawdę czwórka to najważniejszy Wydział w całym resorcie i że zająć się tym zrozumie, dlaczego.

I teraz siedział za biurkiem, którego puste szuflady wypełniać będzie efektami swojej pracy.

Uderzała go ich obojętność, myślał, ile materiału zdoła w nich zgromadzić.

Czekał na tę chwilę cztery lata.

Został oficerem operacyjnym.

Oficjalnie, zajął właśnie stanowisko młodszego inspektora, nazwy oficer operacyjny nie używano już od kilkunastu lat, ale przecież to właśnie o to chodziło, nikt nie miał wątpliwości.

I teraz zadawał sobie pytanie:

czego tak naprawdę chce od życia?

Wspinać się po resortowej drabinie awansu, z porucznika stać się kapitanem, a z młodszego inspektora kierownikiem sekcji, potem majorem i naczelnikiem Wydziału, kiedy Wichna przejdzie na emeryturę, potem wyżej, wojewódzki zastępca ds.

SB, a później już do centrali, do MSW, ku szlifom pułkownikowskim i generalskim, ku wspólnym polowaniom z ministrami i premierami?

Czy może pragnął raczej filmowej adrenaliny z akcji, jeśli nie Bondów, to przynajmniej z "07 zgłoś się" międzynarodowibandyci, piękne kobiety i on, twardy milicjant, odrobinę zgorzkniały, ale tylko troszeczkę.

23.

Jak dzwoni telefon na twoim biurku, to znaczy, że masz goodebrać powiedział ponuro kibic Zagłębia, bezceremonialnietykając Szarzyńskiego.

Antek, pogrążony w rozmyślaniach, nie zwrócił uwagi nadzwonek, założył nieświadomie, że to nie jego telefon ale rzeczywiście, pulsowało światelko na aparacie na jego własnym biurku. Podniósł słuchawkę.

Podporucznik Szarzyński, słuchamwyrecytował nieśmiało.

Zameldujcie się w gabinecie kierownika sekcji kapitana Biedrycha, za pięć minut powiedział żeńskigłos.

Słuchawkatrasnęła.

A więc zaczęło się pomyślał.

Wyszedł z biura odrazu, bo nie chciał pytać nowych kolegów o pokój kierownika sekcji, odnalazł odpowiedniedrzwi, odczekał chwilę, nacisnął klamkędokładnie pięćminutpo telefonicznym wezwaniu i wszedł.

Podporucznik Szarzyński, meldując się na rozkaz, towarzyszuszefie! huknął po wojskowemu, trzasnęła nawet obcasami.

Ja pierdołę, skończciez towarzyszami, tu nie komsomoł, człowieku.

Siadajcie powiedział rozparty za biurkiem grubas, rozciągając samogłoski wulgarnego słowa.

Tak jest, szefie.

Podobacie mi się, podporuczniku.

Ładny życiorys, takichwłaśnie ludzi nam trzeba.

Młody, przystojny otaksował Szarzyńskiego wzrokiem, gładząc wąsy obytyw świecie.

Trzebąbędzie was jeszcze wysłać za granicę, do efu albo do Austrii, żebyście tamtego świata zobaczyli, i będzie z was czekista cosieżowie.

Świetnie spisywaliście się na rejonie, w Gliwicach, takmi przynajmniej donosi Wacek Ziębik mówił Biedrych, przeglądając personalną teczkę Antka.

Dziękuję, szefie.

Ziębik twierdzi, że w stu procentach nadajecie się do samodzielnego werbunku.

Nadajecie się?

Tak jest, szefie!

odparł Szarzyński radośnie, prawie

24

nie ukrywając ekscytacji perspektywą pierwszej samodzielnejroboty.

Kapitan pokiwał głową.

Jasne, kurwa, jasne, każdy młody takmówi przejścieod "podobacie mi się" do powątpiewaniabyło zbyt nagłe, żebyAntek mógł w nie uwierzyć.

Sympatię było widaćzresztą w oczach Biedrycha od razu.

Macie tutaj wszystkie materiały z teczki ewidencji operacyjnej księdza Piotra Szkordonia z Gliwic, parafia WszystkichŚwiątych.

Przesunął po blacie cieniutką, burą teczkę, zawiązaną na bury sznurek.

Zapoznajcie się z tym, dużo tego nie ma, i przyjdźcie do mnie, powiedzmy spojrzal na zegarek o czternastej, pogadamy, co dalej robić.

Jasne?

Tak jest!

odpowiedział Szarzyński, uśmiechając sięjużotwarcie.

No to do roboty i do zobaczenia.

Wstał, odruchowo trzasnął obcasami i ruszył do drzwi.

Aha, Waldkiem Micińskimi Zdziśkiem Klewką sięnieprzejmujcie, podporuczniku.

Nie od razu was polubią, może nawet nigdy, ale skrzywdzić nie skrzywdzą, chyba że im wlezi ciena odcisk.

Co serdecznie odradzam, jak czekista czekiście.

Usłyszał zza pleców głos Biedrycha.

Skinął głową, wychodząc i wrócił do swojego nowego biura, ściskając pod pachą szarą TEOK.

W pokoju był tylko kapitan Klewka, kibic Zagłębia Sosnowiec, całkowicie pochłonięty wystukiwaniem dwoma palcami jakiegoś raportu.

Nie zwrócił uwagi na Antka, a ten siadł za biurkiem, rozwiązał gustowną kokardkę, najął palce inspektor sekcji analitycznej zawiązały sznureczek i wkroczył w życie księdza Piotra Szkordonia.

Urodzony w Żernicy, wsi pod Gliwicami, w autochtoniejszej rodzinie, w roku 1957, jako czwarte i ostatnie dziecko Ernesta i Felicji Szkordoniów, przed wojną obywateli Rzeszy.

Ernest

25.

Szkordoń służył w Wehrmachcie przez pięć lat, całą wojnę, otrzymał nawet niemiecki order. Krzyż Żelazny.

Czyjaś ręka mocnopo podkreśliła tę informację, a Antek od razu pomyślał o tym ojcu-faszyście jako o potencjalnym materiale kompromitującym, chociaż raczej słabym.

Dalej, I Liceum Ogólnokształcące w Gliwicach.

.. Ha, wspaniale, chodzili do tej samej szkoły, to zasadniczo ułatwi sprawę.

Jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu okrągłatwarz, wystające policzki, zadarty nos i przypomniał sobie, znał z widzenia takiego chłopaka, dwaroczniki wyżej.

Cichy, nieduży, przy sobie, brunet w niemodnych ciuchach, mówiący z wyraźnym akcentem.

Potem seminarium w Krakowie.

Tutaj, pojawia się charakterystyka napisana przez kolegę roku, tajnego współpracownika o pseudonimie "Krystyna", ale bez punktów zaczepienia.

Parę komunałów: cichy, pilny, pobożny, chętnie pomaga kolegom, niewiadomo, aby przejawiał skłonność do świeckiego trybu życia z niewłaściwych znajomości.

Poza tym, niewiele więcej, jeden wyciąg z raportu złożonego przez TW

"Jacek", twierdzący, że Szkordoń ma duży wpływ na młodzież, jednak nie zajmuje się naspotkaniach treściami politycznymi, a jedynie stara się formować charakter na tle moralnym.

Na samej górze teczki znalazła się kompletna analiza autorstwa samego kapitana Biedrycha, typująca księdza Szkordonia jako trudnego, ale bardzo wartościowego kandydata do werbunku, ze względu na potencjał intelektualny, dający duże szanse na zrobienie kariery w kurii oraz ze względu na wpływ na środowiska młodzieżowe i akademickie w Gliwicach, tym mocniejszy, że pozainstytucjonalny.

Biedrych zalecał wykonać dokładne operacyjne rozpracowanie kandydata, połączone z uruchomieniem możliwych tajnych współpracowników w szeregach kleru parafialnego i w kurii, nie wykluczając przeprowadzenia kombinacji operacyjnej celem pozyskania materiałów kompromitujących.

Szarzyński zrozumiał, że został postawiony przed wyzwaniem.

Był plutonowy po półrocznym kursie może zwerbować księdza, na którego służba ma gruby plik zdjęć z panią albo, jeszcze lepiej, z chłopcem.

Werbunek pedałów, których wśród księży nie brakuje, w zasadzie nie powinien się nawet nazywać werbunkiem, z pedalem sprawę współpracy dałoby się załatwić korespondencyjnie, wysyłając lakoniczne wezwanie do udzielenia informacji, z załączonym zdjęciem księdza w objęciach jakiegoś miedzianka.

Ze zwykłymi, którym się dupy zachce, jest niecotrudniej, bo chociaż to kompromitacja to nawet zbrzuchanababa nie oznacza dla księdza jeszcze śmierci cywilnej, ale ksiądz-pedrył to ksiądz skaptowany.

Kiedy służył w rejonie, w Gliwicach, dowiedzieli się od jednego kapusia, że podobno się w podziemnej Solidarności połączyli, jeśli wyczuli u kogoś skłonności do chłopców, to go uprzejmie, ale stanowczo odsuwano od wszystkich informacji, praktycznie wykluczając z organizacji.

Wiedzano, że przyłapano przez resort ciota o jakiejś tam pozycji społecznej zrobi wszystko, byle uniknąć zdemaskowania.

Jeden taki, profesor architektury, przyszedł do nich sam, rozgoryczony, że go wywalili z Solidarności sam zaproponował współpracę.

W seminariach teoretycznie homoseksualiści mieliby być odsiewani, ale większość opanowała do mistrzostwa sztukę kamuflażu, ojcowie duchowi nie byli też zbyt spostrzegawczy i w efekcie jeden czarny wymykał się nocą pętał w okolicach szaletów, po parkach, szukając okazji a zarówno w rejonie, jak i w wojewódzkich czwórkach, był zawsze jeden oficer z dobrymi kontaktami w obyczajówce, do którego obowiązków należało regularne przyjmowanie meldunków od parkowych i kloacznych ciot.

W zamian, cioty miały spokój, a oficer czasem dostawał cynk, wysyłał kogoś z sekcji technicznej z aparatem fotograficznym i werbunek sam się robił, wraz z naciśnięciem spustu migawki.

Szkordoń jednak był czysty, całego teczka poza ojcem-hitlerowcem nie zawierała żadnego punktu zaczepienia.

27.

I dlatego ksiądz Szkordoń był dla Szarzyńskiego wyzwaniem, egzaminem, do którego przystąpił już pierwszego dnia.

Od tego, czy sobie poradzi, zależy, jaka będzie jego dalsza służba.

Czy będzie zawszena szpiczy, na przyspieszonej drodze awansu, czy raczej skończy, odwalając czarną robotę, zabezpieczenia i obserwacje, pracując na sukces takiego Klewki, zasłuchanego w tym czasie w transmisję z meczy Zagłębia Sosnowiec.

Do czternastej miał jeszcze pięć godzin, narzucił kurtkę, wyszedł z biura i zbiegł na parking, gdzie stała jego czerwona, dwudrzwiowa alfa romeo gtv-6.

Deszcz ciągle padał, więc drogę od drzwi komendy do samochodu przebył biegiem, z kapturem na głowie.

W aucie pogrzebał przez chwilę kasetach, wyciągnął pierwszą Brygadę Kryzys, włączył i przy dźwiękach "Centrali" wyjechał na Francuską, przez Warszawską przebił się na Armii Czerwonej, potem na rondo, minął Spodek i wjechał na Feliksa Dzierżyńskiego.

Kiedy mijał betonową żyrafę obok wesołego miasteczka, Lipiński z Kryzysu przeszedł dopiosenek po angielsku.

Teraz przed nim prosta droga, przez Chorzów, Rudę Śląską i Zabrze, mógł się więc zastanowić dokładnie nad tym, jak sprawę Szkordonia ugryźć.

Potem założył się na niego obserwację, może załatwi się w technicznej jakiś podsłuch i cierpliwie, powoli, coś się znajdzie, ale jeszcze przed rozmową z Biedrychem, chciał go zobaczyć, poczuć, zrozumieć, dlatego jechał do Gliwic.

Chorzów zamienił się w Rudę, co zasignalizowała jedyną tablicą przy drodze, a Ruda Śląska stała się Zabrzem.

Kiedy wyjeżdżał z Zabrze, miał już mocną legendę, dojechał do centrum, zaparkował pod kościołem.

Wtulił się we wnękę otaczającą drzwi, aby chociaż trochę ukryć się przed ulewą i nacisnął przycisk dzwonka.

Otworzyła starsza kobieta.

Szczęście Boże, ja do księdza Szkordonia.

Zastałem może?"

zapytał.

A o co idzie?

Babsztyl nie rozwarł drzwi ani na pięć centymetrów szerzej.

28

No, ja jestem księdza znajomym z liceum jeszcze i tak sobie pomyślałem, że moglibyśmy znajomość odnowić może.

Babazawała się, ale pocziwa twarz Antka i zielona, wojskowa kurtka, taka, jaką nosili brodaci młodzieńcy z opozycji, gromadzący się czasem na farze, przekonała ją, że chłopak nie ma złych zamiarów.

Niech pan wejdzie, ksiądz wikary jest w swoim pokoju, napiętrze.

Wszedł, zapamiętując od razu rozkład pomieszczeń na plebanii, wspiął się po schodach i zapukał do drzwi, które wydały mu się odpowiednie.

Nie pomylił się, otworzył mu wikary Szkordoń we własnej osobie.

Szczęście Boże przywitał się po prostu.

Szczęście Boże odpowiedział ksiądz, przypatrując się twarzy, która wydała mu się znajoma.

Znamy się chyba z widzenia, proszę księdza, z liceum jeszcze, z jedynki, na Zimnej Wody, prawda?

Moje nazwisko Jacek Belski zablefował.

Szkordoń uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zęby.

Ano tak, jasne, pamiętam, chociaż z twarzy raczej, niż nazwiska.

Zapraszam do środka.

Co pana sprowadza?

Śląski akcent brzmiał taksamo silnie jak za czasów liceum.

To jednak może być pewna przeszkoda w karierze w kurii, warto o tym pamiętać pomyślał Szarzyński.

Widział kto biskupa, który mówiłby jak brudny górnik z familoka?

Proszę księdza, będę mówił wprost.

I niech mnie ksiądz od razu nie wyrzuca, bo ja jestem księdza prywatnie, nie służbowo.

Jestem oficerem milicji, proszę księdza, z Katowic.

Twarz wikarego stężała nagle, zacisnął usta i nagle, zdecydowanym ruchem otworzył drzwi na oścież.

Proszę wyjść powiedział zimno.

Proszę księdza, niech ksiądz da spokój.

Mówię, że nie jestem służbowo.

Mam prośbę zupełnie osobistą, religijną.

29.

Szkordoń wahał się, w końcu uznał widocznie, że otwarte naoscież drzwi gwarantują, że intruz nie będzie go namawiał do donosicielstwa, które przecież wymaga konspiracji.

Dobrze, słucham.

Proszę księdza, jachciałbym się ochrzcić i chciałbym, żeby ksiądz mniedo tego chrztu przygotował.

Ksiądz przez chwilę gapił się nań, oniemiały.

Musimy pogadać o tym z proboszczem powiedziałw końcu.

Antek zastanowił się, naile wikary celowo go sprawdza, wiedząc, że zasadą kontaktu z potencjalnym TWjest utrzymaniesamego spotkania w tajemnicy, a na ile po prostu sam nie wie, coma począć z milicjantem, który chce przyjąć chrzest.

W obu przypadkach należy się zgodzić, chociaż, owszem, nie jestto zapewnepostępowanie według "Instrukcji o pracy operacyjnej".

Oczywiście, chodźmy do proboszcza odparł więc i poszli, nadół, dokancelarii, gdzie proboszczco stwierdziłipowięksciu drzemał na bujanym fotelu, obok wielkiego, kancelaryjnegobiurka.

Księżu proboszczu.

zbudził go delikatniewikary.

Proboszczocknął się natychmiast, poprostu otwierając oczy, przejechał dłoniąposiwych, ściętych najeża włosach, westchnął, wstał i powiedział:

Słucham.

Księżu proboszczu, ten pan tutaj, Jacek Bełski, jest oficerem milicji z Katowic i chciałby sięochrzcić.

Ale dlaczego przyjechał pan z tymz Katowic aż tutaj, proszę pana? zapytał od razu proboszcz.

Antek zanotował sobiew myślach, żei w przypadku wikarego, i proboszcza ma do czynienia z ludźmi o pewnej inteligencji.

Spuścił głowę i wbił wzrokw podłogę.

Wyobraził sobie, żebardzo się wstydzi, wyobraził sobie, że ma dziesięćlati ktoś dorosły właśnieprzyłapałgo na onanizmie.

Poczuł, że się czerwieni i dopiero wtedy podniósł twarz.

30

Bo..

wolałbym, żebynikt na komendzie się o tym nie dowiedział wydusił ze ściśniętymgardłem.

Poza tym, księdzaSzkordonia znam jeszczez liceum.

Wikarynie sprostował tego małego nadużycia chociażw liceumnigdy nie zamienili przecież słowa i młody esbekuznał to za swój pierwszy sukces.

Pierwszamała, maleńka wspólna tajemnica.

Szkordoń jeszcze nie wie, że mają już wspólną tajemnicę, ale licząsię fakty, nie przekonaniafiguranta.

Proboszczpokiwał głową.

No tak, rozumiem.

Miałby pan kłopoty w pracy, tak?

Więc lepiej, jeśli nie będziemy o tym nikomu opowiadać, prawda, Piotrek?

zwrócił się do wikarego, który potwierdziłskinieniemgłowy, a podporucznik Szarzyński miał ochotę podskoczyć z radości.

O to właśnie chodziło, figurant sam zgadza się na konspirację.

Charakter tych rozmów trzeba będzie przebudować, aleważne jest, że będą sięspotykać w tajemnicy. To pierwszy krok.

Dobrze.

Teraz niechpan idzie, bo mymamy tutaj swoje obowiązki, ale niech pan przyjdzie, powiedzmy, w

czwartek wieczorem, o dziewiętnastej.

Będiesz miał wtedy czas.

Piotrek?

Wtedy pan sobie z księdzem wikarym porozmawia, jak to wszystko może dalej wyglądać, dobrze?

Obaj potwierdzili, podporucznik z rewerencją pożegnał się kapłanami i uskrzydłony powodzeniem swojego zaimprovizowanego planu, wrócił tą samą drogą do Katowic.

W drodze przemyślał kształt notatki z rozmowy z figurantem, jaki przedstawi Biedrychowi.

W samym raporcie cała rozmowa przedstawiona będzie w regulaminowym slangu, żeby nikt mu nie zarzucił przekraczania instrukcji, ale ustnie szefowi sprawę dokładnie tego, jak sprawa wyglądała, podkreślając swoją elastyczność.

Przekroczył instrukcje, działał spontanicznie, owszem ale, jak sądził, właśnie skuteczności szef oczekiwał.

Dawno minęły czasy, w których oficer operacyjny, werbując księdza, udowadniał mu wyższość materializmu dialektycznego

nad filozofią tomistyczną.

Raczej nieudolnie, bo ileż można było sobie skomplikowanej materii marksizmu-leninizmu przyswoić na kilkutygodniowym kursie?

Już na początku lat sześćdziesiątych porzucono więc metody rodem z zebrania sowieckiego Związku Wojujących Bezbożników, nie próbowano księży przekonywać, że Boga nie ma, argumentami z poziomu kamienia, tak ciężkiego, że Bóg nie mógłby go podnieść.

W Legionowie nauczono ich, że nie wolno podważać ani ośmieszać przekonani wierzeń figuranta, o katolicyzmie należy wyrażać się z szacunkiem, szczególnie podkreślając szacunek względem sytuacji w Kościele po ostatnim soborze.

Katolicyzmu się nie zwalcza, katolicyzm się rozgrywa, po to Polskie Centrum Odnowy Soborowej wydawało jeszcze niedawno miesięcznik "Ancora", gdzie patriotycznie i postępowo nastawieni księża-profesorowie pisali na zlecenie resortu artykuły o tym, że Wyszyński jest zły i ograniczony wstecznik.

Cóż, jednak, artykułów tych nie pisano z pozycji dbałości o dobro socjalistycznej ojczyzny, lecz z dbałością o dobro Kościoła posoborowego.

Kategorycznie zabronione były próby nakłaniania księdza do złamania tajemnicy spowiedzi, można było oczywiście skorzystać, jeśli sam ksiądz dostarczał informacji pochodzących z konfesjonu, ale należało być czujnym, bo zdrada tej tajemnicy była zawsze symptomem postępującej dezintegracji osobowości, dotyczącej zwykle alkoholików i homoseksualistów. Tak ksiądz, acz przez pewien okres dość wartościowy, bo gotów zrobić wszystko, czego oficer prowadzący odeń zażąda, bardzo szybko tracił swoją wartość jako tajny współpracownik, bo jego degeneracja stawała się widoczna i chociaż gotów na wszystko, to nie posiadał żadnych możliwości działania.

Antek zaparkował pod komendą, machnął portierowi legitymacją i pobiegł do biura. Nie było ani Klewki, ani Micińskiego, miał jeszcze godzinę, siadł więc do maszyny i wystukał szybko

32

zgrabną notatkę, podwójnie, przez kalkę.

Kiedy przyszedł czas, poszedł do pokoju Biedrycha.

Szef przeczytał notatkę, powoli i starannie, nie zważając na Szarzyńskiego, który siedział na krześle dla gościa i denerwował się jak student przed pierwszym egzaminem nieznanego profesora. Gdyby nie cztery lata w Legionowie, gdzie nauczono go panować nad ciałem nawet w sytuacjach silnego stresu, zapewne bębniłby palcami, potrząsał nogą albo obgryzał mimowolnie paznokcie, ale był przecież czekistą, więc wsłuchał się w swoje denerwowanie i ścisnął je w środku. Gdyby wyciągnął teraz przed siebie dłoń, nie drgnęłaby.

Gracie va banque, Szarzyński powiedział Biedrych, nito z podziwem, ni z przyganą.

Tak jest, szefie.

Antek czekał, kiedy Biedrych zapyta go o szczegóły tej świetnie przeprowadzonej rozmowy, ale nic takiego nie nadchodziło.

Nie wezmę tego na siebie, jeśli coś spierdolicie, podporuczniku.

Jeśli wam się uda, to dam wam pochwałę i przyspieszę awans na porucznika o pół roku, ale jeśli spierdolicie, to ukażę naganą za samowolny werbunek i przeniosę do analitycznej, będziecie przez następne dziesięć lat przepisywać na maszynie czyjeś raporty.

Zrozumiano?

Tak jest, szefie.

Macie to zrobić sami.

Możecie, jeśli wola, poprosić o pomoc kapitana Ziębika, może oddeleguje wam dwóch ludzi z samochodem do dyspozycji, żebyście mogli założyć obserwację, ale na piśmie tego nie dostaniecie, załatwcie to sobie z nim sami.

No, to tyle służbowych spraw.

A teraz powiedzcie, Szarzyński, jak tam u wasz dupczeniem?

Pieprzycie coś?

Blondynki, brunetki i rude, szefie, ku chwale Ojczyzny!
huknął podporucznik z pożądaną w takiej sytuacji dziarskością.
Nie dał po sobie poznać, że jest trochę zawiedziony.

No, to dobrze, dobrze.

Jakbyś chciała kurwy pójśćka33.

pitan Biedrych nagle przeszedł do familiarnej, drugoosobowej formy to zawsze możesz połączyć przyjemne z pożytecznym, wydupczyć, a i wpytać o to i owo.

Pogadajcie z Milewskim z dwójki, on wam da dobre adresy, jasne?

Jasne, szefie.

Odmeldować się Biedrych zakończył rozmowę.

Nadziejacie się wolni, możecie iść do domu.

Wychodząc z biura szefa, prawie wpadł na kapitana Klewkę.

A, tu towarzysz podporucznik.

U ordynatora.

Wie towarzysz, gdzie konfiturki leżą, ajakże powiedział zgryźliwie.

Wezwał mnie.

próbował się bronić Antek, zaskoczony, że Klewka w ogóle się doń odzywa.

Jasne, jasne.

Dobra, słuchajcie, towarzyszu, na dzisiaj koniec z robotą, karetkę zostawiacie pod fabryką i na patyczkach zamną biegiem marsz, jasne?

Szarzyński nie wiedział, dlaczego Klewka mówi fosą, kodem-slangiem, używanym w komunikacji radiowej, a stanowiącym pierwszą zaporę dla ewentualnych podsłuchujących. Zrozumiał dopiero, kiedy Klewka uśmiechnął się ze złośliwą frajdą, zakładając widocznie, że Szarzyński fosy nie zna.

Trzysta jeden, towarzyszu kapitanie, tylko recepty dam do gabinetu odpowiedział podporucznik, co znaczyło, że zgadzasie się i potwierdza, że samochód zostaje pod budynkiem komendy dalej idą piechotą, tylko wcześniej musi zanieść dokumenty do pokoju.

Podstawy fosy poznał jeszcze w szkole, a lokalnej odmiany bo każda KW miała swoją nauczył się dobrze w rejonie, w Gliwicach.

Klewka westchnął, a Antek usłyszał w tym westchnieniu starą jak świat skargę starej gwardii nanieopierzonych oficerów, którym wydaje się, że pozjadali wszystkie rozumy, chociaż nigdy tak naprawdę jeszcze nie byli pod ogniem.

Pobiegł szybko do pokoju, schował do szafy pancerniej teczkę Szardonii i bogatszą o dzisiaj szanotatkę i wyszedł przed komendę.

Nie wiedział, czego chciał od niego Klewka, ale wiedział, że

34

nie wypada dopytywać, nie wypada też pierwszego dnia służby wyrażać sprzeciwu.

Kapitan był już na parkingu, w swoim kiepskim garniturze i z popularnym, wklejonym śliną w kącik ust.

Gdyby poprosić dziecko, żeby narysowało ubekę, to na kartce pojawiłaby się właśnie taka postać.

Klewka skinął głową i poszli.

Antek zobaczył swoje odbicie w szybie służbowego poloneza, razem z popiersiem kapitanai ucieszył się, bo po raz kolejny przekonał się, że w zielonej, wojskowej parce, w dżinsach, z przydługimi włosami i trzydniowym zarostem wygląda raczej jak student, jak działacz opozycji. Brakowało mu tylko opornika w kłapie, zamierzał zresztą zacząć nosić, jak tylko wrośnie nieco bardziej w nowo otoczenie.

Sprawałomu to frajdę lubił się tak ubierać, lubił te błyski sympatii w oczach mijanych dziewczyn, która rena oficera resortu raczej by napluły, niż obdarzyły uśmiechem, frajdę sprawiało mu to, że był jednocześnie ubrany i przebrany, ubrany dla siebie i dziewczyn, a przebrany dla kolegów z pracy, którzy, jeszcze w rejonie, ciągle podejrzewali go, że nosi ciuchy z szatni operacyjnej.

Spacer był dość długi, aż na Warszawskiej Antek zobaczył świecący na niebiesko neon "Kryształowej" i kiedy stanęli przed drzwiami kawiarni, Szarzyński pojął, że czeka go chłanie.

Woda, pierwsza i podstawowa rozrywka resortu.

Z kumplami w knajpie albo na imieninach w mieszkaniu, samemu przed telewizorem, a niech stara drzewy, kogo to obchodzi, a potem, pod koniec drugiej dekady w resorcie, kiedy ma się już wszystkow dupie, to nawet na służbie, z płaskiej butelki, takiej pasującej akurat do kieszeni

marynarki.

Widział ich potem, tych z pierwszego rzutu wojnie, leśnych dziadków, co w AL razem z generałem Moczarem i towarzyszem Wiesławem bili faszystów niemieckich i polskich, z NSZ, a potem wstępował do UB i domilicji, kiedy nosił się jeszcze po niemieckie mundury i chodził na służbę ze szmajserem, bo innej broni nie było.

Walczyli z bandami, potem przechodzili weryfikację pięćdziesiątym szóstym,

35.

niektórzy szli do pierdła, potem z tego pierdła wychodzili, jaktam się aktualnie kształtowała sytuacja polityczna, widział ich potem, tych ledwie piśmiennych chłopów w randze sekretarza stanu w centrali, jak odchodząc z firmy z legitymacją emeryta milicyjnego, przechodzili w chlaniu na zawodowstwo, tylko woda, od rana do wieczora, do śmierci.

Bo co mieli innego robić?

I czyżkolwiek, którzy wylecieli z resortu w sześćdziesiątym ósmym, jak Drzewiecki, i poprzehodzili do różnych redakcji i centralhandlowych, do spółdzielni i wydawnictw, i pili, bo nie wyjechali do Izraela, pili, bo przypominali sobie samych siebie jeszcze Bundu albo Poalej Syjon, przypominali sobie swoje marzenia o Izraelu i pili, bo nie wiedzieli, cóż innego mogliby robić. Drzewiecki nie pił, to fakt, ale niego był w ogóle dziwny Żyd.

Szarzyński spodziewał się więc, że w środku czeka go ciężka przeprawa, ale kiedy wszedł, po tym jak Klewka otworzył drzwi i puścił go przodem, był zaskoczony.

Resort zajął całą knajpę, tobyło widać napierwszy rzut oka.

Sądząc po ilości obecnych, zgromadził się tam cały Czwarty Wydział, byli Biedrych i Miciński, ale był też major Wichna, naczelnik całej czwórki, i cała masa esbeków, z których wielu Szarzyński znał z widzenia lub nawet po nazwisku, jeszcze praktyki w rejonie.

Było też wielu nieznajomych.

Na środku stały cztery zsunięte razem stoliki, na których ustawiono szklanki niekieliszki, lecz duże szklanki, teraz zapocone do połowy, do poziomu zmrożonej wódki.

Tylko jedna była cała matowa od rosy, pełna po brzegi i Antek nie miał wątpliwości, ta właśnie była jego.

Dalej, podścianami, na stołach ułożono talerze z jarzyciem, wędliny, ogórki, polskie hamy, puszek, pieczywo, gdyby zobaczył to jakiś przechodzień, to po godzinie przed "Kryształową" zebrałby się tłum i wdarłby się do środka, szarpący myślą o świeżej szynce.

Koledzy!

zaczął major Wichna, unosząc szklankę.

Za podporucznika Antka Szarzyńskiego, nowy nabytek sekcji drugiej naszego Wydziału!

36

Wszyscy stłoczyli się przy zestawionych stolikach, podnosząc wódkę w zapoconym szkle. Antek, nieco zażenowany byciem w centrum uwagi, podniósł należną mu szklankę z meniskiem wypukłym.

Wódka była gęsta jak olej i kiedy przystawił szkło do "ust i pił długimi łykami, nie czuł nawet alkoholu, ściekała mu dogardła jak płynny lód.

Wychylił szklankę dokońca, inni wypili również, wałną pustym szkłem o blat i reszta zrobiła to samo, posypały się uderzenia o stół, jakby szalony perkusista walił w drewniany bęben.

Zaraz pojawiły się zmrożone butelki i zaczęto pospiesznie wypełniać naczynia.

Szarzyński, któremu wychylna raz ćwiartka wódki przelewała się właśnie w żołądku, miał nadzieję, że do drugiego toastu dostanie już normalną, nie powitalną porcję, ale zawiódł się, szklanka została wypełniona po brzegi, przyapla uziez gromadzonych.

Wichna uniósł szklankę po raz drugi:

Chwała nam i naszym kolegom!

Chuj precz!

odpowiedziała jednym głosem sala.

I jeszcze dla naszych radzieckich towarzyszy ciągnął Wichna.

Sława nam i naszym towarzyszom!

A chuj poszli na chuj!

odpowiedziało, śmiejąc się, parowieznajomych, zebranych przy jednym ze stolików.

Wszyscy ryknęli radośnie, wypili, Szarzyński też wypił i usiłował złapać oddech oraz uspokoić żołądek, który nagle skręcił się, zwinął i zapragnął pozbyć się przyjętego w ciągu minuty pół litra wódki.

Niestety, szklanki wypełniono po raz trzeci i major naczelnik wznosił trzeci toast:

Koledzy!

Po raz trzeci, tradycyjnie za naszych kolegów z centrali, pułkownika Pietruszkę, kapitana Piotrowskiego, porucznika Pękałę i porucznika Chmielewskiego!

Dla firmy uciszeli szczerkającego klechę, dla firmy siedzą w pierdłu, firma o nich nie zapomni i my pamiętamy!

Pamiętamy!

ryknęła sala, wypili znowu, Antkowi zmięk37.

ły nogi i gdyby nie przyjazne ręce kolegów, byłby upadł na ziemię, ale posadzono go przy stole, na honorowym miejscu, w prawą rękę ktoś wcisnął mu widelec z drżącym płatem galarety. Przełknął łapczywie, zagryzając usłużnie podanym chlebem.

Pili dalej, już spokojniej i bezzadnych obrządków, bez toastów, trochę gadali, chodzili od stolika do stolika, ale przedewszystkim pili.

Antek bardzo szybko stracił rachubę, próbował się jakoś wzbraniać, ale nie zdołał, ściany zachwiały się, szarpnęły i zakreśliły dookoła, resztę wieczoru kojarzył już jak przez mgłę, taksówkę, z której rzygał na ulicę, wychylony przez okno.

Drogi do domu nie pamiętał wcale, ocknął się dopiero w windzie.

Zorientował się, że odprowadza goniego trzeźwiej szyci kolegę, który od dłuższej chwili dopytuje się o piętro, więc w końcu powiedział, że dwudzieste czwarte i kolega, z którym zdołał się wcześniej zaprzyjaźnić na śmierć i życie, ale za nic nie pamiętał jego imienia, wcisnął przycisk.

Antek ucieszył się, kiedy zobaczył, że świeci się światło i winda wspina się mozolnie.

Kolega zabrał mu klucze i otworzył drzwi.

Szarzyński zwał się na łóżko, usłyszał jeszcze jak za poręczkami jakimiś tam zamykają się drzwi i uzmysłowił sobie, że zgodnie z resortową tradycją, jutro musi być w firmie o zwykłej godzinie i nie dać po sobie poznać kacza.

Taki fason.

Chciał jeszcze nastawić budzik, ale nie zdołał.

Zamknął oczy, poczym otworzył je zaraz i zobaczył nad sobą jasną twarz pięknej, młodej kobiety.

Wiedział, że to senno-alkoholowy zwiód, więc leżał spokojnie i patrzył.

Kobieta pochylała się nad nim, natwarz spadały jej niesforne, płowe loki.

Co chwila odgarniała ruchem, który był jej charakterystycznym nawykiem.

Zzakobiecej sylwetki usłyszał męski głos, ale nie rozpoznawał słów.

Wszystko zniknęło.

Rano budzik ryknął i tak, nastawiony na odpowiednią godzinę przez troskliwego opiekuna.

Antek otworzył oczy i pomyślał, że umrze, że nie darady, że to niemożliwe, ale zwał się z łóżka i opierając się o ściany, doszedł do łazienki, wyrzygał się do umywalki

1

walki i od razu poczuł się lepiej.

Zmył wymiociny, wypłukał usta i spróbował napić się wody z kranu, ale miała obrzydliwy, basenowy zapach chloru, poszedł więc do kuchni i w lodówce znalazł kefir i dużą butelkę coca-coli.

Wypił najpierw kefir, potem colę, wrócił do łazienki, wypełnił wannę gorącą wodą i po pół godzinie moczenia się uznał, że jest w stanie coś zjeść.

Dopiero teraz spojrzął przez okno i ucieszył się, że nie pada, bo przecież do pracy musiał się dostać autobusem i na piechotę.

Po godzinie siedział już w biurze, zupełnie świeży.

Chwilę później przyszli Klewka z Micińskim.

Przywitali się z sympatią, Szarzyński zrozumiał, że wczorajsze aroganckie zachowanie obu kolegów było rytualnym wstępem do inicjacyjnego ochlania.

Między uściskami dłoni i przechwałkami odnośnie ilości spożytej wczoraj wody,

Szarzyński dostrzegł jednak pewien chłód, ukryty, o wiele groźniejszy niż wczorajsza bezceremonialna arogancja.

Drzewiecki i paru szkoleniowców w Legionowie wyuczyli go najważniejszego najważniejszego jest to, co niewypowiedziane.

Śmiał się więc razem z Klewką i Micińskim, opowiadał coś o trzeciej szklance gorzały, jak źle weszła i wsłuchiwał się w to, co nieskładało się w zdania.

Miciński wyszedł, a Klewka powiedział konfidencjonalnie, nachylając się ku Antkowi i kładąc mu rękę na ramieniu:

No, Szarzyński, nikt tu nie ma wątpliwości, że naszej sekcji przybył dynamiczny, młody wywiadowca.

Widać po was, żeście już nowego chowu, bo też idą nowe czasy i nie trzeba nam już leśnych dziadków, co się po lasach ganiał z faszystami, trzeba nam takich jak wy, Szarzyński, nowoczesnych, obytych nie tylko w resorcie, ale i w świecie, takich, co nie mają na czole wypisane "ubek".

Przede wszystkim, profesjonalizm, a nie poprawność ideologiczna, bo co komu z tego, że jakiś porucznik czy kapitan pięć razy przeczytał całego Marksa i Lenina, jak nie potrafi porządnie założyć obserwacji?

Antek zrozumiał komunikat: "nie podskakuj, koguciku, bo jak
39.

będzie trzeba, to cię zgnoimy po linii ideologicznej.

Starym czekistomnie spodobały się twoje amerykańskie ciuchy" i zrozumiał też, że musi kolegom z sekcji wydać wojnę, jeśli nie chce przez następne dwadzieścia lat robić za ogon w cudzych kombinacjach.

Musi to być wojna możliwie niezauważalna, niechmyślą, że jest głupi i pozbawiony inicjatywy, tchórzliwy i nieorientowany w układzie sił w Wydziale i w ogóle w całym pionie Służby WUSW. Niech się zorientują, kiedy dostanie przyspieszony awans na kapitana i stanowisko kierownika sekcji.

Zrozumiał, że popełnił wczoraj błąd, już pierwszego dnia usiłując wykazać się przed szefem, dlatego teraz musi w dwójnasób maskować swoją rzeczywistą aktywność.

Skulił się na krześle, zgarbił jak księgowy prowincjonalnej spółdzielni mleczarskiej.

Wyobraził sobie, że jest szarym, nieważnym, nudnym człowiekiem i zajął się komponowaniem pisma do RUSW Gliwice, z zleceniem obserwacji, łącznie z użyciem środków technicznych, na księdza Szkordonia.

Pismo, które mógłby ukończyć w kwadrans, pisał dwie godziny, sklejał litery jakby wczoraj po raz pierwszy dostał elementarz, następnie zajął się studiowaniem skromnej teczki swojego pacjenta. Marszczył brwi nad każdą kartką, to unosił je, jakby wyczytał w papierach jakąś absolutną rewelację, jakby właśnie znalazł hakana Wojtyłę.

Naprawdę pracę przyjdzie czas potem, kiedy Miciński i Klewka pójdą do swoich żon i dzieci.

Nie żał mu było popołudnia, bo miał robić, siedzieć w mieszkaniu i gapić się w telewizor?

Łazić po mieście i podrywać panienki, dymać je na kanapie, a potem przez dwa tygodnie pracować nad nimi, żeby się odwaliły?

Niemiał przeciw hobby, nie jeździł na ryby, nie polował, nie chodził na mecze.

Czytał dużo, ale traktowało po prostu jak treningi udoskonalania narzędzia pracy.

Tak naprawdę więc, interesowało i fascynowało go jedno dzierganie.

Rozpracowanie, werbunek, kombinacja jest jak zawijanie szydełkiem nitki w misterne supelki, miarowo, rządkiem po rządkiem, aż zamknie się okrąg

40

i wyjdzie serwetka.

Być może reszta dzierganie wygląda zupełnie inaczej, nigdy przecież nietrzymał szydełka w ręku, ale już w szkole, kiedy uczyli się warsztatu pracy wywiadowcy i układali hipotetyczne plany kombinacji operacyjnych, to związanie pięciu wątków w jeden kojarzyło mu się ze wspomnieniem biduła, z jedną z opiekunek, której skupiony wzrok kontrolował precyzyjne ruchy zakrzywionego drucika i pod jej palcami nitka zamieniała się w czapkę dla niemowlęcia.

Do pisma dołączył adnotację, że sam weźmie udział w obserwacji, co damu możliwość kontroli nad pracą znajomych, niezbyt bystrych wywiadowców z RUSW.

Przesiedział za biurkiem cały dzień i pod koniec starał się sprawiać wrażenie, jakby dopiero teraz zaczęło doń docierać, jakie stają przed nim wyzwania.

Nie śmiało poprosił Micińskiego o pomoc w zrozumieniu instrukcji otrzymanej od szefa w sprawie Szkordonia i kapitan pomógł mu, wielkodusznym gestem starego rewolwerowca, pokazującego młodzikowi jak trzymać spłuwę.

W końcu obaj koledzy zaczęli zbierać się do domu, Szarzyński wyszedł razem z nimi, poczym pożegnał się przed wyjściem, tłumacząc, że jako kawalerobiada jada na stołówce w komendzie. Na stołówce posiedzieli dwa kwadransy, zjadł obiad o smaku mokrej, podgrzanej tektury, popił kompotem o nieokreślonej temperaturze, zbyt ciepłym zimnym napojem i zbyt chłodnym gorącym, po czym wrócił do biura i wziął się do prawdziwej roboty, szkicując plan rozpracowania Szkordonia.

Już po pierwszym dniu uznał takie postępowanie za rutynę i trzymał się jej przez następne dziesięć dni.

Różnicował jedynie miejsce, w którym naprawdę pracował, przyjmując, że rano w biurze udaje urzędnika, a wywiadowcą może być popołudniem, w biurze, w mieszkaniu lub w terenie.

Czasem zostawiał samochód pod blokiem, rano jechał do pracy autobusem, pototyłko, żeby cały dzień przesiedzieć na komendzie i wracać do siebie nocą, chociaż spacer zajmował prawie godzinę; a wahając się

41.

wcześniej między słońcem a deszczem aura podjęła wreszcie decyzję i przez cały czas lało, jakby Bóg miał już dosyć lat osiemdziesiątych i postanowił uraczyć je potopem.

Już gdzieś tam, w Kędzierzynie i Opolu, Odra wzbierała i podtapiała domy.

Antek bawił się myślą o potopie, nie miałby nic przeciwko wyginięciu całej ludzkości, kiedy ostałby się jeno jakiś jeden Noe, naprzykład rolnik spod Kolna albo z Chin, czy jakiś Indianin z Boliwii.

A całą resztę, Amerykę, Sowiec, Afrykę, Azję, Amerykę Południową i RPA, gdzie dręcą Murzynów, i Irak, walcząc z Iranem, pokryje morze.

Wyobrażał to sobie, brnąc przez tonące w mroku i deszczu miasto, w przemoczonych trampkach i mokrej, lepiałej się do pleców koszuli.

Lubił duszny smak nocnych Katowic, lubił mijać kurwy na Bankowej, pod uniwersytetem i na Stawowej, jeśli chociaż mu się nadłóżyc drogi, lubił ponurych alfonsów w zmokniętych, tureckich swetrach, którzy bezbłędnie rozpoznawali w nim nietykalnego, i lubił pijanych studentów, wracających z balang w akademikach, którzy prawie zawsze brali go za "swojego" i czasem pozdrawiali, myśląc z kimś podobnym.

Wybrał się raz do Gliwic, wspomóc chłopców z RUSW w obserwacji.

Skorzystał z gliwickiej szatni operacyjnej, było trochę smiechu, bo wbił się w staroświecki garnitur, dokleił szpakowatą brodę z wąsami i założył wielkie okulary o szklach grubych, leczyerowych, w udającej róg plastikowej oprawie.

Przejrzał się w lustrze i stwierdził, że przybyło mu dziesięć lat.

Wyglądał jak ubogi i inteligent, mógłby być muzykiem ciemny garnitur, broda i okulary tak mocno sugerowały szkołę muzyczną, że postanowił uzupełnić obraz i wyszukał w szatni futerał na skrzypce.

Z pudłem pod pachą i poszarpanym parasolem w ręce położył trochę za księdzem Szkordoniem, podczas kiedy ten załatwiał swoje codzienne sprawunki, potem poszedł do lokalu konspiracyjnego, z oknami wychodzącymi prosto na plebanie parafii Wszystkich Świętych.

Posiedział przed lornetką na statywie, przejrzał wy

wołane negatywy i raporty.

Był odrobinę rozczarowany, bo nietylko nie było żadnej podstawy do werbunku, ale nie miał nawet punktu zaczepienia, na który mógłby się oprzeć kombinację.

Było to tym bardziej irytujące, że dzień wcześniej otrzymał dwiema notatkami z rozmów z TWK o semi TW Łabędziem.

Oficerowie prowadzący wy pytali swoich współpracowników o Szkordonia, a le również na próżno. TW bardzo starali się powiedzieć coś interesującego o młodym kapłanie, ale niewyszli niestety poza nieużyteczny banał.

Łabędź, a może raczej sporządzający notatkę oficer, użył nawet przymiotnika "sfanatyzowany", co w resortowym slangu oznaczało mniej więcej tyle, że ksiądz Szkordoń jest mocno przekonany o słuszności obranej drogi życiowej.

Nie rokowało to najlepiej.

Szarzyński obawiał się porażki.

Pierwsze zlecenie, od razu przegrane, mogło, jak mu się wydawało, mocno obciążyć jego wizerunek w oczach szefa.

Z drugiej strony, im trudniejsza wydawała mu się sprawa księdza, tym mocniejsze emocje odczuwał namysł o tym, że właśnie tego twardego, przekonanego kapłana będzie werbował.

W czwartek przestało padać i nagle wrócił duszny upał.

Śląsk, namokły niczym gąbka, zaczął parować jak dzungla po monsunie.

Poprawa pogody była dodatkowym bodźcem, który skłonił Szarzyńskiego do zmiany taktyki.

Wieczorem telefonicznie zdjął obserwację, wsiadł w samochód i znowu pojechał do Gliwic.

Zaparkował pod kościołem i urządził mały teatrzyk.

W miejscu, w którym był dobrze widoczny z okien plebanii, stanął bliskocieżkich murów gotyckiej świątyni pod wezwaniem Wszystkich Świętych, zadarł głowę i zapatrzył się w strzeliste okna, na

chwile, a potem, jakby wiedziony zewnętrzną siłą, zamiast na plebanię, podszedł do drzwi kościoła, wstydliwie schowanych między żaluzjami wieży i nawy i nacisnął klamkę. Tu nikt już go nie widział, ale w każdej chwili mógł wejść. Reakcja powinna być kompletna, uklęknął więc na klęczniku, z którego płatanami obla43.

ziła brązowa farba.

Oparł czołoo splecione palce, zamknął oczy i powtórzył sobie poszczególne fazy dzisiejszej rozmowy.

W środe dostał profil psychologiczny Szkordonia, od miłej pani psychologz komendy.

Swoją drogą, można się zainteresować blondyneczką, niezłaz niej dupcia, aprzy tym może z niej być cenna znajomość pisemna opinia psychologa o funkcjonariuszu przydaje się w awansach.

Jednak romans raczej nie wchodził w grę, bo to byłyby dwa miesiące przychylności, a potem małżeństwo, albo, gdyby ją rzucił, zrobiłby sobie zdeklarowanego wroga.

Więc raczej flirt, bez konsumpcji.

Profil psychologiczny tylko potwierdzał to, co i tak już wiedział.

Jak ugryźć księdza, który nie ma kochanki, nie pije, nie marozbuchanych ambicji?

Swoją drogą, jeśli Kościół posiada jakąś grupę, pełniącą funkcję kontrwywiadu, kogoś, kto starałby się zrozumieć przejrzenie działania bezpieki, to kiedy analizują modus operandi resortu, zapewne tylko wzmacniają się w swojej wierze w diabły, grzechy i tym podobne.

Resortowy obyczaj każewszędzie tam, gdzie w użyciu, przynajmniej oficjalnie, nie są materiały kompromitujące ani pieniądze, stosować określenie o pozyskaniu na zasadzie patriotyzmu oraz lojalności względem PRL, ale Szarzyński wiedział że takie werbunki praktycznie się nie zdarzają nie wśród kleru.

Może kiedyś, trzydzieści, czterdzieści lat temu, w początkach PRL, jacyś durnie naprawdę wierzyli w komunizm i współpracę z SB postrzegali jako moralny obowiązek, chociaż wśród księży chyba nawet wtedy takich było niewiele.

Ale dzisiaj, w początkach piątej dekady Polski Ludowej, tam, gdzie do akt wpisywano motywację patriotyczną, chodziło czasem o kompromaty, których oficer prowadzący czyjego szefniemogli lub niechcieli ewidencjonować, albo o obiecane korzyści, których nie sposób było ująć w oficjalnych dokumentach.

Z tym jednak naprawdę trzeba było uważać, bo za machinacjez papierami łatwo można było wylecieć z resortu i do emerytury zwykłej, nieresortowej doczekać potem jako kadrowy

44

w spółdzielni tkackiej w Gnojniku Mniejszym.

Dlatego motywacja patriotyczna rzeczywistościanajczęściej oznaczała, że TW ani nie był szantażowany, ani nic nie dostawał, ale mimo to nie pracował z miłości do Jaruzelskiego, tylko po prostu realizował swoje interesy.

Profesor kapował na swoich kolegów profesorów nadzwyczajnych, żeby nie dostali belwederskiego. Doktor uwalniał habilitację kolegi.

Ksiądz kapował na drugiego księdza, że ten się kuma z Solidarnością i drugi ksiądz nie dostawał paszportu i niejechał nastudia do Rzymu, a na zwolnione miejsce kogoś trzeba było wybrać.

Antek wstał z klęczek, trochę zły, że pozwolił myślom odlecieć, miał przecież przemyśleć i powtórzyć plan rozmowy.

Tak czy inaczej, na pewno jest zbyt wcześnie na próbę werbunku, więc musi po prostu grać swoją rolę i zdobywać księzowskie zaufanie.

Wyszedł ze świątyni, przez cienkie podeszwy poczuł nierówny bruk nakościelnym dziedzińcu.

Między granitowym i kostkami coś błyszczało, schylił się i podniósł aluminiową złotówkę.

Na szczęście.

Przeszedł przez drogę i zadzwonił do drzwi plebanii.

Otworzył mu Szkordoń, Antek rozdziawił usta i zrobił efektowną pauzę, jakby szukał słów odpowiedniego przywitania, gdzieś między "dzień dobry" a "niech będzie pochwalony".

Wybrał kompromisowe "szczęść Boże" odwoływało się do Boga, lecz jednocześnie kojarzyło się z górniczym trudem, Barbórką i Orderem Budowniczych Polski Ludowej przypinanym do czarnego munduru, więc pasowało do szukającego Boga milicjanta, który nie dojrzał jeszcze do witania kapłana dobrym dla sfanatyzowanej babiny "pochwalonym".

Szczęść Boże odpowiedział ksiądz.

Niech pan wejdzie.

Wspięli się po schodach, pod krzyżowymi sklepieniami usiedli w pokoju wikarego.

Szkordoń był wyraźnie speszony, sądził, że od tego, jak podejdzie do sprawy, zależy przyszły kształt chrze45.

ścijańskiej formacji tego potencjalnego katechumena i przejmował się odpowiedzialnością. Uważa, że nie jest jeszcze gotowy natakie wyzwanie, ale przyjmuje je, z posłuszeństwa Bogu i proboszczowi pomyślał Antek.

W zasadzie znajdują się w podobnej sytuacji: obaj są młodymi adeptami w swojej organizacji, przed którymi postawiono trudne wyzwanie.

Różnica jest taka, że tylko jego, Szarzyńskiego, sytuacja jest rzeczywista, Szkordoń mierzy się z iluzją.

Opierając się na fałszywych przesłankach, niemożna zwyciężyć, dlatego przed nim stoi szansa na zwycięstwo lub porażkę, ale Szkordoń może tylko mniej lub bardziej przegrać.

Mniejszą porażkę poniesie, jeśli oprze się w bunkowi, niewygra, bo przecież nie zrobi z Antka katolika.

Porażką większą będzie współpraca.

Wikary zaczął, maskując zmieszanie wtrąceniami: "no więc", "tak, a zatem, no", . . . jeśli można tak powiedzieć, tak".

Mówił trochę o tym, że chrześcijaństwo jest wyzwaniem, ale jednocześnie sposobem na życie i najprostszą ścieżką do zbawienia.

Antek wiedział, że Szkordoń wierzy w to, co mówi, ale zastanawiał się, czy wygłasza te banalne uwagi z przekonaniem, iż są to informacje, które trzeba zakomunikować szukającemu chrzty, czy raczej klepał je z poczucia obowiązku, tak jak oni czasem musieli gdzieś rzucać parę rytualnych zaklęć o socjalistycznej Ojczyźnie, przewodniej roli partii, marksizmie-leninizmie i klasie robotniczej.

W końcu ksiądz wydeklamował, co goi zapytał:

Dlaczego chcesz zostać chrześcijaninem, panie Jacku?

Trzeba pamiętać, żeby nie wydać się mu zbyt inteligentnym pomyślał Szarzyński i odpowiedział:

Wie pan, jak człowiek sobie tak pomyśli, że jak umrze, to że potem nic nie ma, to takie go ciarki przechodzą, tak i strach.

Skoro więc tylu ludzi wierzy, że jest jakiś tam Bóg, to może na to jest jakaś szansa.

I tak sobie pomyślałem, że Boga nie ma, to mi wcale nie zaszkodzi, że będę w niego wierzył, bo potem umrę i nie będzie nic, a i w życiu będzie przyjemniej pomyśleć, że śmierć to

46

nie koniec.

A jeśli jest, to gdybym w niegonie wierzył, to po śmierci mógłbym mieć kłopoty, duże kłopoty, prawda?

No, panie Jacku, idzie pan drogą sławnego filozofa!

zaśmiał się ksiądz i Antek poczuł, że dobrze trafił z tym zakładem Pascala podanym jako własne przemyślenia.

Wikary zrozumiał, najakiej drodze Antek miał się znajdować, nagle odnalazł tym człowieka z innej planety, z milicji, coś, co było mu znane.

Poczuł się zapewne jak ktoś zagubiony w nieznanym okolicy, kto nagle, przypadkiem, wychodzi na ulicę, którą codziennie chodzi do pracy.

Zakład Pascala, jesteście w domu, to pierwszy stopień dowiary, potem nadejdzie taki czas, że będzie pan, panie Jacku, już wierzył nie tak warunkowo, na wszelki wypadek, tylko ta wiara stanie się autentycznie mocna.

Czy coś takiego.

Nierozumiem zdziwił się Antek, nieco zbyt przesadnie marszcząc brwi.

Chodzi mi o ksiądz uśmiechał się, że podobne rozumowanie kilkaset lat temu przeprowadził pewien filozof, Pascal.

To się nazywa nawet w filozofii zakładem Pascala.

Zakładem?

Tak, panie Jacku, zakładem, bo to jest jak zakład.

Porównuje pan konieczny wkład oraz możliwą wygraną, jak, nie wiem, na wyścigach konnych albo

w totalizatorze sportowym.

Decyduje pan, że warto postawić dwa złote na jakąś drużynę, bo jeśli ta drużyna przegra, to straci pan tylko dwa złote, a jeśli wygra, to zyska pan na przykład dwadzieścia.

Tutaj ocenia pan wkład i wygraną i decyduje pan, że warto założyć się, że Bóg istnieje, bokładając na szali konieczny wkład, którym jest chrześcijańskie życie, niewiele pan traci, jeśli Bóg nie ma, a może pan wygrać naprawdę wiele, życie wieczne.

Antek słuchał ze zmarszczonymi brwiami i w miarę jak Szkordoń dochodził do finału wywodu, Szarzyński dawał mu niewerbalne znaki, że tak, już rozumie!

Ksiądz wyraźnie cieszył się wdzięcznego ucznia i kontynuował:

47.

To jest, wie pan, taki jakby pierwszy krok do wiary.

Wierzy pan najpierw z rozumnej kalkulacji, bo wypada panu, że jednak warto, po prostu. A potem tawiarą zamieni się w autentyczną, już nie będzie pan zakładał, że Bóg jest, tylko będzie pan w Niego autentycznie wierzył i chciał żyć tak, by Jemu się podobać.

Podporucznik Szarzyński, zadowolony, że ksiądz Szkordoń działa przewidywalnie, przypomniał sobie, że budując legendę Jacka Bełskiego, nie może stworzyć obrazu człowieka, który tak się nagle przekonał do chrześcijaństwa, że lada dzień zamieni stalowy mundur na habit. Wówczas zamknąłby sobie na przyszłość drogę do ewentualnego pozyskania księdza, bo, prowadząc ją konsekwentnie, musiałby w końcu powiedzieć, że odchodzi z milicji, co oczywiście można by zaaranżować, ale jeśli legenda głosiłaby, że tak się stało, to nie mógłby już potem uzasadnić próśb o jakieś informacje, nawet jeśli się zaprzyjaźnią. Od faktycznego werbunku dzieliło go jeszcze bardzo wiele spotkań, ale Szarzyński już teraz musizacząc uwiarygodnić psychologicznie sam akt werbunku.

Rozumiem, o cksiędzu chodzi, rozumiem powiedział.

Ale zastanawiam się, proszę księdza, czy to tak będzie w moim przypadku.

Ja wiem, że ksiądz się ze mną pewnie zgadza, ale, jakby to powiedzieć, chociaż widzę różne słabości panującego systemu, chociaż jestem oburzony tym, że ludzie, powiedzmy, z mojej strony barykady, dopuszczają się czasem takich obrzydliwych zbrodni, jak zamordowanie księdza Popiełuszki, czy, no, cico strzelali do górników z "Wujka".

Towszystko obrzydliwe, ale, rozumie ksiądz, ja jestem patriotą, a innej Polski nie ma inie będzie, ja chcę być dobrym milicjantem, chcę służyć socjalistycznej ojczyźnie.

Chcę zostać chrześcijaninem, ale nie porzucę służby, otwarcie księdzu to od razu muszę powiedzieć.

Milicja jest potrzebna, ktoś musi przecież łapać bandytów.

Jeśli nie będzie chciało się ze mną ksiądz więcej spotykać, to zrozumieć zależę.

48

Szkordoń kiwał głową, z nieco zafrasowanym zrozumieniem, dopiero kiedy Antek powiedział ostatnie zdanie, gwałtownie zaprzeczył:

Nie, nie, proszę pana, spotykać się na pewno będziemy, czuję się trochę za pana odpowiedzialny, skoro to do mnie pan przyszedł.

Ja rozumiem, o co panu chodzi i wiem nawet, że to niechodzio to, że chciałby pan trzymać dwie ręce za ogon, ja rozumiem pańską motywację.

Wie pan, u nas, w Kościele, mówią, że nie można dwóm panom służyć, i coś w tym jest, ale pańska motywacja, patriotyczna chociaż, ja też panu otwarcie powiem, uważam ją za błędną, ale to już jakby chyba nie należy do moich kompetencji tutaj akurat ponieważ wynikałaby z postawy chrześcijańskiej.

Cóż, na pewno nie będzie to łatwe, a czasem zapewne będzie musiał pan wybierać w swoim sumieniu, między lojalnością obywatela PRL, milicjanta, a postawą chrześcijanina.

Myślę, że razem uda nam się wytworzyć w panu sumienie odpowiednio czułe na to wszystko.

Antek odpowiedział tym samym zafrasowanym zrozumieniem, którym na jego powiastkę zareagował ksiądz.

Zbudował taki sposób pewną symetrię, obaj wiemy, co nas dzieli, ale obaj chcemy też tę przepaść wspólnie pokonać, obaj będziemy nad tym pracować.

Widzi pan, ja miałem dzisiaj katechezę, tutaj w salce, z dziećmi pierwszokomunistycznymi ciągnął Szkordoń, sięgając po niewielką książeczkę.

I przeglądałem sobie ich katechizm, ostatnio dostaliśmy to w darach, w Paryżu wydane.

I tu jest, proszę pana, taka modlitwa, niech pan posłucha: "Ty, Panie, jesteś Twórcą wszelkiego porządku w duszy i w świecie.

Ty ze świętym gniewem czyniłeś porządek w Domu Twego Ojca.

Ty pochwaliłeś tych, którzy są zbrojeni w wiarę, męstwo i zawsze czuwają.

Dziękuję Ci za naszych milicjantów, którzy dla dobra obywateli podejmują odpowiedzialną pracę.

To oni mają bronić i pomagać starszym, uczyć tych, którzy są lekkomyślni.

Bądź im przykładem stanowczości i łagodności.

A ja będąc wszędzie bezpiecznym, będę się modlił za wszystkich, którzy czuwają nad Twoim porządkiem".

Nie wiem, czy to jest mądra modlitwa, dzisiaj, po stanie wojennym i tym wszystkim, ale coś w tym jest, prawda?

Szarzyński prawie wybuchnął śmiechem, chichot udało mu się tłumaczyć dopiero gdzieś na poziomie gardła, bo znał ten tekst dobrze, z wykładów z Legionowa.

Nie odpowiedział, pokiwał tylko głową, dalej w zamyśleniu.

Szkordoń następnie zaczął wypytywać Antka o orientację w sprawach religijnych, aby zorientować się, jak wiele podstawowej katechezy będzie potrzebne.

Szarzyński odpowiedział na to prezentacją wymyślonej już wcześniej legendy, z której wynikało, że wiedzy o katolicyzmie nie wyniósł domu, nabył ją sam, chaotyczną i wycinkową, często fałszywą.

Wynikając z tych niedostatków konieczność wysłuchania serii katechez zapewni

Szarzyńskiemu jeszcze wiele spotkań z księdzem Szkordoniem.

Opowiedział więc księdzu o rodzicach, przedwojennych pepeesowcach-ateistach (z jednej strony patriotyczne tradycje, marszałek Piłsudski

aż drugiej uwiarygodnienie braku chrztu), których był późnym, jedynym dzieckiem, a którzy poznali się w AK, walczyli o boje w powstaniu, a potem zaangażowali się w tworzenie nowej Polski, w odbudowę Warszawy.

Ułożył sobie tę legendę, wybierając wątki, stanowiące fundamentalny element peerelowskiej mitologii, a jednocześnie uniwersalne.

Nie wymyślił więc ojca-kabewiaka, walczącego w latach czterdziestych z bandami, bo taki ojciec nie zyskałby sympatii księdza ale odbudową Warszawy cieszył się każdy Polak, komunista czynie.

Opowiedział jeszcze o ojcu, który poradził mu, że ma iść do milicji, bo tam są potrzebni porządni ludzie, użył nawet słowa powołanie, po czym wytłumaczył się obowiązkami i po godzinie z okładem zostawił księdza Szkordonia z głową ciężką od myśli, jak podejść do przypadku tak nietypowego, tak nie mieszczącego się w prostej

50

typologii, do jakiej ksiądz wika przywykł: my ioni, Polacy-katolicy i komuniści.

Podporucznik Szarzyński wyszedł z plebanii zadowolony.

Postanowił przespacerować się na gliwicki rynek, lubił zasypiać w mieście.

Przyszło mudo głowę, że metafora z szydełkowaniem jest dobra.

Nitki się nie zmieniają, więc wystarczy je zasupłać odpowiednio, a one są dynamiczne, rozwijają się i związają przed zasupływaniem, w trakcie i po związaniu również nie pozostają niezmiennie.

Bliżej całej sprawie do szachów.

Najpierw rozkłada się bierki na szachownicy, w ich żargonie to sprawa operacyjnego sprawdzenia.

Uruchamia się kontakty operacyjne, tajnych współpracowników i środki techniczne, żeby zgromadzić jak najwięcej informacji o figurancie.

Potem następuje otwarcie, rutynowe ruchy z książki otwarć czyli sprawa operacyjnego sprawdzenia zmienia się w sprawę operacyjnego rozpracowania.

W sprawie księdza Szkordonia zastosował coś, co jest, powiedzmy, odpowiednikiem gambitu.

W gambicie poświęca się pionka, żeby zdobyć kontrolę nad czterema centralnymi polami, na których potem można oprzeć atak.

On poświęcił swoją tożsamość esbeka, co będzie potem pewnym problemem, przy dochodzeniu już do samej współpracy, na rzecz tożsamości nawróconego milicjanta, który nieco go osłabia, ale za to umożliwiła nawiązanie i podtrzymanie kontaktu z księdzem.

Bez niego nie byłby w stanie później przejść do ataku.

Samatak, czyli gra środkowa, jest bardzo zróżnicowana pod względem czasu i koniecznych środków. Może być prosty, jak partia sportowego szachisty z amatorem, który niedawno poznał, jak po planszy poruszają się figury i pionki, a może być długi i skomplikowany, niczym mecz dwóch arcymistrzów.

Kombinacje i gry operacyjne to bezpośrednie odpowiedniki kombinacji planszy, a potem przychodzi czas na realizowanie celu operacyjnego rozpracowania, czy będzie to przekazanie materiałów do prokuratury, celem aresztowania, czy werbunek i to jest koniec.

cówka, kiedy na szachownicy zostają dwa króle, jeden samotny albo w towarzystwie pionka najwyżej, drugi w obstawie z hetmana, wież i gońców, zapędzających bezbronnego przeciwnika któryś z rogów, gdzie dochodzi do tego, co nieuniknione i król w końcu schodzi z szachownicy, podpisując oświadczenie współpracy albo będąc wyprowadzonym w kajdankach.

Tak, todużolepsza metaforaniż szydełkowanie, ucieszył się tym spostrzeżeniem i był już na rynku.

Coś nietypowego zwróciło jego uwagę, okrążył więc dwukrotnie ratusz, zatrzymał się przed tablicą ogłoszeń Domu Plastyka i zajął się lekturą obwieszczeń i planów spotkań, przypiętych zardzewiałymi pinezkami do pilśniowej płyty.

Pochwili był już pewien i serce zaczęło mu bić radośnie: miał ogon.

Po raz pierwszy w życiu, na serio, nie na treningu na warszawskich ulicach, miał ogon.

Ktoś go śledził, niezbyt umiejętnie albo ostentacyjnie, żeby wiedział.

Po chwili uznał, że druga możliwość może wykluczyć, bo śledzący go człowiek zorientował się chyba, że został zauważony, i zniknął.

Antek studiował tablicę ogłoszeniową tak uważnie, jakby międzywierszami można było znaleźć numery nasobotniego totka, i analizował sytuację.

Śledzić go może ktoś od nich z firmy albo z obcego wywiadu.

Obie opcje są równie mało prawdopodobne, bo Antek znał zbyt mało, aby komuś chciał się z nim łączyć.

Mógłby to być jeszcze człowiek kurii, ale byłby to chyba pierwszy przypadek aktywnych działań kontrwywiadowczych podjętych przez Kościół.

No tak, jest jeszcze trzecia możliwość, poza firmą i obcym wywiadem mogą go śledzić rusczy udającej radziecką misję handlową delegatury KGB w Katowicach.

Albo z wojskowej rozwiędki, ruskiej albo polskiej, co do której w WUSW wiedzieli tylko, że na pewno w Katowicach jest, a lenie mieli pojęcia, gdzie i jak, bo też nikt z II Zarządu czyli z wywiadu wojskowego, z ruskim GRU powiązanego mocnymi więzami i wiedzą nie chciał się dzielić.

Zasadniczo KGB powinno to uzgodnić z drugim Wydziałem, ale ruscy i tak robią, co

52

chcą, według swoich własnych reguł, a jeśli to ktoś z wojskowych służb, to już w ogóle.

Nie wiedział, jak powinien zachować się w takim wypadku, odrębność SB od KGB była oczywiście wyłącznie organizacyjna, nie faktyczna, i Antek był tego doskonale świadomy.

Jeszcze z legionowskiej szkoły pamiętał, że jedną z słabości zachodnich wywiadów jest brak komunikacji między sojusznikami to, co wiedzą Francuzi, niekoniecznie wiedzą Amerykanie, na pewno natomiast nie wiedzą Anglicy.

Obóz imperialistyczny zjednoczony jest tylko nienawiścią wobec Związku Radzieckiego, oprócz tego każdy próbuje grać swoją grę.

W drużynie Antka wywiady również konkurowały, ale była to raczej konkurencja między wywiadem cywilnym a wojskowymi rozwiędzami.

GRU nie dzieliło się informacjami z KGB, a wywiady państw satelickich stanowiły proste emanacje dwóch sowieckich agencji-matek.

Antkowi, jako oficerowi resortu, bliżej było do radzieckich, czeskich albo węgierskich kolegów z resortowych służb niż do oficera polskiego wywiadu wojskowego, który z kolei odczuwał wspólnotę raczej wobec kolegów-żołnierzy z Armii Czerwonej i innych bratnich wojsk niż z psami z MSW.

Kimkolwiek byłby śledzący Antka ogon, czekistą czy imperialistą, to na pewno nie był amatorem, bo chociaż się zdemaskował, to zniknął zbyt profesjonalnie.

Antek odkleił się więc od tablicy i już wiedział, co robić.

Jeśli to ktoś z firmy lub rusek i właśnie gosprawdzają, to tym bardziej musio tym zameldować do centrali.

Jeśli sprawdzają go, bo mu nie ufają, to po prostu zachowaj się zgodnie z regulaminem.

Jeśli sprawdzają jego umiejętności, to właśnie zdał fragment egzaminu.

Wreszcie, jeśli to działalność wroga, to musi dostać z centrali potwierdzenie, czy ma się urywać, ciągnąć ogon w pułapkę, czy też zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Szybkim krokiem ruszył do samochodu.
Na swojej prywatnej fali miał demaskującą, potężną antenę radiotelefonu, w której w pewnym czasie nawet dziecko potrafiło odróżnić wóz
53.

esbeckiego tajniaka od zwykłego samochodu.

Technicy z gliwickiego RUSW zamontowali radiotelefon, wykorzystując zwykłą antenę radiową, z jakimiś tam wzmacniaczami, Antek nie wnikał w techniczną stronę zagadnienia.

Grunt, że w schowku narękawiczki miał radio, porządną, amerykańską motorolę, niekrajoweszał.

Wsiadł, zapalił silnik i zablokował drzwi, po czym otworzył schowek, uruchomił nadajnik, wszedł na częstotliwość dyżurnego z firmy.

Lubił te czerwone, elektroniczne cyfry na wyświetlaczu.

Tu 242, fabryka, zgłoś się, odbiór.

Tu fabryka, zgłaszam się, cześć 242, co jest, odbiór?

dyżurna z komendy zgłosiła się od razu.

Jestem pod Starą Bożnicą na gliniankach, siedzę w karetce, właśnie wróciłem na patyczkach z kwadratu, obciąłem się i jakiś sanitariusz, nie wiem, czy z naszego szpitala, czy z innego, robi mi trzysta, ale przepalił.

Powtarzam, jestem pacjentem, sanitariusz nieznanego pochodzenia przepalił przy trzystu.

Sanitariusz jest na patyczkach, karetkę nie widziałem.

Proszę o potwierdzenie, czy mam brykać, czy gasić przepały?

Odbiór.

Tu fabryka, zrozumiałam, jesteś pacjentem, nieznanego sanitariusz przepalił.

242, czekaj tam, gdzie jesteś i nie ruszaj się, zgłaszam się do ordynatora i proszę o instrukcje.

Zgłoszę się za pięć minut.

Bez odbioru.

Antek odwiesił gruszkę radiotelefonu i zamknął schowek.

Odwracając głowę, w lusterku zauważył światła samochodu i zaraz w tylnej szybie dostrzegł sylwetkę dużego fiata, który gwałtownie zahamował, blokując mu wyjazd z parkingu.

Rozważył szybko, czy skręcając maksymalnie koła, zdoła uderzyć w bagażnik samochodu przeciwnika na tyle mocno, żeby go przesunąć i wyjechać nawsteczny.

W drugą stronę szansę były mniejsze, bagażnik był lżejszy niż przód z silnikiem.

Po dwóch sekundach zdał sobie sprawę, że może się udać, zdążył nawet wrzucić wsteczny, ale z autawyskoczyło dwóch ludzi i zrozumiał, że wedrą się doń szybciej,

54

niż on zdąży uciec.

Zaczął gorączkowo rozpinąć kurtkę, aby dogrzebać się do schowanego pod pachą pistoletu, ale doszli szybciej.

Pożałował, że zmarnował cenne sekundy na rozważania, kiedy trzeba byłoby wyciągać broń albo deptać pedał gazu.

Miał już rękę na kolbie pistoletu, odpinał skórzaną szlufkę i zdawał sobie sprawę, że ręka z bronią nie zdąży przedrzeć się przez warstwę ubrań, a jemu niestarczy czasu, by przeładować.

Kiedy wyjmował pistolet, szyba odstrony kierowcy powinna prysnąć i, zależnie od zamiarów przeciwnika kula, głowica sprężynowej pałki albo czubek łomu powinny uderzyć w głowę podporucznika.

Zamiast tego, ktoś zapukał w szybę zgiętym palcem wskazującym.

Pukanie stłumiła skóra rękawiczki.

Antek wyciągnął do końca pistolet, przeładował, rękę z bronią ukrył między udami i w końcu, nie śmiało, lewą ręką, nacisnął przycisk.

Szybajechała w dół.

Schowaj splotę, Antek powiedział człowiek nazwewnątrz i Szarzyński rozpoznał głos Mirosława Drzewieckiego.

Otwórz drzwi, nie daj człowiekowi wchodzić nazwewnątrz dodał Drzewiecki.

Szarzyński zabezpieczył pistolet i wbrew regulaminowi schował do kabury broń z nabojem w komorze.

Rozładujego później, nie może przecież teraz bawić się splotą, nie rozpoznawszy jeszcze sytuacji.

Odblokował drzwi alfy, najpierw Drzewiecki wpakował się na tylne siedzenie, a na fotelu pasażera usiadł sam major Wichna, szef Czwartego Wydziału WUSW Katowice.

Zgłosiłeś obce trzystado fabryki?

zapytał dowódca.

Tak jest, obywatelu majorze odpowiedział Szarzyński prawie udało mu się opanować zaskoczenie.

Dobry jesteś, chłopie, dobry.

Dawajto radio.

Antek otworzył schowek, major wziął mikrofon i rzucił:

Tu 05 z karetki 242, fabryka, zgłoś się, odbiór.

Tufabryka, zgłaszam się, dobry wieczór, 05, odbiór odpowiedziała dyspozytor unizonym głosem, a Antek zastanowił się, czy dziewczyna zerwała się na bacność.

Z pewnym rozczarowaniem.

rowaniem zmuszony był wykluczyć drugą opcję ze swoich wcześniejszych rozważań, opcję ogona z obcego wywiadu.

Śledził go ktoś z firmy, za chwilę okaże się, czy był właśnie kontrolowany, czy raczej egzaminowany. Na razie siedział bez ruchu i bez słowa, słuchając, jak Wichna załatwi sprawę.

Fabryka, odwołać wszelkie działania po ostatnim komunikacie 242.

Czy ordynator został powiadomiony?

Odbiór rzekł tymczasem major, ignorując nakaz używania fosi w komunikacji radiowej.

Tu fabryka, 05, melduję posłusznie, że z ordynatorem jeszcze nie udało się nawiązać kontaktu.

Odbiór.

Dobrze, nie podejmować dalszych działań.

Czy zgłoszenie zostało już wpisane do zestawienia?

Odbiór.

Tu fabryka.

Melduję posłusznie, że jeszcze nie.

Odbiór.

Nie wpisywać, zgłoszenie 242 uznać za niebyłe.

Jutro rano zgłosić się do niedo biura.

Bez odbioru.

Szef czwórki odwiesił mikrofon, zamknął schowek i przepasał swoją obfitą tuszę pasem bezpieczeństwa.

Fajny maszten wózek.

Nieźle, jak na podporucznika świeżo po szkole, nieźle powiedział.

Ode mnie dostał, bo mi się tak wzrok popsuł, że nie mogę już sam autem jeździć wtrącił się Drzewiecki.

Silnik dwa litry, stopięćdziesiąt koni.

I układ tra.

nsa.xle.

Silnik z przodu, skrzynia razem z tylnym mostem z tyłu, napęd z tyłu, świetny rozkład masy dodał Antek.

No, sportowa bryka.

Fajnie mieć takiego wujka, z popsutymi oczami, nie?

odparł Wichna, odkręcając szybę.

Wystawił rękę nazewnątrz i zamachał.

Duży fiat odsunął się, odblokowując Antkowi drogę.

No, jedziemy, Antek, do mnie, do domu nakazał z tylnego siedzenia mentor.

Szarzyński, ciągle nie rozumiejąc relacji pomiędzy starym a 56

jorem Wichną, niepewnie spojrzął na dowódcę.

Ten odpowiedział zdziwionym spojrzeniem.

Człowieku, róbcie, co wam towarzyszy Drzewiecki każepowiedział major, przechodząc z poufałego tykania, na resortową liczbę mnogą.

Pojechali.

ROZDZIAŁ 2

Szarzyński prowadził samochód i milczał.

Wichna z Drzewieckim gwarzyli sobie w najlepsze, kłócąc się piłką nożną.

Wichna, jak każdy śląski milicjant i esbek, kibicował Zagłębiu, a Drzewiecki, co w resorcie niespotykane, Ruchowi.

Obaj, w nadzwyczajnie kulturalny, spokojny i zrównoważony sposób, udowodniali sobie nawzajem absolutną moralną, duchową, sportową!

każdą inną niższość drużyny przeciwnika.

Zachowywali jednocześnie niesymetryczną formę towarzyską, Drzewiecki tykał majora,

Wichna zwracał się doń wyłącznie per "towarzyszu pułkowniku", nawet wtedy, kiedy Drzewiecki tłumaczył:

Mój kochany, ja oczywiście resort kocham jak matkę rodzoną i siekaną wątróbkę, ale, nie ukrywajmy, Ruch Chorzów to jest to, co najprawdziwsze w sporcie.

Autentyczny, lokalny, tutejszy klub, rozumiesz powstania śląskie, sześćdziesiąt lat tradycji, autentyczne zaangażowanie.

I ja wiem, że Zagłębie to klub resortowy i właśnie dlatego się nim brzydzę bo to nieautentyczne.

Wichna oponował, gadał o autochtonach, ale cały czas uniżenie, "towarzyszu pułkowniku, ośmielał się nie zgadzać".

Szarzyński po raz pierwszy słyszał, że o wujku ktoś mówi per "pułkownik Drzewiecki".

Wymknął się centrum miasta, klucząc między kamieniczkami, minął kościół pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego, w fosie zakodowany jako bożnica z krzyżykiem na gliniankach i jechał w kierunku pętli tramwajowej.

Myślało swojej szachowej

metaforze.

Kiedy rozmawiał ze Szkordoniem, on grał w szachy, widząc przed sobą bierki swoje i przeciwnika, a Szkordoń grałw coś podobnego do niemieckiej Kriegspiel, w której przeciwnicygrają swoją partię, nie widząc bierek przeciwnika, koordynowaniprzez sędziego.

Na dodatek, pomyślał Antek, książdzybył jeszcze dotego przekonany, że przeciwnik gra w warcaby, nie w szachy.

Tymczasem okazało się, że on sam również poruszał się w jakiejś iluzji.

Najbardziej irytował go, że zupełnie nie rozpoznawał jej natury.

Wiedział jednak, że niecierpliwość jest cechą niegodną czekisty, nie zadawał więc żadnych pytań.

Na pętli skręcił w lewo, między wyrastające w ogródkach domki Starych Gliwic, po czym znów w lewo, w Wójtową Wieś, dzielnicę-park, w której między porośniętymi lipami alejami Niemcy wybudowali w latach trzydziestych długie, wijące się rzędy pięknych domów dla oficerów z gliwickiego garnizonu.

Zaparkował alfabę na podjeździe i wysiedli, gospodarz pobiedził się troszkę z trzema zamkami w drzwiach, o wiele cięższych niż by na to wskazywał ich zewnętrzny wygląd, w końcu otworzył i zaprosił gości do środka.

W domu Drzewieckiego Antek nigdy nie czuł się jak u siebie, nigdy też go do takiej intymności nie zaproszono, chociaż był tutaj już setki razy, tak jak zawsze więc zdjął buty w przedsionku, ułożył je równo, jeden obok drugiego i czekał, aż Drzewiecki zaprosi go do środka.

Ze zdziwieniem zauważył, że major Wichna zrobił dokładnie to samo, zdjął buty i czekał.

Drzewiecki starannie zamknął drzwi i gestem zaprosił na salony.

Szarzyński wszedł do pokoju i prześlizgnął się wzrokiem po szafach, przeszklonym kredensie, kanapie, ogromnym biurku o rzeźbionych nogach.

W salonie Drzewieckiego od piętnastu lat nic nie zmieniło się ani na jotę.

Piętnaście lat temu, w 1970 roku, przestraszony jedenastoletni Antoni Szarzyński siedział po raz pierwszy w tym fotelu, naprzeciwko miłego starszego pana, który okazał się tytułować wujkiem.

Pamiętał dokładnie tę wizytę, Drzewieckiego przedstawiła mu opiekunka z bidula; Antku, przywitaj się z panem, pan

60

cię zabierze na spacer.

Żaden pan, przerwał jej wtedy Drzewiecki, ja jestem wujek.

Pojechali wtedy samochodem do Gliwic, wujek miał czarnego Citroëna ds.

Ta przejażdżka pięknym, zachodnim samochodem zapewniła Antkowi wyjątkową pozycję wśród kolegów, którzy mieli na koncie wyłącznie jazdy warszawami i syrenkami.

W Gliwicach poszli na spacer do parku, była zima, a Drzewiecki miał sanki i dał Antkowi pojeździć z przykrytą śnieżną górki.

Potem wrócili do domu, Drzewiecki porozmawiał z Antkiem trochę o tym, co też może interesować takiego chłopca, sprezentował mu 20000 mil podwodnej żeglugi Verne'a i odwiózł do domu dziecka.

Od tamtego dnia przyjeżdżał regularnie raz na tydzień i zabierał Antka do siebie, aż Antek poszedł do liceum i sam zaczął odwiedzać wujka.

Jakoś wtedy właśnie, Drzewiecki opowiedział mu historię tego domu.

Mieszkał w nim niemiecki pułkownik, który w trzydziestym pierwszym przeszedł na emeryturę i do końca wojny siedział sobie w tym salonie, na tych fotelach i czytał "Yólkischer Beobachter", aż w styczniu 1945 Mirosław Drzewiecki, który wtedy nazywał się jeszcze Holzmann, zapukał do tych drzwi ręką wyciągniętą, wyrzucił pułkownika i jego rodzinę, dając im kwadrans na spakowanie. Tylko raz o tym rozmawiali i wujek Mirek powiedział mu wtedy, że celowo zachował wystrój salonu w nienaruszonym stanie, bo to jest jego łup wojenny, znak zwycięstwa, które on, żydek z Sosnowca, odniósł nad nazistami.

Za każdym razem, kiedy siadał w tym fotelu mówił wtedy myśli o tym wytwornym pułkowniku z "von" przed nazwiskiem, który wcześniej w tym fotelu siadywał, o tym wysokim i szczupłym potomku rodu liczącym pewnie tysiąc lat, którego z domu wyrzucił młody żydek z Sosnowca,

synkrawca.

Ten niemiecki szlachcic i oficer, wyrzucony na bruk z jedną walizką, był zemstą za wszystkich zamordowanych sosnowieckich Żydów, za zlikwidowane getto, za Oświęcim.

Niezabił go właśnie dlatego, żeby ten germański arystokrata pamiętał o winie, która ciążyła na jego narodzie, i o tym, kto trzyma

61.

nad jego narodem miecz Damoklesa.

Kiedy wychodzili, chwycił go za ramię i powiedział w łamanej niemczyźnie, Ich heisse Moses Holzmann.

Ich bin ein Jude von Sosnowiec, du yergisst mir nicht.

Niemiec opuścił głowę, podniósł walizkę i powlókł się zaswoją żoną w stronę dworca.

Zakończeniem tej historii był on sam, Mojżesz Holzmann, znany jako Mirosław Drzewiecki, który w fotelu aryjskiego pułkownika opowiada tę historię polskiemu chłopcu z bidula.

Podzielił się nią tylko jeden raz, nigdy też później Drzewiecki nie wspomniał, że jest Żydem.

Tymczasem cała trójka usiadła w ponemieckich fotelach, opiekun Antka wyciągnął butelkę zachodniego koniaku i trzy wielkie kieliszki; do każdego wlał drobinę rudego płynu, dwa postawił na przykrytym szybą stoliku, przed gośćmi, jeden uniósł do góry.

Panowie, wznieśmy toast.

Za zdany, najważniejszy egzamin Antka Szarzyńskiego!

Wichna uśmiechnął się i stuknął swoim szkłem o szkło Drzewieckiego.

Antek również uniósł kieliszek i wszystkie trzy spotkały się powietrzu, po czym szkło powędrowało do ust.

Szarzyński spodziewał się, że ubeckim obyczajem wychyła do dna, aleni, jedynie zamoczyli usta z rdzawym płynem, wytwornie zawinęli kieliszkami, aż koniak rozlał się po ściankach i zaczęli obaj wciągać w nozdrza aromat alkoholu.

On więc również zrobił tylko mały łyk, chociaż miał ochotę wychylić do dna.

Nodobra, chłopie, kawał z ciebie dobrego czekisty, widać od razu, trzymasz język na wodzy i nie zadajesz pytań.

Czas więc wyjaśnić to i owo.

Towarzyszu Drzewiecki, ty jesteś wychowanek, więc wy mówcie powiedział major, odkładając naczynia na stół.

Dobrze.

A zatem.

Antoni, ksiądz Szkordoń to był twój ostatni egzamin.

Ostatni jednocześnie pierwszy, który musiałeś zdać w warunkach polowych.

Ksiądz Szkordonia próbowano werbować dwukrotnie, z każdym razem odrzucał wszelkie

62

propozycje natychmiast, nie zgadzał się na utrzymanie w tajemnicy faktu rozmowy z funkcjonariuszami i zgłaszał fakt odbycia rozmowy swojemu biskupowi.

Następnie próbowano jeszcze trzy razy nawiązać z nim kontakt, nikomu się tonie udało.

Twój szef, kapitan Biedrych, wręczył ci teczkę ewidencji operacyjnej księdza, z której wcześniej wyjęliśmy wszystkie materiały dotyczące poprzednich prób werbunku.

A ty jesteś pierwszym funkcjonariuszem z czwórki, któremu udało się nawiązać z księdzem Szkordoniem dwukrotny kontakt.

Egzamin zdałeś lepiej, niż przewidywaliśmy, mało tego, zauważyłeś nasz ogon.

Fakt, facet przepalił, ale ty zachowałeś się nadzwyczaj profesjonalnie.

Dlatego właśnie mamy dla ciebie specjalny przydział, chłopcze.

Przygotowywałeś się doniego od dzieciństwa.

Antek milczał.

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że Drzewiecki delikatnie, acz stanowczo steruje jego życiem, ale po raz pierwszy zostało to powiedziane wprost.

Szukał w sobie jakiegoś cienia buntu wobec tej prawdy, wcześniej pozostającej tylko w oczywistym dopowiedzeniu, teraz wyłożonej na stół, ale nie znalazł.

Z pewnym zdziwieniem stwierdził, że wcale mu to nie przeszkadza.

Rzeczywiście, Drzewiecki w jakiś sposób wyłuskał go z bidula i wysterował na czekistę.

A więc tak pałeczkę przejął major Wichna na pewno słyszeliście o Grupie D, prawda?

Antek kiwnął głową.

No właśnie kontynuował szefczwórki.

To dowodzi, że po sprawie Popiełuszki niemożna już mówić o wewnętrznej konspiracji grup D w centrali ani sekcji czwartych w czwórce naszczęblu wojewódzkim.

A wewnętrznie zakonspirowana Struktura do zadań specjalnych w pracy służb jest bardziej niż potrzebna.

Dlatego z pomocą pułkownika Drzewieckiego, który, chociaż na emeryturze, zgodził się służyć nam swoją wiedzą i doświadczeniem, budujemy nową, zakonspirowaną Strukturę poziomą wewnątrz WUSW.

63.

Major kontynuował.

Struktura nie posiada swojej specjalnej nazwy, ze względu na wewnętrzną konspirację właśnie.

Tworzy ją siedmiu oficerów operacyjnych, oficjalnie pozostających na etatach w Wydziale Drugim, Trzecim i u nas, w czwórce.

Dowódcą Struktury jestem ja i podlegam bezpośrednio Centrali, z pominięciem całej drogisłużbowej.

Czwórką rzeczywistości dowodzi mój zastępca, major Pertek.

Mamy swoje własne zaplecze techniczne, archiwalne szyfranki, wydzielone w ramach odpowiednich Wydziałów.

Poziom konspiracją jest następujący: naczelnicy Wydziałów i kierownicy sekcji, czyli w waszym przypadku kapitan Biedrych, wiedzą tylko, że dany oficer, występujący jako ich podwładny, w rzeczywistości wypełnia inne zadania.

Dla kogo, na czyje polecenie i po co, nie wiedzą, nie powinni się dowiedzieć i starają się tym nie interesować.

Komendant wojewódzki wie, że Struktura istnieje i że jest pod bezpośrednią kontrolą centrali, oraz że nie powinien przeszkadzać w jej działalności; podobną wiedzę ma jeszcze pierwszy zastępca do spraw Służby, pułkownik Sikora, poza tym nikt więcej.

Zasada jest taka, że możemy swobodnie korzystać z zasobów archiwalnych, ludzkich i technicznych innych Wydziałów, zgłaszając zapotrzebowanie kanałem przez zastępcę komendanta wojewódzkiego.

Z naszych zasobów korzysta natomiast wyłącznie centrala.

Na wszystkich dokumentach podpisujemy się naszym oficjalnym stanowiskiem w danym Wydziale, celem dalszej konspiracji wewnętrznej.

W szczególności techniczne, jeśli będzie trzeba, wtajemniczycie kapitan Klewka, kolega z pokoju. Miciński jest również oficerem Struktury, pamiętaj jednak, że wewnątrz Struktury także panuje konspiracja.

O swoich sprawach rozmawiacie wyłącznie mną oraz z tymi, z którymi polecę ci porozmawiać. Oficer operacyjny, kolega ze Struktury, nie może poprosić o pomoc bezpośrednio, tylko za pośrednictwem wojewódzkiego koordynatora Struktury czyli mnie.

Czy to jasne?

64

Tak jest, obywatelu majorze odpowiedział po prostu Antek.

To ja ci teraz, chłopcze, pokrótce powiem, czym Struktura się zajmuje powiedział Drzewiecki.

To będzie wszystko, co powinienś wiedzieć o całości działań Struktury, więc słuchaj uważnie, bo więcej wyjaśnień nie będzie.

Jak wiesz, w Związku Radzieckim mamy ostatnio do czynienia z pierestrojką.

Gorbaczow nie urządza tej szopki z nagłą miłością do zachodniego, zgniłego liberalizmu, tylko z tego prostego powodu, że socjalizm o czym chyba wszyscy wiemy okazał się gospodarczo niewydolny. To chyba jasne, prawda?

Szarzyński tylko kiwnął głową, borczywiście nie można było mieć wątpliwości.

Major Wichna również nie zaprzeczył, a lena dźwięk słów Drzewieckiego skulił się w sobie, zamknął oczy nawet, na moment.

W resorcie tak się po prostu nie mówiło.

Wiedziało się, ale się nie mówiło, bo nie wypadało mówić.

Podobno obyczaj obowiązywał zapewne pomyślał Antek w watykańskich kuriach i dykasteriach, tam być może też mało kto wierzył jeszcze w Boga, a lena głos tego nie wypowiedano, bo takie deklaracje podkopywałyby najbardziej podstawowy fundament.

Oczywiście, w resorcie nikt wierzył w zalety socjalizmu, ale panowało pewne, jakby powiedzieli znajomi Antka z humanistycznych kierunków na Jagiellonce, decorum,

przestrzegane nawet w większości rozmów prywatnych.

Fakt, że Drzewiecki mówił to, co mówił, otwarcie i wprost, wobec dwóch ludzi resortu, określił nagle dopiero teraz, chociaż sami z Antkiem zawsze tak rozmawiali pozbawieni pozycję starego czekisty bardzo wysoko, dużo wyżej, niż mógłby sobie pozwolić emerytowany pułkownik, w dodatku Żyd, co przecież od dawna raczej obniżało pozycję w służbach, niż ją wzmacniało.

Zimnowojna kontynuował Drzewiecki w której ponieśliśmy już porażkę, może skończyć się jak wojna prusko-francuska 1870 roku, którą Francja przegrała, ale przecieźnie znik- 65

nęła z mapy, nie została inkorporowana do nowo stworzonego cesarstwa, ale może również skończyć się jak druga wojna światowa, po której Niemcy jako takie zniknęły, rozdzielone jako łup między zwycięzców i na zupełnie niesuwerennej zasadzie włączone w realizację ich polityki. Musimy przełknąć tę porażkę, nie tracąc podmiotowości.

U nas również musi dojść i dojdzie do czegoś w stylu pierestrojki.

Centrala musi dogadać się z Solidarnością, podzielić się władzą, przestawić gospodarkę z centralnego planowania na rynek, zachowując jednocześnie kontrolę nad całym procesem.

Co mądrzejsi opozycjoniści, a niewielu tam jest mądrych, od trzydziestu lat gadają już o finlandyzacji Polski.

Coś takiego więc się musi wydarzyć.

Niewykluczone, że przemiany pójdą nawet dalej, musimy liczyć się nawet z tym, że Związek Radziecki nie będzie w stanie przez jakiś czas utrzymać suwerenności nad naszym krajem i będziemy musieli radzić sobie sami.

Wichna skręcał się, jakby przypiekano go na żywym ogniu.

Wiedział, że stary ma rację, ale cały ten polityczny realizm słów Drzewieckiego był dlań psychicznie nieznośny, wywoływał poczucie dojmującego niepokoju i w końcu major nie wytrzymał i przerwał:

Towarzyszu pułkowniku, czy koniecznie musimy wtajemniczać podporucznika w zawilosci polityki zagranicznej?

Waldku drogi, Antoni to mój wychowanek, tak samo jak ty.

W moim domu możemy darować sobie rytualne zaklęcia, które oczywiście potrzebne są prostaczkom, ale zupełnie zbędne tutaj odpowiedział Drzewiecki i mówił dalej.

Wracając więc do sprawy, minister Kiszczak, działając w porozumieniu z generałem Jaruzelskim, uznali, że należy stworzyć narzędzie umożliwiające zachowanie kontroli nad procesem przemiany. Strukturą jest właśnie takim narzędziem.

Z czasem zostanie przystosowana również do nieuchronnie nadchodzących zmian w strukturze samych służb, poważniejszych niż przechrzczenie komend wojewódzkich na Wojewódzkie Urzędy Spraw Wewnętrznych, poważniejszych nawet niż

restrukturyzacja z roku 1956.

Ty, Antoni, zostałeś właśnie częścią tego narzędzia.

Centrala odwołała się do zaufanych ludzi w terenie, posiadających mocne zasoby kadrowe ja jestem jednym z takich ludzi.

Twój stosunek względem działań Struktury będzie odpowiadał stosunkowi frontowego żołnierza do działań sztabu.

Znasz już ogólny kierunek działań, tak jak żołnierz wiedział, że idzie na wschód albo na zachód, broni ojczyzny lub zdobywa przestrzeń życiową; będziesz znał też taktykę na swoim własnym odcinku nie poznasz natomiast, na razie, póki będziesz szeregowym żołnierzem Struktury, samej strategii.

Możesz zakładać, że to, co robisz, służy jakoś celom, dla których Struktura została powołana, a które znasz, nie będziesz wiedział natomiast, w jaki sposób się to odbywa.

Czy to jasne?

Tak jest odpowiedział Szarzyński, po raz drugi tego wieczora.

Pamiętajcie, podporucznik włączył się Wichna zewchodząc niniejszym do ścisłej elity służb.

Nie nabędziecie w związku z przynależnością do Struktury żadnych przywilejów, a odpowiedzialność spoczywać będzie na was ogromna.

Antek skinął głową, przyjmując to do wiadomości.

Charakterystyczne, że nikt nie postawił go przed wyborem, nie zapytał, czy chce, tylko Drzewiecki po prostu obwieścił mu, kim właśnie się stał i co będzie robił, jednocześnie okazując zaufanie, przez wtajemniczenie w informacje tak ścisłe, że znane zapewne tylko kilkunastu ludziom w kraju.

Znowu wsłuchał się w siebie, szukając oznak buntu.

Nie znalazł.

Dopili koniak.

Zostaniesz zaprzysiężony.

Ta przysięga nie ma nic wspólnego ze ślubowaniem, które składałeś, wstępując do resortu.

Tonasa przysięga to jest przysięgana serio powiedział Drzewiecki, wstając.

Wichna również podniósł się z fotela i przeszedł do saloniku znajdującej się obok jadalni.

67.

To, co zaraz zobaczysz, może wydać ci się śmieszne, ale czasem zrozumiesz, że śmieszne nie jest. Symbol, gest, mają swoje ontologiczne znaczenie, swoją bytową wagę powiedziałuroczyście stary czekista.

Wichna zrobił głupią minę, ponieważ ostatniego zdanie nie rozumiał ani słowa, ale Antek nie na darmo obracał się w środowisku inteligentnego Krakowa.

Twoja przysięga kontynuowała Drzewiecki zostanie zaprotokołowana w jednym tylko egzemplarzu, który pozostanie u mnie, w moim archiwum.

Aby była prawomocna, potrzebna jest obecność przynajmniej dwóch członków Struktury, z których jeden przysięgę przyjmuje, drugi zaś jest świadkiem i protokolantem.

Przyjmowałem przysięgę majora Wichny, teraz przyjmę twoją, major będzie protokołował. Towarzyszu maj orze, siadajcie.

Szarzyński był zaskoczony tonem Drzewieckiego.

Pierwszy raz słyszał, że ktoś może być aż tak formalny, pozostając jednocześnie całkowicie naserio. Przyzwyczał się, że w resorcie człowiek inteligentny porozumiewał się w dwóch trybach.

Tryb oficjalny niesłużył właściwemu porozumieniu, lecz tylko czynił zadość wymogom formalnym. Ktoś musiał wygłosić jakąś formułkę, ktoś musiał jej wysłuchać, więc wygłaszano

isłuchano, utrwalano ten fakt na jakimś papierze, bo wszystko, co ważne, musi być na papierze, ale słowa były jak znak krzyża niedbałego katolika, który idzie na mszę, bo tak wypada i żegna się, wchodząc do kościoła, bo tak wypada, ale jego myśli nawet niezahaczając Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Tak samo u nich, czasem, na szkoleniu politycznym czy innym, ktoś tam musi powiedzieć coś o socjalizmie, więc mówi, rzecz idzie na papier i wiadomo, że nikt się nie może dopieprzyć.

Zdarzają się, oczywiście, kretyni, którzy wierzą w to, co mówią.

Takich w służbie nie jest zbyt wielu i Szarzyński szybko połapał się, że w resorcie trzymają się tylko na wszelki wypadek, żeby dało się kogoś zrobić w wała, wystawić, rzucić lwu na pożarcie.

Tacy kretyni, owszem, formułki wygłaszają tak, jakby miały faktyczną moc.

68

Drzewiecki jednak nie był idiotą, i to, co mówił, nie miało tego komicznego, groteskowego wymiaru, jaki miały formułki resortowych kretynów.

Być może dlatego, że wiara Drzewieckiego w moc słów, które wygłaszał, nie wynikała z ignorancji, tylko przeciwnie, z wiedzy.

Mentor Antoniego otworzył szafkę, sięgnął do środka i młody podporucznik zauważył, że mebel zasłania wmurowany w ścianę, nieduży sejf.

Pułkownik kręcił gałką, wybierając cyfry, a każdy zgrzyt i szcęknięcie spadającej zapadki brzmiały jak obietnicę, co kryjesię w środku.

Po wprowadzeniu szyfru, z pewnym wysiłkiem pociągnął do siebie drzwiczki.

Antoni patrzył gospodarzowi przez ramię i dojrzał, że w oświetlonym żaróweczką, pojemnym wnętrzu półka jest szczelnie wypełniona szarymi teczkami, stojącymi obok siebie w równym szeregu.

Grzbiety teczek opisane były równym pismem, drukowanymi literami, zbyt małymi, aby Antek mógł je odczytać.

Na górnej półce leżały dwie kasetki, gruby zwitek banknotów, pewnie dolarów, obwiązany gumką, plik luźnych kartek i kilka sztuk broni krótkiej na specjalnym stojaku.

Drzewiecki wyjął kasetkę, jeden z pistoletów i papier.

Zamknął sejf.

Papier i kasetkę położył przed majorem Wichną, ten otworzył metalowe pudełko i wyjął zeń okrągłą pieczęć wraz z poduszczką z tuszem.

Na papierze widać było znak wodny, ale Szarzyński nie zdołał dojrzeć, co przedstawia.

Broń położył Drzewiecki również na stole, przed Antkiem.

Szarzyński nie rozpoznał typu, było dużym pistolet, czarno oksydowany, z grubym chwytem w brązowych, plastikowych okładkach, o wiele większy niż służbowy p-83, tkwiący w

operacyjnej kaburze pod pachą podporucznika.

Przy dźwigni na zamku widniały rosyjskie litery.

Położył dwa palce, jak do salutowania, na broni rozkazał Drzewiecki i powtarzaj za mną: Ja, Antoni Szarzyński, podporucznik w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Ja, Antoni Szarzyński, podporucznik w Ministerstwie

69.

Spraw Wewnętrznych.

powiedział Antek, dotykając opuszkami zimnego metalu.

W obecności majora Andrzeja Wichny, który przekazał mi wszystko, co powinienem wiedzieć o Strukturze, przysięgam wprowadzającemu mnie do Struktury pułkownikowi Mirosławowi Drzewieckiemu.

Powtórzył.

Że wypełnię każdy rozkaz, wydany mi przez wprowadzającego i przez tych, których wprowadzający przedstawi mi jako do tego upoważnionych.

Powtórzył.

Oraz że istnienie Struktury, jak również wszystkie informacje z nią związane, utrzymam w najściślejszej tajemnicy.

Jeślibym przyrzeczenie to złamał, zostanę zabity.

Powtórzył, bez chwili zawahania.

Miał dobrą pamięć, sytuacja sprzyjała temu i cała rota przysięgi natychmiast utrwaliła mi się w pamięci.

Drzewiecki milczał, Wichna wypisywał protokół, Antek w ciszy powtórzył w myśli słowa ślubowania.

Uderzyła go ich lakoniczna elegancja, był przekonany, że to Drzewiecki jest autorem roty, bo cechowała ją ta sama pozbawiona komizmu powaga, z jaką pułkownik mówił, od kiedy przeszli do jadalni.

Był to ten rodzaj powagi, którego nie trzeba łamać ironią i żartem.

Protokół gotowy powiedział major.

Dobrze.

Przyjętym obyczajem jest, że każdy nowo zaprzysiężony członek Struktury otrzymuje od swojego wprowadzającego broń.

Jest to zawsze broń czysta, nie figurująca w żadnej ewidencji, bez numerów seryjnych, więc w świetle prawa państwowego będzie to broń posiadana nielegalnie, lecz również jest to broń nie pozostawiająca śladów czytelnych dla milicyjnych techników.

Osobistą odpowiedzialnością członka Struktury jest to, aby broń, którą odebrał na przysiędze, nigdy nie zdekonspirować ani nie utracić.

70

Chwył pistolet za lufę i podał go Antkowi, rękojeścią doprzodu.

Wybrałem go dla ciebie już kilka lat temu.

Pochodził z transportu, który za naszym pośrednictwem radzieccy towarzysze wysyłali do Palestyny. To specjalna wersja automatycznego steczkina, wyprodukowana dla jednostek głębokiego zwiadu Armii Czerwonej.

Lufa jest specjalnie przedłużona i awiercana, tak że można zamontować na niej tłumik, który również dostaniesz.

Oprócz tego, jak każdy steczkina, mieści w magazynku dwadzieścia naboju dziewięć milimetrów, może strzelać serią i dorękojeści można zamocować kolbę, przydatną przy ogniu ciągłym.

Antek przyjął prezent, nawykowo sprawdził magazynek i komorę.

Był pusty.

Oby nigdy nie był ci potrzebny powiedział Drzewiecki, podszedł do swojego podopiecznego, zawahał się, ale popchnięty nagłym impulsem objął go i uściskał.

Szarzyński odwzajemnił uścisk i uświadomił sobie, że po raz pierwszy Drzewiecki pozwolił sobie na serdeczność wykraczającą poza uścisk dłoni.

Chłopcze, jesteś dla mnie jak syn.

Cieszę się, że dotarliśmy razem aż tutaj.

Witaj wyszeptał pułkownik.

Major Wichna, zażenowany, odwrócił wzrok.

Antek milczał, również nieco zażenowany, bo zrozumiał, że wzruszenie Drzewieckiego było

autentyczne.

On sam, o ile nie był wcale oburzony tym, że Drzewiecki sterował jego życiem, tonie czuł też żadnej wdzięczności, ani nawet tego radosnego podniecenia, które przychodziło doń kilkakrotnie kiedy w szkole wtajemniczano go w zasady działania resortu, kiedy, już w rejonie, pierwszy raz był sam na obserwacji czy nawet kiedy ostatni po raz pierwszy wszedł bocznymi drzwiami na komendę, po raz pierwszy do pracy.

Drzewiecki nie tylko był wzruszony, przejął się też całym nastrojem, jaki stworzył przysięganie z ręką na pistolecie, rota, brakowało tylko płonących świec i podpisywania cyrografu własną krwią.

Szarzyński pomyślał, że po raz pierwszy w życiu ma przewagę nad swoim mistrzem. Przewagę dystansu.

Przeszli z powrotem do salonu.

Drzewiecki nalał koniaku.

Wichna wychylił swój kieliszek, ciągle zażenowany, pożegnał się i wyszedł.

Antek zauważył, że Drzewiecki jest już trochę stawiony i poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, przede wszystkim z powodu coraz głębszego rozrzewnienia swojego mentora.

Po czwartej lampce trunku doszło do tego, że stary pułkownik klepał Antka po ramieniu i ze łzami w oczach zapewniał, że kocha go jak syna, że tak długo czekał na ten moment, potem zaczął mówić, że to on właśnie przejmie jego schedę, nie żaden z innych wychowanków, tylko on, Szarzyński.

Podporucznik poczuł się przez chwilę nawet trochę podle stary kochał go całym sercem, a on, niewdzięcznik, pozostaje zimny i wyrachowany.

Szybko jednak przywołał się do porządku, wcale się nie prosił o takie życie, pozwala Drzewieckiemu występować w roli Pigmaliona i to wystarczy.

Pożegnał się, Drzewiecki kiwał głową i biał durzył dalej, dochodząc do tego, że każdy ojciec musi kiedyś wypuścić dziecko spod swych skrzydeł.

Oświadczył również, że wyjeżdża do Ustki na urlop i Antek ma sobie radzić sam.

Dał mu jeszcze tłumik spięty w jedno z drucianą kolbą, cztery paczki amunicji i cztery zapasowe magazynki.

Antek zostawił go z powrotem pochylonego nad butelką koniaku.

Był bardzo ciekawy nowej broni i uznał, że w zasadzie może od razu pojechać ją wypróbować skoro i tak nie może zrobić tego na strzelnicy, to postrzelać do lasu lepiej jechać nocą. Schował więc pistolet pod siedzeniem walfie, uruchomił silnik i przywołał w pamięci topografię okolicy, zastanawiając się, gdzie najbliżej kompleks leśny.

Pojechał przez uśpioną Ostropę, skręcił w lewo, dojechał do Wilczego Gardła, o którym koledzy w liceum gadali, że było osadą, zbudowaną dla esesmanów pod koniec lat trzydziestych, przejechał przez Smolnicę

72

i w lesie oddzielającym gminy Sońnicowice i Pilchowice, zjechał w leśną dróżkę.

Zgasił światła, zapalił lampkę w kabinie, wyciągnął broń, pstryknął parę razy na sucho, wypróbował dźwignię.

Spodobał mu się steczek, wreszcie jakaś prawdziwa spułka.

Używane w milicji p-64 i p-83 były małutkimi pistolecikami wyłącznie do noszenia w kaburze.

Milicjanci od dawna już nie strzelali, nie było do kogo, od kiedy dwadzieścia lat temu złapano ostatniego reakcyjnego bandytę.

W wojsku pistolet był tylko symbolem rangi, dano więc im szczerze zapinane kabury, żeby broni przypadkiem nie zgubili i małutkie pistolety, sześć- i ośmiostrzałowe, bo po co komu więcej naboju?

Antek lubił broń i był mocno zawiedziony, że w Legionowie wyszkolenie strzeleckie było jednym z najmniej istotnych przedmiotów.

Pogodził się z tym, że podstawowym narzędziem pracy esbeka są jego "zdolności interpersonalne", jak fachowo nazywała je ucząca ich ponętna pani psycholog, czyli praca z TW, a zaraz potem aparat fotograficzny, podsłuch, magnetofon i lornetka.

Odliczając paru weteranów walk bandami z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, nie spotkał nikogo, kto użyłby broni na służbie.

Dopiero teraz sobie to uzmysłowił Drzewiecki dał mu ładniotę, czego mu brakowało.

Nagle miał swoją swoją, niesłużbową broń, nielegalną i tajną, prostoz K-GB, kawał gnata z tłumikiem, nie służbowy pistolecik pod pachą, załadowany pestkami, z których rozliczają go tak samo skrupulatnie, jak klawisz z byle pierdła.

Załadował magazynek do pełna, dokręcił tłumik, w wycięcie w rękojeści włożył kolbę i wyszedł z samochodu.

Po dwóch tygodniach ulewnych deszczy noc była jeszcze chłodna, chociaż sierpniowa, ale Antek był podniecony i nie czuł zimna.
Na tle bezchmurnego, stalowego nieba gałęzie i liście znaczyły czarne wzory.
Las był namokły jak stary fotel na wysypisku.
Czuł, że buty chłoną wodę, kiedy tylko postawił stopę na ściółce, ta ugięła się i zaraz podchodziła wilgocią.
Zawsze bał się nocnego lasu, atawistycznym lękiem, nawet teraz, po tym jak

w szkole nauczono go kontrolować emocje, traktować je jak katarczy biegunkę. Bał sięczarnych kolumn drzew, bał się odgłosów,ale terazlęk sprawiał mu frajdę, bo w rękę trzymał dwudziestozrzałowy pistolet i nie obraziłby się, gdyby pojawił się przed nimteraz jakiś potwór z dzieciństwa.

Przeładował i już miał pociągnąć za spust, ale nagle dotarłodoniego, jaktrudno będziemy potem znaleźć łuski.

Wrócił więc,odkręcił szybę w drzwiach od strony kierowcy, przyklęknął metod auta, przyłożyłkolbę doramienia, wycelował w pieńdrzewa.

Pistolet psyknął niczym wiatrówka, odrzutbył bardzo delikatny,lufa nawet nie podskoczyła.

Łuska wpadła przez otwarte okno.

Antekprzestawił bezpiecznik w pozycję do strzelania ogniem ciągłym i opróżnił magazynek w kilku krótkich, dziurawiąc spróchniały odziomek dwudziestoma pociskami.

Z ciężkim tłumikiemi kolbą stieczkin przy serii podrzucał lufę o wiele mniej,nizkałasznikow czypolski peem rak, z których Antek trochę postrzelał w szkole.

Miał ochotę na jeszcze, ale uznał, że byłoby tonierozsądne, schował więc broń pod siedzenie, wybierał łuski z samochodu i kiedy doliczył się dwudziestu, wyjechał z lasu iwróciłdo Gliwictą samądrogą.

Nowym Światem dojechał do Pszczyńskiej, zatankował do pełnana cepeenie ipojechał do Katowic,drogą E33,na Mikołów.

Na swoim osiedlu był odrugiej.

Zaparkował pod blokiem, z satysfakcją niegodną czekisty i tajniakapopatrzył z okna na klatce, jakjego czerwona alfa romeo pięknie błyszczy pomiędzy maluchami i trabantami.

W domu skopałznóg buty,kurtkę rzucił na krzesło, z półki z kasetami wideo wybrał Bonda z Rogerem Moorem, "Octopussy", włożył do magnetowidu i nacisnął "play".

Nie przeszkadzał mu źle zsynchronizowany, amatorski lektor, bo filmi tak znał napamięć.

Najfajniejszajest scena, w której Bond kradnie dokładnie taką samą alfę,jakajeździ Antek, gtv-6,sportowawersję alfetty-sedana.

Rzucił się nałóżko i zasnął, nim skończyła sięczołówka.

Śniła mu się ta samakobieta o płowych lokach, którą widział we śnie po powitalnym

74

pijaństwie, towarzyszył jej głos mężczyzny.

I gest, zakłada zauchoniesfornykosmyk.

Uśmiechała się.

Była piękna, ale to niebył erotyczny sen.

Obudził się jak zwykle, trzy minuty przed dzwonkiem budzika.

Wyłączył alarmi poczłapał do łazienki.

Posmarował przedwczorajszychleb serkiem topionym i przełknął kanapkę, mimo ściśniętego gardła, popił kawą i zapatrzył sięprzez chwilę na poranną panoramę Katowic.

Słońce świeciło jużmocno, ostrym i białym światłem, po Roździeńskiego kursowałyjeden za drugim czerwone autobusy, niczym ociężałe, monstrialne czerwie pożerały stada ludzików na przystankach, aby zawieźćich do fabryk, kopalń i hut.

Z wysokości ostatniego piętra wyraźnie widział gwieździsty plan osiedlowego pawilonu.

Otaczał gojeszcze płotz tabliczkami "teren budowy", maleńkie figurki robotników niemrawo krzątały się po błotnistym placu, rozjeżdżonym kołamicieżkichjelczów.

Uznał, że skoro czeka gogorący dzień, to ubierze sięlekko,założył dżinsy, trampki i obcisły podkoszulek, broń w kaburzeschował do teczki, razem z dokumentami i odznaką.

Zamknąłmieszkanie natrzy zamki, z całejsiły dociskając wzmocnionestalowąblachą drzwi do futryny, i dla porannej rozgrzewki zbiegłpo schodach.

Nagle zachciało musię palić.

Palił bardzo mało, chociażzaczął gdzieś podkoniec podstawówki, to do tej pory nie udałomu się uzależnić, bo papierosy smakowały mu tylko czasami.

Zawsze przy alkoholu, raczej w nocy i wieczorem.

Paczka wystarczała mu na tydzień, czasem na dwa, chociaż, jeśli wybrał się do knajpy, to wypalał idwadzieścipapierosów jednego wieczora.

Tylko kac był potem nieznośny.

Zdziwił się, że apetyt na nikotynę napadł go akurat rano.

Polskich nie palił, niesmakowały mu, miał trochę czasu, postanowił więc wybrać się do jedynego sklepu w Katowicach, gdzie można było kupić camele.

Z parkingu pod blokiem wyjechał w przeciwną stronę niż zwykle, na rondzie

zjechał w Armii Czerwonej, przejechał pod torami, koło kina Rialto, zaparkował na samym początku Kościuszki i wszedł doniepozornego sklepiku na rogu.

Przy ladzie tłoczyło się pięciu licealistów, liczących drobniaki, w nadziei, że starczy im na paczkę Marlboro.

Co chwilę pytali o cenę papierosów, sprzedawca odpowiadał cierpliwie.

Antek wziął z lady weekendowe wydanie "Dziennika Zachodniego" i czekając, aż chłopcy kupią swoją paczkę luksusu, przejrzał gazetę.

Zignorował artykuły o zbliżających się wyborach, o spotkaniach konsultacyjnych PRON, o wyteżonej pracy na polach i o wizycie młodzieży radzieckiej w województwie katowickim, przejrzał tekst o górniczych i energetycznych targach międzynarodowych Simmex 85 i pożałował chłopców z jedynki kontrwywiad będzie miał urwanie łba.

Katowickie KGB, skupione w sowieckiej misji handlowej, też napewno pracuje w trybie dwudziestoczterogodzinnym.

Z zainteresowaniem przeczytał, co tam pismaki wysmażyły o uroczystościach na Jasnej Górze i pomyślał, że warto by przekazać Drzewieckiemu, żeby Struktura również wypracowała sobie niezależne od czwórki kanały inspirowania pewnych faktów prasowych.

Czwórce szło to doskonale, nie wiedział, kto zajmuje się podsuwaniem tematów, danych i wniosków dziennikarzom z "Zachodniego", ale kimkolwiek byłby ten dzielny oficer, robił dobrą robotę.

Do "Samosądów" Jana Rema, czyli ministra Urbana, pewnie materiały dostarczali funkcjonariusze z centrali, swoją drogą zabawnie było czytać, jak Rem pisze w trzeciej osobie o rzeczniku rządu Jerzym Urbanie.

W sumie, polityce nie poświęcił więcej, niż dwóch minut, złożył gazetę i pośmiał się nad rysunkami Miklaszewskiego.

Uczniowie wyszli, przed sklepem natychmiast tworzyli paczkę czerwono-białą, a jednak wcale nie patriotyczną, w przeciwieństwie do klubowych czy carmenów, i poczuli się bliżej Ameryki.

Dzień dobry szanownemu panu odezwał się sprzedawca z uprzejmością przedwojennego subiekta, która nie przysta

76
wała ani do profesji, ani do wieku tego najwyżej trzydziestoletniego młodzieńca.

Dzień dobry.

Camele są?

zapytał Szarzyński.

Gdzieś są na pewno, gdzieś, gdzie panuje wyzysk człowieka przez człowieka i ludzie zamierzają naulicach.

Ale coż im tam po camelach w kiosku, skoro proletariat głoduje i nie tylko na papierosy, ale nawet na chleb go nie stać?

odpowiedział filozoficznie sprzedawca.

Szarzyński zaśmiał się szczerze z dowcipu i postanowił odpowiedzieć żartem.

Wyjął z teczki szmatę i pokazał ją sprzedawcy.

Podporucznik Jacek Bełski, Służba Bezpieczeństwa podał nazwisko operacyjne, bo i tak przekraczał uprawnienia, dekonspirując się z blahego powodu.

Spodziewał się, że sprzedawca natychmiast speka, ale ten odpowiedział po prostu:

Podporucznik rezerwy Ludowego Wojska Polskiego Krzysztof Pałęga, witam kolegę oficera, bardzo mi miło.

Mam obywatela aresztować na cztery osiem za kpiny z naszej socjalistycznej ojczyzny, czy jednak znajdą się te camele?

zapytał, czując, że powoli wzbiera w nim złość.

Widzi pan, jak się zaczął stan wojenny, to wypieprzył mnie z uniwersytetu, na dwa dni przed obroną doktoratu.

O Platonie napisałem.

Słyszał pan o Platonie?

Taki radziecki filozof.

Dostałem robotę tutaj, żeby czegoś żyć i na trzy miesiące przed ślubem zostawiła mnie dziewczyna, bo stwierdziła, że chciała wyjść za nauczyciela akademickiego, a nie za sprzedawcę w spożywczym. W zeszłym roku zmarła moja matka i to wyjątkowo nie jest wina, tylko rak płuc, bo kurzyła jak smok.

On mi grozi, że mnie pan zamknie w cztery-osiem?

odparł sprzedawca, zupełnie spokojnym tonem.

A zamykaj pan.

Przez chwilę milczeli obaj.

To daj pan marlboro, dwie paczki, i "Dziennik" skapitulował w końcu Szarzyński, dziwiąc się sam sobie.

Wziął papier⁷⁷.

rosy i gazetę, zapłacił i wyszedł.

Sprzedawca pożegnał goprzejmym "do widzenia panu podporucznikowi".

Pod komendą zaparkował w swoim zwykłym miejscu i pomaszerował do biura, ale jeszcze w korytarzu przechwycił go Klewka.

Przez cały tydzień miał doskonały humor, bo niedość, że Zagłębie w ostatniej kolejce wygrało zero do trzech w Lublinie, to jeszcze nie widzony przez Klewkę Ruch przegrał ze Stalą Mielec.

Dziś jednak był zupełnie poważny. Szarzyński przypuszczał, że raczej nie z powodu nadchodzących z weekendem meczy.

Klewka nic nie powiedział, zaciągnął Antka do windy, wcisnął przycisk z trójką, jednak kiedy tylko minęli pierwsze, nacisnął przycisk "stop".

Witam kolegę w strukturze, powiedział kapitan.

A myślałem, że kogoś pojebało i dał nam do pokoju miedziaka, uczącego się fachu.

Ja też tak myślałem, zgodnie przyznał Szarzyński.

Zostałem upoważniony do przekazania pierwszego zadania, przez towarzysza pułkownika De.

Potwierdzenie, podporuczniku, upoważnienie?

zapytał służbowo, mieszając oficjalną, bolszewicką liczbę mnogą z nieformalnym "ty", bo tykał się, od kiedy Antek zadeklarował się jako kibic Zagłębia.

Tak jest, odpowiedział Szarzyński, przypominając sobie, że Drzewiecki wczoraj coś o Klewce w tym kontekście wspominał.

Zajmiecie się werbunkiem księdza Jana Zielarza, osobistego sekretarza naszego nowego biskupa Grzonki.

Grzonka już dorobił się sekretarza?

No, biskup Bednorz dopiero co przeszedł na emeryturę, ingres Grzonki był bodaj miesiąc temu, przerwał kapitanowi Antek.

Klewka spojrzał na młodszego kolegę z pogardliwą irytacją.

Szarzyński, zdziwienie względem rzeczywistości zostawcie sobie na kiedy indziej.

Teraz słuchajcie rozkazu.

Teczka ewidencji operacyjnej księdza Zielarza dostaniecie od kierownika sekcji drugiej, jest dość kompletna.

Skopiujcie sobie to, co tam

78

macie i oddajcie mu zaraz.

Do oficjalnej, sekcyjnej teczki ewidencji operacyjnej nie trafiają żadne dalsze materiały, które będą wynikiem waszej pracy.

Teczki oddajecie w takim stanie, w jakim ją dostaliście.

Skopiowane materiały, wraz z materiałami pozyskanymi, idą do nowej teczki, którą trzymacie wy. Nadajcie teczce nową sygnaturę oraz oznaczcie ją jako należąca do gry operacyjnej kryptonim "Sułtan".

Obwoluta jest normalna, TEOK z resortowego przydziału.

Dostaniecie w sekretariacie.

Szarzyński skinął.

Klewka pociągnął nosem, z kieszeni spodni wyciągnął obrzydliwą chustkę do nosa, ale miał ją tylko w ręce i gadał dalej:

Sens gry operacyjnej "Sułtan" jest tajny i nie pozostaje w zakresie waszego zainteresowania, macie się zająć waszą działką.

Po werbunku będziecie prowadzić Zielarza według naszych wskazań.

Jeśli werbunek Zielarza okaże się trudny, wymagał będzie przeprowadzenia pomocniczej kombinacji operacyjnej, tonadacie jej kryptonim "Sułtan", rozszerzony o człon uzupełniający.

Wszystkie dokumenty związane z "Sułtanem" wykonujecie w dwóch kopiach, jedną zachowujecie w swoich aktach, drugą przekazujecie maszynistce Alicji Kazmierczak, z sekretariatu czwórki.

Maszynistka Kazimierczak, która pracę w sekretariacie zaczęła wczoraj, ma niejawną stopień sierżanta i pracując w sekretariacie czwórki, będzie wręcz wiściwie pracować wyłącznie na rzecz Struktury, prowadząc jednocześnie przedsięwzięcia analityczne.

Odpowiada bezpośrednio przed obywatelami pułkownikami De, nie posiada uprawnień do przekazywania zleceń.

A przy tym to bardzo fajna dupa jest, podporuczniku.

Zrozumiano?

Klewka wyrzucił z siebie informacje bez pauz, bez powtórzeń, jak informatyk wprowadzający do komputera dane na kartach perforowanych.

Słusznie zakładał, że Szarzyńska ma natylnie wyćwiczoną umiejętność koncentracji, że nie trzeba mu powtarzać.

Zanim dotarł do zdania o cielesnych walorach pani Kazimierczak, irytacja już minęła.

Zrozumiano.

Szpeciallynie ostatnia informacja wydaje mi się ciekawa uśmiechnął się Antek, zadowolony, że Klewka odpuścił.

No, naprawdę fajna jest, poważnie powiedział Klewka tonem już zupełnie osobistym, uruchamiając windę.

Szarzyńskiego korbowało, aby zapytać o "Sultana".

Zamiast tego, powiedział po prostu:

A może byśmy na wódeczkę skoczyli po robocie dzisiaj, "Pod prasę"?

Klewce zaśmiały się oczy.

A stawiacie?

zapytał.

Stawiam odparł Antek, bo i tak nie miał co robić z pieniędzmi.

No to oczwartej, "Pod prasą".

Winda znowu szarpnęła, stając na trzecim piętrze.

Wyszli, Klewka klepnął Szarzyńskiego w ramię i pomaszzerował załatwić coś trójce, a Antek, nie spiesząc się, poszedł do siebie.

Micińskiego nie było, więc rozparł się na krzesło, wywalił nogi na biurko, założył ręce na kark i zaczął myśleć.

Umawiając się z Klewką na wódkę, zrobił pierwszy krok.

Gdyby czuł moralną powinność wobec Drzewieckiego, to przyjąłby bezsprzeciwu fakt, że pułkownik reglamentuje udzielanemu informacje.

Nie była to przecież kwestia zaufania cywilnego przekonania, że zaufanie opiera się na otwartości i szczerości, pozbył się na samym początku swojej kariery w resorcie.

Odmawiając komuś informacji, nie okazujemy braku zaufania, tylko przestrzegamy reżimu tajności, koniecznego w każdej poważnej pracowni.

Kiedy tylko Klewka wymówił te cztery słowa, "graoperacyjna kryptonim 'Sultan'", Szarzyński postanowił, że dowie się, czym "Sultan" jest.

I nie był to emocjonalny gest obrażonej dziewczyny, która otwiera nad parą list siostry, bo ta nie dopuściła młodszej do sekretu.

Drzewiecki wyrzeźbił życie Antka, jak chciał i Szarzyński uznał, że jego podatność to wystarczająca

80

zapłata za wyciągnięcie z bidulowej rzeczywistości.

"Wdzięczność" nie była odruchem serca czy sumienia, lecz pojęciem, konceptem, należącym do tego samego zbioru, co na przykład "demokracja", "sprawiedliwość społeczna" i "równouprawnienie kobiet".

Nikt nie ma demokratycznych odruchów, jeśli przestrzegasz demokracji, to dlatego, że uznaje się za potrzebny lub właściwy; podobnie Antek uznawał "wdzięczność" za wzorzec postępowania, którego należy się zasadniczo trzymać, celem zapewnienia spójności tkanki społecznej.

I dlatego właśnie, kiedy uznał, że społecznej potrzebie wdzięczności względem

Drzewieckiego uczynił zadość swoim brakiem sprzeciwu, to decyzjąo aktywnym poszerzaniem spektrum własnej wiedzy była konieczna, bo w resorcie wiedza jest wszystkim.

Im więcej wiesz, tym wyżej jesteś, niezależnie od stopnia służbowego i stanowiska.

Miał minimalną, taktyczną przewagę, o której dowiedział się wczoraj Drzewiecki był zaangażowany emocjonalnie, on nie.

Taktykę obmyślił, kiedy odkrył, że miłość Klewki do Zagłębia Sosnowiec jest autentyczna.

Klewka pochodził z Zagłębia, jak większość katowickich esbeków w całym WUSW nie było chyba ani jednego autochtona, jeśli nie liczyć cieciów, palaczy i sprzątaczek, w resorcie ufano Ślązakom, a Zagłębie, czerwone i robotnicze, było w tej sytuacji naturalnym rezerwuarem kadry śląskiej esbecji, zapewniając jej funkcjonariuszy z jednej strony dobrze orientujących się w lokalnych realiach, a z drugiej strony lojalnych.

Zagłębiacy nienawidzili autochtonów, bo Ślązacy przybyszami z "altrajchu" gardzili, pogardą bardzo

bolesną.

Niewyleczyła Ślązaków z tej pogardy nawet bezwzględna dominacja przybyszy z Zagłębia na wszystkich stanowiskach kierowniczych w przemyśle i w kopalniach.

Klewką swoją nienawiść do "folksdojczów", jak mówił o Ślązakach, realizowała na dwóch płaszczyznach.

Pierwszą była praca operacyjna, bo zasadnicza część klerudzieczi katowickiej rekrutowała się właśnie z autochtonów -'

Kościół również uprawiał etniczną politykę personalną, polegającą tradycyjnie pobożnych Ślązakach.

Z krótkich rozmów Szarzyński zdołał się przekonać, że kiedy kapitan montował kombinację operacyjną przeciwko jakiemuś księdzu o nazwisku Szyndzielorz, Gorgoń albo Pikulik, to uważał, że walczy z nazistami.

Kiedy udało mu się doprowadzić do aresztowania jednego księdza-Ślązaka za przekręty z materiałami budowlanymi, to czuł się niemal jak Żukow, przeprowadzający ostatnie natarcie na Berlin.

Drugą płaszczyzną realizacji tej nienawiści była piłkarska.

Klewka kochał Zagłębie Sosnowiec miłością autentyczną, jak autentyczna była jego niechęć do Ruchu Chorzów, o którym niewyraźnie się inaczej niż "faszyści z Königshutte".

Kiedy Szarzyński odkrył więc, że futbol Klewki w pełni wypełnia to, co zostaje mu życia po odjęciu służby w resorcie i koniecznego minimum poświęcanego rodzinie, to postanowił, że to najprostszy sposób, aby dotrzeć do kapitana.

Teraz, kiedy okazało się, że dzieli z Klewką nie tylko pokój, ale także przynależność do Struktury, deklarację moralnego przywiązania do Zagłębia, delikatnie sygnalizowaną tygodnia, będą bardzo przydatne.

Kiedyś, w bidulu jeszcze, Antek "interesował się piłką" jak każdy chłopak.

Chłopcy z domu dzielili się na dwie grupy;

jedną, mniejszą, kibicowała drugoligowemu Piastowi Gliwice, drugą zaś Górnikowi Zabrzeż. Antek należał do grupy kibicującej silniejszemu klubowi.

Emocjonował się, kiedy Polacy grali w mistrzostwach, cieszył się, kiedy Górnik wygrywał ligi i puchary, ale już w liceum piłka zeszła na dalszy plan, a kiedy przeniósł się do Krakowa, zapomniał o futbolu zupełnie.

Nie obchodziły go te stada idiotów, ganiających za kawałkiem flaka, kiedy studiował w resortowej szkole, nie obchodziły go i teraz, bo jak mógłby się podniecać czymś, co jest tylko konwencją, z którą nadto stoi potężny mechanizm gry interesów.

Uznał jednak, że inaczej do Klewki nie dotrze, więc zaczął nawet kupować sobie "Sport".

Zazgrzytał klucz w zamku, Antek natychmiast zdjął nogi z blaty

tu i zgiął się zabiurkiem w pozycji pracownika, aby zaraz zorientować, że na blacie nic nie leży.

Zanim drzwi się otworzyły, zdołał wyjąć służbowy notatnik i pstryknąć długopisem.

Do pokoju wszedł Miciński, przywitał się zdawkowo, a Szarzyński poczuł się głupio, bo co to zaciekista, który wstydy się myślenia?

Przywitał się z Micińskim, zamknął notes i poszedł do pokoju Biedrycha, kierownika sekcji. Nie bardzo wiedział, jak sprawa zakonspirowania Struktury została pogodzona z tym, że oficjalnie polecenia powinien przyjmować od Biedrycha, na piśmie, a nie od Klewki, w windzie zatrzymanej między piętrami.

Zapukał.

Wszedł!

szczęknął Biedrych.

Panie kapitanie, melduję, że zaczął Antek nieśmiało, wchodząc do gabinetu.

A, Szarzyński!

Siadajcie!

Zadanie dla was mam przerwał kierownik.

Na biurku Biedrycha leżała teczka ewidencji operacyjnej na księdza, Antek od razu rozpoznał charakterystyczną, brudnoróżową obwolutę.

Zajmiecie się tym.

Wiecie, co robić, prawda?

Biedrych przesunął TEOK w stronę podporucznika.

Na obwolucie, pod sygnaturą, widniało nazwisko, "Zielarz Jan".

Tak jest.

Zaraz odniosę teczkę z powrotem potwierdził Szarzyński, zadowolony, że sytuację wyjaśniła. Jak mógł zakładać, że twórcy Struktury nie przemyśleli podstawowego elementu wewnętrznej konspiracji?

Od Biedrycha poszedł prosto do sekretariatu Wydziału Czwartego.

Zgodnie ze zwyczajem, wszedł bez pukania.

Szefem sekretariatu był starszy sierżant sztabowy Wiesław Ceglarek, w randze inspektora.

Stara pierdoła, "leśny dziadek", weteran AL i walk z bandami, wtedy jeszcze w mundurze KBW i milicji, bo do UB był zbyt głupi.

Kiedy z resortu wywalono żydków i żydóweczki, to kogoś trzeba było wziąć na ich miejsce i w 1970 Ceglarek się załapał.

Stopnia oficerskiego mu nie dali, bo biedaczyna z trudem

83.

skończył cztery klasy, ale coś ze starym moczarowcem trzeba było zrobić, bo z góry przyszedł przykaz budowania esprit d'corps na podstawie bojowych tradycji resortu, partyzanckich i powojennych, i tak Ceglarek został w sekretariacie, w najwyższym stopniu podoficerskim, jaki można było dać pospolitemu idiocie.

Antkowi wszystko opowiedzieli koledzy napierwszej powitalnej popijawie w "Kryształowej", naktórá Ceglarka nie zaproszono, chociaż na co dzień byłam stałym bywalcem bowłaśnie szlajaniem się po knajpach głównie zajmował się posłúžbie.

Był niezwykle dumny ze swojej legitymacji i spluwy.

Broni, jako szef sekretariatu, w ogóle nie potrzebował, i naczelnik czwórki odrzucił jego podanie o przydział, ale wtedy sierżant Ceglarek uderzył do starych towarzyszy z lasu i podobno z samej centrali przyszło zalecenie, żeby zewzględu na zasługi towarzyszowi Ceglarkowi przyznać broń słuźbową. Od tego czasu Ceglarek po drugiej ćwiartce w knajpie wywałá na stół legitymację broń, zastygá na chwilę, uniesiony swoją wielkością, po czym ryczał na kelnerów, że wszystkich zaraz arestuje i nie przestawał ryczeć, póki nie schłáł się w trupa albo póki jakaś kurwanie zamknęła mu ust swoimi wymalowanymi radziecką szminką pocałunkami.

Oficerowie operacyjni, przestrzegający zasad konspiracji, nienawidzili Ceglarka szczerze, bo przynosił wstydczówrcę nie tylko w szeregach oficerów pionu SB, ale w ogóle cała komenda wojewódzka, łącznie z krawężnikami zmilicji, śmiała się z "Cegły".

Któregoś dnia postanowiono więc, że Zdzisio zostanie wrobiony i ktoś, kto do dziś pozostaje anonimowym bohaterem w każdym razie, oficer czwórki, podprowadził pistolet uchlaniemu w sztok Ceglarkowi.

Rano Ceglarek ryczał o spisku sił reakcyjnych, bredził o bojownikach WiN, którzy napadli go w zaułku i mówili poniemiecku, potem gładko przeszedł do amerykańskich spadochroniarzy, których jakoby zrzuciono niedawno nad lasem koło Murcek, i cały Wydział cieszył się, że za utratę broni Ceglarek poleci.

Naczelnik Wydziału wszczął postę84

powanie dyscyplinarne, a po trzech dniach z centrali przyszło krótkie zalecenie broń skreślić z ewidencji, towarzyszowi Ceglarkowi wydać nową.

Wszyscy zamarli w przerażeniu, że Ceglarek poruszy swoje plecy w ministerstwie i posypią się głowy, ale sierżant był zbyt głupi i nigdy nie domyślił się, że gnata podprowadzili mu koledzy z resortu.

Prawdopodobnie wierzył w akcję reakcyjnych sił.

Od tego czasu nikt nie ośmielił się go tknąć, ale "Cegła" uspokoił się nieco, bo chyba prywatnym kanałem z centrali uświadomiono mu, że również protekcja i nepotyzm mają swoje granice.

Zbyt głupi był, żeby dobrze zorganizować pracę i obieg dokumentów w tak ważnym Wydziale, uzupełniono go więc inteligentną sekretarką-maszynistką, starą panną Anielą Kupalą, z zawodu rusycystką, ale tak odstępcząco złośliwą, że nie zagrzała mięjskaw żadnej szkole.

Kupała, wśród funkcjonariuszy zwanapieszcotliwie Sraką, była jednak geniuszem organizacji i tytanem pracy i dzięki jej zaangażowaniu sekretariat funkcjonował doskonale.

Obok resortowej pensji jej główną nagrodą było to, że Ceglarek czynił jej nieustające awanse, pod zwałami starzejącego się sadła dostrzegając kobietkę, którą kiedyś była, cowiednącą rusycystkę dowartościowywało bardziej niż wczasy w Uście z funduszu nagrodowego i stopień starszego kaprała, który otrzymał po pięciu latach ofiarnej słuźby.

Antek wszedł do sekretariatu obok Cegły w zwykłej pozie, zapatrzonego nierozumiejącym wzrokiem na jakiś dokument, obok Sraki, obdarzającej wścickłym spojrzeniem i złym słowem każdego wchodzącego, od gońca po komendanta wojewódzkiego, lecz dzisiaj jeszcze mniej zyczliwej niż zwykle, zobaczył trzeci biurko, a za nim dziewczynę.

Nie miała więcej niż trzydzieści lat.

Włosy spięła nakarku, tak skromnie, że urągało topysznie wijącym się lokom, które spod czarnej wstążki wytryskiwały na kark i spływały na plecy złotą kaskadą.

Buzianewinnego dziewczątka, szyjarównież niewin85.

na, a pod szyją dekolt.

Bluzki nie rozpięła niżej, niż przystoi, alepiegowata skóra, pokrywająca obojczyk i cudne, duże i ściśnięte piersi, poruszyła Szarzyńskiego mocniej niż gołe cycki amerykańskich kurewek na rozkładówkach "Playboya".

Bluzeczka odkrywałarównież wiotkie ręce, zakończone wąskimi dłońmi o długich palcach.

Niezależnie od tego, jak prezentować się mogła reszta, schowana zabiurkiem, Antek już wiedział, że musi tę książniczkę zaciągnąć do łóżka.

Najpierw przemówiły hormony, oczywiście chciał ją posiąść, bo była piękną samicą, a on młodym, jurnym byczkiem, który nie przepuszczał takiej okazji, ale zaraz umysł czekiście zracjonalizował erekcję, którą wypychała mu dzinsy: nie należy jej po prostu przelecieć, należy ją uwieść, bo przegni wiedzie drugą, obok Klewki, drogą do zrozumienia Struktury.

Jakim cudem nie pomyślał o tym wcześniej?

Przytym, bez wątpienia, będzie to droga o wiele przyjemniejsza niż chłanie wódz zasmarkanym kapitanem Klewką.

Dzień dobry zaczął po prostu.

Słowanie sąważne, ważna jest aksamitna barwa głosu, spojrzenie, uśmiech.

Życzliwość w oczach.

Słowa ważne będą później, kiedy już usiądą gdzieś razem, nad kawą albo węgierskim winem.

Słowa przywiązują kobietę, słowami skłania się ją do zdjęcia ubrania, ale w pierwszym wrażeniu liczą się proporcje i symetria ciała, wzrost, dłonie, oczy, głos i uśmiech.

Tego również nauczył się w szkole, chociaż wiele wyczuwał już wcześniej, instynktownie, i sprawdzał praktycznie na licealistkach i studentkach.

Dzień dobry, obywatelu podporuczniku odpowiedziała oficjalnie, ale z uśmiechem.

Wśród wąsatych i brzuchatych esbeków w poplamionych, brązowych garniturach i z tłustymi włosami zaczesanymi na łuszczącą się łysinę, podporucznik Antek Szarzyński prezentował się jak Apollo Belwederski na tle opasłych mieszczan z obrazów Breughla.

Zmierzyła go wzrokiem, kiedy tylko otworzył drzwi i nietrudno było zauważyć, że spodobało jej się to, co zobaczyła.

86

Dzień dobry burknęła Sraka, oburzona, że ten gogus Szarzyński patrzy tylko na nową, mimo że ta jest tylko cywilną maszynistką i nie posiada nawet stopnia.

Antek zrobił trzy kroki i pochylił się nad biurkiem dziewczyny.

Przez chwilę przedłużał jeszcze ciszę nie przestawał się uśmiechać.

Czy zechciałaby pani skopiować mi materiały z tej teczki?

zapytał, zanim Kazimierz zacząłaby czuć się niezręcznie.

Oczywiście odparła, rozplotła dłonie i Antek ze smutkiem zauważył, że nosi obrączkę.

Szeroką, ciemnego, ruskiego złota.

Rzecz będzie więc trudniejsza, ale niemożliwa.

Podaję teczkę, otworzyła ją, materiału nie było zbyt dużo.

Proszę zaczekać, zrobię to obywatelowi od ręki.

Powstrzymał uśmiech, acz pozwolił sobie na serię nieprzyzwoitych myśli, kiedy wstała zabiurkai stanęła przy kopiarce.

Miała taką figurę, jak lubił: długie, rasowe kości, była bardzo szczupła, a mimo to miała pełne piersi, biodra krągłe, krągłością wynikające z szczupłości talii i pośladki zupełnie nie płaskie, opięte czarną spódniczką.

Niby skromną, bo sięgającą mocno zakolana, ale kiedy pochylała się nad potężną maszyną, wsuwając kartki papieru w odpowiednie szczeliny i pod spódnicą grały linie jej ud, tyłka i bioder, w Szarzyńskim zabuzowała krew.

Nawet Cegła oderwał się od dokumentu, na który gapił się swoim spojrzeniem imbecyla, przykleił się oczami do tyłka maszynistki-sekretarki Kazimierzak i swoją głupią fizjonomię wzbogaciło wyraźne spożądanie.

To dało Antkowi domyślenia dziewczynabezwątpieniabędzie poddana nieliczej, erotycznej presji zestronyCeglarka i innych kosmatych wąsaczy.

Tezaloty, po chłopsku rubaszne, bez wątpienia będą pani Kazimierczak wstrętne, dlategoon musipójść inną drogą.

Przyda się inteligencka ogląda,jakiejnabył w Krakowie, będzie wino, jazz ze stereo technicsa, którekupił niedawno, za pieniądze od Drzewieckiego.

I żadnych seksualnych aluzji, żadnych przedwczesnych propozycji, jeśli kom87.

plementy, to raczej estetyczne, niż erotyczne, aż w końcu nadejdzie czas, aby i tę konwencję złamać.

Sraka skuliła się za biurkiem i w sobie.

Szarzyński zrozumiał, że od kiedy w biurze pojawiła się ta zwyczajna łania, gnąc się teraz nad ksero. Cegła zaniechał rutynowych awansów do swojej podstarzałej zastępczyni.

Nie żeby liczył na jakąś szansę u Kazimierczak, tak głupinie był nawet Ceglarek, ale zalecanie się do starej, tłustej baby w obecności dziewczyny tak kobiecej wydawało mu się tajemniczo niestosowne.

Jeśli piękny związek podoficera ewidencji operacyjnej i maszynistki-sekretarki w stopniu starszego kaprała został kiedyś skonsumowany, co stanowiło przedmiot rozważań w pokojach wszystkich sekcji Wydziału Czwartego, to konsumpcja zapewne również ustała.

To musiało jej złamać serce już Kupała się zatroszczy, aby nowa współczuła w jej bólu.

Przynajmniej do czasu, aż Ceglarek zgłódnieje i uzmysłowi sobie, że woli jednak kopulować ze starszą panią, niż tylko gapić się na młodą dziewczynę.

Gotowe powiedziała jasnowłosa piękność i oddała Szarzyńskiemu teczkę i plik kopii.

Potrzebowałbym jeszcze obwolutę do TEOK, zwykła poprosił Antek.

Pożegnał się uprzejmym skinieniem głowy, uśmiechnął się do Sraki i wyszedł.

Oryginałteczki księdza Zielerza oddał Biedrychowi.

Doświadczony czekista o nic nie pytał, niczego niedociekał, patrzył tylko na młodego podporucznika szacunkiem i zazdrością.

Ten wrócił do swojego pokoju, korzystając z tego, że znowu był sam, rozparł się wygodnie w fotelu, nogi wywalił na biurko i zabrał się do studiowania teczek figuranta.

Z części pierwszej dowiedziała się niewiele.

Przestudiowała kwestionariusz personalny; Zielerz Jan, doktor teologii, lat sześćdziesiąt pięć, syn Józefa i Anny, urodzony, zamieszkały, nic więcej.

Z Rejestru Skazanych nic.

Wzory pisma maszynowego

z dwóch maszyn do pisania.

Rezydent w parafii katedralnej przy Katedrze Chrystusa Króla.

Tajni współpracownicy posiadający kontakt z Zielerzem dwóch kleryków z seminarium, gdzie Zielerz wykłada liturgikę i TW Skowronek, były kleryk zamieszkały w Katowicach.

Przeszedł do części drugiej, gdzie zamieszcza się wszystkie efekty pracy operacyjnej, dotyczące bohatera danejteczki.

Notatki z rozmów z TW, stenogramy z podsłuchów, zdjęcia, plany sytuacyjne mieszkań.

W TEOK Zielerza Szarzyński znalazł tylko wypisy z kilkudziesięciu rozmów z TW.

Przeczytał wszystkie bardzo uważnie, bo wiedział, że tutaj właśnie musi szukać punktu zaczepienia. Informacja, która powtarzała się najczęściej, to ta, że zanim ksiądz Zielerz został sekretarzem, był nieoficjalnym kapłanem nowego biskupa katowickiego, Konrada Grzonki.

Z Grzonką znają się z WSSD, jeszcze z czasów, kiedy seminarium znajdowało się w Krakowie, Zielerz był ojcem duchowym rocznika, w którym studiował przyszły biskup.

To tłumaczyło tylko, dlaczego Zielerz jest przydatnym kandydatem do werbunku, nie wskazywało natomiast na sposób, w jaki ten werbunek można by przeprowadzić.

Czytając teczkę Zielerza, Antek zrozumiał nagle, dlaczego jego ostatecznym egzaminem był ksiądz Szkordoń.

W szkole werbunku uczono ich na pracy operacyjnej, przerabiali ten temat bez końca, różnych stron, analizowali zapisy głosowe i stenogramy z werbunków udanych i nieudanych, odgrywaliscenki i pisali metodologie.

Praca w rejonie, w Gliwicach potwierdziła przydatność tego upartego walkowania.

I jedno podkreślanie nieustannie, w szkole a potem słyszał to samo od doświadczonych oficerów z RUSW nie każdego da się zwerbować.

Szczególnie dotyczy to księży, którzy z natury rzeczy są ideologicznie, a często i politycznie niechętni resortowi i socjalistycznej Ojczyźnie.

Większości, zasadniczej większości księży poprostu nie da się zwerbować, prędzej zdecydowaną, niż pójdą na wspólne.

pracę.

Wykładowcy z Legionowa mówili nawet o siedemdziesięciu procentach.

Pouczałyby, to pamiętał jeszcze wykładów, doświadczenia lat pięćdziesiątych i współczesne eksperymenty towarzyszy rumuńskich.

W latach pięćdziesiątych, mówiąc bezogródek, nikt się nie pierdolił.

To, co teraz robiła, na marginesie swojej działalności dezintegracyjnej zakonspirowana Grupa Di co w przypadku fizycznej eliminacji Popiełuszki skończyło się pokazowym procesem i wsadzeniem paru funkcjonariuszy, w latach pięćdziesiątych było normą.

Wtedy nikt nie przejmował się tak zwaną opinią publiczną, której dzisiaj, po doświadczeniach Solidarności, tak bało się ściśle kierownictwo kraju, że na żer tej opinii publicznej rzuciło nawet wysoko postawionego funkcjonariusza, pułkownika, mimo że ten przecież nie robił nic więcej niż to, co mu w mniej lub bardziej zawaalowany sposób polecono.

A wtedy, w latach pięćdziesiątych, zrobić jakiegoś kleszetajnezdjęcie, czyli porwać go po prostu z ulicy, wsadzić do tury i potem przez długie tygodnie bawić się z nim na różne wyszukane sposoby bić, kopać prądem, wyrywać pazury, wbić nogę odkrzesław dupę, łamać kości, przypalać, na co tam tylko dany funkcjonariusz mógł mieć ochotę to było jak splunąć.

I co ciekawe niewiele to dawało.

Ci księża, tłuczeni i bici, wzmacniali się jeszcze w swoich przekonaniach.

Resortowy wykładowca pouczył ich, że reakcyjny Kościół katolicki to stara i doświadczona organizacja, która wypracowała sobie, celem ochrony własnych interesów, koncepcję męczeństwa jako wartości.

Szeregowi księża, którym w ten sposób zamulono w głowach, sądzili, że bicia i tortury zwiększają ich szansę na osiągnięcie zbawienia.

Nawet dziś próbują to przełamać towarzysze rumuńscy, zmagający się z prawosławną wersją tych czarnosukiennych siewców ciemnoty, stosując metody podobne, a jednak bardziej przemyślane niż zwykłe bicie.

Oprócz nieustającej presji fizycznej, ale przede wszystkim ze strony wyznaczonych i wyszkolonych w tym celu więźniów, nie strażników, stosowana jest bardzo mocna pre90

sja psychiczna i atak na same podstawy reakcyjnej ideologii.

Fakt, że zajmując się tym współwięźniowie pospolici kryminaliści wzmaga siłę oddziaływania na danego popa, bo odbieramy oparcie w zekowskiej solidarności przeciwko strażnikom, ale podstawowym oddziaływaniem jest atak w ściśle podstawy ideologii chrześcijaństwa.

W Polsce lat pięćdziesiątych od księży wymagano tylko lojalności politycznej, chrześcijaństwo zostawiając na boku.

Towarzysze rumuńscy postanowili zając się samą ideologią w tym celu przeszkoleni więźniowie zmuszali popów do wypierania się wiary, mówienia bluźnierstw czy wykonywania czynności, które według chrześcijańskiej ideologii są bluźniercze jak akty konsekracji nad własnymi odchodami, homoseksualna kopulacja i tym podobne.

Efekty były mierne.

Zdarzali się księża, którzy dawali się za tłuc na śmierć i nie odchodzili od swojego zabobonu ani na centymetr.

Wielu łamało się, wypierało wiary, bluźniło, ale kiedy presja się cofała, natychmiast padali na kolana, przepraszały Boga i wracali do swojej ideologii, która, operując pojęciami wybaczenia i nawrócenia, jest jakby stworzona do takich powrotów.

Przykłady te prezentowano w legionowskiej szkole na poparcie jednej tezy: dobry oficer operacyjny nie werbuje jak leci, bo ma szansę dziesięć, że natknie się na księdza sfanatyzowanego, którego zwerbować się nie da i oficer będzie tylko tracił czas i środki.

Dobry oficer operacyjny wyszukuje księży, należących do tych dwudziestu procent, jako pierwszą przesłanką do podjęcia działań werbunkowych, traktując podatność na wer'bunek, potem kierując się przydatnością danego figuranta.

Nauczono ich w szkole dostrzegać znaki, które świadczą;

o tym, że danego klechę można werbować.

Były to najczęściej \.

cechy, które Kościół starał się w swoich funkcjonariuszach wykorzystać, formując ich w seminariach osobista, niezrealizowana ambicja, upodobanie do kobiet, przywiązanie do spraw materialnych, alkohol.

Wykładowca ujął to w krótkie, rymowane hasło:

91.

"worek, korek i rozporek".

Najmocniejszą podkładką do werbunku był oczywiście homoseksualizm; ksiądz, któremu można byłopokazać pedalskie MK, czyli materiały kompromitujące, praktycznie nigdy nie był w stanie przeciwstawić się werbunkowi.

Efekty takiego podejścia wyszukiwania miękkich, zamiast łamania twardego były po stokroć lepsze niż tępa, ubecka przemoc.

Oczywiście, worek, korek i rozporek też nie zawsze działały.

Czasem zdarzały się takie sytuacje, jak przypadek księdza, naktórego czwórka miała mocne kompromaty w postaci jego zdjęć z kochanką, in flagranti.

Operacyjny umówił się z jurym księżulem na rozmowę w hotelu i czekał.

Ksiądz jednak zagrał vabanque i na spotkanie przyprowadził swoją kochankę.

Funkcjonariusz oniemiał, nie wiedział, co robić, no bo jak szantażować babą gościa, który ją przyprowadza na rozmowę?

Werbunek się nie udał, klecha odrzucił wszelkie propozycje, spalili go potem, rozesłali zdjęcia, przełożenie kapłana przerzucali go potem z parafii do parafii i w końcu facet rzucił sutannę i wyjechał, chyba do Niemiec.

Rzecz opowiadano sobie na wydziałowych popijawach, Antek po raz pierwszy usłyszał ją jeszcze podczas praktyk w rejonie.

Zawsze ten, który ją opowiadał, był podobno jednym zwerbujących.

Gdyby to była prawda, to w tym hotelowym pokoju naksiądz z kochanką czekałoby przynajmniej dwunastu esbeków.

Najwartościwszy agent jednak nie działa pod wpływem szantażu ani za pieniądze, najwartościwszy agent działa z wewnętrznego przekonania.

Sztuką jest werbunek właśnie ponad "workiem, korkiem i rozporkiem", to powtarzano im bez końca.

W końcu Soborem w latach sześćdziesiątych nie zamieszali tajni współpracownicy werbowani kompromatami, to nie ten format i nie ta siła oddziaływania, lecz tacy, którzy pisząc memoriały czy przemawiając na komisjach, wszystko według zaleceń resortu, czynili to z głębokiego, wewnętrznego przekonania.

O takich agentów naprawdę się dba, wzmacnia się ich grami operacyjnymi, w wyniku których pną się w kościelnej hierarchii szybciej niż ich sfa92

natyzowani koledzy, zdobywają coraz większą wiedzę i władzę, cały czas w zgodzie z własnym sumieniem.

Niektórzy się nawet, podobno, wydawało, że ewangelizują funkcjonariuszy.

Gdyby więc miało to wyglądać tak, jak uczono go w szkole, i tak, jak wyglądało to podczas jego praktyk, ktoś zleciłby Antkowi najpierw rozpoznanie środowiska, otaczającego nowego biskupa i wytypowanie ewentualnych kandydatów do werbunku, biorąc pod uwagę jednocześnie ich przydatność i podatność.

Struktura jednak, jak widać, miała bardzo konkretne potrzeby operacyjne dlatego sprawdzono, czy Szarzyński posiadał umiejętność niesztampowego działania.

Trzeba więc zacząć od tajnych współpracowników utrzymujących kontakt z figurantem.

Gdyby pracował w normalnym trybie, poprosiłby oficerów prowadzących o odbycie odpowiednich rozmów ze swoimi TW.

Pracował jednak dla Struktury i chociaż w zasadzie nie wiedział prawie nic o tym, jak bardzo powinien konspirować swoje działania, to był przecież wychowankiem resortu i w pojęciu ten fundament czekistowskiej tożsamości: szacunek dla tajemnicy służbowej.

Postanowił więc nie prosić o pomoc, tylko sprawdzić, czy rzeczywiście działają jego szerokie uprawnienia, wynikające podobno z pracy w Strukturze.

Będzie też dobra okazja, żeby zbudować swoją psychologiczną przewagę względem kapitana Biedrycha.

Nabazgrał więc trzy pisma, celowo bardzo niestarannie, żądając właśnie żądając, niezwracając się z

uprzejmą prośbą udostępnienia teczek wszystkich trzech agentów, utrzymujących kontakty z księdzem Zielerzem.

Pisma zaniósł sobie, Biedrych popatrzył złym wzrokiem na szarogęszącego się młodzika, ale pisma przyjął i pokwadransie Antek miał teczkę wszystkich trzech tajnych współpracowników. Teczka TW Skowronka znajdowała się w gestii Wydziału Trzeciego, zajmującego się opozycją, a mimo to Biedrych dostarczył ją Szarzyńskiemu bez żadnych opóźnień.

Przejrzał wszystkie.

Obaj księża zostali zwerbowani bez materiałów

kompromitujących, dzięki koronkowej pracy jednego oficeraoperacyjnego, porucznika Kalabarczyka.

Ponad "workiem, korkiem rozporkiem", jak by powiedział wykładowca z Legionowa.

Nie podpisali zobowiązania do współpracy byli przekonani, że są raczej przyjaciółmi tego miłego, cichego człowieka, który może i jest esbikiem, ale przecież nie każe im robić nic złego, o wierze katolickiej wyraża się z rewerencją, a ich traktuje z wyszukaną grzecznością.

Prawdopodobnie ciągle jeszcze trzymali się przekonania, że są raczej tolerancyjni i otwarci w duchu Soboru.

Szarzyński przypomniał sobie przykład ze szkoły, z tych samych wykładów, księży-profesorów, którzy na zamówienie resortu w latach sześćdziesiątych spłodzili teksty do Ojców Soboru.

Memoriał o niektórych aspektach kultu maryjnego w Polsce.

Ich przecież nikt nie szantażował, nie bił, kulturalny funkcjonariusz rozmawiał z nimi o teologii i kiwał głową, kiedy cioburzali się na prymitywne wsteczności Wyszyńskiego.

Do takich TW nie można przyjąć z ulicy, machnąć szmatą zażądać informacji, bo rozumieją, że traktuje się ich jak donosicieli, a tego ich miłość własna mogłaby nie znieść.

Wizyta Antka u nich nie przyniosłaby efektów, a mogłaby jeszcze popsuć kilka miesięcy pracy Kalabarczyka.

Szarzyński nie chciał bezsensownie szkodzić kolegom, więc odłożył teczkę TW Pasterza i TW Jakuba i przeszedł do teczki TW Skowronka, kleroza wyrzuconego z seminarium, który znał księdza Zielarza i do dziś utrzymywał z nim luźne kontakty.

Po dwudziestu minutach poświęconych na lekturę i wypisaną odręcznie notatkę o planowanej kontakcie, do wiadomości odpowiedniego funkcjonariusza z trójki, Szarzyński siedział już zakierownicą alfy i jechał na Załęże, gdzie przy ulicy Klimczok mieszkał Marcin Niezgoda, były seminarzysta, były student socjologii, narkoman, trzeciorzędny działacz opozycji demokratycznej i donosiciel o pseudonimie "Skowronek".

ROZDZIAŁ 3

Skowronek należał do tego rodzaju tajnych współpracowników, u których podczas werbunku na skutek ciężkiego upokorzenia nastąpiła dezintegracja osobowości, których traktowano brutalnie i bezwzględnie, żądając wszelkich usług dając w zamian bardzo niewiele, żeby kapusiowi jeszcze chociaż trochę chciało się żyć.

Księża z teczek, które obejrzał na początku, byli tak zwanymi "porządnymi ludźmi".

Mieli za uszami swoje małe grzeszki, jak wielu.

Sądziło się, że spotykając się z człowiekiem z resortu, snują swoje intrygi, które mają im pomóc w karierze, współpracę racjonalizowali, tak aby dało się ją pogodzić z kłóścem moralnym, który, jak sądzili, ciągle posiadają.

Dlatego wymagali specjalnego traktowania, tak samo trzeba było traktować donoszących na kolegów doktorów i profesorów, którzy w ten sposób wypracowywali sobie habilitację czy dotację, dokształcając głównym zadaniem oficera prowadzącego było pompowanie ich ego.

Werbowano ich bez złamania, kadzono, dogadzano i dopieszczano podarunkami.

Oczywiście, według norm panujących w Kościele, złamali się, podejmując nielegalną współpracę z przedstawicielami szatanian teren województwa katowickiego, ale ich osobowość, psychologicznie rzecz biorąc, nie ulegała dezintegracji.

Ze Skowronkiem było inaczej.

Zwerbowano go na podstawie homoseksualnych kompromatów.

Prowadzący go wtedy porucznik Kwaśny nie miał ochoty na spotkania, zaczął więc utrwaloną

na taśmie minifonu rozmowę od mocnego zagajenia: "no, to fotkisobie pooglądaj, pedrylcu w dupę jebany, kurwo jedna, lachociągu pierdolony.

".Porucznik z lubością podkreślał głoski "er" w wulgaryzmach, wymawiając je starannie i dźwięcznie, a wnotatce z rozmowy zapisał, że przyjął wobec werbowanego postawę bardzo zdecydowaną.

Kiedy seminarzysta zbladł po tym zdecydowanym zagajeniu, Kwaśny uprzejmie położył nastole plik zdjęć, przedstawiających kleryka trzeciego roku Marcina Niezgodę podczas stosunku oralnego z pewnym podstarzałym, gliwickim pędzlem, który lojalnie zawiadomił swojego prowadzącego, funkcjonariusza rejonowego SB, iż na prywatce poderwał przystojnego kleryka z katowickiego seminarium i jeśli to szanownych panów interesuje, to mają umówione rendez-vous w mieszkaniu w kamienicy przy ulicy Zwycięstwa numer taki a taki, w oknie zaś nie będzie firanek ani zasłon. Gliwicki pedał w nagrodę zacynk dostał radziecki aparat fotograficzny Zenit, wraz z trzema obiektywami, którego bardzo pożądał, gdyż zajmował się amatorsko fotografią artystyczną. Funkcjonariuszowi przyspieszono awans na starszego chorążego, a katowicka czwórka dostała TW Skowronka.

Skowronek załamał się natychmiast.

Drżącymi rękami podpisywał zobowiązanie i nie przestawał zapewniać werbującego go oficera, że nie jest żadnym pedziem, że to było tylko raz, on tylko spróbował, bo ten starszy pan był taki czarujący i inteligentny, ale w zasadzie niepодоobało mu się wcale, z dziewczynami jest jednak o wiele lepiej.

Porucznik Kwaśny nie był miłym facetem, to jasno wynikało ze stenogramów rozmów. Nad swoim współpracownikiem znęcał się psychicznie, wymagał odeń całkowitej lojalności, Skowronek mówił mu dokładnie wszystko o wszystkim, wszystko, co mógł mu tylko powiedzieć, a Kwaśny był wiecznym niezadowolonym, w wystudiowany sposób, tak że biedny kleryk żył w stanie ciągłego strachu, ciągle bał się ujawnienia przeklętych zdjęć.

96

W swoich analizach TW Skowronka, Kwaśny pisał, że jest to człowiek inteligentny i wrażliwy, dość oczytany, ale słaby, pozbawiony kośćca moralnego, ze względu na swój świecki tryb życia bez szans na ukończenie seminarium.

Szarzyński, czytając dokumenty, pomyślał, że gdyby porucznik nie znęcał się nad klerykiem Niezgodą, tylko był raczej jego przyjacielem i poplecznikiem, to kleryk Niezgodą mógłby stać się księdzem Niezgodą z perspektywą, aby za parę lat zostać nawet księdzem profesorem Niezgodą. Tymczasem Kwaśny sprawiał, że nawet pieniądze, które wręczał Skowronkowi, nie były nagrodą, tylko środkiem dodatkowego upokorzenia.

Udręczony kleryk nie wytrzymał napięcia, zaczął brać heroinę, nakryto go na tym i wyleciał z seminarium.

Skumpłował się potem z katowickimi punkami, mieszkał u kogoś na melinie, ale sam nie punkował.

Kwaśny bez żalu oddał wtedy Skowronka trójce.

Funkcjonariusze z trójki za pomocą kombinacji operacyjnej prostej jak cios w szczękę wkręcili swojego nowego TW na studia socjologiczne na uniwerku.

Tam, na polecenie nowego oficera prowadzącego, który, chcąc nie chcąc, stosował metodę kontaktu wypracowaną przez porucznika Kwaśnego, Skowronek nawiązał kontakty z akademickimi środowiskami opozycyjnymi.

Donosił cały czas, na wszystkich, na kumpli od kieliszka i od strzykawki, na dziewczyny, z którymi sypiał, na wykładowców i nawet na ciecia z Wydziału Nauk Społecznych.

Trójka chciała użyć Skowronka do gry operacyjnej, miał uwieść pewnego działacza NZZ, który wydawał się mieć homoseksualne inklinacje.

Niezgodą nie odmówił, bo nie było tego psychicznie zdolny, ale publicznej demaskacji jako homoseksualista bał się tak bardzo, że podciął sobie żyły.

Odratowali go kumple-punki, wtedy oficer prowadzący trochę mu odpuścił, bo nie chciał stracić tak wartościowego dzięki absolutnemu posłuszeństwu agenta.

Kiedy wydobrzeł, z powodzeniem wykonał przy jego
97.

pomocy parę drobniejszych kombinacji operacyjnych, homoseksualnych przygód już nikt od niego nie wymagał i to było chyba jedyne, maleńkie zwycięstwo w życiu Marcina Niezgody.

Szarzyński minął pomnik żołnierzy radzieckich na placu Wolności, wjechał na ulicę Gliwicką i przesuwał się powoli, podskakując nierównym bruku, wzdłuż brzydkich kamienic, poczerńiałych od węglowej zawiesiny w powietrzu, z oknami wymalowanymi naczerno. Na schodkach siedzieli zmęczeni upałem lumpenproletariusze w nieokreślonym wieku, może starzy jak przysłaniające ich swym cieniem kamienice, urodzeni jako poddani cesarza Wilusia, a może czterdzieści lat młodszy, światu objawieni we wrześniu 1945, dojrzałe w niemieckich i śląskich łonach owoce lędźwi krasnoarmiejców, zdobywających Górny Śląsk. Patrzyli z nienawiścią na drogi, zachodni samochód, a podporucznik uśmiechał się do nich z sympatią.

Skręcił w Klimczoka, zaparkował dwoma kołami na chodniku.

Uświadomił sobie, że służbową broń zostawił w teczce, a ta leżała w biurze.

Po chwili zastanowienia sięgnął pod fotel, wymacał steczkę, wyciągnął, przeładował i zabezpieczył.

Wyprostował się w samochodzie na ile mógł i wepchnął pistolet do dzinsów.

Kiedy usiadł, broń nieprzyjemnie opierała się na łokciu. Antek przestraszył się, że mógł przypadkiem odbezpieczyć spuławę, wciskając ją w spodnie, i zaraz odstrzelił sobie fiuta, więc wyprostował się jeszcze raz, ostrożnie wyjął pistolet, wyciągnął magazynek, zamkiem wyrzucił nabój z komory, włożył go z powrotem do magazynka, magazynek do chwytu, a pistolet z powrotem do spodni, tym razem bezpiecznie, bez pestki w komorze.

Wysiadł.

Złapał za kark znużonego wakacjami w mieście wyrostka, który pętał się w okolicy i powiedział mu, że ma dwadzieścia może dostać pięćdziesiąt złotych, jeśli wszystko będzie okej, albo wpięćdziesiąt, jeśli samochodowicoś się przytrafi.

Gówniarz miał respekt przed przemocą i kochał włoskie samochody, więc solennie obiecał, że będzie autopilnował.

Antek od 98

nalazł dom z numerem, którego szukał.

Wszedł po schodach, przyglądając się napisom na ścianach zaszyfionej klatki.

Drzwi do meliny oblażyły z brązowej farby.

Szarzyński zadzwonił, ale elektryczny brzęczyk nie działał, więc zapukał.

Odpowiedziała mu cisza, więc po chwili zapukał po raz drugi i usłyszał jakąś krzątanicę.

Drzwi rozwarły się na tyle, na ile pozwolił krótki łańcuch.

W szczelinie ukazała się twarz, którą Szarzyński znał ze zdjęcia.

Marcin Niezgoda kiedyś był przystojny, teraz wyglądała na dziesięć lat więcej, niż miał.

Uroknie dodawały mu utlenione na paskudną żółć włosy ani kolczyk w uchu.

Czego?

zapytał chętnym, lecz słabym głosem.

Szarzyński podsumował w myślach swoje rozważania o TWSkowronku.

Miał dwie możliwości uzyskania tego, co go interesowało.

Mógł kontynuować dotychczasową metodę rozmów, ale mógł też zdobyć serce tego zgnębionego wraku człowieka, okazując mu życzliwość i przyjaźń.

Wybrał pierwszy sposób.

Trochę z lenistwa, a trochę po to, aby uczynić sprawę jak najprostszymi.

Nie odpowiedział więc na nieuprzejme zapytanie Skowronka, tylko cofnął się o pół kroku i kopnął z całej siły w drzwi, na wysokości mocowania od łańcuszka.

Prymitywna blokada prysnęła, drzwi odskoczyły, bo gospodarz mieszkania nie stał za nimi, lecz obok.

Był prawie goły, miał na sobie tylko majtki i kapcie nieokreślonego koloru.

Antek z obrzydzeniem zauważył, że gacie Skowronka są po prostu w okolicach rozporoka.

Golas próbował protestować, lecz Szarzyński wszedł poprostu domieszkaniami trzasnął Niezgodę w pysk, niezbyt silnie, żeby niepołamać muszczęki, ale na tyle mocno, żeby zabolęło. Były kleryk wyskoczył z kapci i byłby upadł, ale Szarzyński lewą ręką chwycił go za szyję i przycisnął do ściany, przyduszając.

Jest ktoś jeszcze w domu, śmierdzielu?

zapytał.

Skowronek nie odpowiadał, gapił się?

tylko naswojego prześladowcę przerażonymi oczami.

Bał się innym strachem, niż boi się zagrożony "spuszczeniem wpierdół" studenciak, który w ży99.

ciu nie dostał w ryj.

Bał się, bo wiedział, co oznacza prawdziwe bicie.

Widać było to po jego oczach, pewnie rozmyślał, czy tylko dostanie po pysku, czy będą też kopy w brzuch, które bolą najbardziej i są najstraszniejsze, bo przy każdym człowieku ma wrażenie, że pękają mu wszystkie wnętrzności.

Szarzyński mocniej zacisnął palce na grdyce Niezgody i zapytał ponownie:

Jest ktoś jeszcze w domu?

Skowronek kiwnął głową.

Kto?

indagował dalej Szarzyński, poluzowując uścisk.

Dwie dziewczyny, mają halo.

wykrztusił Niezgoda.

Antek odwrócił Skowronka prawą ręką, przesuwając lewą dłoń z gardła na kark ofiary.

Popchnął go w głąb korytarza, dzielącego niewielkie mieszkanie, wyjątkowo brudne nawet w kategoriach meliny.

Gdzie?

rzucił.

Skowronek wskazał na pokój polewej stronie wysokiego korytarzyka, Szarzyński pchnął go na ziemię.

Rusz się stąd, to cię znajdzie i zajebie powiedział pro forma, bo widział, że Skowronek jest i tak sparaliżowany ze strachu.

Wszedł do pomieszczenia, niktórego wskazał informator.

Na podłodze, na dwóch zsuniętych materacach, przykrytych kocami i kołdrami leżały dwie dziewczyny, nagie i nieprzytomne.

Łuszczące się płatem farby ściany niosły dwa, czarno-białe plakaty:

The Damned i Patti Smith.

Szarzyński pogapił się chwilę na gołępany w barłogu.

Były nieco zapuszczone, jak to ćpunka, ale nie zdążyły jeszcze zamienić się w te kościste, pokraczne straszdyłaz Monaru, pewnie są dopiero na początku tej drogi, bo obie miały jeszcze ładne, wystające tyłeczki i biodra i włosy długie, gęste i nawet umyte.

Spojrzał za siebie.

Skowronek leżał tam, gdzie go Antek rzucił, w kącie korytarza między szafką nabytą a zszarzałym lustrem, zasłaniając tors splecionymi przedramionami.

Podupczyłeś sobie, co?

zapytał retorycznie i wrócił wzrokiem do pokoju.

Spodobał mu się plakat z Patti Smith, ta

100

chuda brunetka z szaleństwem w oczach była bardzo w jego guście, muzyka też niczego sobie, chociaż oczywiście nie tak dobra, jak na ulubionej płycie Antka, na "Combat Rock" Clashów.

Podszedł do dziewczyn i trącił jedną nogą.

Wstawaj powiedział.

Panna nie zareagowała.

Odwrócił się znowu.

Przynies migarek zimnej wody polecił Skowronkowi, który zerwał się natychmiast i pobiegł do kuchni.

Wrócił znaczy niemi, Szarzyński wyjął mu sagan z rąk i chlusnął nad dziewczynę.

Zerwały się, próbując złapać powietrze śniętymi nagle przeponami.

Co, kurwa, co jest.

wy dusiła siebie jedna z nich, kiedy już zaczęła normalnie oddychać.

Obie próbowały naciągnąć na siebie pościel.

Nic.

Wypierdalać, laski powiedział Szarzyński.

Laski otwierały już usta do krzyku, do jakiejś niemrawej awantury, jaką tylko da się wywołać pod koniec heroinowego halo, jeszcze przed zjazdem, ale już po największych rozkoszach, ale Szarzyński nagleryknął, z całej siły:

Wypierdalać!

Skowronek skulił się w sobie, jakby wrzask esbeka przerosił prąd elektryczny, dziewczyny zobaczyły, że ich gospodarz panicznie boi się tego przystojnego, zimnego jak lód chłopaka w niebieskiej koszulce i dżinsach, więc niezdarnie pozbiierały garderobę i wyszły z mieszkania. Nie miały więcej niż po siedemnaście czy osiemnaście lat.

Szarzyński zamknął za nim drzwi.

Ćpałeś, świnió, czy tylko pieprzyłeś dzieci?

zapytał przerażonego Niezgody, który wciągał właśnie spodnie.

Nie ćpałem, piwko sobie wypłem tylko, naprawdę zarzekał się przerażony gospodarz.

I nie pieprzyłem się z tymi pannicami, naprawdę, same przyszły na melinę, żeby sobie zaćpać, nie tknąłem ich, naprawdę.

101.

Szarzyński kopnął wciągającego spodnie Skowronka w brzuch, nie za mocno, żeby upadł, nic więcej.

Kapuś przewrócił się i zwinął, jak embrion, chroniąc brzuch i krocze przyciągniętymi do tułowia kończynami.

Niech pan mnie nie bije, przecież ja nic nie zrobiłem zaskowyczał.

Szarzyński usiadł na rozwalającym się fotelu, założył nogę na nogę, wyciągnął papierosa i zapalił.

Stieczkin boleśnie wbijał się w brzuch i pachwinę.

Słuchaj, gnoju zagaił.

Nie będziesz kłamał, tonie dostaniesz wpierdol.

Jasne?

Jestem porucznik Gazurek ze Służby Bezpieczeństwa.

Jasne?

Skowronek pozbiierał się jakoś z podłogi, wciągnął spodnie i usiadł na krzywym taborecie.

Jasne odparł ponuro.

Dobra.

Gadaj wszystko, co wiesz o księdzu Zielarzu.

Marcin Niezgoda przywykł do bycia ścierwem.

Oczywiście, nienawidził samego siebie za to, kim się stał, gardził sobą, ale jednak przywykł.

Kiedy więc ten młody esbek wreszcie przestał go dręczyć, aprzeszedł do konkretów, TW Skowronek nawet się ucieszył.

Ksiądz Zielarz.

No jasne, znamy się powiedział z ulgą.

Skąd?

Z seminarium.

Ksiądz Zielarz był tam opiekunem roku, kiedy studiowałem.

Chyba mnie polubił, bo kontakty utrzymujemy do dziś skwapliwie tłumaczył Niezgoda.

Zielarz też jest pedał, jak ty?

zapytał Szarzyński z nadzieją.

Przez twarz informatora przebiegł cień.

Antek rozpoznał ten krótki grymas i ze zdziwieniem stwierdził, że w tym

zniszczonym narkotykamićpunie zostało jeszcze na tyle ludzkich uczuć, że oprócz strachu, potrafi też czuć nienawiść do prześladowców.

Nie.

To znaczy, on chyba czuje pociąg do mężczyzn, to

102

można wyczuć, kiedy ktoś wie jak.

Ale on jest silny, silny w Jezusie.

Wy powiedzielibyście, że jest sfanatyzowany.

On nad tym jakoś panuje.

Może go ciągnie, ale raczej nie próbował.

Antekbył nieco zawiedziony.

Nie miał powodów nie wierzyć Skowronkowi, a zakt wynikało, że mógł przynajmniej liczyć na coś więcej.

Skąd więc przekonanie, że przejawia takie skłonności?

Niezgoda wzruszył ramionami:

No to się wie, po prostu, panie poruczniku.

Podobałem mu się, chyba go nawet pociągałem, ale on panuje nad sobą, więc po prostu okazywał mi przyjaźń i życzliwość.

Dalej mi czasem pomaga.

Ma do ciebie zaufanie?

- indagował dalej Szarzyński.

Informator milczał przez chwilę, gapiąc się tylko na esbekaswoimi wodnistymi oczami. Nienawiść wzbierała w nim z każdym pytaniem Antka, ale ten był spokojny, wiedział, że Niezgoda nie zdobędzie się na żaden akt wrogości.

Tak, ufa mi.

powiedział w końcu TW Skowronek chyląc głowę i wbijając wzrok we własne, bosa stopy.

Antek uśmiechnął się szeroko.

Słyszałem, że się ciąłeś, jak cię prowadzący poprosił o zorganizowanie zabawy z pewnym panem, tak?

Niezgoda milczał.

Szarzyński westchnął, jakby ze smutku. Mi wolno podniósł się z fotela, niespiesznie wyciągnął ze spodni P1"stolet i nagle skoczył na Skowronka, obalając go razem z taboretom na ziemię, na plecy. Przycisnął tors i ręce informatora kolanami do podłogi i kalecząc dziąsła wepchnął mu lufę stieczkina w usta.

Oficer, który cię prowadzi, to mięczak, któremu zrobiło się smutno, jak pomyślał, że taki śmieć jak ty poderżnie sobie żyły.

A ja mam odwrotnie, sam ciężajębie, rozumiesz?

Jak dla mnie, możesz, gnoju, nie żyć.

Odstrzelę ci ten pedalski łeb.

Nienawiść zniknęła z oczu Marcina Niezgody, została tylko

103.

sam strach, wszechogarniający i potężny.

Antek Szarzyński niecierpał przyjemności z okrucieństwa, czuł nawet niesmak, alestosował je konsekwentnie.

Tępy brutal, jakporucznik Kwaśny, na jego miejscu rozsmakowywałby się przemocy, z biciem serca przekraczał kolejne granice: co będzie, jeśli dam mu w ryj tak, że straci przytomność, a co, jeśli przypalę go papierosem?

Kciukiem odciągnął kurek pistoletu.

Skoro nie miał naboju w komorze, mógł to zrobić bez niebezpieczeństwa odstrzelenia Skowronkowi "pedalskiego łba", a metaliczne szczęknięcie kurka zaskakującego napazur spustu zrobiło na informatorze odpowiednie wrażenie.

Teraz słuchaj, gnoju.

Zrobisz to, co ci każę, wyobraź sobie, damy ci spokój kłamał.

Zrobisz, co ci każę i nigdy nikłwięcej do ciebie nieprzyjdzie.

Załatwię ci detoks, wrócisz na uniwersytet, skończysz tę swoją socjologię i jak będziesz chciał, załatwię ci nawet studia doktoranckie, jesteś dość inteligentny.

To nagroda, rozumiesz?

A jeśli nie zrobisz tego, co ci każę, to każdy twój znajomy, twoja mama i twój tata, obie siostrzyczki, każdy, kto cię chociaż z widzenia zna, dostanie piękne, powiększone zdjęcia, na których obciążasz kutasa tego dziada z Gliwic.

A ja do ciebie przyjdę i sam cię wrzucę pod pociąg.

Albo cię zastrzelę i zakopię w Lesie Murckowskim.

Rozumiesz, chuju?

Masz umówić się gdzieś z Zielarzami pocałować go albo mu obciągnąć, czy coś takiego, nie wiem, jak wy, pędzicie, robicie takie rzeczy.

Gdzieś, gdzie będę mógł was sfotografować.

Rozumiesz?

Wyszarpnął lufę pistoletu z ust Skowronka.

Ostra stal muszkietowa zadarła mu wargę, krew pociekła wąską strużką po policzku.

Rozumiem wyszeptał kapuś.

Naprawdę dacie mi spokój?

Słowo harcerza zadzwonił Antek i podał informatorowi mikroskopijnej wielkości karteluszki, z wypisanym numerem telefonu.

Zadzwoń na ten numer jutro, kiedy już umówisz się z Zielarzem, podasz mi czas i miejsce, ja tam będę z aparatem

104

czekał.

Tylko pamiętaj, umów się gdzieś, gdzie będziesz mógł zrobić fotki.

Rozumiesz?

Rozumiem.

Szarzyński wstał, uwalniając wąły tors Niezgody od swoich osiemdziesięciu pięciu kilogramów.

Jutro masz zadzwonić.

Nie zadzwonisz do piętnastej, to osiemnastej cię znajdę.

Rozumiesz?

Niezgoda zbierał się z podłogi potwierdził niechętnym skinieniem.

Szarzyński ostrożnie opuścił kurek stiecznika, jakby rzeczywiście w komorze miał nabój i wepchnął pistolet z powrotem do dzinsów.

Popatrzył jeszcze raz na czarno-biały plakat Pani Smith i pomyślał, że w zasadzie, to dlaczego nie? Wszedł na barłóg, ostrożnie wydłubał pinezki ze ściany i zwinął papier w ciasny rulon.

Konfiskuję to powiedział.

Ale jakim prawem, dlaczego?

zapytał głupio i rozpaczliwie Niezgoda, chociaż przecież oddałby wszystkie plakaty świata, byle ten ubek już sobie poszedł.

Dlaczego?

Bo mi się podoba odparł Szarzyński, wsadził rulon pod pachę i wyszedł z meliny.

Na klatce, zaraz pod drzwiami, siedziała jedna dziewczyna.

Była dalej naga, owinęła się jedynie brudnym kocem, jej ciuchy, poplątane, leżały obok.

Trzęsa się, mocno, aż dzwoniły jej zęby, oczy odjeżdżały jej w głąb czaszki i wracały nagle, jakby całym wysiłkiem woli powstrzymywała się od zaśnięcia.

Antek minął ją bez słowa.

Zbiegł schodami na dół.

Wyrostek strzegł samochodu bardzo pilnie, Szarzyński dał mu zielony banknot ze Świerczewskim, wsiadł, rzucił plakat na tylną kanapę, zaczął czekać, aż chłopaczek sobie pójdzie i schował pistolet pod fotelem, obok tłumika i kolby.

Zawrócił na dwa razy, wyjechał na Gliwicką, nie spiesząc się,; dotarł do placu Wolności, przejechał pod torami i skierował się w stronę komendy, mijając po drodze katedrę.

Na fasadzie pysz 105.

niły się łacińskie w kroju litery "SOLI DEO HONOR ET GLORIA".

Antek nagle poczuł się głęboko urażony tym aroganckim wyzwaniem, wykutym w kamieniu, w środku socjalistycznego kraju, chociaż przecież widział już ten napis wiele razy.

To dodatkowa motywacja do pracy całe szczęście, że czarni oddają część i chwałę nie tylko Bogusamemu, ale również dobrom tego świata.

Towydawało mu się zawsze najzabawniejsze gdyby przestrzegali zaleceń swojej organizacji, oni, resort, byliby wobec nich bezsilni.

Mogliby, oczywiście, pokusić się o próbę fizycznego usunięcia religii z życia kraju, ale Polacy to nie Rosjanie i to, co tak łatwo udało się w Związku Radzieckim, mogłoby nie powieść się w Polsce.

Może jeszcze w latach pięćdziesiątych chociaż wtedy mogłoby to łatwo stać się zarzewiem III Wojny Światowej.

Dziś, kiedy Związek Radziecki, przynajmniej według opinii Drzewieckiego, jest kolosem na glinianych nogach, nikt nie poważałby się na fizyczną eliminację klech, więc wystarczyłoby, gdyby tylko mówili po prostu "nie".

Wjechał na parking pod komendę i poszedł do biura.

Klewki ani Micińskiego znowu nie było, a on nie miał się czym zająć, wyciągnął więc kupiony rano "Dziennik Zachodni" i zajął się lekturą.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zajrzeć do sekretariatu i nie pouśmieczać się do pani Alicji, ale powstrzymał się, nie chciał dziewczyny przestraszyć.

Jutro, jutro zaprosi ją na kawę.

Resztę dnia przesiedział nad gazetą, aż po piętnastej przyszedł kapitan Zdzisław Klewka i od razu w drzwiach zapytał, podniecony perspektywą darmowego pijaństwa:

No to jak, panie kolego, idziemy na tę wódeczkę?

Antek potwierdził, wziął teczkę, zamknęli pokój i zeszli na parking.

Pojedziemy moim wozem zaproponował Szarzyński, Klewka tylko wzruszył ramionami.

Antek przekręcił kluczyk w drzwiach kierowcy, pstryknęły siłowniki centralnego zamka, Klewka pokręcił głowę źle maskowaną zazdrością.

Kiedyś się 106

dli i młodszy esbek nacisnął guzik elektrycznego opuszczania szyb, Klewka nie ukrywał już podziwu, gwizdnął przez zęby i powiedział:

Toż się kolega autka dorobił, no, nie pogadasz.

Sportowe, włoskie.

Chociaż linia trochę podobna do poloneza, gdyby poldek miał tylko jedną parę drzwi.

Drogo kosztuje taki wóz?

Nie wiem.

W życiu bym nie zarobił, dostałem tę alfę od pułkownika Drzewieckiego.

Od Drzewieckiego?

Tego Drzewieckiego?

zdziwił się Klewka.

Nie wiem, od którego.

Ja dostałem od pułkownika Mirosława Drzewieckiego, opiekuje się mną od kiedy skończyłem dziesięć lat, bo wychowywałem się w domu dziecka.

Klewka chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Antek odpałił silnik, widlasto ułożone tłoki zagadały do swojego basem.

Klewka z podziwem pokiwał głową, a Szarzyński odwrócił się w siedzeniu, wyjeżdżając z parkingu i patrząc przez tylną szybę, kątem oka widział twarz kolegi, który widocznie kiepsko kontrolował emocje, bo nie umiał ukryć zmieszania i zamyślenia.

Kiedy ruszyli w górę ulicy Francuskiej, kapitan Zdzisław postanowił wyraźnie przykryć swoją konfuzję rozmową o motoryzacji.

A jak się tak potężną maszyną jeździ, niech no kolega opowie? dopytywał.

Antek odpowiadał bez rozwlekania tematu, chciał podkreślić, że mimo włoskiego auta i amerykańskich ciuchów, pozostaje zwykłym, skromnym czekistą.

Zaparkowali pod wyniosłym wieżowcem na rynku, gdzie mieściły się redakcje "Dziennika Zachodniego", "Trybuny Robotniczej" oraz restauracja "Pod prasą", zwana czasem "Tramwajem" od rzędów wąskich siedzeń.

Było to ulubione miejsce spotkań dziennikarzy, reporterów, tajniaków milicyjnych, esbeków, cinkciarzy i różnego kalibru bandziorów i bandziorków, budujących swoją pozycję w półświatku na deli107.

kataych i wrażliwych relacjach z kilkoma wyższymi oficerami pionu Służby Bezpieczeństwa.

"Pod prasą" było terenem neutralnym.

Panowała tu niepisana zasada: bandyci nie kradną, czekiści nie aresztują, nie werbują, a dziennikarze nie udają Jacka Nicholsona z filmu "Zawód reporter" i nie wygłupiają się próbami wykorzystania zasłyszanych tu informacji.

Oczywiście, niewłaściwy tekst tak zostałby zatrzymany, bo z każdą wątpliwością naczelni "Dziennika" i "Trybuny" biegli zaraz do sekretarza wojewódzkiego, ale "Pod prasą" dziennikarze mogli czasem usłyszeć i takierzeczy, o których nawet partia wiedzieć nie powinna, więc kiedy pili tam swoją ciepłą wódkę i kurzyli carmeny, doceniali tę możliwość i usypiali swój, stepiony cenzurą, dziennikarski nos.

Kiedy do tego podłużnego, zastawionego stolikami jak wagon wewnątrz weszli Zdzisiek Klewka z Antkiem Szarzyńskim, nie było ani jednego wolnego miejsca, ale Olo, ważny cinkciarz, kiedy tylko ich zauważył, zaprosił od razu do stolika.

Klewka odmówił uprzejmym gestem, a Olo był zbyt inteligentny, aby nalegać.

Zamiast tego, w dwóch słowach wyrzucił z knajpymłodych złodziejasków, opijających na smutno jakąś życiową porażkę.

W zasadzie było to jedno słowo, tyle że powtórzone:

Spierdalać.

Spierdalać!

Za drugim razem dobitniej, bo jeden ze złodziei, chyba niezbyt zorientowany w pozycji, jaką Olo zajmował w bandyckim świecie, chciał zaprotestować.

Naszczyście dla młodego bandyty, bardziej otrząskany kolega uciszył go w samą porę i zniknęli. Klewka podziękował Olowi, dotykając palcem skroni, wniebdał niby-salucie i usiedli.

Antek wiedział, że nie ma szans dotrzymać kroku w chlaniudoświadczonemu Klewce.

Przypomniał sobie pewną francuską powieść szpiegowską, którą czytał, ucząc się francuskiego w Legionowie; główny bohater, oficer francuskiego wywiadu spotyka się tam w knajpie z Amerykaninami, przekupuje kelnera, by ten nalewał wodę zamiast wódki.

Albo chodziło o jakiś inny alkohol,

108

nie pamiętał już, postanowił w każdym razie spróbować.

W tym celu musiał przedzić kelnera, zanim ten przyjdzie do stolika.

Zamaskował ten pośpiech troską o gościa, rzucił jakiś banał o kiepskiej obsłudze i pobiegł do baru.

Zamówił dwa razy setkę ze śledzikiem na zagrychę, wręczył krzątającemu się za ladą kelnerowi pięćset złotych.

Wydał jak zsetki powiedział, patrząc w inną stronę.

Stary kelner natychmiast zwinął banknot i wydając resztę

według polecenia Szarzyńskiego, zapytał cicho z wyraźnym, śląskim akcentem:

A za co to, kierowniku?

Będziemy pili.

Co drugą kolejkę przynosi mi w kieliszku wodę, a koledze normalnie.

Płacę jak za wódkę, więc jeszcze trochę ci do kieszeni wpadnie.

Kelner uśmiechnął się radością, jakby cieszył się z uczestnictwa w kawale i pokiwał głową.

Szarzyński wrócił do stolika.

Kapitan odpałał właśnie camela.

Kiedy Antek usiadł, Klewka wyciągnął ku niemu otwartą paczkę, podporucznik skorzystał z poczęstunku.

Przez chwilę obaj palili w milczeniu, delektując się luksusowym smakiem amerykańskiego tytoniu.

Ciszę przerwał kelner, przynosząc do stolika dwie setki i dwa talerzyki ze śledzikiem w oleju.

Nie weźmiemy od razu flaszki?

zdziwił się Klewka.

A po co, panie kapitanie?

Antek ciągle miał problem z wyborem między panem, obywatelem a towarzyszem. Stwierdził, że w knajpie, w której pewnie i tak zaraz wywalą brudzia, "pan" będzie najodpowiedniejszy.

Po co, niech se pan ober pobiega, niech nam nalewa, co się mamy sami męczyć.

Też racja.

No to na zdrowie!

Wychylili setki, do dna.

Antek nie lubił wódki, a już na pewno nie ciepłej i pitej setkami, więc żołądek szarpnął się, nie chcąc przyjąć takiej ilości gorzały, ale Antek miał silną wolę, więc dopił do końca i odstawił z trzaskiem nastół.

109.

Uch.

Dalej to już pięćdziesiątkami może, co?

Dobra, stawia kolega, to kolega decyduje, co i jak pijemy.

Klewkarównież miał problem z formami grzecznościowymi.

Widać uświadomił to sobie, łącznie z tym, że to on, jako starszywiekiem i stopniem, powinien zaproponować bruderszaft.

Panie kolego, co se mamy panować, nie?

Brudzia trza wypić!

ucieszył się.

Antek zrobił minę, jakby królowa angielska wręczyła mu nominację na lorda, czy co tam się otrzymuje, kiedy się zostaje lordem.

No, ja z chęcią.

powiedział, machnął nakelnera, zamówił dwie pięćdziesiątki.

Podnieśli się nad stołem, skrzyżowali ramionami i wychylili, Klewkawódkę, Antek wodę, mówiąc dosiebie:

Antek.

Zdzichu.

Opadli z powrotem na wyściełane siedziska.

Zdzichu poprosił piwo na zapitkę, oprócz śledzika, Antek przywołał kelnera i zamówił nową kolejkę, jeszcze śledzika i piwo dla kolegi.

Zauważył, że Klewka, chociaż odporny na alkohol, po stu pięćdziesięciu gramach wódki stał się wyraźnie zrelaksowany i spokojny.

Poluzował krawat, rozparł się wygodnie i przypomniał sobie krótką wymianę zdań z samochodem.

Drzewiecki, mówisz, to twój wujek dobra wróżka, tak?

zagaił.

No, zajął się mną, inni niemieli takiego szczęścia, wyciągnął mnie z tego bidulowego syfu, nieda się ukryć odparł Szarzyński, próbując dociec, cóż takiego Klewce chodzi pogłowie.

A gdzie był ten twój dom dziecka?

zapytał Zdzichu, patrząc przez okno na katowicki rynek.

W Pilchowicach odpowiedział Antek, spodziewając się dziwnego "a gdzież to jest?"

".

Ale Klewka zareagował inaczej, niż podporucznik się spo110

dziewał.

Nie rzekł nic, zamoczył tylko ustaw kuflu górnośląskiego, jakby bardzo chciał nie dać posobie nic poznać.

Odstawił pochwili opróżnionej w jednej trzeciej szklę na stół, otarł pianę z warg i zmienił temat:

Fajna tadupeczka nowa w sekretariacie, co?

Szkoda, zemeżatka.

Antek podjął temat, nie zdradzając się oczywiście ze swoimi planami co do pani

Kazimierczak i gwarzyli sobie wesoło, pijąc wódkę zagryzaną śledzikiem i czerstwym nieco chlebem.

W tleciała stara płyta Kombi, z jakiejś zjechanej, przeciągającej kasety, Klewka nucił sobie co jakiś czas pod nosem "słodkiego, miłego życia, bez chłodu głodu i picia", z każdą kolejką coraz głośniejsze.

Opowiedział anegdotę z księdzem, przyprowadzającą kochankę do hotelu, który z Granda stał się hotelem Warszawa, a Klewka dołączył, jako trzynasty, do tuzina innych esbeków, którzy podobno byli wtedy w tym pokoju.

Po dwóch godzinach jedli obiad, co jakiś czas milkli i siedzieli w ciszy, patrząc na czerwone tramwaje, które mijały się po torach na rynku, krzyżujących się w skomplikowanej siatce.

Między tramwajami spieszyli ludzie, do domów, na obiady przed telewizor, gapić się napajającą chwata, wszystkich brata, na dziennik, a potem na "Kryptonim Trianon", film produkcji ZSRR.

Później zamkną się okna jak oczy, rozświetlone żarówkami czterdzieści i sześćdziesiąt wat, z powiekami firanek i rzęsami rachitycznych kwiatków na kuchennych parapetach.

Świecić będą tylko neony na Warszawskiej i Stawowej i jedna albo dwie żarówki w każdym bloku, w sypialniach odważnych kochanków, którzy chcą sycić nie tylko dłonie, ale i oczy, w pokojach wrażliwych trzynastoletków, którzy nie wyjechali na wakacje do Ustronia albo do Chlewisk i zamiast tego płyną przez oceany z kapitanami piętnastoletnim i Nemo albo z Tomkiem Wilmowskim.

Może za którymś z tych ciągle rozświetlonych oczu miasta kręci się powielacz, na kredensie stoi bimber, z kasyety cieknie nagrany na koncercie Kaczmarek, a każdy z pięćdziesięciu.

ciu zebranych w pokoju opozycjonistów słusznie podejrzewa kolegów o to, że kapują na SB.

O dwudziestejdrugiej Antek był już pijany.

Zdychu pijany był mocniej, ale trzymał się jeszcze pionu, jak okazało się, kiedykolwiek ruszył w kierunku toalety.

Wykorzystując nieobecność kolegi, Antek przywołał kelnera i kazał od teraz podawać sobie już wyłącznie wodę.

Nie chciał od Klewki wyciągać niczego o Strukturze i "Sultanie" samemu, czekał, aż pijany kapitan sam zejdzie na ten temat.

Przecież myśli o tym, a tutaj ma przed sobą nowego kolegę ze Struktury, przed obliczem którego aż tak ścisła konspiracja obowiązuje.

W takiej sytuacji nawet czekista, zwłaszcza że pijany, powinien puścić farbę.

Tymczasem, do tej pory, Klewka najpierw zanudzał Szarzyńskiego opowieściami o meczach Zagłębia Sosnowiec sprzed dziesięciu lat.

Antek prawie machinalnie podtrzymywał te opowieści beczelnie obojętną funkcją fatyczną:

Klewka słuchał sam siebie, nie przeszkadzało mu, że Antek tylko potwierdza jego słowa paroma "no, no", "coś takiego", "naprawdę?"

"i "o, kurwa!"

"w najbardziej emocjonujących momentach.

Potem przeszedł do swojego smutnego dzieciństwa w Sosnowcu; ojciec robotnik pijak, matka w domu, bida z nędzą, syf, ciężka robota, i on, marzący, żeby się wyrwać i się wyrwał, dzięki ciężkiej pracy, takie tam.

W okolicach dwunastej pięćdziesiątki Zdych zaczął się zwierzać jak bardzo kocha resort-matuchnę, którą mu wszystko dała, a potem przeszedł do żalu do społeczeństwa, że ludzie uważają, że esbeków, za patriotów, a kto bardziej niż on kocha Polskę?

Kooo-oocham!

mówił, przeciągając w pijackiej wokalizie, w czułym geście chwytając Antka za przedramię, aby jeszcze podkreślić swoją miłość ojczyzny.

Wypili znowu.

Widzisz, Antek, ty jednak równy chłop jesteś.

Myślałem, że z ciebie nadęty chujek w amerykańskich ciuchach, a ty jednak równy chłop jesteś, no powiedział kapitan Zdzisław Klewka, patrząc na Antka z wódczaną sympatią.

112

Znasz, Zdzisiu, porucznika Kwaśnego?

zapytał Szarzyński.

Znam, no, pewnie.

Taki dziwak jeden, odludek.

Głupi jak but.

Kiedyś spuścił wpierdol Micińskiemu, na imprezie, nie wiadomo za co.

Dostał nagane, z wpisem, ale darowali mu, bo to świetny werbunkowiec jest, mimo że taki tępy.

Werbuje dobrze, bo się nie pierdoli, bez obciachu wali w ryj, jak za czasów Radkiewicza i Sierowa.

I nikt go nie lubi.

A co, czemu pytasz?

zmitygowała się nagle Klewka, dowodząc, że jeszcze panuje nadreglamentacją informacji.

A nic, tak tylko.

Widziałem go ostatnio na korytarzu, powiedzieli mi, że to Kwaśny, a nie było go na mojej powitalnej pijawie.

No nie było, bo to odludek jest, z nikim się nie kumuluje.

Chyba był w grupie D, zanim ją zlikwidowali.

Ale co tam Kwaśny, słuchajże, Anteczku, może byśmy na dziwki skoczyli, co?

Klewka uśmiechnął się szeroko.

Panienci ja postawię, żeby ci się za wódeczkę odwdzińczyć.

Antek zgodził się skwapliwie, miał nadzieję, że Zdzichuuzna taką wspólną przygodę za początek pięknej przyjaźni.

Poszedł więc do baru, zapłacił kelnerowi tak, jak obiecał i dopieścił go jeszcze dodatkowym Waryńskim, po czym wyszł z Klewką na zewnątrz.

Noc była ciepła.

Mimo pierwszego dnia upału, betonowo-asfaltowe tkanki miasta zdążyły już nasiąknąć ciepłem, które oddawały teraz w ciężkie od kopalnianych i hutniczych dymów powietrze.

Wsiedli do samochodu, Antek przeciął rynek, łamiąc kilka przepisów, na czele z prowadzeniem pojazdu mechanicznego pod wpływem, zjechał na Warszawską, z Warszawskiej w Bankową, zaparkował pod Wydziałem Nauk Społecznych.

Tu z nim studiował, politologię.

rozczulił się Klewka.

Ale nie skończyłem, po trzecim roku złożyłem papiery na molicję, bo chciałem być detektywem i skierowali mnie do Legionowa.

Ruszyli chwiejnie w górę Bankowej.

113.

Obywatelu, obywatel prowadził w tym stanie?
zatrzymałich męskigłos.

Szarzyński odwrócił się.

Na schodach rektoratu stało dwóch milicjantów-krawężników.

Pewnie zrobili sobie odpoczynek w nocnym patrolu.

Dokumenty powiedział milicjant.

Antek chciał się wytłumaczyć, ale Klewka go ubiegł.

Kolego, uprzejmie się odpierdol od nas wybełkotał, wyciągając z kieszeni spodni esbecką szmatę i machając nią domilicjanta.

Ten poznał legitymację, nawet wświecenielicznychlatarni, a gdyby nawet nie poznał, ton wystarczająco określił pozycję dwóch pijaków, których chciał wylegitymować.

No, panowie, tak nie można.

powiedział, żeby zupełnie nie stracić twarzy.

Zasalutował niechętnie, skinąłna kumpla i poszli.

Milicjanci musieli przepłoszyć prostytutki.

Poczekamy chwilę i zaraz przyjdą powiedział Klewka, siadając na ławce.

Antek nie miał ochoty powalać sobie dzinsów, więc nie siadał, i słusznie, bopo minucie, jak na potwierdzenie słów kapitana, zza WNS-u wyszedł niewielki, chudy facecik, w rozkloszowanych dzinsach i rozpiętej do pępka koszuli.

Uszanowanie panu kapitanowi powiedział uprzejmie.

Klewka przez chwilę usilnie ogniskował wzrok na kulturalnym przechodniu i kiedy w końcu złapał ostrość, ucieszył się:

A, pan Stefan!

Witam, witam!

Kierowniku, jakieś dwie prima sort dziewczuszki nam by się przydały do wyrka.

Zrobi się?

Dla pana kapitana zawsze.

Do mieszkania, czy u pań nachacie?

zapytał alfons.

Może być mnie.

Mieszkam w pierwszej Gwieździe, zaraz tutaj powiedział Antek.

A, pięknie!

znowu ucieszył się Klewka.

Anteczku, a masz jakąś wódkę nachacie?

Się znajdzie.

114

Szarzyński podał alfonsowi adres, Klewka wcisnął mu stówkę za fatywę.

Wrócili do samochodu i pojechali pod blok Antka.

Chociaż w prostej linii od pierwszej Gwiazdy dzieliło ich niewiele jak sto pięćdziesiąt metrów, to żeby dojechać tam samochodem musieli wrócić na rynek, dotrzeć do ronda pod Spodkami dopiero tam skręcić w Roździeńskiego.

Powiemci, Antoś, że w wielkim przedsięwzięciu uczestniczysz, wielkim powiedział kapitan Zdzichu tonem starego wygi, kiedy Antek przeciskał się Teatralną.

Ten księżulo, którego masz zwerbować, to tylko pomocniczy, mały werbunek, potrzebny do przeprowadzenia wielkiej, obliczonej na dekady gry operacyjnej.

Potem, jak będziesz tego Zielarza prowadził, to dowiesz się więcej, ale pamiętaj, Antoś, że to jest w kurwę ważne, rozumiesz?

Dawno się połapaliśmy, że czarnych nie da się tak poprostu niszczyć czy rozwalić, więc mądre głowy, wysokow centrali, wymyśliły coś innego.

No, ale na to jeszcze przyjdzie czas, itak się rozgadałem uciał nagle.

Antek pokiwał ze zrozumieniem głową.

Dzisiaj Klewka więcej nie powie, skoro się zmytygował, ale przecież mogą się napićjeszcze niejeden raz.

Kiedy byli na miejscu, kurwy czekały już pod blokiem.

Szarzyński przyjrzał się paniom, kiedy Klewka gramolił się z auta.

Były całkiem ładne, ubrane jak prostytutki przystało, jedna ruda, jedna blond.

Przywitali się, dziewczyny też były lekko wstawione, wjechali windą na ostatnie piętro, weszli do mieszkania, usiedli w dużym pokoju.

Antek postawił na stół flaszkę budafoka i cztery kieliszki.

Przypomniał sobie plakat z Patii Smith i nabrał ochoty na muzykę z jej pierwszej płyty, z "Horses".

Alkoholowo-muzyczne i filmowe pożądaniami były jednymi z niewielu natręctw, nad którymi Szarzyński nie potrafił zapanować, kiedy po wódce poczuł nagłą chęć na jakąś konkretną muzykę, płytę albo piosenkę, nieumiał się powstrzymać i przerzucał sterty swoich kaset, poupychanych w pudłach.

Te wyjął z szafy i zaczął w nich szperać, nie

zwracając uwagi na to, że Klewka już migdali się z jedną z prostytutek, a druga siedzi znudzona i pije kolejny kieliszek.

Nagle oświeciło go: przecież ma tona płyty, nie na kasecie.

Wstał, sięgnął do szafki, biała płyta z chudą brunetką na okładce stała pierwsza w kolejności.

Włożył ją do gramofonu, ustawił głośność i trzy fortepianowe akordy "Glorii".

Jesus died for somebody's sins, but not mine!

zaśpiewała Patti Smith.

Co to za szarpidrukie gówno?

zapytał Klewka, odrywając się od biustu rudej flamy, kiedy do fortepianu dołączyły gitary elektryczne i perkusja.

Kapitana gusty muzyczne pozostały gdzieś w późnych latach pięćdziesiątych, ale z obojętną łatwością akceptował wszystko, co posiadało wyraźną, miłą melodię i ujmujący tekst.

W tych kategoriach mieściło się "Słodkiego miłego życia" Kombi, ale na pewno nie wyjąca po angielsku Smith.

Był jednak na tyle pijany, że kiedy Szarzyński zignorował tę uwagę profana, wzruszył tylko ramionami i wrócił do obmacywania cycków swojej dziewczyny.

Piosenka rozpędzała się, Antek kiwał się stojąc i powtarzał bezgłośnie słowa za wokalistką i chórkami:

"dzi-el-oł-ar-ajej glooorija!

". Blond dziwka wstała i kręcąc biodrami w rytm muzyki, podeszła do młodego esbeka.

Dopiero teraz, kiedy wstała, zauważył, że dziewczyna ma na sobie bluzkę z napisem "No Future!

", glany, założone na siatkowe pończochy i trzy kolczyki w lewym uchu.

Punkowy uniform, uzupełniony skrajnie krótką mini, tak że aż można było uznać cały zestaw za właściwy strój do pracy.

Pierwszy raz widzę ubekę, który słucha Patti Smith powiedziała jasnowłosa prostytutka, wtulając się pośladkami w krocz Szarzyńskiego.

Pierwszy raz widzę punkującą kurewkę odparł pijany Szarzyński, kładąc ręce na biodrach dziewczyny.

Tańczyli, piosenka rozpędziła się już na dobre, żeby po pięciu minutach dobiec do końca, Szarzyński oderwał się od dziewczyny i zanim

116

igła przeskoczyła na drugi kawałek, uniósł ją przyciskiem i przestawił znowu na początek "Glorii", poczym odkręcił potencjometr wzmacniacza.

Jesus died for somebody's sins, but not mine!

zaśpiewała Patti Smith.

Nie, no kurwa, tak nie można ryknąć Klewka.

Chodź, Roksana, idziemy do pokoju obok, tu się nie da wytrzymać, jakiś hejwimetal, kurwa, normalnie!

Wstał, szarpnął swoją dziewczynę za rękę, dopił koniak z kieliszka i wyszedł, kierując się ku sypialni Szarzyńskiego.

Antek nie przejmował się starszym kolegą, bujał ze swoją prostytutką, która, w przeciwieństwie do rudej koleżanki, najwyraźniej bardzo dobrze się bawiła.

Podobał jej się ten przystojny, młody ubek z ładnym mieszkaniem.

Tańczyła, wtulała się w niego, a on przyciskał ją do piersi, jakby poderwał się, zwyczajnie, nadyskotece.

Czuła, jak bije mu serce, kiedy przyłożyła policzek do twardej piersi.

Zapytał, jak się nazywa.

Beata odpowiedziała po prostu, a Antek niezorientował się, że podała mu swoje prawdziwe imię.

Po kolejnym obrocie ustawił się bokiem do okna, tak że przytulona do jego piersi dziewczyna, która nie znała jego nazwiska i nie będzie jej danego poznać, patrzyła na nocne miasto, z dwudziestego

czwartego piętra Gwiazdy.

Podobał jej się ten widok.

Nie pracowała długow zawodzie, niezbyt często, tylko kiedy brakowało jej pieniędzy, Antek miał być dopiero jej czternastym klientem (jeszcze ich liczyła) i po raz pierwszy zrobiło jej się przykro, że z tym facetem pójdzie do łóżka za pieniądze.

Kiedy robiła to z poprzednimi, po prostu myślała o czymś innym, czekała aż skończą, inkasowała zapłatę, brała prysznic i starała się zapomnieć.

Im wystarczało, żemiała duże i jędrne cycki i ładny tyłek.

Teraz, pomyślała nawet, że wolałby, żeby ten jej nie płacił.

I ten widok z okna, taki piękny.

Patti Smith wyrzaskiwała tekst piosenki.

Tuląca się do Szarzyńskiego dziwka nie zrozumiała ani słowa, ale Antek owszem.

Pociągnął dziewczynę, usiadł na tapczanie, a panienkę posadził sobie na kolanach.

Zaczęli się całować.

Dziewczyna spojrzała jeszcze raz na światła Katowic za oknem i pomyślała, że jeżeli będzie dobra, bardzo dobra, pełna ognia, to może kiedyś wróci do tego mieszkania na dłużej.

Wepchnęła język w usta swojego klienta, który wcale nie musiałby być jej klientem.

Obudził ją bardzo wcześnie rano, potrząsając delikatnie za ramię.

Wstawaj, dziewczyno, już czas powieść.

Otworzyła oczy.

Roma, jej ruda koleżanka stała w drzwiach, ubrana i gotowa do wyjścia.

Za oknem dniało.

Nowstawaj, laska, musisz spadać.

Kasa leży na stoliku, bierz i spadaj powtórzył.

Kiwnęła głową, wstała, nie ukrywając swojej nagości; Roma ze swymi obwisłymi cyckami może jej tylko zazdrościć, a ten tutaj, gbur, i tak wszystko widział.

Pewnie już nie pamięta nawet, jak ma na imię.

Naciągnęła szybko ciuzki, wsunęła stopy do gładów-rumunek, zwinęła banknoty ze stolika i wyszła, za starszą koleżanką, zaciskając usta.

Roma przytuliła dziewczynę.

Młoda rozplakała się, cicho, bezszlochania.

Teroski bećys, dzousko, nalecos ty myslaua, aże tyn karlusi bydże prou, ynobestuż, żesće še tammamlali i kulali?

powiedziała doświadczona prostytutka do młodej, pośląsku, bo inaczej nie potrafiła.

Winda huczała.

Beat przycisnęła noskiem do sunących w górę szarych drzwi i patrzyła na znaczący farbeczarny ślad.

Kiedy dziwki wyszły, zaczął się zbierać Klewka, przygnieciony ogromnym kacem fizjologicznym i lekkim moralnym, zewzględu na żonę, która w sosnowieckim bloku siedzi jak na szpilkach, razem z dwójką dzieciaków, nie wiedząc, co się z nim dzieje.

118

Antoś, ja będę leciał powiedział z bolałym głosem kapitan, zaglądając do dużego pokoju, w którym Antek spał.

No, to trzym się Zdzichu, leć odpowiedział Szarzyński, udając, że ma kaca tak ciężkiego, iż uniemożliwia mu podjęcie normalnych działań gospodarza względem wychodzącego gościa. W rzeczywistości wcale nie czuł się tak źle, ale nie chciało mu się wstawać, jeszcze by Klewka wymyślił, że zostanie na śniadaniu.

Kiedy za kapitanem zamknęły się drzwi, poleżał chwilę z zamkniętymi oczami, ale uznał, że i tak już nie zaśnie, więc wstał i zrobił sobie śniadanie na kaca: jajecznicę, kefir, mocna kawa.

Wziął do ręki ostatni numer amerykańskiego "Playboya", który udało mu się zdobyć, z kwietnia bieżącego roku, otworzył na opowiadaniu i z trudem przegryzał się przez literacką angielszczyznę, łykając jajecznicę.

Zastanowił go pewne słówko i poszedł nawet do pokoju, żeby je sprawdzić w słowniku, ale nie znalazł.

Po śniadaniu wziął długi prysznic.

W przedpokoju miał duże lustro, tak duże, że mógł się obejrzeć cały, wyszedł nagi z łazienki, prosto spod tuszu, ociekając jeszcze wodą i zostawiając mokre ślady nawykładzinie i patrzył długo na swoje ciało, przeżył bicepsy, uda, mięśnie na piersiach i na brzuchu.

Nie miał prawie wcale owłosienia na ciele, tylko na podbrzuszu i pod pachami, i małą kępkę jasnych, cienkich włosów na mostku.

Stwierdził, poraz kolejny, że jest piękny.

Tylko fiut jakoś szpeci szlachetność męskiego ciała, pewnie dlatego antyczne rzeźbyz licealnego podrećznika, którym domalowywali wielkie fujarydługopisami, miały takie maleńkie, symboliczne genitalia.

Bo tutajopalona, wolna od skaz skóra opięta ciasno natwardymkorpusie, ani grama tłuszczu na brzuchu, wyrzeźbione bicepsy, uda, łydki; wszystko twarde i skóra tak naprężona, że nie da się nawetuszczypnąć, na podbrzuszu mięśnie układają się w linie jakw pudle skrzypiec, a niżej wisi taki ciężki flak luźnej skóry, ciemniejszej niż ciało, pomarszczona moszna i wszystko to jeszcze poro119.

śnięte rzadkimi kudłami.

To tak, jakby Dawidowi, wyrzeźbionemu przez Michała Anioła, ktoś doczepił ogon albo nos z marchwi.

A zerekcją jest jeszcze inaczej, bo taki obwisły, zmarszczony kutas jest brzydki, a z erekcją każdy facet wygląda groteskowo, jak Pnąć albo faun jakiś, śmieszny i chutliwy bożek z greckich waz.

Uśmiechną się, włożył dzinsy i koszulę z krótkim rękawem.

Pomyślał, że skoro jest sobota, pójdzie do pracy trochę później, więc włączył telewizor.

Leciał "Tydzień na działce", więc od razu zgasił aparat, zanim lampa się dobrze rozgrzała i usiadł nachwilęw rozbebeszonej pościeli, pachnącej jeszcze tanimi perfumami i seksem.

Posiedział trochę i kiedy zrozumiał, że nie ma w domu nic doroboty, postanowił zebrać się pojechać do pracy od razu.

Musi sobie jakieś filmy nowe załatwić albo kupić commodore.

Zabrał broń, legitymację, dokumenty i kluczyki, zbiegł dwadzieścia dwa piętra po schodach, żeby rozruszać mięśnie i stawy.

Na dole wsadził rękę pod koszulę, dotknął pleców i uśmiechną się skóra nie była nawet wilgotna od potu.

Na parkingu nałożył okulary przeciwsłoneczne, otworzył drzwi, odpalił silnik, nie siadając na fotelu i włączył klimatyzację.

Oparł się o maskę i poczekał, aż schłodzi się rozgrzane jak piec hutniczy wnętrze alfy.

Wsiadł i pojechał do firmy, włączając The Clash.

W biurze rozparł się na krześle, wywalił nogi na blat biurka, Klewka i Miciński raczej się nie pojawiają.

Zanim zdążył uspokoić myśli i opracować w głowie plan dnia, rozdzwonił się telefon, lampa wskazywała na rozmowę zewnętrzną.

Odebrał.

Słucham.

Tutaj Skowronek.

Miałem zadzwonić.

wyszeptał konspiracyjnym głosem Marcin Niezgoda.

No, słucham.

Pan porucznik Gazurek, tak?

upewnił się informator.

Tak.

A więc, tak jak pan sobie życzył, umówiłem się z księ

120

dzem Zielerzem dzisiaj o dziewiętnastej na polu namiotowym w Lesie Murckowskim.

Stamtąd może pan pójść za nami, zaprowadzę go w jakieś miejsce, gdzie będzie się dało zrobić zdjęcie.

Dobra.

Postarajcie się, Skowronek, lepiej, żeby mi się nawas niezawiodł powiedział Szarzyński sucho i odłożył słuchawkę.

Zdał sobie sprawę, że nie ma odpowiedniego aparatu fotograficznego, a nie może poprosić o to Wydziału B, bo musiałby rozpoczynać całą oficjalną procedurę założenia obserwacji i mógłby wyjść z tego jakiś problem, bo czemu niby oficer dwójki idzie i tłucze tajnego współpracownika, którego prowadzi od dwóch lat Wydział Trzeci?

Wypisał więc zapotrzebowanie do sekretariatu na aparat z dobrym, jasnym teleobiektywem i cztery rolki bardzo czułego filmu, podpisał się, sprawdził w lustrze nad umywalką w pokoju, czy nie macze goś na zębach i poszedł spotkać się Cegłą, Sraką i panią Alicją.

Wszedł, przywitał się gromkim "dzień dobry wszystkim", patrząc wyłącznie na panią Kazimierczak.

Sraka sumowała jakieś tasiemcowe długie zestawienie, skupiła się na tym cała kowiciej nie

podniosła nawet głowy.

Ceglarek siedział na fotelu, gapiąc się na sufit i tylko na chwilę oderwał się od tego zajęcia, czekał na czternastą, o czternastej wyjdzie z firmy i pójdzie w tango.

Pani Alicjo, byłaby pani tak uprzejma i załatwiłami to zapotrzebowanie dzisiaj jeszcze? zapytał formalnie, podchodząc do jej biurka i gapiąc się na dziewczynę spojrzeniem zupełnie nieformalnym.

Wręczył jej dokument.

Spojrzała, przebiegła wzrokiem.

Oczywiście, obywatelu podporuczniku.

Chodźmy, załatwimy to od razu, tylko wypiszemy nowy papier o parła.

Nakreśliła parę słów na niewielkim druczku i wyszli.

Dziś wyglądała jeszcze lepiej niż wczoraj.

Włożyła czarną sukienkę Antekszedł za Alicją, patrzył na kwadratowy, niezbyt duży dekolt na plecach i myślał o tym, jak dziewczyna rano wkłada ten ciuszek

z cieniutkiej welenki, jak lekko chropowaty materiał trze o nagąskórę porośniętą niewidzialnymi włoskami.

Sukienkę uszył niekrawiec, a geniusz, który patrzył na tę kobietę jak na dzieło sztuki stworzył dla tego dzieła sztuki godną oprawę, tak dobrze czarnymateriał podkreślał rasowe piękno figury pani Kazimierczak.

Szarzyński poczuł, że pozwala sobie na zbyt wiele; może stracić czujność i panowanie nad sobą.

Oderwał więc wzrok od pleców pani Alicji i pomyślał o opasłym ciele pani Kupały.

Wystarczyło.

Wsiedli do windy, Szarzyński uprzejmie przepuścił panią Kazimierczak w drzwiach, zamknął je delikatnie, nacisnął przycisk kierujący ich na pierwsze piętro i ruszyli.

Sądzi pani, że istotnie udasię dzisiaj, od ręki ten aparat załatwić?

zapytał, ciągle nie łamiąc bariery formalności kontaktów.

Panie podporuczniku, jesteście zapewne rówieśnikami, pracujemy w tej samej firmie, może przejdźmy na ty, co pan nato?

zaproponowała.

Antek uśmiechnął się szeroko.

Oczywiście.

Wyciągnęła ku niemu rękę:

Alicja.

Antek odpowiedział i uściśnął jej wąską dłoń o długich palcach.

Paznokcie miała przycięte krótko.

Dlaczego zawsze ma takie szczęście?

Kobieta, której jeszcze nie zaczął nawet uwodzić, mężatka, sama proponuje mu przejście na ty, właśnie wtedy, kiedy zaczął myśleć nad tym, w jaki sposób może przełamać barierę formalnego kontaktu.

Gdyby nie to, zelos sprzyjał mu odkąd pamiętał, to podejrzewałby nawet, że on również ma jakieś plany wobec niego.

Kiedyś, kiedy był młodszy, sądził, że tym nieustającym fartem ktoś albo coś próbuje mu powetować to wielkie nieszczęście, jakie dotknęło go, kiedy był niemowlęciem, tę złą matkę, która porzuciła go zaraz po urodzeniu, zabierając mu szansę na normalne dzieciństwo.

Swoją drogą,

kim byłby teraz?

Może to była jakaś dziewczyna z bytomskiego familoka, która nie chciała być zowitkiem, jak Ślązacy określali panny z dzieckiem, aby jasno odciąć je od społeczności "porządnych" ludzi i zapewnić im paskudne życie.

Gdyby była skłonna wziąć na siebie to poświęcenie, może byłby teraz górnikiem w kopalni KWK Knurów?

Może nawet zrucałby mutrami w zomowców?

Biorąc pod uwagę wysokie prawdopodobieństwo takiej sytuacji bo jaka inna, jeśli nie przerażona konsekwencjami matka, podrzuca swoje dziecko do szpitala trudno nie uznać, że powinien być mamiewdzięczny, bo jednak woli siebie samego w tej roli, w jakiej dane jest mu występować.

Widzi czasem swoich rówieśników, wyglądających na dziesięć lat starszych, jak wracają tramwajami do domów, z czarnymi obwódkami węgla wokół oczu pod paznokciami, ten osad nie schodzi nawet wtedy, kiedy trągo szczotkami w łazniach, w których kąpią się po pracy.

Może i jego matce jakoś życie się ułożyło, lepiej, niż gdyby została przy nim.

Stosunkowo niedawno dopiero, kiedy wyprowadził się do Krakowa, przemysłał nanowo to przekonanie, które wcześniej traktował jak aksjomat, i zdziwił się, jak mógł tak długo wyobrażać sobie, że w świecie jest jakaś równowaga sprawiedliwości.

Był przecież tacy, którym w dzieciństwie wydarzyło się takie samonieszczęście jak jemu, a reszta ich życia nie była seria sukcesów, lecz dalszym pogłębianiem porażki, z bidula do kryminału, z kryminału do pierdła, z pierdła na ulicę, w chłanie, izby, szpital i państwowy grób na komunalnym

omentarzu.

Dopiero wtedy, również nastędnym razem, przestał myśleć, że może być ktoś albo coś, co decyduje, komu jak się wiedzie; teraz był pewien, że nie ma niczego poza przypadkiem.

A gdyby zachorował tego dnia, w którym Drzewiecki przyjechał do biduła w Pilchowicach?

Winda zatrzymała się nadole i po krótkim spacerze Anteki Alicja stanęła przed drzwiami do pomieszczeń Wydziału B.

Zaczekaj tutaj, po co mają wiedzieć, że ten aparat to akurat

122123.

dla ciebie powiedziała, nie przestając się uśmiechać, weszła wyszła po paru minutach, niosąc w dłoniach cztery rolki filmu, czarnego pentaxa z teleobiektywem wielkości niedużej gaśnicy i dwa futerały.

Rzucił się uwalniać ją od tego ciężaru, podtrzymała aparat i ich dłonie ponownie się spotkały.

Powstrzymała go.

Podpisz kwit, tutaj tutaj.

Dostajesz aparat, teleobiektyw, obiektyw normalny, dwierolki czułego filmu, dwie normalnego.

Sprawdź, czy się wszystko zgadza.

Nie sprawdził, podpisał gdzie prosiła i powiedział:

Alicja, nie możesz mi odmówić.

Załatwiłaś mi to ekspresowo, a jeszczeza dodatek mamy bruderszaft do wypicia.

Zapraszam na kawę do "Europy".

Wyjdziemysobie terazna trzy kwadransy, wezmę wóz, dzisiaj w końcu jest sobota, prawda?

Patrzyła na niego z uśmiechem, bawiąc się jego niepewnością, a Antek rzeczywiście obawiał się, że odmówi.

Dobrze, ale tylko nachwilkę.

I żebyśmy pewne sprawy wyjaśnili sobie od razu.

Podawała mu aparat i podniosła prawą rękę, pokazując obrączkę.

Jestem mężatką.

Idziemy na kawę jak koledzy z pracy, nie na randkę.

Okej?

Oczywiście, że tak.

Żadnych innych zamiarów nie mam!

zapewnił gorąco.

Chodźmy od razu.

Pewnie, że jest mężatką.

Ale na kawę dała się zaprosić, więc można od razu założyć, że albo nie jest w małżeństwie szczęśliwa, albo bliższe są jej rewolucyjne koncepcje Aleksandry Kołontaj niż socjalistyczna przaśność erotyczna w stylu późnego Gomułki.

Wyszli z komendy, Antek z rewerencją otworzył przed Alicją drzwi, włożył sprzęt fotograficzny na tylne siedzenie, uruchomił silnik i klimatyzację, z satysfakcją stwierdzając, że alfa romeo zrobiła odpowiedni wrażenie.

Prowadził spokojnie, chociaż silnik mrucał, niezadowolony z emeryckiej jazdy, zaparkował na Mickiewicza i weszli do "Europy".

Po paru minutach zdruzzona kelnerka podeszła do stolika, Antek zamówił dwie kawy i dwa koniaki, Alicja protestowała dla przyzwoitości, ale łatwo dała się przekonać.

124

Do kawiarni zabrał aparat.

Odłączył teraz teleobiektyw, założył czarno-biały film i zwykłą soczewkę i zrobił Alicji zdjęcie.

I następne.

Wyglądała naprawdę pięknie, opalona, na tle czarnych szyb, wypełniających najelegantszy lokal Katowic, oświetlona przez filtrowany przez witrynę słońcem.

Sądził, że będzie się krygowała, broniła, jak to kobiety lubią, gadała coś o tym, że jest nieuczesała albo bez makijażu, ale Alicja była świadoma swojej urody.

Nie protestowała, kiedy podniósł aparat, popatrzyła w czarne oko obiektywu spojrzeniem zza długich rzęs, odgarnęła włosy i pozwoliła się fotografować.

Kelnerka przyniosła zamówione kawy i alkohol, patrząc na Antka z pogardliwą niechęcią, kiedy tylko zauważyła, że ten fotografuje swoją towarzyszkę.

Szarzyński uśmiechnął się ciepło.

Siedzieli nad całkiem smaczną kawą, wzbogaconą aromatem czeskiej brandy i w zasadzie nie rozmawiali wiele.

Antek nie miał ochoty na zwykłą w takiej sytuacji rozmowę, na "poznawanie się" gdzie chodziłaś do szkoły, do liceum, a znasz tego, a rodzice co robią.

Głupie takie pieprzenie.

Nie miał też ochoty na gadanie o filmach czy o muzyce.

Lady Pank, gra i trąbi zespół Kombi, ona chyba też nie.

Siedzieli więc, wymieniali uwagi, coś o pracy, o smaku kawy, o upale, o wakacjach, o kąpieliskach o czasach w Uście.

Rzucali tylko dwa albo trzy zdania oboje po prostu cieszyli się chwilą w obecności pięknego przedstawiciela płci odmiennej, pięknego samca i pięknej samicy.

Kiedy to zrozumiał, uzmysłowił sobie, że Alicji musi tego brakować.

A to znaczy, że w jej małżeństwie coś musi być nie tak, jej mąż jest chamem albo głupcem, brzuchatym i wąsatym wieprzem, chłepczącym piwem i śmierdzącym potem, i to długonogie zjawisko o miękkich włosach całością swojego sprężystego, młodego ciała pragnie i potrzebuje dotyku dłoni naprawdę męskich, szczupłego i smukłego ciała młodego mężczyzny.

Może resztą jej mąż jest chuderlawym konusem w grubych okularach,

adiunktem albo asystentem na uniwerku, z zapadniętą klatką piersiową, świszczącym oddechem i zmrużonymi oczami kreta, który dotyka jej piersi palcami żółtymi od papierosów. Czuł wyraźnie, że dla tego właśnie Alicja tak cieszy się Antkową obecnością; czuje, że to jest właśnie taki mężczyzna, na jakiego zasługuje jej ciało, mężczyzna z jej własnego gatunku.

Że jemu brakuje tej samiczej obecności, to jasne, sypia tylko z prostytutkami.

Jest piękny i młody i nie musiałby zato płacić, ale to najprostsze i najszybsze.

Przed kurwami nie musiałby wstydzić, że jest esbekiem, bo i on, i one, i cinkciarze, izłodzieje, pochodzą z tej samej kloaki.

To taki zabawny paradoks, z jednej strony stoją na samym szczycie peerelowskiej hierarchii, dostępne są im dobra i luksusy niedostępne prołom.

Czasami miał nawet wrażenie, że w całym tym smutnym kraju, tylko oni, czekiści, żyją naprawdę, życiem, od którego coś zależy, które naprawdę się dzieje, życiem, w którym jest zadanie, odpowiedzialność i kara albo nagroda, a nie w tym wielkim udawaniu, które codziennie, od siódmej do piętnastej, uprawia cała reszta.

Opierdalają się pracy, udając, że pracują, państwo opierdalają się w swoich funkcjach państwa, udając, że im płaci udawanymi pieniędzmi za swoje udawane pieniądze idą do niby-sklepów i są szczęśliwi, jak uda im się kupić wyrób czekoladopodobny.

A u nich, w resorcie, wszystko jest prawdziwe.

Wykonuj prawdziwą pracę, w resorcie naprawdę istnieje współzawodnictwo, z resortu można wylecieć, można i awansować.

Oficer operacyjny to chyba jedyna praca w całym PRL, którą można stracić z kieszonki.

A jednocześnie, społeczeństwo nim gardzi.

Mocni są w gębie, między sobą, sława nam i naszym towarzyszom a chujni poszli na chuj! , ale Antek wiedział dobrze, że prawie każdy z kolegów błogosławił resortowy obowiązek konspirowania faktury w służbie, bo wstydził się tym mówić różnym wujkom, ciociom i szwagrom, na rodzinnych zjazdach.

Oczywiście i taksję wszyscy domyślali, ale póki sprawa nie była otwarcie wypłacona 126
wiedziana, dało się grać szopkę.

Bo przecież z ubołem by przystołe nie usiedli, az miłym kuzynem Frankiem czy Mankiem, który pracuje w ministerstwie, to można.

A że kuzyn Franek czy Maniek coś tam czasem może załatwić, to tym lepiej, wszyscy wszystkim coś załatwiają.

Wyobrażał sobie nawet, że z kurwami jest podobnie jeśli mają jakieś rodziny, to o tym, skąd Ola albo Ania biorą pieniądze na kosmetyki z Peweksu, po prostu się nie mówi, póki rzecz nie zostanie wypowiedziana.

Bo z kurwą też by do stołunie usiedli.

Dlatego między innymi już jakiś czas temu porzucił romanse i wystarczy mu prostytutki, ale z Alicją jest inaczej, bo kiedy siedzą tutaj razem, to przecież cały problem w ogóle nie istnieje.

I dlatego właśnie jest tak cudownie.

Wypili w końcu podwie kawę dwa koniaki, Kazimierzak była nawet lekko zawiana, wyszli z chłodnej "Europy" na wypełniającą katowicką ulicę skwar, zanurzyli się w klimatyzowanych chłodniach i wrócili na komendę.

Pozegnali się wyczajnie, bezczułości czy zbędnej serdeczności, cześć cześć, i tyle, ale Antek był pewien, że Alicja czuje i wie to samo, co on.

Był dobrej myśli, ale nie byłby czekistą, gdyby nie pamiętało leninowskiej zasady ufać jest dobrze, ale kontrolować lepiej.

Kiedy więc rozstali się na korytarzu komendy, nie wrócił do pokoju, tylko zszedł z powrotem na parking, do samochodu i pojechał do Orbisu, do wypożyczalni samochodów.

Czerwona alfa Romeo jest wspaniała, ale czasem zbyt truća się w oczy.

Na wieczór, na obserwację TW Skowronka, mógł oczywiście wziąć któryś ze służbowych dużych

fiatów, ale pomyślał, że Alicję Kazimierczak też chciałby dyskretnie odprowadzić do domu, a służbowego fiata to rozpozna chyba nawet taki pół-cywil jak pracownica sekretariatu, zwłaszcza jeżeli jest pracownicą sekretariatu w Strukturze. Zaparkował więc alfę na parkingu wypożyczalni, dał ciociowi stówę i przykaz, żeby uważnie auta pilnował, po czym cierpliwie wypełnił papierki chociaż świerzyło go,

żeby machnąć urzędasowi szmatą i niech sam wypełnia.
Po chwili wyjechał z wypożyczalni zielonym polonezem.

Do biura już nie wrócił.

Zaparkował na Lompy, tak że widziało z trzech wyjść z komendy, którym Kazimierczak wyjdzie czyli to po prawej stronie, esbeckie i czekał.

Wyszła po dwóch godzinach.

Na parkingu wsiadła do błękitnego malucha i pochwiliutko, podskakująca wybojach, wyjechało drugą stroną parkingu.

Antek zaklął pod nosem, zawróciłszybko, przejechał pod komendą, dwa razypokazując legitymację milicjantom-strażnikom, iwypadł naFrancuską za błękitnymfiacikiem.

Przycisnął na gaz, polonez w porównaniu do alfy nie był zbyt dynamiczny, ale malucha dogonił. Założył wielkie okulary przeciwsłoneczne, które zakrywały mutwarz od kości policzkowych do połowy czoła.

W zasadzie chciał tylko poznać adres Alicji.

Pewnie mógł po prostu zapytać Klewkę albo kogoś, by sprawdzili w papierach i powiedzieli, ale wolał dowiedzieć się sam.

Po chwili przyszło mu do głowy, że mógł zapytać Alicję, tak po prostu, gdzie mieszkasz?

Wolał jednak pracę operacyjną od zadawania pytań.

Jechała powoli, ostrożnie, bardzo po babsku.

Kierowała się Francuską do centrum, dotarła do ronda i w końcu zaparkowała na jednym z bezkresnych parkingów Tauzena, jak autochtoni nazywali osiedle Tysiąclecia.

Swoją drogą, niezły paradoks, tysiąclecie państwa polskiego, a ci na to mówią po niemiecku, Tauzen.

Wysiadła z samochodu i swoim eleganckim, lekko rozkołysanym krokiem szła, stawiając stopy w jednej linii, krokiem, który bardziej pasowałby, jak się nagle Antkowi wydało, do paryskiego albo nowojorskiego bulwaru, nie do katowickiego asfaltu.

Jakby nie było ciężkiego skwaru, który rozgrzewała pełne hutniczych wyziewów powietrze, aż całe miasto śmierdziało jak koksownia.

Zapamiętał, do której weszła klatki, odczekał chwilę, po czym wysiadł, przespacerował się po martwym trawniku, straszającym

128

paroma zeschniętymi kępami brązowej trawy, minął śmietnik, cuchnący smrodem kiszących się w rozgrzanej blasze odpadkówi wszedł doklatki.

Sprawdził na spisie lokatorów, mieszkaniem drugim piętrze, Jacek Kazimierczak.

Jakoś sympatycznie zabrzmiało mu to imię, Jacek.

Przestraszył się tej sympatyczności.

Pewność, którą czuł w "Europie" zachwiała się, a Antek poczuł nagły przypływ żądy.

Może ten Jacek nie jest taki żaloszny, może właśnie teraz chwyta ją za kark, przegina nad kuchennym stołem, zadziera sukienkę i zaczyna pieprzyć, zaczyna pieprzyć swoją żonę, która należy do Antka.

Biegł, przeskakiwał naraz potrzy stopnie.

Może jest sam w domu, może otworzy mu, zaskoczona, ale on nie daje czasu na zadawanie pytań, po prostu wejdzie.

Stanął przed drzwiami z buro-popielatejskiej, nacisnął na przycisk dzwonka.

Czekał, aż mu otworzy, spojrzy zaskoczona, ale przecież zrozumie, nie powie ani słowa, poda mu klucz, a on ją przeleci w jej własnym mieszkaniu, może nawet na łóżku, na którym pieprzy ją jej mąż.

Drzwi uchyliły się, na ile pozwalał łańcuszek.

Słucham pana?

zapytał nieśmiało chudy facet w podkoszulku i szortach.

Antek oprzytomniał natychmiast.

Alicji nie było w zasięgu wzroku, wydawało mu się, że słyszy szum prysznic, więc rzecz jest do

uratowania.

Przepraszam, czy tu mieszka pan Nowacki?
zapytał cicho, przypominając sobie nazwisko zespisu.

Nie, pomylił pan piętra, Nowacki to na piątym odpowiedział facet i zamknął drzwi, zanim Antek zdążył mu podziękować.

Mąż Alicji nie był ani tłustym chamusiem, ani niewydarzonym mikrusem z uniwerka, ale był nijaki i w swojej nijakości nie stanowił żadnej konkurencji.

Antek uspokoił się i zszedł nadół.

Wsiadł do samochodu i uznał, że skoro już jest na Tauzenie, to może zaopatrzyć się w nowe filmy, przejechał więc dwieście metrów.

trów i wstąpił pod znany adres, gdzie mieszkało trzech studentów filologii angielskiej, z których jeden posiadał ojca w Centrali Handlu Zagranicznego.

Chłopcy sprowadzali z Niemiec filmy nakasetach wideo, kopiowali je, podkładając jednocześnie na jakimś komplikowanym sprzęcie własny głos jako głos lektora, czytając swoje tłumaczenia ze słuchu.

Wziął trzy tytuły, nachylił trafił, byle były amerykańskie i sensacyjne albo wojenne, żadnych komedii ani romansów.

W osiedlowym sklepiku kupił dwie butle coca-coli i pojechał wypożyczonym polonezem do domu. Wjechał windą na swoje ostatnie piętro, włożył colę do zamrażalnika, pierwszą z brzegu kasetę włożył do odtwarzacza i rzucił się na fotel.

W mieszkaniu panował skwar, więc rozebrał się do naga i gapił się na czołówkę.

Szły jakieś hitlerowskie dokumentalne zdjęcia, początek był chyba urwany, dzieci śpiewały niemiecką piosenkę i Antek nie bardzo wiedział, co o tym myśleć, aż w końcu na czerwonym tle wyświetliły się gotykiem litery "Sam Peckinpah" i studencki, odrobinę piskliwy głosik powiedział: "Żelazny Krzyż".

Przypomniał sobie, że Klewka opowiadał mu o tym filmie, oburzony, że James Coburn gra hitlerowca i że Amerykanie zrobili film, w którym hitlerowcy to nie są źli, którzy kładą się jak łany zboża pod kosą, kiedy Gustlik tnie z pepeszy, tylko są normalnie, żołnierzami, głównymi bohaterami.

Skoro Klewka był oburzony, to film dobrze się zapowiada.

W pierwszej scenie James Coburn razem z kompanią zarośniętych hipisów przebranych w niemieckie mundury wykańcza paru krasnoarmiejców na stanowisku moździerzy i zostaje tylko młodzieńki chłopiec, blondynek z hełmem nasadzonym na czuprynkę.

Antek łatwo wciągnął się w film, zaciągnął zasłony, kiedy słońce zaświeciło mu dopokoju, po godzinie dał pauzę, przełożył colę z zamrażalnika do lodówki, nalał sobie wielkiego kufła z jakiejś barbowej karczmy piwnej, na której wcale nie był, i gapił się w telewizor.

Film się skończył, Antek zrobił sobie 'na obiad' kopiasty talerz kanapek, pożarł wszystko, popijając drugą butelką coli,

130

spojrzała na zegarek, który zachował na lewym nadgarstku jako jedyny element stroju, i uznał, że już czas.

Ubrał się, z obrzydzeniem zakładając gumki służbowej kaburyna gołęciało, zabrał aparat i zbiegł do auta.

Upał jeszcze nie odpuszczył, mimo że było po szóstej.

Wyjechał na Roździeńskiego, na ślimaku skręcił w Murckowską, która dalej zamieniła się w Pszczyńską, przed Giszowcem skręcił w las, właściwie w Katowicki Park Leśny, w ulicę "73 Pułku Piechoty", jak informowała zardzewiała tabliczka.

Cóż to był za pułk, jakiej piechoty, kiedy i dlaczego gozdzien był ulicy Antek nie wiedział.

Rozmyślał o tym nawet przez chwilę, militarnie poruszony obejrzanym właśnie filmem, ale po paru minutach zobaczył tablicę pola namiotowego, skręcił i zaparkował z boku, między paroma rachitycznymi misosnami, obok domku, stanowiącego zapewne kwaterę zarządcy kempingu.

Rozejrzał się dookoła po drugiej stronie drogi torowisko porośnięte wysoką trawą, która nie zdążyła jeszcze uschnąć w skwarze, dobrze napojona tygodniami ulew.

Między torami jakieś rozsypane się budki z szarych pustaków, które ktoś kiedyś postawił nie wiadomo po co, gnijące pod gołym niebem belki, absurdalne kawały betonu, zesterzającymi żelaznymi rudymi drutami zbrojeń, niby współczesne, abstrakcyjne rzeźby, nasypy i rowy, i tory, podwójne nitki torów.

Po tej stronie rozciągał się porastający industrialne nieużytki, mamy, skarłały od dymów z koksowni ale jednak, las.

Swoją drogą, człowiek, który wymyślił pole namiotowe w tym miejscu, prawdopodobnie zrobił to, wbijając szpilkę w zachęcająco zieloną plamę na planie Katowic.

Na mapie, nawet na takiej samochodowej, jaką Antek miał w alfie, prezentuje się to całkiem pięknie.

Namiejscu, rzecz wyglądała zupełnie absurdalnie, a jednak ktoś, jeszcze głupszy jakwidać od miejskiego czy wojewódzkiego planisty, rozbił tutaj pomarańczowo-zielony namiot.

Kiedy tylko Antek zgasił silnik, zaraz przypałętaliśmy jakiś nudzony i chyba nieco wcięty cieć, Szarzyński w zasadzie powi- 131.

nien zrobić wszystko jak trzeba, zapłacić, wziąć kwitek i rozliczyć z funduszu operacyjnego, ale nie chciało mu się gadać z bucem, więc kiedy buc pukał w okno poloneza, przykleił tylko doszyby firmową szmatę i buc zniknął szybciej, niż się pojawił.

Nie wysiadał na razie z samochodu, rozejrzał się po polu.

Ani Niezgody, ani księdza jeszcze nie było.

Zwinął film, na którym

utrzymał parę portretów Alicji, założył bardzo czuły, energiczny, "zmienił zwykłe szkło na potężny teleobiektyw i kiedy spojrzął parę razy na światłokiem potężnej optyki, w kadr sam wlał muksiażdź Zielarza, nieudolnie ubrany po cywilnemu, rozglądając się podejrzliwie dookoła.

Pstryknął migawką bez zastanowienia.

Pomyślał, że pierwsze zdjęcie i tak się zmarnuje, ustawił właściwą przesłonę i czas naświetlania, dużym pokrętelem zgrał ostrości sfotografował księdza po raz drugi.

Zielarz usiadł na ławie, bylejak skleconej z sosnowych pni, wyciągnął papierosa i zapalił.

Był dobre sto metrów od Antka, więc ten nie musiał się ukrywać aparatem.

W TEOK nie było niczego o tytoniowym nałogui Szarzyński uznał, że albo Zielarz się z tym nałogiem ukrywa, albo chce się zamaskować, stwierdzając, że papieros uwiarygodni jego cywilny wygląd.

Księdzem wstrząsnął parę razy kaszel, Antek uznał więc, że chodzi o kamuflaż.

Z szacunkiem pomyślał o księzowskiej inteligencji, nie każdy klecha tak profesjonalnie podszedłby do przebieranek.

Trzasnął kilka kolejnych fotek.

Zdjęcie z papierosem tonie kompromat, niestety, ale zawsze może się przydać.

A nuż teraz werbunek zostanie odwołany albo się nie powiedzie i jakiś inny oficer wróci doń za pół roku i będzie mógł zastrzelić księżula mimochodem podaną informacją, że słyszeliśmy, że ksiądz się po cywilu wymyka na polana namiotowe, palić papierosy.

Albo nie, lepiej jeszcze, częściej się go papierosem, on się wymawia, dziękuję, nie palę, a werbujący oficer marszczy czoło, mówi coś w stylu: "dałbym głowę, że widziałem.

", grzebie w papierach wali z grubej rury, że pół roku temu jeszcze ksiądz palił, po cywilnemu, na polu namiotowym na Muchowcu.

On już dawno tego nie pamięta, bo kto pamięta papierosa zapalonego pół roku wcześniej, ale grzebie w pamięci, grzebie i w końcu się dogrzebuje, jest, rzeczywiście palił wtedy.

I jak się czuje księżulo względem resortu?

Czujesz się malutki, wiedzą mnie więcej, niż ja sam wiem o sobie, wiedzą wszystko, przypomina sobie wszystkie grzeszki, które gdzieś tam popełnił i zdejmują go strach, że to też wiedzą.

I pęka, i już jest gotowy.

Nie, zdecydowanie nie ma czegoś takiego jak nieważna informacja, pomyślał Antek i pstryknął jeszcze parę zdjęć, nie odrywając aparatu od twarzy.

Fachowo kciukiem ciągnął dźwignię przewijania filmu i palcem wskazującym naciskał migawkę, jakby odwrócił kurek i strzelał z kowbojskiego rewolweru.

Obsługa aparatu fotograficznego ma wiele wspólnego z obsługą broni, w gruncie rzeczy to są te same czynności, dłoń obsługuje prostą w swojej istocie maszynę bo co to jest pistolet, kawał rury zamkniętej z jednej strony, a aparat pudełko z dziurką skomplikowaną jednak mechanicznym wdziękiem tych wszystkich małych śrubek, sprężynek, dźwigni, cięgieł i zatrzasków.

W jego rękach służy nawet temu samemu celowi.

W obiektywie Antka Zielarz uniósł się z siedziska.

Szarzyński podążył za nim swoim uzbrojonym w soczewki i pryzmat okiem i zobaczył, jak do księdza długim, rozkolebanym krokiem zbliżył się Marcin Niezgoda.

Informator nerwowo rozglądał się dookoła, jakby się bał, że jest obserwowany a przecież wiedział, że jest.

Gdyby spojrzął w lewo i zauważył poloneza zaparkowanego obok budki kicięcia, mógłby się nawet domyśleć, że to z tego pojazdu obserwacja jest prowadzona.

Ale nie spojrział.

Podszedł do księdza z rękami wbitymi w kieszenie i wzrokiem wbitym w glebę, przywitał się jakoś nieśmiało, powiedział parę słów. Antek domyślił się, że proponuje spacer i poszli.

Oczekał chwilę, wyszedł z auta i poszedł za nimi.

Śledzenie i obserwację w terenach leśnych trenowali w szkole możejnie tak dokładnie istaran133.

nie jak zwykle, miejskie zakładanie obserwacji na pacjenta, aletrochę się po krzakach Szarzyński za innymi kursantami nabiegał, więc wiedział, jak iść za księdzem i Niezgoda, aby ich niezgubić i żeby jednocześnie się nie zdekonspirować.

Musiał się trochę nabiegać, między drzewami, ubrudzić igliwem, czołgając się po jakichś rowach i wykrotach, żeby nadażyć za nimi bez przepału, ale w końcu się zatrzymali.

Usiedli na pniu zwałonej sosny i zaczęli rozmawiać.

Antek położył się za odziomkiem całkiem sporego kalibru, oparł teleobiektyw o ścięty pień, stabilizując obraz, złapał ostrość, kciukiem przewinał filmi czekał.

Wiedział, że na efekty, jakich się spodziewa, musi poczekać solidną chwilę, starego księdza hormony na pewno nie szarpia już jak byłe jurnego miedzianka.

Trochę żałował, że nie słyszał, o czym gadali.

Rozmawiali spokojnie, bez nadmiernej gestykulacji, siedzieli blisko siebie.

Niezgoda musiał się księdzu z czegoś zwierzać, bo mówił nie patrząc nań, zgarbiony, patrząc na czubki swoich butów.

Długo tot trwało, słońce powoli zbierało się do zachodzenia, a Antek tylko co jakiś czas zmieniał przysłone waparacie, w miarę jak światła było coraz mniej.

Ksiądz otoczył TW Skowronka ramieniem, Antek uśmiechnął się i nacisnął migawkę.

Niezgoda nie szarżował, rozmawiali przez chwilę dalej w takiej pozycji, Zielerz obejmował młodego chłopca, jednak to nie był erotyczny gest, raczej ojcowski.

Antek przetarł zmęczone oczy i kiedy wrócił do celownika aparatu, zauważył, że ręka

Niezgody zmierza w stronę uda księdza Zielerza, zawisa nachwilę w powietrzu i opada.

Zielerz jest zaskoczony, chyba nic nie mówi, patrzy tylko na Niezgoda, nie rozumie gestu, więc

Marcin przesuwając się w stronę księżowskiego krocza, a ustami chciałby się spotkać z ustami Zielerza.

Szarzyński skrzywił się z obrzydzeniem i nacisnął migawkę.

Zielerz wreszcie rozpoznał naturę gestów Marcina Niezgody.

Chwilę się wahał, bo Antek zdążył zrobić jeszcze jedno zdjęcie, ale nagle zerwał się, brutalnie odepchnął

134

Niezgoda, aż ten upadł na ziemię.

Ksiądz coś powiedział, poczym odwrócił się, pobiegł w stronę kempingu, z którego przyszli, naszcześnie omijając Antka.

Niezgoda próbował księdza zatrzymać, ruszył za nim, krzyczał coś, ale Zielerz niereagował.

TW Skowronek stał chwilę w miejscu, zdezorientowany, jakby spodziewał się, że prześladowający go goubek pojawi się obok i stłuczego za nieudaną prowokację.

Szarzyński nie ruszał się z miejsca, a Niezgoda w końcu wzruszył ramionami, wbił ręce w kieszenie i poszedł tam, skąd przyszedł.

Szarzyński leżał jeszcze chwilę, wstał ostrożnie i ruszył w stronę pola namiotowego.

Sprawdził, czy Zielerz i Skowronek już sobie poszli i kiedy nie zauważył ich w obrębie kempingu, wsiadł do poloneza i pojechał do wypożyczalni.

Był zawiedziony.

W drodze myślał o tym, że będzie musiał Niezgoda porządnie przycisnąć, najlepiej go zwyczajnie, ordynarnie sprać, tak żeby naprawdę bolało.

Może wtedy sam coś zaproponuje.

Ale dzisiaj nie miał już ochoty na pracę, pomyślał, że ma natomiast ochotę na tę dziewczynę, punkującą kurwę spod rektoratu, zaparkował więc pod domem, przeszedł się pod uniwersytet i pokręcił chwilę po okolicy, aż wpadł na pana Stefana.

Trochę czasu zajęło, zanim wyklarował alfonsovi, o którą dziewczynę chodzi.

Okazało się, że jest wolna i w końcu doszli do porozumienia.

Drogę powrotną przebył już tawłaśnie dziewczyną, na którą miał ochotę.

Była ubrana jak na prostytutkę przystało, ale niewstydział się iść z kurwą pod rękę, bo przed kim miałby się wstydzić?

Przed tą wołoczą, która żyje w swoich M-3, żre tłuste żarcie, pracuje odsiódmej do piętnastej i marzy o wczasach w Ustroniu albo o talonie na malucha?

Ta dziewczyna jest przynajmniej prawdziwa, jakon, prowadził ją więc wytwornie, jakby szedł właśnie przedstawić rodzicom narzeczoną.

A ona była mu wdzięczna, głęboką wdzięcznością realizującego się marzenia, jakie żywi się wbrew wszelkiemu rozsądkowi.

ROZDZIAŁ 4

Była nieco zdezorientowana, kiedy po gorącej nocy, esbek wyrzucił ją z mieszkania przed piątą rano.

Niezbil jej, po prostu obudził i kazał spadać, nie dał się nawet cmoknąć na pożegnanie.

Uparła się tylko, że musi przemyć twarz w łazience, pozwolił.

W noc miała orgazm trzy razy, po raz pierwszy przy seksie z klientem, facet naprawdę dbał o nią, wiedział, jak to robić, i kiedy tak ją pieścił, wraz z rozkoszą przychodziły myśli, że może on też coś czuje do niej, bo jaki inny facet zawracałby sobie głowę tym, czy jakaś kurwa doszła, czy nie.

Dla innych była poprostu obudową na cipkę, różni, wyprężali się i szli do swoich spraw.

Nie zdarzali jej się tacy klienci, o jakich opowiadała Roma, którzy przychodzili regularnie, zwierali się, potem się pieprzyli, często wymagając przy tym jakichś śmiesznych dziwactw tacy byli się nawet w stanie Romą opiekować, jeden przysyłał jej pieniądze, mimo że wyprowadził się do Warszawy i już się niewidywali.

Ale ona na takich nigdy nie trafiła, może za krótko był w zawodzie.

I po tych paru złodziejach, którzy rozliczali się z nią, tylko z panem Stefanem, płacąc jakimiś fantami, pocinkciarzami, działaczu piłkarskim, po milicjancie, które mu na polecenie pana Stefana musiała za darmo obciągać w krzakach za rektoratem, po tych kilkunastu zimnych i bezwzględnych facetach, brzydkich i śmierdzących potem, trafia jej się chłopak jak z amerykańskiego filmu.

Fakt, że też esbek, ale jest miły, nie bije jej, jak bił ją edentaki z Mikołowa tajniak, który, jeśli nie dał jej parę

razy w twarz, to nie był w stanie dojść.

A ten jest przyjemny, dba o nią w łóżku, wziął ją sobie po raz drugi dzień po dniu, dobrze zapłacił i tylko rano, znowu, drugi raz, wyrzucił ją, chociaż jest piąta, niedziela, i z Roździeńskiego nic na razie nie jedzie do Bytomia, tak że będzie musiała iść kawałek pieszo na dworzec i potem dojechać jakoś pociągiem.

Antek wyrzucił prostytutkę, chociaż wcale nie chciałomu się wstawiać tak wcześnie, miał nawet ochotę, żeby puścić rano jakiś film i pooglądać razem z dziewczyną, napić się piw w łóżku, ale postanowił, że dopadnie Marcina Niezgody przed szóstą, kiedy ten będzie jeszcze spał.

Facecik będzie tak przerażony, że Szarzyńskiemu będziego nawet musiał bić.

Kiedy wyszła, ubrał się szybko, umył zęby, otworzył szufladę w dużym pokoju i zatrzymał się na chwilę nad jej zawartością.

Pamiętał, że w drzwiach do mieszkania Niezgody jest tylko jeden zamek, prosta gerda, pogrzebał w metalowym pudełku po szwajcarskich czekoladkach, w którym leżało kilkadziesiąt kluczy różnych typów i wyjął jeden, pasujący do gerdy, lecz specjalnie obrobiony krótszy o parę milimetrów, z zeszlifowaną stopką i wszystkimi ząbkami ściętymi do najniższej pozycji.

Do tylnej kieszeni spodni wsunął jeszcze śrubokręt drewnianą rączką i składane jak scyzoryk, zwykle wytrychy, sporządzone z piór szczelinomierza, razem z kluczem, wykonanym z metalowego wkładu pióra wycieraczki.

Nawszelki wypadek, gdyby preparowany klucz nie pasował.

Zbiegł nadół.

Miasto spało, spały zaparkowane pod blokiem symbole socjalistycznego dostatku maluchy, duże fiaty i polonezy, aleja Roździeńskiego była zupełnie pusta.

Szarzyński wsiał do alfy, pokluczył po osiedlowych drózkach, wypadł na Roździeńskiego, wcisnął gaz do dechy i pognął przez śpiące miasto, z całą mocą dwuipółlitrowego, widlastego silnika, przejeżdżając skrzyżowania na czerwonym świetle.

Przez rondo przejechał w ślizgu, taksamo skręcił z Dzierżyńskiego w Zawadzkiego, chociaż tutaj trochę przeholował i tylny zderzak o centymetr minął słup sygnalizacji świetlnej.

zacji świetlnej.

Nie zwolnił jednak i przez rynek również przebił się jak przez rajdowy odcinek specjalny.

Przed kamienicą, w której mieściła się melina Niezgody, na Klimczoka, zaparkował już spokojnie.

Spod siedzenia wyciągnął stieczkina, wysiadając zatknął z tyłu, za spodnie, i pomyślał, że warto byłoby sprawić sobie doń jakąś porządną kaburę.

Wszedł po schodach, przykleknął przy drzwiach do mieszkania Niezgody i wsunął obrobiony klucz do zamka.

Wszedł idealnie.

Spróbował, naciskając palcem klucz sprężynował lekko, tak jak powinien oczywiście nie dawał się przekręcić.

Z kieszeni dzinsów wyjął śrubokręt, chwycił za ostrze idrewnianym trzonkiem lekko uderzył w klucz, skręcając go jednocześnie palcami drugiej ręki.

Uderzenie poniosło się echem po klatce schodowej, klucz nie zaskoczył.

Antek zagryzł wargi.

Miał nadzieję, że nie obudził Niezgody, bardzo zależało mu na psychologicznym efekcie, jak wywrze, zaskakując informatora w łóżku, śpiącego.

Zwykłymi wytrychami mógłby włamać się do mieszkania, nie robiąc żadnego hałasu, ale wieki trwałoby mozolne otwieranie zamka przy pomocy klucza naprężającego i wytrycha, którym trzeba było powoli i cierpliwie podnosić zapadki, sprawdzając, która w danej chwili blokuje cylinder.

Wycucie tego momentu, który instruktor Legionowie określał jako "charakterystyczne pstryknięcie oraz drgnięcie cylindra, kiedy zapadka unosi się na właściwą wysokość", było dla Szarzyńskiego zawsze piekielnie trudne, był zbyt cierpliwy i potrzebował często kilkunastu minut na zamek, który koledzy z kursu otwierali w dwadzieścia sekund.

Kurs z trudnością zaliczył na dostateczny, więc teraz korzystał z metody, której nauczył go kapitan Ziębik z gliwickiego RUSW.

Była to prostą techniką otwierania zamków przy pomocy spreparowanego wcześniej klucza, który, uderzany w główkę, sprężynując, unosił nakrótką chwilę zapadki, na ułamek sekundy umożliwiając przekręcenie zamka.

"Rozumiecie, kolego, to jest ścisła metoda naukowa, fizyka, akcja-reakcja" tłumaczył Ziębik.

Skoncentrował się, odetchnął parę razy głęboko, puścił klucz, chwycił go znowu, skrzył delikatnie, wałną śrubokrętem i bębnekobrótł się, zwalniając rygielek w drzwiach.

Schował spec-kluczi śrubokręt dokieszeni, wyciągnął pistolet, odciągając zamek o centymetr, sprawdził, czy komora jest pusta i nacisnął klamkę.

Drzwi ustąpiły.

Otwierał je powoli, lewą ręką, nie skrzypnęły.

Wszedł do środka, ostrożnie stawiając stopy blisko ściany, aby nie zaskrzyphiała podłoga ze starych desek.

W kuchni jestem, niech się pan już nie skrada powiedział głos Marcina Niezgoda zza ściany.

Szarzyński drgnął, przestraszony i odruchowo szarpnął suwadłem pistoletu.

Metaliczne szczęknięcie wracającego zamka odezwało się w korytarzu głuchym echem.

Wszedł do kuchni, trzymając broń w pogotowiu, z palcem naspuście.

TW Skowronek siedział przy stole, ubrany, nad szklanką gorącej herbaty, za obłażącym z białej farbystołem, skompletowanym podobnie zaniedbanym kredensem z przeszklonymi drzwiczkami.

Meble, pewnie jeszcze przedwojenne, nosiły ślady niedawnego sprzątania, blaty były wilgotne, a poszczerbione talerzei szklanki-musztardówki, pozmywane, piętrzyły się na suszarce obok zlewu. Szarzyński stał przez chwilę w milczeniu, gotów odpowiedzieć ogniem, gdyby Niezgoda okazał się przynętą zastawioną na zasadzce.

Jednak nic się nie stało.

Zajrzał na wszelki wypadek za drzwi spiżarni, ale znalazł tam tylko stertę śmieci postawioną na sztorc stary materac.

Nikogo tu nie ma, naprawdę powiedział Niezgoda.

Szarzyński usiadł przy stole, naprzeciwko informatora.

Uznał, że skoro Niezgoda spodziewał się jego przyścia, nie uciekł, to nie ma sensu odstawiać całego teatru ze straszaniem, wrzaskami i kopniakami.

Pistoletu jednak nie wypuścił z dłoni, schował broń rękę pod stół.

Wiedziałem, że pan przyjdzie, czekałem na pana.

Niezgoda mówił cicho, jego wzrok uciekał na boki.

Nie udało mi

140

się zrobić tego, co pan mi polecił.

Przepraszam i proszę, niech mnie pan nie bije, bo mam dla pana coś innego, w zamian.

Niezgoda był bardzo poważny i skupiony.

Zdołał Antka zaintrygować i zainteresować na tyle, że esbek postanowił słuchać go dalej.

Skoro człowiek, którego Niezgoda znał jako porucznika Gazurka, milczał, informator przełknął ślinę z zdenerwowania, bodochodził do sedna swojego planu i powiedział:

W śróde przyjdzie do mnie porucznik Kwaśny.

Zaraz, przecież Kwaśny już nie jest twoim prowadzącym zdziwił się Szarzyński mimowolnie i zaraz pożałował, że stracił kontrolę nad sobą.

Poza tym, skąd Niezgoda zna prawdziwe nazwisko oficera?

Nie jest, ale przyjdzie.

On już nie przychodzi do mnie, żeby mi kapował, tylko po coś innego powiedział cicho

Niezgoda, patrząc na swoje ręce, złożone na blacie.

Antek zrozumiał.

Niezgoda próbuje zacząć swoją własną grę, tą samą metodą, jaką zastosowano na nim.

Taki mały odwet.

A jeśli ja jestem kumplem porucznika Kwaśnego?

zapytał Szarzyński.

Niech mnie pan tylko nie bije znowu, proszę.

Jeśli pan jest kumplem Kwaśnego, to się pan nie zdziwi, jeśli uda się panu zajrzeć jakoś do okien tego

mieszkania, wychodzący na ulicę Klimczoka.

Zostawia zapalone światło.

Zasłon w oknach nie ma.

Antek milczał, patrzył na TW Skowronka, a jego mózg analizował możliwości, wynikające z otwarcia, które proponował mu kapuś: zabójcze kompromaty na kolegę z resortu.

Gdzieś w tej analizie przemknęła myśl, że taka niełojalność nie licowała by nawet z tym skarlałym poczuciem moralności, jakie posiadała większość funkcjonariuszy Służby.

Wielu nie wierzyło w nic i nie przejmowało się niczym, ci, którzy w coś musieli wierzyć, wierzyli w lojalność wobec kolegomu resortu, właśnie w takiej kolejności.

Jednak myśl, która przemknęła Szarzyńskiemu przez głowę.

we, nie była stłumionym szarpnięciem sumienia.

Szarzyński pomyślał prosto, że wielu kolegów z resortu brzydziłoby siętego, co on rozważał zupełnie na zimno, wyłącznie w kategoriach zysku lub straty.

Przypomniał sobie zdanie z własnej teczki osobowej, którą podejrzwał na biurku opiekuna roku w Legionowie, kiedy stary czekista zagapił się przez okna studentów, grających w piłkę nożną: "Inteligentny, chłodny, nie poddający się ani emocjom, ani odruchom o charakterze moralnym. Przystosowuje się do norm panujących w społeczeństwie, dekodując je z zachowań innych, na zasadzie intelektualnego uznania konieczności ich przestrzegania, nie na zasadzie wewnętrznej potrzeby".

Zdanie to wpisała eleganckim charakterem pisma, wytresowanym w jakichś przedwojennych kursach, pewna starsza pani, profesor psychologii, zajmująca się w szkole oceną osobowościowych predyspozycji słuchaczy.

Antek znalazł potem bardzo podobne słowa w opasłym, psychologicznym tomisku, w definicji słowa "psychopatia" i zrozumiał, że profesor umywała tą formułką ręce.

Nie mogła wpisać "osobowości psychopatycznej" do formularza najlepszemu słuchaczowi na roku, z dobrym, resortowym poparciem na dodatek, opisała ją więc tak, że żaden z pułkowników i majorów odpowiedzialnych za kwalifikacje, a przebiegających oczami dziesiątki i setki formularzy, nie wychwytił w formułce niczego niewskazanego.

Jednocześnie, pani profesor byłaby kryta, gdyby Antek kiedyś rozwalił swojego dowódcę ze służbowego p-83.

Nie robiło tona nim wrażenia, bo wczytując się w psychologiczne książki, zrozumiał, że psychopata to nie jakiś wir albo szaleniec, tylko po prostu człowiek analizujący świat relacji społecznych i podejmujący decyzje na podstawie chłodnej analizy.

Oczywiście, opisy psychopatii były nacechowane negatywnie, ale przecież pisali je ludzie, którzy ulegali uciążliwym, co czyniło ich słabymi.

Nie mogli lubić kogoś, kto potrafił udawać wszystkie gesty, potrzebne ludziom do funkcjonowania, a więc empatię, miłość, niechęć.

Nie mogli lubić kogoś, kto potrafił sy142

mulować społeczne emocje, a więc jest zdolny do funkcjonowania w społeczeństwie, ale jednocześnie nie jest tymi emocjami i gestami skrepowany, w każdej chwili może je bez trudu porzucić.

Ciszę, która zapanowała w kuchni, przerwał głos Niezgody:

Ale jakoś nie sędzę, żeby się panowie przyjaźnili.

Kwaśnym chyba coś takiego w sobie, że raczej nie ma kumpli, nawet u was.

A wrogów ma na pewno.

Niezgoda chciał się zemścić na poruczniku Kwaśnym, tobyło już dla Antka jasne.

Co jednak on sam mógłby uzyskać, niszcząc tego oficera?

Ciągle szukał gry, którą może rozegrać z tego podsuniętego otwarcia i nagle przypomniał sobie Klewkę, mówiącego o tym, że Kwaśny dał kiedyś po mordzie Micińskiemu, ale prawie ukręcono łeb.

Słowem, niszcząc Kwaśnego, nie może zyskać nic, jednak dużo może uzyskać od Micińskiego, w zamian zato, że sprezentuje mu możliwość wykończenia człowieka, którygo kiedyś publicznie upokorzył.

Czego chcesz w zamian?

zapytał.

Niezgoda długo przygotowywał się do wypowiedzenia swojej ceny.

Chcę wyjechać powiedział w końcu.

Gdzie?

Do Rajchu.

Do Niemiec, w sensie.

Mój dziadek był w czasie wojny w niemieckim wojsku, ja trochę znam niemiecki, babcia mnie

uczyła, dadzą mi obywatelstwo.

Mój wujek mieszkał w Niemczech od dziesięciu lat.

Ja dam panu okazję do sesji zdjęciowej, a pan mi załatwi paszport i wyjazd.

Rzeczywiście, żądał wiele.

Antek w pierwszym odruchu chciał natychmiast odmówić, nie pozwoli przecież wyjechać cenniejszemu informatorowi, wtrójce się na tonie zgodzą.

Niezgoda miał dość smutnego życia kapusia w smutnym, socjalistycznym kraju.

Chciał zwać na Zachód, gdzie będzie sobie chodził między uginającymi się od towarów półkami supermarketów, w glorii prze- 143.

śladowanego za poglądy polityczne uciekiniera z kraju Solidarności.
Zaraz jednak przyszłemu do głowy, że jest sposób, aby trójkę do tego przekonać.
Niezgoda nie będzie zbyt szczęśliwy, kiedy się zorientuje, ale przecież Antek nie wyprowadzi go teraz błędnie.

Zdecydował więc, po dziesięciu sekundach, że się zgodzi, ale nie mógł jednak tego podarować Skowronkowi zbyt tanio.

Jeszcze bynabrał podejrzeń, czemu porucznik Gazurek zgadza się na wyjazd do Rajchutak łatwo, poza tym, negocjacje zwycięstwa smakują lepiej, kiedy okupione są jakąś walką.

Do Niemiec?

Nie ma mowy powiedział Szarzyński.

Musi przecież zwerbować Zielarza, to że raz się nie udało, nie znaczy, że można odpuścić.

Ale ksiądz Zielarz nie będzie już chciał ze mną gadać.

On się zorientował chyba, to znaczy to moja wina, może ja źle grałem, ale on się chyba zorientował, że ja go, no, podrywam niedłatego, żeby mi chciał, tylko że to wy mi kazaliście.

To znaczy, nie powiedział tego, ale tak mi się wydaje.

Antek pokiwał głową.

Sam mu pewnie, gnojku, powiedziałaś, co?

powiedział, uznając pochwalił, że obelgę dodał niepotrzebnie.

Ale akurat że Skowronek mógł się przed księdzem Zielarzem celowo zdekspirować, to było nawet prawdopodobne, tym bardziej chciał wiać do Niemiec.

I tym bardziej należy go dotych Niemiec puścić.

Do werbunku Zielarza już się Skowronek nie przyda.

Niezgoda zaczął się zarzekać, że to nieprawda.

Stracił kontrolę nad rozmową, więc teraz Szarzyński mógł już odpuścić.

Dobra, pojedziesz se do tego Rajchu powiedział.

Ale mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że tam panuje wyzysk człowieka przez człowieka?
I ty będziesz tam pierwszym z tych dwóch ludzi.

Kwaśny będzie mnie w środe, o ósmej odparł Niezgo' da, nie zwracając uwagi na kpiny.

Szarzyński wstał z zastołu, zabezpieczył pistolet i schował za

144

pasek.

Informator splótł palce jak do modlitwy i zaciskał z całej siły, aż paznokcie i końcówki palców nabiegły krwią.

Nikomemu anisłowa.

Nawet prowadzącemu powiedział Szarzyński bardzo cicho.

Niezgoda nerwowo potwierdził, kiwając głową jakaniołek-figurka w bożonarodzeniowej szopce.

Antek wyszedł z meliny, zbiegł po schodach i stanął na ulicy.

Przypomniał sobie rozkład pokoi w mieszkaniu Niezgody i zidentyfikował okno, do którego będzie musiał zajrzeć.

Z poziomu ulicy nie było widać niczego, i dobrze, bo przecież Kwaśny, chociaż głupi, zupełnym idiotą nie jest.

Szarzyński przyjrzał się kamienicom podługiej stronie ulicy i zrozumiał, że dobry widok będzie miał tylko z poddasza budynku naprzeciwko.

Spojrzał na zegarek, było jeszcze na tyle wcześnie, że normalnie ludzie śpią, zmęczeni pracą albo sobotnimi balangami, może więc sprawdzić sobie stanowisko obserwacyjne na środe.

Wszedł przez bramę na podwórko, z podwórka tylnym wejściem do kamienicy naprzeciwko kamienicy Niezgody wdrapał się na górę.

Dostępu nastrych broniła kłódka.

Gdyby miał łom, to jednym ruchem zerwałby wiatłą skuwkę, zamocowaną paroma śrubkami, teraz spróbował śrubokrętem i tylko wygiął ostrze.

Klucz, którym otworzył drzwi do mieszkania informatora, był zbyt duży, musiał więc skorzystać z

wytrychów.

Biedził się z podnoszeniem zapadek przez dobry kwadrans, aż w końcu otworzył drzwi.

Strych był ciemny, oświetlony tylko wąskim snopem światła, rozproszonym przez brudne szybki w okienku lukamy.

Kiedy wszedł do środka, drobiny kurzu uniosły się zawisły w powietrzu, ślizgając się powoli w stłumionych promieniach słońca, przeciskających się do wnętrza.

Ante położył się przy lukamie, bo okno było przy samej podłodze z nierównych desek, przetarł szybę i wyjrzał na zewnątrz.

Policzył okna w budynku naprzeciw i odnalazł właściwe; widok był bardzo dobry.

Wstał, podniósł leżącą przy ścianie puszkę po lakierze i ustawił ją przy szybie lukamy.

Zamknął strych na kłódkę, zszedł po schodach na ulicę i wszedł

145.

do domu naprzeciwko, w którym mieszkał Niezgoda.

Wyjrzał okna na klatce, puszcza nie sposób było dojrzeć zza brudnej szyby.

Pojechał do siebie.

W mieszkaniu poczuł słaby zapach perfumi stwierdził, że niepotrzebnie wyrzucił dziewczynę tak wcześnie.

Mógł zostawić ją w mieszkaniu, nie była tak głupia, żeby okraść esbeka, poczekalaby, cały wyjazd zabrał mu ledwie godzinę.

Notrudno.

Zdrzemnął się, potem wstał, zrobił sobie kawę, wziął blok kratkę, pióro i usiadł przy kuchennym stole.

Przez otwarte okno, zwykły gwar miasta, niezbyt dokuczliwa tej wysokości, wplotły się melodykościelnych dzwonów, wzywające prosiła niedzielne sumy.

Antek uśmiechnął się na myśl, że gdzieś na katedrze ksiądz Zielarz pewnie odprawia własne swoje gusła nad ołtarzem, jak afrykański szaman nad zdechłą krową.

Łyknął kawę i zabrał się do pracy.

Całą niedzielę postanowił przeznaczyć na szczegółowe opracowanie planu szybkiego werbunku Zielarza.

Werbunek został postawiony na głowie naszym wstępie, kiedy zamiast polecić mu rozpracować dane środowisko i wybrać osobę, którą będzie można pozyskać, kazano mu zwerbować konkretnego księdza i to takiego, który jest bez wątpienia sfanatyzowany i niechętny socjalistycznej ojczyźnie, jak to się pisze w aktach.

Należy więc zastosować równie nietypowe metody.

Siedział przez kilka godzin nad kuchennym stołem, garbiąc się na taborecie.

Bazgrał po kartkach, rysując komplikowane schematy, potem miał je i zrzucił na podłogę, opisywał planowaną akcję ciągłym tekstem, po to tylko, aby wyrzucić potem narosnącą kupkę odpadków i szkicować plan w punktach.

Wreszcie, po południu, miał już jasność i co do głównych założeń, i codo szczegółów.

Chciał skonsultować swój plan z Drzewieckim, ale telefon pułkownika nie odpowiadał, więc resztę niedzieli Antek spędził oglądając filmy na wideo.

Zasnął wcześnie, głowa pulsowała mu od migających, kolorowych plam, w które wpatrywał się przez pół dnia.

Nad łóżkiem stała dziewczyna, taka gdzieś w połowie drogi

146

między świeżą dziewczęcością a rozwiniętą, zmysłową kobiecością.

Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, mogła i trzydzieści.

Miała długie włosy, układały się niesforne, płowe kosmyki, odruchowym gestem zakładała je za ucho.

Za nią stał mężczyzna, wyższy głowę, szczupły.

Miał bardzo długie palce, jego ręka spoczywała na biodrze dziewczyny, ubranej w bordową sukienkę.

Obojecoś mówili, ale Antek nie rozumiał słów.

Dziewczyna pochylała się ku niemu i gładziła go po policzku.

Obudził się, ale leżał jeszcze chwilę, bez ruchu, z zamkniętymi oczami, próbował zapamiętać obraz, który powoli dogasał pod powiekami.

Wreszcie rozpuścił się i Antkowi zostało tylko wspomnienie, już nie plastyczne, tylko fakt: śniłem o płowowłosej dziewczynie.

Po raz trzeci.

Westchnął, otworzył oczy i wstał z łóżka, jak zwykle, wyrzutem ciała postawił się na nogi, po czym rzucił się na podłogę, opierając na rękach, i zaczął ćwiczyć pompki.

Ciałomusi mieć silne, ciało musi być niezawodnym narzędziem mózgu.

Po pięćdziesiątej pompce wstał, zrobił trochę brzusków i pomaszerował pod prysznic.

Kapał się długo, woda była bardzo gorąca i kiedy wyszedł z kabiny, łazienkę wypełniała gęsta para, która osiadła również na tafli lustra.

Na matowej powierzchni Antek ujrzał cyfry i litery, napisane zapewne palcem, które stały się widoczne dopiero na zaparowanym lustrze, jakby wyrysowano je atramentem sympatycznym: imię i numer telefonu.

Starł napis ręcznikiem.

Zza pary wyłoniła się jego własna, nieogolona twarz, namydlił pędzlem policzki i golił się, dokładnie, powoli, maszynką Gillette z Pewexu, naciągając skórę palcami.

Wyszedł z łazienki i spróbował przywołać w pamięci obraz wypisanego na szkłe numeru.

Pamiętał doskonale, uznał więc, że nie musi się krygować.

To i tak przecież nie ma żadnego znaczenia.

Już chciał zapisać numer na bloczku obok telefonu, ale kiedy narysował pierwszą cyfrę, wzruszył ramionami i odłożył ołówek.

Obejrzał swoje ciało przed lustrem z przodu i z profilu, obmacał palcami biodra i brzuch, czy nie zawiązało się tam jakieś

sadło, ale pod skórą wyczuł tylko twarde mięśnie.

Ubrał się, założył buty, zabrał broń i dokumenty, do teczki włożył ostateczny schemat planu brutalnej kombinacji operacyjnej, który wczoraj obmyślił, i pojechał do pracy.

W biurze siedział Klewka, zatopiony w płachtach "Sportu".

Szarzyński przywitał się, wymienili parę banalnych uwag, poczym Zdzychu wrócił do lektury, a Antek przysunął sobie maszynę do pisania i sporządził w trzech kopiach notatkę z obserwacji spotkania TW Skowronka z figurantem Zielarzem.

Jedną kopię włożył do teczki Zielarza, którą miał u siebie.

Do drugiej dołączył swój plan kombinacji operacyjnej do werbunku Zielarza i całość wręczył kapitanowi Klewce.

Weź, Zdzychu, rzuć na to okiem i powiedz, co myślisz.

Zatwoją zgodą, od jutra wziąłby się do realizacji powiedział.

Klewka odłożył "Sport" i zaczął czytać notatkę i plan Szarzyńskiego, ten zaś zabrał trzecią kopię i kopnął się do sekretariatu.

Cegły nie było, w pokoju siedziała tylko Sraka i pani Kazimierzak, która na widok Antka uśmiechnęła się słodko.

Przywitał się, wręczył Alicji notatkę z poleceniem przekazania do Wydziału Trzeciego, do teczki TW Skowronka.

Podając papier, dotknął, niby przypadkiem, jej palców i zatrzymał dłoń, na tyle długo, aby miała pewność, że to nie przypadek.

Nie cofnęła ręki.

Jakim cudem jesteś dzisiaj jeszcze piękniejsza niż byłaś w sobotę?

zapytał, zastanawiając się, jak zareaguje naskrzeczący banał tego taniego komplementu. Odpowiedziała uśmiechem.

Rzecz aż się prosiła o sarkazm, lecz ona przyjęła pochlebstwo za dobrą monetę.

Sraka skrzywiła się z obrzydzeniem, zemdlona, jakby całe biuro nagle zalała fala trupiobiałego lukru w bladoczerwone serduszka i pieszczące się dzióbkami gołąbki.

Antek chciał kontynuować zaloty, ale otworzyły się drzwi.

Dzień dobry, poruczniku Kwaśny powiedziała z wdzięcznością Sraka.

148

Antek odwrócił się, aby przyjrzeć się dokładnie swojej przyszłej ofierze.

Do sekretariatu wszedł niewielki, chudy blondyno w wodnistych oczach w nijakim kolorze, gdzieś pomiędzy szarością a brązem.

Okolone srebrnym drutem przezroczyste szkła przykrywały pół twarzy, sięgając od brwi po policzki, były teźdźdość grube i oczy okularnika wydawały się zza nich nienaturalnie wielkie i otwarte, jak ulemura.

Jasne włosy rzedły już poważnie, na czubku głowy prześwitywała niszcząca się skóra.

Niemodnie ubrany mikrus wyglądał na technika, może specja od komputerów, wyłożony na szary sweter wielki, kraciasty kołnierzkoszuli upodabniał go do różnych mądrali z Politechniki.

Szarzyński zapamiętał twarz, facet pojawił się na powitalnej popijawie w "Kryształowej", ale tylko na moment.

Widział go potem parę razy nakorytarzach urzędu, jednak nie skojarzył z nazwiskiem.

Dzień dobry powiedział Kwaśny głosem nieco piskliwym.

Potrzebne mi nowe kalki do maszyny do pisania.

Dzień dobry, poruczniku.

Co dobrego słyszeć?

zagadną przyjacielsko Antek, wyciągając dłoń do kolegi-esbeka.

Kwaśny niechętnie odwzajemnił gest.

Dłoń miał miękką, wilgotną, ciepłą jak gnijący upalnym słońcu ryba.

Szarzyński w zasadzie już miał zapraszać Alicję do kina, ale teraz, w towarzystwie Kwaśnego, nie wypadało.

Swoją drogą, facet cała swoją osobą zachęca do zrobienia mu świństwa.

Antek głęboko wierzył w własne doświadczenie, wbrew marksizmowi, ale chyba też wbrew katolikom, jeśli tych takie sprawy w ogóle zajmowały a doświadczenie mówiło mu, że istnieje pewna jedność cielesno-charakterologiczna.

Na historii kryminologii i kryminalistyki wspomina się oczywiście o lombrosjańskich kategoriach jako o nieaktualnej, fałszywej teorii prezentowanej kursantom jak o ramocie, w kontraście z nowoczesnymi metodami, ale Antek uważał, że sprawa nie kryje się w kształcie czaszki, lecz w cielesnym całości kształcie.

Ludzie piękni, o ciele rzeźbiarsko nieskazitelnym, mieli nieskazitelne umysły, zimne, nietknięte
emo149.

cyjami.

Zdzisław Klewka miał duchowość brzuchatą i wąsatą, przyziemną, niską i nudną.

Na pierwszy rzut okamozna to byłostwierdzić, tak go Antek ocenił jużpierwszego dnia i nie pomylił się ani trochę.

Dziewczyny lekkopulchne (grubych Antek nie ruszał) były zawsze bardziej namiętne i zmysłowe niż chudzielce, pozbawione warstewki tłuszczu na biodrach, z cyckami przylepionymi do wystających żeber.

Drzewiecki, chociaż Żyd, wyglądał jak starzejący się, angielski lord, którego cielesność balansuje gdzieś między powagą, starczą delikatnością (te cienkie palce, wyglądające, jakby mogły się złamać, kiedy odkręcają korek z wódczanej flaszki) i rasową szlachetnością.

I w tych lombrosjańskich kategoriach porucznik Kwaśny był jak wesz.

Antek przez chwilę zastanawiał się, jakie porucznik przypomina zwierzę i w końcu uznał, że właśnie wesz pasuje najlepiej.

Nawet przyjemnie będzie tę wesz zgnieść.

W odpowiedzi na uprzejme zagajenie Antka, Kwaśny odpowiedział coś banalnego, więc Szarzyński pożegnał się i wrócił do biura.

Klewka gdzieś poszedł, Micińskiego też nie było, a Antekniemiał się czym zająć, wyciągnął więc teczkę księdza Szkordonia, której jakoś nikt na razie nie kazał mu oddać, i zaczął ją studiować, sam nie wiedział po co.

Potem pomyślał, że trzeba jakoś zakończyć tę sprawę, kto wie, do czego się to jeszcze kiedyś może przydać.

Zadzwoił więc na parafię Wszystkich Świętych, drżącym głosem przedstawił się przybranym wcześniej nazwiskiem i poprosił gospodynię, która odebrała telefon, o przekazanie księdzu Szkordoniowi, że z powodów służbowych nie będą się mogli na razie spotykać.

Miał nadzieję, że gospodyni przekaże jakoś te emocje właściwemu adresatowi.

Po lekturze teczki, wyskoczył do kiosku po "Dziennik Zachodni", obojętnie przejrzał parę artykułów o tym, że "ziarno płynie do magazynów" i że "PRON zaprasza na spotkania konsultacyjne", po czym zagłębił się w ogłoszenia drobne.

Znalazł nans kogoś, kto chciał sprzedać Commodore C64, cena była

150

bardzo wysoka, ale Anteki tak dostawał od Drzewieckiego więcej pieniędzy, niż mógł wydać, zadzwonił więc na podany numer.

Odebrała kobieta i potwierdziła dane z ogłoszenia.

Pojechał tam zaraz po pracy i wrócił do mieszkania z pudełkiem, zawierającym komputer, magnetofon, dżojstik i kilka nansie gierna kasetach.

Podkscytowany, podłączył urządzenie do telewizora i uruchomił kasetę z wypisaną mazakiem nazwą "River Raid".

Został już tak, przed ekranem, w zachwycie, do późnego wieczora.

Nie rozumiał, jakim cudem ludzie mogą się skarżyć na samotność, nie rozumiał, po co szukają permanentnego towarzystwa.

Przecież i tak każdy człowiek zawsze jest sam ze swoim bólem, ze swoim orgazmem chociażby leżał właśnie na kobiecie, to jednak ona nie czuje tych samych spazmów.

A ludzie, zamiast się tą samotnością delectować, próbują ją zagłuszyć, siedzą razem w domach i paplają, a przecież każdy ma w głowie taki mur, którego nie da się przekroczyć.

Ludzie nie mogą zrosnąć się mózgiem, nie mogą połączyć swoich myśli, swojej świadomości, samotność jest więc naturalnym stanem człowieka.

Towarzyska paplanina tylko ten stan zagłusza.

Kiedy kładł się spać, piekły go oczy, a pod powiekami widział schematyczne obrazy z komputerowych światów, statki, fale najeźdźców i jego mały samolot, uchylający się przed wrogimi salwami, wszystko wyrysowane za pomocą maleńkich, kolorowych kwadracików.

Lenin miał rację, postęp to jednak coś wielkiego.

Kiedy obudził się rano,ciągnęło go, żeby przed pracą uruchomić znowu komputer,
załadować grę z kasety i postrzelać sobiedo wrogich samolotów.

Zamiast tego wyszedł na balkon i patrzyłna miasto.

Był nagi, oświetlało go wschodzące nad Chorzowemsłońce, pomarańczowe, rozmazane przez
ciężkieod wyziewówpowietrze.

Splunął przez barierkę i patrzył za spadającą śliną, ażzniknęła.

' Jadąc do firmy, układałsobie w głowie dzień,choćażw zasadzie nie musiał, nie miał jeszcze
zbyt wielu spraw na głowie, za

krótko tutaj pracował, ale nawyk rannego planowania dnia wpojono mu w Legionowie. W biurze zastał i Klewkę, i Micińskiego.

Kiedy tylko usiadł za biurkiem, Klewka podał mu cienki plik dokumentów.

To twoja wczorajsza notatka, plan kombinacji, akceptacja od majora Wichny i kwity do Wydziału T, na proszki.

Polecenie:

wykonać.

Środki do pokrycia wydatków możesz brać z funduszu operacyjnego Struktury, tylko pamiętaj o dokumentowaniu wydatków, przynajmniej oświadczeniami na piśmie, jeśli nie możesz zdobyć rachunku powiedział służbowym tonem.

No, widzę, że już działamy samodzielnie, co?

zaśmiało się Miciński pobłażliwie.

Antek wyszczerzył ku niemu zęby w szerokim uśmiechu.

Tak już jestem Zosia-samosia.

A poważnie, to bez pomocy kapitana Klewki nic by mi nie wyszło, oczywiście.

Klewka przełknął głupie pochlebstwo, uśmiechnął się nawet z dumą.

No, możesz na mnie liczyć, w końcu jesteśmy koledzy odparł.

Pisałeś w planie, że do punktu jeden będzie ci potrzebny oficer do pomocy, prawda?

Zgłaszam się na ochotnika, fajnie będzie czarnemu przypierdolić.

Założeniem obserwacji, według twojego planu, już się zająłem, połączy z nim jeden młodzik plutonowy.

Antek podziękował wylewnie za taki objaw sympatii i przysługę, pogadał jeszcze z oboma kolegami o głupotach, przez chwilę, bo wiedział, że podejmowanie takich rozmów jest konieczne, jeśli nie chce, aby ludzie uważali go za mruka.

Kiedy uznał, że temu nudnemu obowiązkowistało się zadość, zabrał się do roboty.

Zadzwoił do kapitana Ziębika z gliwickiego urzędu i poprosił o przesłanie duplikatu teczek pedala, który wyspał Marcina Niezgody; w teście Niezgody był tylko odnośnik.

Ziębik obiecał, że teczkę wyśle jeszcze dzisiaj, gońcem.

Zadzwoił następnie do Wydziału T, z prośbą o konsultację

152

w sprawie farmakologicznej.

Technik o chrapliwym głosie polecił mu przyjść za pięć minut.

Antek zapukał do drzwi w wyznaczonym czasie.

W środku siedział technik, sierżant Sznaucer, naktórego, ze względu na nazwisko, wołano Sznaucer, chociaż przypominał raczej leniwego mopsa, z głową tonącą w fałdach tłuszczu, otaczających szyję i kark jak spocona kryza.

No? Sznaucer zaczął rozmowę niezbyt uprzejmie.

A więc tak, kolego, trzeba mi narkotyku, który zwiększa popęd seksualny i jednocześnie czyni człowieka podatnym na sugestie zewnętrzne.

Chodziło to, żeby puściły hamulce i żeby ktoś pod wpływem tego narkotyku robił to, czego nie zrobiłby na trzeźwo.

No nie, robicie sobie jaja ze mnie?

Jakaś panienkawam niedała, to przylatujecie do mnie po afrodyzjak?

I ja mam, kurwa, za państwowe pieniądze spełniać wasze zachcianki?

zapienił się technik, plując kropelkami śliny na blat biurka.

Antek pomyślał, że fajnie byłoby przywalić chamowi, pięścią w nos, tak mocno, że cała twarz zapadłaby mu się między te zwałysadła na karku.

Towarzyszu powiedział zimno.

Tutaj jest zapotrzebowanie, podpisane przez majora Wichnę.

Położył papier na stół, po czym przesunął go jednym palcem.

Mops przestudiował dokument, mruczając pod nosem coś nieartykułowanego, ale co semiotycznie bez

wątpienia należało do kategorii żalów względem złego świata.

W końcu niechętnie przemówił:

MDMA się nadać powinno.

Co? nie zrozumiał Antek.

Metylendioksy-en-metyloamfetamina zadrwił technik.

Lepiej?

Szarzyński nie odpowiedział.

Wbił wzrok w tłustą twarz technika.

Mops wytrzymał przez chwilę to spojrzenie, poczym zrozumiał nagle, że ten nowy oficerek należy do grupy ludzi, których należy się bać i obdarzać szacunkiem, jeśli docenia się integralność.

ność własnych powłok cielesnych.

W tej chwili może się wycofać bez upokorzenia, za minutę zaś i tak się wycofa, ale wtedy to będzie bolało.

To jest taki narkotyk, który zadziała właśnie tak, jakby sobie tego towarzysz życzył. Stymuluje mózg do wydzielania dużych ilości serotoniny.

Przyjmujesz doustnie.

Z centrali sprowadzimy żadaną dawkę powiedział pokornie.

Ile będę musiał czekać?

Na piątek rano będzie.

Wyszedł bez pożegnania, wrócił do swojego biurai rozsiadł się nakrześle, w nudnym oczekiwaniu na gońca z Gliwic.

Młody kapral, którego znał jeszcze ze stażu, przyniósł teczkę dopiero pocztarną. Antek do tego czasu zdążył wypić cztery herbaty i poczytać podręcznik pracy operacyjnej, więc zradością zabrał się do pracy, kiedy dostał wreszcie do ręki teczkę TW Hrabiego, gliwickiego homoseksualisty.

Przestudiował starannie ankietę personalną i zdziwił się, kiedy okazało się, że kapuś pochodzi z arystokratycznej rodziny.

Ignacy Kleszewski.

Pięćdziesiąt siedem lat temu, kiedy się rodził, to w społecznym rozumieniu zapewne Ignacy hrabia Kleszewski, chociaż przedwojną, o ile Antek pamiętał, tytuły arystokratyczne nie obowiązywały, tylko były w użyciu towarzyskim.

Zwerbowany w 1950 roku, jeszcze przez Urząd, nie przez Służbę, oczywiście na kompromatach.

Z wykształcenia aktor i śpiewak, raczej kiepski, grał w teatrach i operetkach na prowincji, z zawodu kapuś.

Trzydzieści pięć lat zaszczytnej służby socjalistycznej ojczyźnie, można by mu już jakiś medal dać. Dawno pogodził się ze swoim pedałstwem, teraz nikt by go na kompromaty nie zgarnął, więc jako podstawę werbunku ma aktualnie wpisana odpowiedzialność obywatelską.

Bardzo to wszystko pięknie pomyślał Antek, zanotował adresi wyszedł z firmy.

Wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Gliwic.

Miał przed sobą prawie godzinę jazdy, więc włączył sobie "Horses" Patti Smith, które przegrał sobie płyty na kasetę, żeby móc jej słuchać w samochodzie.

154

Zteczki wynikało, że TW Hrabia zajmował wielkie, stumetrowe mieszkanie w centrum Gliwic, przy ulicy Zwycięstwa.

Antek zaparkował alfabetycznie i wszedł na pierwsze piętro.

Klatka schodowa była zaskakująco czysta, na lampy i nie wymalował flamastrem schematycznych pręci ani kobiecych sromów, co oznaczało, że o klatkę albo ktoś dba, albo nie mieszka w kamienicy buzująca hormonami młodzież, skłaniająca się ku takiej estetyce.

Przy drzwiach nie było elektrycznego dzwonka, jedynie kołatka mosiężny łeb koński, z wieńcem zliściami laurowego pysku.

Zastukał.

Po chwili usłyszał zadrzwiami niemrawe szuranie kapci i cichutkie zgrzytnięcie odsuwanej zasłanki judasza.

Stał tak, aby kapuś mógł go widzieć w całej okazałości i już chciał wyciągnąć w kierunku wizjera legitymację, ale powstrzymał się, uznawszy, że za drzwiami może być przecież ktoś inny.

Na szczęście, stanął w nich drobny, siwy mężczyzna w aksamitnych kapciach z wyszytym monogramem.

Spod atlasowego szlafroka wystawały gołe, chude golenie.

Słucham pana odezwał się TW Hrabia.

Antek odpowiedział tylko uprzejmym "dzień dobry", przedstawił się nazwiskiem operacyjnym i wyciągnął z kieszeni dzinsów legitymację.

Starszy pan przyjrzał się dokładnie, w ogóle nie patrząc na szmatę.

Młodszy jesteście, moi chłopcy, coraz młodsi powiedzieli sentymentalnie.

Głoskę "ł" wymawiał na sposób sceniczny.

Gestem zaprosił Antka do środka.

Mieszkanie było wysokie i ciemne, mimo wielkich okien.

Ściany pokrywały książki, gęsto upakowane na sięgających sufitu półkach, w miejscach nie zajętych przez bibliotekę wisiły elegancko oprawione grafiki i mapy.

Usiadł w salonie, na starych fotelach z giętego drewna.

Kleszewski postawił na intarsjowanym blacie syfon i dwie szklanki, poczym założył nogę na nogę, splatając nagle uda tak, że widać było, że nie ma niczego pod eleganckim szlafrokiem.

Pewnie sądził, że

155.

sprowołuje tym jakąś gwałtowną reakcję oburzenia, ale Antek pozostał obojętny.

Nad stołem wisiała oprawna szabla w stalowej, elegancko zaśnieżonej pochwie i stary portret człowieka w mundurze z czasów napoleońskich.

Tomój przodek.

Mikołaj Kleszewski, pułkownik kawalerii, osobisty przyjaciel cara Aleksandra. powiedział gospodarz, bezzamiętnie i wyjaśniająco, bez przechwałki w głosie.

Nie tylko "ł" wymawiał po szlachecku, ale na dodatek jeszcze grasejował okrutnie, jak dandys sprzed wieku, udając, że to wpływ francuszczyzny.

Widzę, że tradycje lojalnej służby Moskwie w rodzinie szanownego pana giną w pomroce dziejów. Antek bezzastanowienia, uśmiechając się bezczelnie.

Hrabia machnął prawą dłonią, eleganckim gestem, który miał zapewne oznaczać uznanie dla bystrości riposty.

Touche powiedział, tym razem z idealnym akcentem i wymową.

Cały czas patrzył badawczo na Antka, jakby pod cielesną powłoką przystojnego, młodego mężczyzny dostrzegał coś więcej.

Szarzyński wytrzymał to spojrzenie.

Jest pan pięknym, basowym mężczyzną.

Haczej nie pochodzi pan z panującej nam klasy robotniczo-chłopskiej, prawda?

Nie taczaszka, nie te dłonie.

Wnoszę więc, że Gazuhek nie jest pańskim prawdziwym nazwiskiem, podpohuczniku? zapytał.

Antek uśmiechnął się i powtórzył gest uznania, który przed chwilą wykonał stary pedał. Wyszło nawet udatnie.

Grasejowanie Kleszewskiego bawiło go bardziej niż Smoleń z Laskowikiem, bał się, że zaraz wybuchnie śmiechem.

Jak się pan nazywa, nie zgadnę, ale pewnie jakoś dobrze, Tyszkiewicz, Czetwertyński, Potocki, Poniński może, coś w tych kolicach?

156

Szarzyński pomyślał, że odrobina szczerości przecież nie zaszkodzi.

Nie mogę panu powiedzieć mojego prawdziwego nazwiska, ale za to mogę pana rozczarować.

Jestem podrzutkiem, nazwisko nadały mi jakieś pielęgniarki w szpitalu, podobno wymyśliła mi imię i nazwisko jakaś polonistka, co właśnie rodziła swoje pierwsze dziecko odparł wesoło Antek, opowiadając anegdotkę, którą przekazała mu wychowawczyni z biduła.

Ach, no tak, podrzutek, oczywiście, trudno podejrzewać, aby awangarda walki klasowej, socjalistyczna Służba Bezpieczeństwa miała tolehować w swych szeregach członków klasy zepchniętej na śmietnik historii.

Oczywiście wycofał się Hrabia, ale Antek zauważył, że jego rozmówca bardzo intensywnie myśli o czymś innym.

Dobrze, dość tych pogaduszek.

Mamy dla pana zadanie.

Przywieziemy do jakiegoś ustronnego miejscaw Gliwicach pewnego mężczyznę.

Będzie odurzony, pańskim zadaniem będzie wystąpić razem z nim na serii jednoznacznych zdjęć.

Hrabia pokiwał głową ze zrozumieniem.

Oczywiście.

Wszystko jest kwestią ceny odparł, pozując na profesjonalistę.

Słucham.

Kleszewski zastanowił się przez chwilę.

Jest to społe przedsięwzięcie powiedział w końcu, ostrożnie.

Aleja oczywiście nie chce pieniędzy, współhacuję w końcu z obywatelskiej odpowiedzialności za wspólne dobro, jakim jest nasza socjalistyczna ojczyzna drwił.

Phoszetylko przysługę.

Nie, o dwie przysługi.

Chciałbym bałdzo dostać tonowe, khytyczne wydanie dzieł zebhanych Gombhowicza.
przeliterował.

Trzeba do wydawnictwa zadzwonić, do Litehackiego Khakowa, bo wksięgahniach to jeszcze
nieleży.

Alepan to na pewno swoimi kanałami załatwi, phawda?

Niech panzanotuje nazwisko, Gom-bho-wicz.

157.

Antek nie uważał za stosowne wyjaśniać, że zna przecież tego pisarza, takich rzeczy uczą nawet w Legionowie, uczą też, dlaczego Gombrowicz jest dla socjalistycznej ojczyzny szkodliwy, ale nie biorą tego na poważnie nawet wykładowcy, bo kogo jeszcze obchodzi dobro socjalistycznej ojczyzny.

Dobrze.

"Gombrowicz".

A druga przysługa?

W tej kamienicy, w lokalu pod numerem jeden, mieszka pewien wstętny wyhostek o imieniu Damian, który obrzucamnielowulgarnymi okheśleniami i hańzami nawet ośmielił się mnie popchnąć.

Zgłosiłem to u rodziców tego głodoty, ale nie dał rady, nie baczyli oni powściągnąć zachowanie tego bandziora.

Chciałbym, aby ktoś udzielił mi lekcji dobnych manier, że tak nie zachowuje się sąsiadów.

Antek pokiwał głową.

Takie zachowanie uważam za niedopuszczalne, postaram się załatwić to od razu.

Lokal numer jeden?

Owszem.

Tymczasem, pozwolił pan, wrócić do lektury, czytałem sobie właśnie "The Waste Land" w oryginalnej, pretensjonalnie krygowanej Kleszewski, angielskie słowa wymawiając nienagannie.

Wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa uznaje za zakończoną.

Antek poszedł w ślady gospodarza, uściśnął murekę i podał karteczkę.

Jutro proszę zadzwonić na ten numer, między godziną czternastą a piętnastą.

Podam panu szczegóły dotyczące miejsca i czasu, w jakich odbędzie się nasze przedsięwzięcie.

Tymczasem, idę poczytać tego grubianina spod jedyńki.

Pożegnali się w drzwiach i kiedy te już się zamykały, Antek stwierdził, że w zasadzie nie ma powodu, dla którego miałby odmawiać swojemu ego małych przyjemności.

April is the cruellest month, breeding lilacs out of the deadland wymamrotał pod nosem, z kiepskim akcentem, ale wymową właściwą, niby do siebie i z zadowoleniem zauważył zdziwienie Kleszewskiego.

Kapuś chciał jeszcze coś powieść

dzieci, ale Szarzyński, zadowolony z wrażenia jakie wywarł, zbiegał już po schodach.

Oczywiście, był to ślepy traf, miał szczęście.

Wierszy nie lubił i raczej nie czytywał, Eliot był tutaj wyjątkiem.

Natrafiał kiedyś w resortowych materiałach na polski przekład "Wydrążonych ludzi" Miłosza i poruszyło go do głębi.

Zdawał sobie sprawę, że nie odkrywał całej treści, jaka była w tej poezji zawarta, nie rozumiał symboliki, ale czuł w tych wierszach chłód, który mu odpowiadał.

Zaprzyjaźnił się z tym chłodem.

Wydawało mu się, że Eliot patrzył na ludzi tak jak on, z ostatniego piętra katowickiego wieżowca.

Potem próbował nawet czytać w oryginale, kiedy zaczął uczyć się angielskiego, nie radził sobie z tym samodzielnie, ale czytał oryginał, mając obok polskie tłumaczenie, żeby usłyszeć melodię języka.

I bardzo podobał mu się pierwszy wiersz Ziemi jałowej ten kwiecień, który jest najokrutniejszym miesiącem.

Inawet poezja się przydała.

Na parterze zastukał do drzwi z numerem jeden.

Otworzyła mu gruba babo obwisłych policzkach i powiekach, z popularnym sterczącym spomiędzy warg.

Zza wielorybiego cielska w stylonowej podomce bez rękawów wyglądała ciekawa buźka dziesięcioletniej, zaniedbanej dziewczynki.

Zastąpił Damiana?

zapytał Szarzyński.

Babica nie odpowiedziała, odwróciła się tylko i ryknęła:

Daaaaamian!

Cho no tu!

Antek uśmiechnął się ujmująco, baba zniknęła w mieszkaniu.

Po chwili w drzwiach pojawił się rosy byczek, lat około dwudziestu, ze lśniąco gębą wysadzaną pryszczami dorodnymi jak karbunkuły w królewskiej koronie.

Miał na sobie tylko krótkie:

spodenki i kapcie.

Okazałe zawiązki piwnego brzucha wylewały się nad gumką szortów.

Co? zapytał lakonicznie.

Chodź na chwilę, sprawa jest odezwał się zachęcająco Szarzyński i wyrostek, spoglądając nań ospałym wzrokiem, wy159.

szedł z mieszkania.

Antek delikatnie zamknął za nim drzwi, poczym odwrócił się i kopnął chłopca w krocze.

Byczek zgiał się upadł na kolana, jakrażony szpadą matadora.

Szarzyński cofnął się o krok i z całej siły kopnął młodego w twarz, przerzucając goz klęczek na plecy.

Na szczęście młodzieniec nie stracił przytomności ani nie zdążył się nawet rozwrzeszczeć.

Antek przyklęknął przy nim, chwycił za włosy.

Rusz jeszcze kiedyś tego pedzia spod szóstki, a to samo zrobię twojej mamie i siostrzyczce, jasne?

- wysyczał zuśmiechem.

Chłopak jęknął i od biedymozna było uznać to za potwierdzenie.

Antek podniósł się brudnej posadzki, otarł gumowy nosekrampka z krwi, wyszedł z kamienicy, wsiadł do auta i wrócił do firmy.

Było po trzeciej, ale liczył, że Alicja będzie jeszcze siedziała w biurze.

Mężczyzna, którego widział w jej mieszkaniu, wydawał się zwiększać prawdopodobieństwo, że pani Kazimierczak zostaje po godzinach.

Nie pomylił się.

Siedziała w sekretariacie sama, Sraka i Ceglarek poszli.

Sumowała słupki cyfr, wypisanych na podzielonych na tabelki kartkach zeszytu.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się do Szarzyńskiego.

Uśmiech go zachęcił, odpowiedział więc, tak jak zamierzał.

Słuchaj, dostałem od kumpla dwa bilety na Zagadkę nieśmiertelności, na dzisiaj na dziewiętnastą trzydzieści.

Nie mam z kim iść, może wybrałabyś się ze mną?

Film podobno dobry.

Musiał wyrazić to zaproszenie w taki niezobowiązujący, nonszalancki sposób, bo gdyby wyznał wprost, że chodzi po prostu narandkę, to musiałaby odmówić.

Chociaż chciałyby pójść odmówiłyby, bo taka jest forma, w jakiej układają się międzyludzkie stosunki.

Oczywiście, zaproszenie do kina pięknej, młodej mężatki ma tylko jeden możliwy kontekst, ale ubrane w czytelny dla obu stron pozór "koleżeńskości", jest kolejnym etapem tego behawioralnego tańca, jaki oboje muszą odtańczyć.

Antek już dawno zauważył, że te miłosne podchody przebiegają na podobnej zasadzie

160

jak werbunek.

Obie strony wiedzą, o co chodzi przecież werbowany figurant dobrze rozumie, o co biega, a prawie nikt nie zgodziłby się na propozycję wprost: "donoś nam na kolegów, a będziesz miał z tego wymierne korzyści", tak jak prawie żadna kobieta nie poszłaby do łóżka z kimś, kto uwodziłby ją, mówiąc "przyjdź do mnie do domu, bo chcę cię przelecieć".

TW chce talonna malucha albo zaszkodzić nielubianemu koledze, a dziewczynachce, żeby ktoś ją zerznął albo ma zamiar na dupę złapać męża, bosą przeciw tacy idioci, którzy zenią się z kobietą tylko dlatego, że ma fajne cycki.

Alicja Kazimierczak nie była głupia, rozumiała doskonale, że ten miły i przystojny podporucznik nie emabluje jej ot tak sobie, bez powodu.

Wiedziała, że chodzi mu o romans i to raczej taki bardziej łóżkowy, a nie romantyczny.

Przez chwilę zastanawiała się, czy chce przekroczyć tę granicę, jaką będzie to wspólne kino.

Pomyślała o swojej torebce z bordowej skóry.

W ciemnym, wyściełanym śliską podszewką wnętrzu torebki, leżała portmonetka, jak płód w matczynym łonie.

W jednej z przegródek, za przybrudzoną, ale dalej przezroczyłą folią tkwiło zdjęcie.

Emulsja przylepiła się do folii w paru miejscach, sprawiając, że twarz Jacka Kazimierczaka

wydawała się nieco zniekształcona.

Alicja pomyślała o swoim mężu, pomyślała o jego kościstych plecach, które patrzy na nią w ich małżeńskim łóżku żółtymiżrenicami przyszczy, zza ramiączek nieświeżego podkoszulka.

Ojej, na Zagadkę śmiertelności to ja już dawno miałam pójść, a jakoś się tak nieukładało. Tak że, z przyjemnością.

Umówmy się kwadrans po siódmej, pod kinem.

Uśmiechnął się, przyczym świadomie uniósł górną wargę wyżej, aby w uśmiechu widoczne były zęby.

Nie miał nic więcej do roboty, pojechał więc do domu.

Zdrzemnął się na chwilę, odsuwając od siebie pokusę włączenia commodore, potem wstał, wziął prysznic i ogolił się, drugi raz tego dnia.

Włożył świeże ciuchy, trochę bardziej eleganckie niż do pracy, ale

oczywiście żadnych krawatów; dzinsy i zamiast t-shirtu koszulaz krótkim rękawem, w hawajskie wzory.

Wypuścił ją spodnie.

Zajechał pod Rialto odpowiednio wcześniej, takżeby Alicjanie musiała nań czekać.

Zaparkował na chodniku, wyszedł z autai upozował się malowniczo przy wejściu: ręce w kieszeniach, plecy oparte o mur, lewa noga prosto, prawa zgięta w kolanie, zestopą na ścianie kina, okulary słoneczne na nosie.

Dziewczyny, wchodzące pod rękę ze swoimi chłopcami, taksowały go wzrokiem.

Z satysfakcją zauważył, że paru ślicznotkom zdecydowanie popsuł wieczór, siadając na fotelu przed ekranem będą myślały tylko o tym, jak kiepsko wypada ich towarzysz w porównaniu z tym przystojniakiem, który czekał na jakąś inną pannę.

Brzydulki szare myszki natomiast pozostawały nań obojętne, bo tacy mężczyźni byli dla nich tym, czym lśniące mercedesy 124 dla referentaz gminnej spółdzielni mleczarskiej zdawały sobie sprawę, że istnieją, ale zamiast wzdychać nad kolorowymi, niemieckimi prospektami, cieszyły się raczej ze swojego przydziału na małego fiata.

Alicja przyszła w czerwonej sukience z wielkimi, żółtymi kwiatami, z odkrytymi, opalonymi ramionami i bez obrączki.

Zauważył to od razu, kiedy tylko wyłoniła się zza rogu, na prawej dłoni było blasku czerwonego złota.

Zdjął okulary, przywitał się mokięciem w policzek, jakby znali się jeszcze z liceum i wszedł do kina.

Na godzinę i czterdzieści minut zapomniał o cudzołóstwie, do którego miały prowadzić te obrzędy uwodzenia, bo film wciągnął ich niemal natychmiast.

Starożytna kobieta-wampir, Catherine Deneuve, która ma dwatysiąc lat, David Bowie, Susan Sarandon jako lekarka, wszystko to mocno, acz subtelnie erotyczne, świeże, bo film świeży, sprzed dwóch lat za ledwie, w nastroju odpowiednim nanielegalną randkę.

I jeszcze ten świat, taki zupełnie nie katowicki, bez czerwonych, oblażących z farby autobusów, powietrza szarego od pyłu, bez brzydkich ludzi, których

162

radością życia jest pomarańczowy maluch albo trabant.

A na ekranie surowe, chłodne szarości błękity, muzyka, grana trochę odniechcenia, powoli, palce jednej dłoni naklawiaturze fortepianu, gdzieś między czwartym a pięciokreślnym c, dźwięki kryształowe, jakby ktoś grał na soplach lodu.

Kiedy wychodzili, oboje czuli się trochę uwzniośleni, jakby to, do czego dążą, było czymś większym niż zwykła chuć, jakby za tymoczywistym flirtem kryła się tajemnica.

Antek pomyślał, że dzisiaj mogliby już łatwo trafić do łóżka (dotego łóżka, w którym rano wyczuł jeszcze resztki zapachu perfum prostytutki) i seks byłby nawet ciekawszy niż zwykle, nie tylko dlatego, że pieprzyłby się po raz pierwszy, ale ze względu na nastrój filmu.

W pościeli Alicja, wyprężając plecy, miała by jeszcze w pamięci szlachetną, zimną urodę wampirzycy Deneuve, wychodziłaby poniekąd poza swoje ciało i widziała ich nie w skromnej sypialni Antka, tylko w starannie przygotowanej, filmowej scenografii, z dobrym światłem.

Wysokie wnętrza starego domu, stare meble, wysokie okna, wyszklone kwadratowymi, niedużymi szybami i snopy światła, i odkrywające snycerskie detale napóręczy dwustuletniego fotela.

Trochę jak wtedy, kiedy Sarandon patrzy na autentyczne, rzymskie popiersie i mówi wampirzycy Deneuve, że jest do niej podobna, a te ze swoim francuskim akcentem odpowiada Really! I muzyka, struny fortepianu zmrożone jak sople.

Byłoby przyjemnie, ale zbyt szybkie skonsumowanie romansu odebrałoby mu intensywność.

Antek zaś potrzebował intensywności, bo przecież podchodzi Alicję nie po to, żeby pójść z nią do łóżka, przynajmniej nie tylko po to.

Musiał ją od siebie emocjonalnie uzależnić, czyli, jak to mówią prole, musiał ją w sobierozkochać. Prol skłonny do poezji powiedziałby, że potrzebował raczej jej serca niż dupy.

Kiedy siedli do samochodu, dziewczyna bacznie obserwowała, w którą stronę Szarzyński spod Rialta wyjedzie.
Uśmiechnęła się pod nosem, bo była przecież gotowa, nie protestowałaby

nawet za mocno.

Wyjechał w stronę Tysiąclecia, a na Tauzenie jest jej mieszkanie, w którym czeka na nią Jacek, Jacuś, Jacunioi rozsmarowuje na kromce chleba konserwę turystyczną, metodycznie i powoli, aż żółty tłuszcz wciśnie się we wszystkie pory chleba, aż mielonka pokryje kanapkę równą warstwą. Ale to dobrze, że Szarzyński ją odwozi i paplając filmie, nie kładzie nawet ręki na jej kolanie. To dobrze, to jest jak powolny wstęp do seksu z cierpliwym mężczyzną, którego nie znużą pieszczoty, jak Jacka.

Ten trykają co wieczór z wyjątkiem paru dni menstruacji, po ciemku, przychodzi do niej bez słowa, rozsuwa nogi, parę pchnięć, wypręża się, jęcząc, kładzie na swojej części łóżka i zasypia, ciągle bez słowa.

Jakby wsadzał swojego fiuta w inkubator, maszynkę do robienia dzieci, zostawia ją niedopieczoną, nawet niezbyt rozgrzaną, więc czasem rozgrzewa się, pieści i dopieczy sama, trąc krocze poślinioną dłonią; on już nie zauważa, bo śpi, marząc, że może dziś się uda i Alicja urodzi mu różowego, kwilącego dzieciaka.

Bo, trzeba dodać, Jacek niewie, że w macicy jego żony spoczywa plastikowa spiralka.

A ona potrzebuje mężczyzny, który rozgrzewałby ją powoli, rozbierał powoli i pieścił powoli, tak samo powoli trzeba rozgrywać romans; w zasadzie nigdy tego jeszcze nie próbowała, ale wie, czuje, że tak to właśnie powinno wyglądać.

Szarzyński, jadąc, opowiadał Alicji o płycie The man who sold the world Davida Bowie'ego. Pochylił się i szukał kaset w schowku, dotykając łokciem nagich kolan dziewczyny. Tętno przypadkowy dotyk sprawił jej przyjemność.

Zaparkował nie bezpośrednio pod blokiem, tylko przecnię wcześniej, pani Kazimierczak doceniła dyskrecję.

Pożegnali się przyjacielskim cmoknięciem w policzek, stykając się prawie kącikami ust.

Alicja wracała do domu uśmiechnięta, a Antek znalazł wreszcie tę kasetę Bowie'ego.

Włączył, przewinął do The man who sold the world, wyjechał na Dzierżyńskiego i wrócił do domu. W mieszkaniu włączył komputer, otworzył sobie butelkę

164

żyweca i grał w "River Raid" do trzeciej nad ranem.

Zamierzał wypić kilka piw, ale skończył pierwsze, letnie już bez gazu, nie chciało mu się wstawać i iść do lodówki po następne, grał więc bez piwa.

Kiedy kładł się spać, przed oczami przesunął mu się niebieski pas rzeki, flankowany zielonymi pasami łąd, upstrzone kropkami wrogów do zestrzelenia.

We śnie sam wylądował nad tą niebieską rzeką, unikając zderzenia z brzegiem i zestrzeliwując helikoptery, wrogie samoloty i statki.

Nasamym końcu rzekie czekała na niego uśmiechnięta, płowowłosa kobieta.

Obudził się z pulsującą głową i piekącymi oczami.

Oprzytomniał dzięki dużemu kubkowi rozpuszczalnej kawy i długim uprząsniom.

Pojechał do firmy.

Zajął się papierami do sprawy Zielarza, wypisywał zapotrzebowania i sumował wydatki.

Zadzwoił do mopsa z Wydziału T, upewnił się, że MDMA będzie na piątek rano i zamówił jeszcze fiolkę chloroformu.

Mops pokornie potwierdził, że narkotyk będzie, a Szarzyński uznał, że nie ma co czekać i realizację specjalnej kombinacji operacyjnej o kryptonimie "Sultan-Seraj", jak zatytułował sprawę pozyskania kompromatowa Zielarza, należy wykonać w piątek.

Uzgodnił datę z Klewką i załatwił wolne mieszkanie konspiracyjne w Gliwicach.

O czternastej zadzwonił Hrabia, Antek przekazał mu, że cały piątek ma być pod telefonem, nie mógł podać dokładnej godziny, bo godzinę zdjęcia Zielarza zamierzał ustalić dopiero w piątek rano, na podstawie danych z obserwacji, którą prowadził jakiś anonimowy plutonowy na prośbę Klewki.

Do drugiej zrobił wszystko, co miał do zrobienia.

Mógł zająć się swoimi sprawami.

Zjadł obiad pulpę z kartofli, kawał żylastego mięsa i wodniste buraczki w firmowej stołówce.

Czasem lubił rozkoszować się jedzeniem, w resortowych sklepach kupował sobie różne smakołyki z Zachodu, jakieś wina francuskie, próżniowo pakowane sery, drogie wszystko jak szlag, i robił sobie małe uczyty, ale co dzień traktował jedzenie jak tankowanie auta, trzeba nalać,

165.

żeby chodziło, wrzucał więc w siebie zawartość resortowego talerza, nie zwracając uwagi na to, co je i jak to smakuje.

Po obiedzie zaszedł doszatan operacyjnej, pokazał zapotrzebowanie, których cały plik, in blanco, dostał dzieńpo zaprzysiężeniuod Klewki i znalazł sobie instalatorski drelich, czapkę, torbę na ramię i dużą, stalową skrzynkę na narzędzia.

Pojechał do domu, tam się przebrał, do skrzynki schował aparat fotograficzny, do którego założył najczulszy, czarno-biały film, obok włożył teleobiektyw, światłomierz, wytrychy, preparowane klucze i stieczkina.

Na wszelki wypadek do pistoletu dokręcił tłumik, obok wsunął drucianą kolbę i starczyło jeszcze miejsca na smukły, drewniany klin.

Broń aparat przykrył wyciąganą półeczką, na której poukładał śrubokręty, kombinerki i młotki.

Obejrzał się w lustrze, zsunął z przegubu nie pasujący do przebrania zegarek i zastąpił go starą, ruską pabiedą, którą nosił jeszcze w liceum.

Otworzył pudełko pasty do butów i podrapał czarną maź wszystkim paznokciami, wtarł ją w opuszki palców, po czym wtarł dłonie szmatą.

Paznokcie zyskały wyraźne, czarne obwódki.

Do konduktorskiej torby włożył cztery podwójne kanapki z szynką i butelkę coli.

Przed lustrem dokleił sobie wąsy, założył duże okulary wrogowej oprawie, czapkę, po czym wyszedł z domu.

Na Załęże pojechał autobusem, sprawdzał reakcje.

Nikt nie zwracał nań uwagi, uznał więc, że przebranie spełnia swoją rolę.

Było jeszcze dobrze przed szóstą, miał więc sporo czasu.

Wysiadł na Gliwickiej, przeszedł się kawałek, skręcił w Klimczok i wspiął się po schodach kamienicy, nastrych.

Wytrychem otworzył kłódkę, puszka stała tam, gdzie ją ostatnio położył.

Oczyścił kurz kawałek szyby, ustawił aparat na miniaturowym statywie, położył się na podłodze, wycelował teleobiektyw w okno mieszkania TW Skowronka i obserwował przez chwilę.

Niezgoda był w domu, oglądał telewizję.

Na kanapie siedziała z nim jakaś chuda blondynka.

Antka trochę to zaniepokoiło, bo Skowronek był miękki i jeśli dziewczyna się uprze, to kapuś nie będzie umiał jej wyrzucić i kwaśny się spłoszy.

Nie dręczył się jednak tą myślą, przykrył aparat drelichową kurtką, wyciągnął narzędzia i rozejrzał się za czymś, co mógłby rozgrzebać, uprawdopodobniając legendę instalatora.

Znalazł parę gniazdek elektrycznych, z przewodami puszczonego po ścianie, odkręcił jeden i zaczął pruć kable, gdyby ktoś przyszedł, powie, że wymienia instalację.

Sprawdził godzinę, usiadł pod ścianą i zjadł kanapki, popijając colą.

Kwadrans przed ósmą wyjął ze skrzynki klin i mocnym kopnięciem wbił go w szczelinę między podłogą a drzwiami.

Sprawdził, ciągnąc za klamkę, były zablokowane.

Położył się i przywarł okiem do wizjera aparatu.

Czarne kółeczko celownika znajdowało się dokładnie w środku okna.

W mieszkaniu, tajny współpracownik krzątał się w pokojach, Antek śledził go okiem teleobiektywu, podążając za nim od okna do okna.

Dziewczyny już nie było, Niezgoda co chwilę wyglądał przez okno.

Antek miał nadzieję, że Kwaśny z ulicy nie zauważy spojrzenia informatora.

Na wszelki wypadek wyjął ze skrzynki pistolet, przeładował, wsunął kolbę w wycięcie na tylnej ścianie chwytu, zablokował.

Gotową dostrzału broń położył w zasięgu ręki.

Sprawdził światło i skorygował ustawienia przysłony oraz czasu naświetlania.

Naciągnął migawkę, przewijając film i zrobił pierwsze zdjęcie w kadrze znalazł się Marcin Niezgoda

zaciągający się papierosem.

Kciukiem szarpnął dźwignię i aparat był gotów do następnego zdjęcia.

Sięgnął po drelich, narzucił na siebie i aparat, na wszelki wypadek, aby zamaskować charakterystyczny zarys ludzkich ramion i głowy.

Spod kurtki wystawało tylko czarne oko obiektywu.

Nie patrzył na ulicę, nie chciał ryzykować dekonspiracji wyglądaniem przez okno, z okiem przy wizjerze pentaxa był odsunięty od szyby o dobre trzydzieści centymetrów.

Czekał.

I doczekał się.

Trzasnęła migawka, uniosło się lustro, okno, Niezgoda i Kwaśny w wizjerze zniknęli na ułamek sekundy, światło padło na warstwę błony fotograficznej i obraz wypalił się w nich nieodwracalnie.

Zgrzytnął na ząbkach przewijany film,

167.

migawka trzasnęła ponownie, znowu zgrzyt, kciuk odciąga i puszcza sprężynującą dźwignię, palec wskazujący naciska moletowany spust migawki.

Szarzyński czuł się jak napolowaniu w lasach rudzkich z kolegami z gliwickiego urzędu, kiedy popili się trochę i postanowili urządzić sobie strzelanie.

Walił wtedy do leżącej natrawie puszkę po konserwie z powtarzalnego sztucera, dłoń podbija rączkę zamka do góry, szarpiew tył, pcha doprzodu i w dół, cztery metaliczne szczęknięcia, palec wskazujący na spust, strzał, puszka podskakuje na trawie, uderzona impetem karabinowego pocisku i zanim spadnie na ziemię, to dłoń Szarzyńskiego już szarpie rączkę zamka, pada kolejny strzał, puszka skacze i tak pięć razy, aż na ściągnięcie cyngla sztucer odpowiedział suchym pstryknięciem iglicy w pustkę komory.

Serię pierwszych dziesięciu zdjęć strzelił tak szybko, jak pozwalał na to mechanizm aparatu. Każde otwarcie migawki było jak pocisk, wbijający się w ostre brudy gwintu.

Zwolnił tempo.

Był nieco zdziwiony tym, co zobaczył wyświetlone na matówce, przefiltrowane przez okienne szyby, soczewki obiektywu, odbite od lustra iskrzące w pryzmacie pentaxa.

Naciska teraz spust migawki tylko wtedy, kiedy ujęcie wydawało mu się szczególnie dobre.

Po kwadrans miał już cały film w zasadzie wszystko, co byłoby mu potrzebne, ale postanowił, na wszelki wypadek, fotografować dalej.

Sprawnie zwinął więc zużytą błonę, otworzył aparat, założył nowy film, pstryknął dwa razy, używając pustych kadry fotografował dalej.

Czterdzieści minut później na ostatnich dwóch zdjęciach uwiecznił porucznika Kwaśnego wychodzącego z pokoju.

Odczekał kwadrans, po czym spakował wszystko do skrzynki narzędziowej i wyszedł, nie natykając się na nikogo.

Na Gliwickiej usiadł na przystankowej ławeczce, zapalił papierosa i czekał na autobus.

Narozgrzanym całym dniem upału chodniku po drugiej stronie drogi goniły się w wątlym i pomarańczowym świetle latarni małe Cyganiątka bez majtek, o skórzeciemnej, jakby jeszcze wczoraj wygrzewały się pod słońcem Bengalu.

168

Podjechał autobus.

Antek wstał, zdeptał papierosa, wsiadł, chwycił się skórzanej pętli przy rurce wyslizganej i wypolerowanej ludzką skórą i jechał, chwiejąc się wraz z resztą znużonych upalnym dniem pasażerów.

Jechał z bijącym sercem, był niespokojny i podekscytowany, cały czas myślał o dwóch filmach, zwiniętych jak ślimaki w muszlach z czarnego plastiku, które leżały obok załadowanego sześcioramionowego stojaka, w skrzynce, którą trzymał na kolanach.

W myślach przypominał sobie, co po kolei musi zrobić, jakie odczynniki mieszać, w jakiej temperaturze, żeby dobrze wywołać i utrwalić negatywy i potem zrobić z nich odbitki.

Niemógł oddać zdjęć do resortowego laboratorium, ale miał u siebie amatorski zestaw fotograficzny.

Kiedy dotarł do domu, nie ściągnął nawet przebrania z szatni operacyjnej.

Pozbył się tylko wąsów, bo czuł, jak odklejując się od skóry i zabrał się do pracy, zamykając się w łazience bezoknaledynie tam mógł sobie zapewnić absolutną ciemność, złamaną tylko czerwonym światłem lampki ciemniowej.

Kiedy uporał się z wywoływaniem i utrwalaniem filmów w koreksach i kuwetach, uspokoił się, bo widoczne nabłonie negatywy upewniły go, że wszystko zrobił dobrze.

W powiększalniku wykonał odbitki, po dwie z każdej klatki, potem kąpiel i przyglądał się, jak chemikalia wyciągały ze światłoczułego papieru czarno-białe obrazy, które wcześniej utrwalił na błonach, teraz krwawo lawowane czerwonym światłem ciemni.

Często nieostre, ciemne, źle skadrowane, ale jednak wyraźne.

Kwaśny, tłukący Niezgodę potwarzy.

Kwaśny, skuwający Niezgodzie ręce na plecach i rozpinający rozporek, Niezgoda, nagi, w

kajdankach, klęczący z głową wtuloną w krocze porucznika.

Na tym zdjęciu Kwaśny patrzy prosto w obiektyw, z twarzą wykrzywioną grymasienawiści zmieszanej z rozkoszą.

I kolejne, Kwaśny również nagi, spleciony z udręczonym Niezgodą w różnych pozycjach i konfiguracjach.

Ibicie.

Wszystko to, co oglądał przecież na bieżąco przez długie oko pentaxa, bardziej poruszyło go teraz, kiedy widział to

na papierze.

Przyznał w duchu, trochę nawet zaskoczony, że TWSkowronek zdołał go, podporucznika Szarzyńskiego, skutecznie zwerbować do tej roboty, nie tylko poprzez korzyść, którą Antek zamierzał z tej kombinacji uzyskać, lecz teraz mógł liczyć na jego, oficera SB, autentyczne zaangażowanie w sprawę.

Szarzyński miał ochotę udupić Kwaśnego i wiedział, że zrobi to za pośrednictwem Micińskiego, od którego chce wyciągnąć informacje o "Sułtanie", albo i bez jego pośrednictwa, dla samej satysfakcji.

Powiesił odbitki na sznurku, przypinając klamerkami.

Postanowił, że najważniejsze materiały zakonspiruje od razu.

Nożem otworzył puszkę z mielonką, starając się uzyskać jak najcieńsze cięcie w blasze.

Mięso odłożył, będzie na śniadanie, a puszkę wyszorował, wysuszył elektryczną opalarką do farby, włożył do środka negatywy, zwinięte w plastikowych pudełeczkach na filmy, wymościł puszkę skrawkami podartej gazety, po czym dokładnie zalutował wieczko, ostrożnie, żeby nie przegrzać całego pojemnika.

Włożył gotową puszkę do trzech plastikowych woreczków i z daleka, opalarką, owiewał je strumieniem gorącego powietrza, aż stopiły się i oblepiły puszkę szczelną powłoką.

Spojrzał na zegarek, była trzecia w nocy, dobry moment, żeby przejść się pod uniwersytet, nad Rawę.

Tam, pod jednym z mostków, nad czarną, trującą wodą rzeczulki, dawno temu wypatrzył sobieskrytkę.

Przykleił z powrotem instalatorski wąsik, stieczkina wepchnęła pasek spodni, puszkę włożył do kieszeni i poszedł.

Wrócił po dwóch kwadransach, rozebrał się, położył i zasnął natychmiast.

Rano wstał zupełnie niewyspany, zaszedł do łazienki, gdzie sięgnął ze sznurka suche odbitki, włożył je do dwóch papierowych kopert.

Jedną ukrył w schowku, który własnoręcznie, za pomocą wiertarki, dłuta i cierpliwości sporządził sobie w betonowej podłodze balkonu zaraz po tym, jak wprowadził się do mieszkania, drugą zaś przeszył dookoła, zostawiając jeden bok otwarty.

Włożył kopertę do innej, większej, której nie zaklejał, włożył tam

170

jeszcze kawałek laku i wszystko wrzucił do teczki.

Zastanowił się chwilę i ze schowka wyciągnął wszystkie swoje pieniądze, niecałe sto tysięcy, które dostał od Drzewieckiego po zaprzysiężeniu, żeby nie musiał się martwić kasą.

To, co zamierza teraz robić, może wymagać pieniędzy i jednocześnie może pojawić się sytuacja, w której nie będzie mógł pojawić się w domu.

Odliczył dziesięć tysięcy i schował do portfela, resztę włożył do niezaszytej koperty.

Wykąpał się, ubrał, spakował potrzebne rzeczy i szedł na dół, do samochodu.

Nie pojechał prosto do firmy, zahaczył najpierw kiosk napoczątku Kościuszki.

W środku był znajomy sprzedawca-filozof wybierającą krzyżówki babina.

Chłopak zza lady uśmiechnął się do Szarzyńskiego kpiąco i dwoma palcami zsalutował do spadającej na czoło blond grzywki.

Antek odpowiedział uśmiechem.

Babina w końcu kupiła swój zestaw rozrywki i wyszła, Antek zamknął za nią drzwi i przekręcił pokrętkę zamka.

Spodziewał się, że zdegradowany uczonego przestraszy się tego gestu, ale ten zachował obojętny spokój, Szarzyński więc do sedna.

Chciałbym, żeby pan przechował dla mnie pewną rzecz powiedział, kładąc kopertę na ladzie.

W bezpiecznym miejscu.

Zapłacę tysiąc złotych teraz, tysiąc przy odbiorze i pięćset złotych za każdy miesiąc.

Może pan odmówić, ale zaznaczam, że nie chcę żadnych pokwitowań, żadnych podpisów, niczego.

Propozycja była bardzo hojna, tak bardzo, że filozof musiał ją przynajmniej rozważyć.

Milczał.

Słyszał trochę o metodach działania SB i uznał, że musi to być prywatne przedsięwzięcie tego oficera, za które płaci z własnej kieszeni.

Może prowadzi jakąś grę przeciwko swojemu kierownictwu, może spiskuje?

Był to bardzo atrakcyjna perspektywa, ale natychmiast pojawiła się wątpliwość:

Co, chce mnie pan zrobić?

Podrzucimi pan coś, jutro przyjdzie milicja, zrobi rewizję, znajdzie tam jakieś dokumenty, nie wiem, z planami jakiegoś samolotu albo czołgu i dostanę czapę za szpiegostwo, co? zapytał.

171.

Szarzyński uśmiechnął się wyrozumiale.

Po pierwsze, niech się pan nie obrazi, ale chyba przeceni pan nieco swoje znaczenie. Czy naprawdę sądzi pan, że resort angażowałby takie środki, żeby wykończyć jednego wywalonego uczelni doktoranta, który sprzedaje w kiosku papierosy?

Filozof zgodził się po namyśle.

Rzeczywiście, był na to zbyt nieważny.

Po drugie kontynuował Szarzyński oferując panu takie pieniądze, bo chce, żeby pan to tak schował, żeby żaden gliniarczyk tego nie znalazł.

Potrzejcież, pokażę panu, co to jest.

Wyciągnął z teczki plik odbitek, tak, aby sprzedawca nie zauważył ukrytych w kopercie pieniędzy i pokazał mu je, nie dając do ręki.

Przetasaował szybko, żeby chłopak mógł zobaczyć, że niema w nich niczego innego.

To dwóch mężczyzn, których przyłapałem na pedałstwie.

Obaj są dość ważnymi ludźmi, ale nie zna pan żadnego z nich.

Z pewnego powodu nie chcę trzymać tych zdjęć ani w moim mieszkaniu, ani tym bardziej na komendzie mówił Szarzyński, celowo wzmagając przekonanie chłopaka o konspiracyjnym i być może, być może!

antysystemowym charakterze całego przedsięwzięcia.

Nie jest to jednak nic, czego przechowywanie byłoby nielegalne.

Nie można pana ukarać za posiadanie tych zdjęć kłamał Szarzyński, mając nadzieję, że chłopak uczepli się legalistycznego rozumienia słowa "karać".

Zgadza się powiedział po chwili sprzedawca.

Rzecz była trochę jak z filmu kryminalnego, a dodatkowo, spore pieniądze, to jednak coś.

Antek zakleił kopertę, wyciągnął wbitą w papier igłę i przeszył.

Z teczki wyciągnął kawałek laku, rozgrzało nad zapalniczką, przykleił do papieru, zatapiając w nim zawiązane na supełek oba końceniki, po czym odcisnął w lakowej pieczęciopuszkę swojego kciuka.

Całość włożył do drugiej koperty, zakleił i podał sprzedawcy.

172

Nie muszę panu tłumaczyć, że jeśli zawiedzie pan moje zaufanie, konsekwencje wyciągnę osobiście, prawda?

zapytał.

Chłopak potwierdził skinieniem głowy.

Antek wyjął z kieszeni portfel, odliczył dziesięć setek i trochę drobnych, położył na ladzie, poprosił o camelei "Dziennik Zachodni".

W firmie usiadł w pokoju i poczekał, aż znajdzie się tam sam na sam z Micińskim.

Trochę to trwało, bo na początku w ogóle kapitananie było, w biurze siedział tylko Klewka, który grzebał w papierach.

Potem Miciński w końcu przyszedł i jak na złość Klewka zanurzył się w lekturze "Sportu".

Kiedy w końcu wyszedł, chociaż tylko na chwilę, Szarzyński zaczął jakąś banalną rozmowę o piłce, przysuwając jednocześnie Micińskiemu pustą druczek z teczki ewidencyjnej, z dopisanymi na nim słowami:

"Mam dla Ciebie bardzo mocną rzecz na Kwaśnego.

Spotkanie w kinie Rialto, seans o 19:30, będę w czwartym rzędzie od ekranu, obok mnie będzie wolne miejsce" ołówkiem, leciutko, prawie niewidocznie.

Miciński zagapił się na chwilę w druczek, poczym zmiął go, zapalił papierosa i tą samą zapalką podpalił papierek w popielniczce, poczekał, aż cały szernieje w płomieniach, po czym starannie rozgniół popiół.

Kiwnął głową, Antek odpowiedział również skinieniem.

Do piętnastej posiedział nad papierami związanymi ze sprawą Ziellarza, wpadł jeszcze do Alicji i poflirtował trochę, ale w pośpiechu, tak żeby zauważyła, że odwiedza ją mimo tego,

że jest bardzo zajęty.

Podróż do domu kupił cztery bilety na wieczorny seans Zagadki nieśmiertelności, w kasie była inna kasjerka, więc nieskojarzyła, że facet idzie w odstępie dwóch dni na ten sam film, i dobrze, bo uniknął wymyślania legendy.

W domu wahał się między oglądaniem filmów na wideo a graniem na komputerze, ale w końcu poczuł się tak senny, że nastawił budzik na siódmą i postanowił odespać pracowicie.

Obudził się odpowiednio wcześnie, wyciągnął ze schowka

173.

kopertę, wybrał piętnaście mocnych zdjęć i wsunął je luzem dokieszeni kurtki, po czym zbiegł po schodach na sam dół i pojechał do kina.

Bileterce podał do skasowania wszystkie bilety kupił cztery, żeby mieć na pewno obok siebie dość wolnego miejsca.

Siadł i czekał, w kieszeni kurtki, którą zwinął na kolanach, wyczuwał prostokątny kształt zdjęć.

W końcu zaczęła się film i Szarzyński znowu z pewnym zainteresowaniem zaczął śledzić twarze i gesty Deneuve, Sarandoni i Bowie'ego.

Lubił oglądać filmy wielokrotnie, czerpał przyjemność z odkrywania detali, które umykają, kiedy za pierwszym razem jesteś skoncentrowany raczej na śledzeniu fabuły.

Rozbłysnął na chwilę żółtym światłem żarówek korytarza prostokąt drzwi, do kina ktoś wszedł.

Antek rozpoznał szczupłą sylwetkę Micińskiego.

Kapitan usiadł obok.

Szybko się kolega wciągnął w politykę powiedział bardzo cicho, nie zwracając twarzy ku Szarzyńskiemu, z oczami wbitymi w ekran.

Tak bywa odpowiedział Antek.

Skąd kolega wie, że porucznika Kwaśnego nie kocham?
zapytał Miciński.

Gadają ludzie odparł Szarzyński i wysupłał kieszeń zdjęć.

Z drugiej wyjął małą latarkę i podał jedno idrużenie kapitanowi.

Miciński zaświecił, przez pięć sekund patrzył na fotkę i zgasił latarkę.

Zwrócił obie rzeczy Antkowi.

No i co?

szepnął, a Szarzyński zrozumiał, że nadzwyczajna obojętność starego esbeka to otwarcie negocjacji. Był pewien, że w środku Miciński płonie radością z perspektywy rychłej zemsty tylko udaje niezbyt zainteresowanego.

No i nic.

Są inni zainteresowani, jakby co Antek zaczął odgrywać komedię.

Miciński milczał chwilę, sycząc oczy szlachetną urodą francuskiej aktorki, grającej w amerykańskim filmie, wyświetlanym w mieście za żelazną kurtyną.

174

Co za to chcesz?
zapytał w końcu.

Dokładnej informacji, czym jest "Sułtan" odparł natychmiast Szarzyński.

Miciński zamilkł znowu.

Antek był pewien, że kapitan rozważał w tej chwili możliwość, iż jego młodszy kolega jest kretem jakiegoś zachodniego wywiadu, najpewniej bardzo aktywnej w Polsce CIA.

Miał przygotowanych na to parę dobrych odpowiedzi.

W porządku powiedział Miciński.

Nie pytał, nie negocjował, po prostu się zgodził.

Antek, przygotowany na ciężką dyskusję, był nieco zaskoczony, aleni byłby czekistą, gdyby zawsze nie był przygotowany na niespodziewane.

Wychodzę z kina i czekam w mojej alfi, zaparkowany jest od drugiej strony.

Może sobie kolega obejrzeć film do końca, dobry jest powiedział i wyszedł.

Usiadł za kierownicą i czekał na Micińskiego.

Nie nudził się, nie rozmyślał, nie planował rozmowy.

Niewspominał, nie przelatyał mu przez głowę żadneurywki, strzępy słów, zdań, nic.

Drzewiecki nauczył go kiedyś, dawno temu, jeszcze pod koniec podstawówki, wprowadzać się w taki stan, zapomocą krótkiej, intensywnej koncentracji.

Wtedy robił tak, zanim brał się do nauki, po pół godzinie spokoju czytał zadany rozdział i zamykał książkę.

Nie musiał niczego powtarzać, przypominać, uspokojony mózg chłonał informacji jeszcze dziś, po tylu latach, bez żadnego problemu potrafiłby odtworzyć z pamięci rysunek układu pokarmowego żaby z podręcznikaw szarych okładkach, pamiętał wiersze Broniewskiego, których uczył się na polski, stolice wszystkich państw świata i nawet jakieś absurdalne dane z roczników statystycznych, których naukę czasem zadawała im szalona nauczycielka geografii.

Siedział tak, z głową opartą na zagłówku fotela, aż Miciński zapukał w szybę odstrony pasażera.

Antek spojrzął na zegarek, minęło pół godziny, widać nie chciało się Micińskiemu czekać dokońca Zagadki nieśmiertelności.

Jakieś gówno ten film, wampiry nieśmiertelne, daj pan
175.

spokój powiedział esbek, sadowiąc się na fotelu.
Kolego, nie będziemy se panować, skoro mamy wspólne interesy.
Waldek jestem.

Antek.

No i dobrze.

Przepijemy kiedy indziej.

Teraz pokaż te zdjęcia.

Szarzyński podał koledze plik odbitek i zjechał z chodnika nadrogę.

Miciński zapalił lampkę podsufitce i krzywił się z obrzydzenia, studiując zdjęcia z Kwaśnym i Niezgoda, a Szarzyński ruszył w stronę wyjazdu na gierkówkę.

Chciał mieć dużo czasu i prostą drogę przed sobą, tak, żeby wcisnąć gaz, jechać, słuchać Micińskiego i zapamiętywać.

Do Częstochowy kapitan powinien mu wszystko opowiedzieć, wracając, on będzie zadawał pytania.

ROZDZIAŁ 5

Micińskiemu chciało się, by Szarzyński dowoził go do domu, więc ten wypuścił go niedaleko dworca i pojechał do siebie.

Nie był ani wstrząśnięty, ani specjalnie zdziwiony, nie był też pewien, co zrobi z wiedzą, którą właśnie posiadał.

Kapitan mówił o "Sultanie" ze szczegółami, czasem nawet zbyt rozwlekł, ale na pytania odpowiadał wyczerpująco i Antek mógłby sądzić, że ma o sprawie pojęcie już dość jasne.

Zaparkował na swoim miejscu pod blokiem, wszedł do klatki, i wbiegł na dwudzieste czwarte piętro, niezbyt szybkim, ale równym krokiem, co dwa schody, nie zatrzymując się ani razu.

W mieszkaniu rzucił się na fotel i rozmyślał nad tym, czego się dowiedział.

Poznając sens "Sultana", wzmocnił swoją pozycję.

Nie mogła razie w żaden sposób tej wiedzy wykorzystać, tak jak armia trzyma w magazynach setki tysięcy albo miliony karabinów, zalanych smarem, nieużywanych, które czekają, aż nagle rozpocznie się wojna o pokój i stalowy walec pancerny zanieśnie zdobycze socjalizmu aż za Pireneje i dalej, jeśli będzie trzeba.

Wtedy wartownicy otworzą kłódki i zasuwę, rozewrą ciężkie wrota, zaś niedziałe od kurzu, staroświeckie żarówki rozbłyśną światłem i troskliwie ręce zbrojmistrzów zetrą smar z oksydowanej stali, przetrą drewniane kolby z kurzu i złożą uśpioną od ćwierci wieku broń robotniczo-chłopskie ręce żołnierzy, którzy pójdą, żeby opłukać znużone marszem stopy w wodach duńskich cieśnin.

Antek roześmiał się sam do siebie, bo rozbawiło go to porów 177.

nanie.

Każdy głupi w resorcie wiedział od dawna, że żadnej wojny z Zachodem nie będzie, bo być nie może.

Ruscy kupują zboże od Amerykanów i gdyby tylko Reagan miał jaja, to raczej zjednoczeni na nowo Niemcy i Francuzi poiliby konie w Wołdze, jak stosiedemdziesiąt lat temu, tyle że tym razem raczej zwycięsko.

Niezwykła Armia Czerwona ma piękne czołgi i samoloty, a lenie ma benzyny, żeby tymi czołgami jeździć i samolotami latać.

KGB, jedyne, co w Ojczyźnie Światowego Proletariatu jeszcze działało sprawnie, robiło wszystko, aby nieuniknioną klęskę zminimalizować, zamortyzować upadek i przygotować się na nowe czasy, które bez wątplenia nadejdą i to nadejdą całkiem szybko.

Kiedy upadał carat, Ochrona nie była nato gotowa, a jednak przecież całe siatki agenturalne, całe pionierzy funkcjonariuszy poprzehodziły wprost do nowo tworzonej Wsiorossij sklej Czriezwyczajnoj Komissiji po Borbie s Kontrriewolucyje Sabotażom.

A Czerezwyczajka zawsze uczy się nablędach swoich poprzedników i kiedy nadejdą nowe czasy, KGB będzie gotowe, a razem z bratnimi czekistami sowieckimi gotowy będzie i polski resort.

W zasadzie więc celniejsze byłoby porównanie wiedzy o "Sułtanie" do posiadania kodu dostępu do tajnego magazynu broni, nawypadek obrony przed agresją.

Kiedy już tamci wjadą tutaj, triumfalnie, nie na czołgach i transporterach, lecz swoimi limuzynami, concordami, lądującymi na Okęciu, nie w mundurach, lecz w garniturach i z rękami zaciśniętymi na uchwytych aktówek pełnych dolarów, nie na kolbach, to oni, starzy czekaści z Czwartego Wydziału, będą gotowi, bo mają "Sułtana".

Inne Wydziały posiadają zapewne swoich władców, Antek był gotów się założyć, że "Sułtan" miał swoich braci i siostry, trójka mogła mieć na przykład "Królową", dwójka "Padyszacha", a jedynek, cholera wie, "Cesarza".

Wszystko to było bardzo optymistyczne, Szarzyński nie rozumiał tylko, dlaczego Miciński podzielił się z nim tą wiedzą tak łatwo i tak kompletnie.

Spodziewała się, że za zdjęcia Kwaśnego

178

dostanie parę ochłapów, jakieś ogólne założenia, w możliwie zawyżony sposób, z podkreśleniem ważności nieistotnego i przemilczaną lub półgębkiem podaną wiedzą istotnym, tak aby sensałości pozostawał dla Antki jeśli niezakryty, to przynajmniej widoczny jak najmniej wyraźnie.

Tymczasem dostał kompletną wizję, całościowy plan, jasny obraz.

Może to była funkcja nienawiści Micińskiego do porucznika Kwaśnego, może radość z moralnego zniszczenia wroga była tak wielka, iż nie chciał ryzykować, że Szarzyński się rozmyśli.

Może.

Ale żeby wiedza o "Sułtanie" była naprawdę wiedzą, musiała się upewnić.

Nie można planować obrony nie mając pewności, czy pasuje klucz do magazynu z bronią.

Nie można planować obrony, nie mając pewności, czy w magazynie są nowe karabiny granatniki przeciwpancerne, czy raczej pamiętając drugą wojnę mosini z pięcioma nabojami n karabin i butelki z benzyną.

Niewystarczy przekonanie, że klucz pasują i przypuszczenie, że może jednak jest dość amunicji.

Wiedza niepewna nie jest więcej warta niż niewiedza.

Słowem, musi potwierdzić rewelacje Micińskiego z innego źródła.

Uśmiechnął się do siebie jeszcze raz, jak szachista, który z biegiem partii stwierdza, że bardzo słusznie na początku poświęcił parę posunięć na zabezpieczenie różnych kierunków natarcia. Spojrzał na zegarek, była dwudziesta trzecia piętnaście.

Sięgnął po telefon i wybrał domowy numer Alicji Kazimierczak.

Jeśli usłyszy męski głos w słuchawce, to po prostu odłoży i tyle.

Trzeci pisk sygnału urwała się w połowie.

Słucham?

powiedziała Alicja, zdziwiona tak późnym telefonem.

Przepraszam, Ala, to ja powiedział Szarzyński, zawstydzonym głosem.

Antek!

ucieszyła się Kazimierczak i młody esbek zrozumiał, że jest sama w domu.

Gdyby wierzył w Boga, mógłby mudziękować za tak korzystny zbieg okoliczności.

Oczywiście, nie

179.

wierzył, ale w zasadzie nie wierzył również w przyziemny materializm, jakiego usiłowano uczyć obojętnych nań adeptów sztukojca Dzierżyńskiego na kursach politycznych w legionowskiej szkole.

Było coś więcej niż sama materia, nie miał do tego wrażliwości, podziękował więc opiekunowi tajniaków, kimkolwiek on był, albowiem wszelki wypadek, gdyby był.

Ala, przepraszam, że dzwonię kontynuował fałszywe zażenowanie.

Ale po prostu nie mogłem wytrzymać bez Ciebie.

Ja..

urwał.

Antek, nie przepraszaj.

To dobrze, że dzwonisz.

Słuchaj, może wpadniesz do mnie na herbatę?

W sumie jeszcze nie jest tak późno.

Szarzyński uśmiechnął się bezgłośnie.

Bożku tajniaków, będąc sobie Ciebie wyobrażał jako towarzysza Feliksa Dzierżyńskiego z portretów, które wisiały w salach wykładowych w Legionowie.

No nie wiem, Ala.

dalej rznął głupa.

Antek, przyjeżdż.

Nie mam o męża powiedziaław końcu to, co było najważniejsze.

Wyjechał do Warszawy na jakieś szkolenie.

Będziemy mogli spokojnie pogadać, mam dobrą herbatę, angielską usiłowała ratować formę, według której przecieżnie byli jeszcze kochankami.

Wiesz, nie było okazji nawet parusłów zamienić w firmie.

Przyjadę, będę za kwadrans.

Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę.

Był naprawdę z siebie zadowolony.

Umyłębymy, zmienił koszulę na czystą, spryskał się wodą kolońską i pojechał na Tauzena.

Z ostrożności nie zaparkował bezpośrednio pod klatką, prowadzącą do mieszkania Alicji i, lecz nieco dalej.

Pochwili zapukał do jej drzwi.

Otworzyła mu, ubrana zdecydowanie zbyt oficjalnie, jak na samotny wieczór w domu.

Antek stwierdził, że jeżeli będzie teraz dalej zachowywał koleżeńską formę ich relacji, to potem będzie dużo trudniej ją przełamać, bo Alicja będzie musiała wtedy uznać, że wypadałoby się sprzeciwić czy nawet bronić.

Jeśli po 180

rzuci tę formę na wstępie, to z samej dynamiki międzyludzkich relacji wyniknie niesprawiedliwie niedła przewinięcia tego fragmentu.

Będzie mogła bezuszczerbku dla formy ulec namiętności i pożądaniu, potem będą leżeć w łóżku i ona będzie się doniego tulić i mówić, że nie wie, jak to się stało.

Wszedł więc bez słowa i pocałował ją w usta, poczuł jej języki przylgnął do niej całym ciałem.

Tak jak się spodziewał, nie opierała się wcale, zaplotła mu ręce na szyi, a kiedy oparli się o ścianę, jej łydka powędrowała w górę i pochwili obejmowała go już zudem.

Czuła jego erekcję, oddzieloną od jej spragnionego ciała przez kilka warstw ubrań i

wkrótce wspólnym wysiłkiem pozbyli się tych przeszkód; czuła go już całą sobą, jej ciało,

wyścieła pod skórą miękkim, kobiecym tłuszczem, którego nie było ani za dużo, ani za mało, i on, jak grecki bożek, szczupły, lecz silny, zeskórą opinającą mięśnie jak jedwabną rękawiczkę.

Wbijała paznokcie w jego plecy i wpośladki, twarde i gładkie, naciskała, zapraszając go, żeby wbił się w nią jeszcze głębiej i jeszcze mocniej.

Potem szarpała jego włosy, kiedy pieścił i całował ją tak, jak nigdy nie robił tego jej mąż. Z każdym pocałunkiem i pieszczotą Szarzyńskiego, z każdym z dreszczy, który przebiegał jej ciało od stóp, przez spodnią część łydek i ud, przez pośladki, plecy i kark, z każdym z jego spojrzeń, traciła jakiś kawałek tej i tak skromnej resztki ciepłych uczuć do człowieka, z którym do tej pory dzieliła łóżko i który dotąd był jedynym mężczyzną w jej życiu.

Kiedyssała jego palce, kiedy całował jej szyję, kiedy chwycił ją mocno za biodra, obraz Jacka w jej głowie tracił kolory i znaczenie.

Leżeli w zmiętej pościeli, naprzecieradła mokrym od potu, zaspokojeni, usatysfakcjonowani pięknem swoich ciał.

Ex-mażeńskie łóżko Alicji było szczytem świata, a oni stali na tym szczycie, chociaż było tak nisko, tylko na drugim piętrze.

Była całym pięknem świata, całym mokrutnym i zimnym pięknem, jakim mógł z siebie wydać rodzaj ludzki.

Ludzie, tacy jak Jacek, zostali gdzieś poniżej.

Antoni Szarzyński nie ulegał emocjom, a jednak był na swój sposób poruszony. Oczywiście, nie zakochał się w Alicji, ale był poruszony nadzwyczajnym pięknem tej sytuacji. Był poruszony doskonałością jej ciała, widział ją nago po raz pierwszy i karmiłoczy idealną proporcją bioder i talii, jej ciężkimi, twardymi piersiami o zadartych brodawkach. Pomyślał, że małe biusty są takienudne, zawsze takie same, a piersi tak pełne zmieniają kształt, mięknąc, kiedy kładziesz się na plecach, prosząc o pieszczotę, kiedy zawisa nad jego twarzą z pochyloną głową i ściągniętymi ramionami i tańcząc, kiedy ściska jej biodra, a ona wije się na nim, przechyla do tyłu i krzyczy. Był też poruszony jej świeżością i niewiedzą. Witała ze zdziwioną radością każdą pieszczotę, której nie zaznała wcześniej i Antek uznał, że kobieta należąca wcześniej do tylko jednego mężczyzny jest jak dziewica. Piękne.

Piękno to złe słowo.

Lepsza jest doskonałość.

Zdobył ją, jak się zdobywa miasto, jego wróg, jej mąż, nawet tego nie zauważył, ale zauważył idowie się, kiedy ona od niego odejdzie, a odejdzie wtedy, kiedy tylko Antek tego zapragnie.

To doskonała sytuacja, pełna, komplementarna.

Zwycięstwo, doskonałe linie młodych ciała, zaspokojona namiętność, oddanie tej dziewczyny, które przyniesie mu jeszcze inne korzyści, kiedy tylko oto poprosi.

Poszła potemna do kuchni i przyniosła flaszkę egri bikaver.

Siedzieli naprzeciwko siebie na łóżku, patrząc na swoje ciała i pili, na zmianę podając sobie butelkę, przełykali cierpkie wino, które smakowało im tak, jak smakowały ich pocałunki.

Prawie nic nie mówili.

Kiedy butelka była pusta, znowu przyłgnęli do siebie.

Antek wyszedł o czwartej.

Pożegnał ją, śpiącą pod prześcieradłem, pocałunkiem w ramię i wyszedł.

Jeszcze dzisiaj, w firmie, poprosi ją, żeby porzuciła swojego męża i zamieszkała z nim.

W nocy była gotowa na wszystko, ale i tak dał jej już wystarczająco dużo, nie wiedziała, że może chcieć jeszcze więcej.

Jutro będzie go kochała tak samo mocno, jak tej nocy, ale wróci już na

182

ziemię i kiedy poprosi ją, aby zamieszkała z nim, zgodzi się z radością, lecz nie przyjdzie tego samego dnia z walizką i ategowłaśnie chciał na razie uniknąć.

Powiemu, że już niedługo, że musi się rozwieść z mężem i zrobi to, powie swojemu Jackowi, że już go nie kocha, że nigdy go nie kochała, powie rodzinie i w końcu się do niego wprowadzi, ale Antek będzie miał parę tygodni na zastanowienie, czyna pewno chce, aby w jego mieszkaniu kręciła się kobieta.

W każdym razie, wydawała mu się ta myśl jakoś perwersyjnie pociągająca.

To tak, jakby miał ją na własność, jakby kupił ją sobie jak niewolnicę.

Było w tej perspektywie coś atrakcyjnego, ale jeszcze musi to przemyśleć.

Zresztą, sytuacja może się zmienić.

W każdym razie, kiedy poprosi ją, aby u niego zamieszkała, to ona wtedy oprócz miłości i oddania, które dała mu dziś w nocy, da mu jeszcze zaufanie i wtedy dostarczy mu dokumenty, pozwalające potwierdzić lub sfalsyfikować wersję "Sultana", którą przedstawił mu Miciński podczas przejażdżki do Częstochowy i z powrotem.

W domu położył się nadwie godziny, zasnął natychmiast, spał spokojnym snem człowieka panującego nad własnym ciałem.

Nie panował jednak nad swoimi snami.

Seks z Kazimierzem był przeżyciem wyjątkowym, nie sądził, że po takiej nocy będzie mógł śnić o czymkolwiek, tymczasem nad ranem, kiedy oczekiwał nabyczenia budzika, pod powiekami ujrzał jej twarz, twarz kobiety ze snów, tym razem z bliska.

Kosmyki płowych włosów waczesała za ucho, śmiała się, odsłaniając drobne zęby, a zaraz nad jego twarzą kołysał się mały krzyżyk, na złotym łańcuszku z maleńkich, skręconych ogniw. Dotykał jego policzków.

Zbudził się, otworzył oczy, natychmiast je zamknął.

Leżał spokojnie, bez ruchu, licząc, że sen powróci, a jeśli nie, to że przynajmniej zapamięta tę twarz. Zostało jednak tylko wspomnienie widoku.

W końcu wstał z łóżka, zmęczony krótkim snem irracjonalnie rozdrażniony powracającym marzeniem.

Był piątek rano.

Dzisiaj, razem z Klewką, mieli zrealizować

183.

kombinację operacyjną "Sultana-Seraj", czyli wykonać tajne zdjęcie księdza Zielarza, zaaplikować MDMA, ściągnąć TW Hrabiego do gliwickiego mieszkania konspiracyjnego i zaaranżować sesję zdjęciową, z której pozyskane zostaną kompromaty.

Operacja specjalna.

Sens "Sultana", jak wyłożył go Miciński, uzasadniał, pośrednio, nadzwyczajny tryb werbunku, który mu zlecono izgodę naniespotykane raczej metody, kwalifikujące się bezwzględnie jakoprzynależne dogrupy działań specjalnych.

Jadąc do pracy, postanowił, że zajmie się z równą energią obiema sprawami, zwracając też uwagę nato, jak Miciński realizuje swoją zemstę, bo przecież mogła ona stanowić dlań pewne zagrożenie.

Zastanawiał się, gdzie może bezpiecznie z Micińskim pogadać i uznał, że winda będzie ku temu najlepszym miejscem, ale kiedy tylko zaparkował podkomendą, ze stojącego trzy miejscadalej poloneza wyskoczył nikt inny tylko właśnie Miciński i wpakował mu się na miejsce pasażera, zanim Antek w ogóle zdążył otworzyć drzwi.

Cześć.

Słuchaj, Kwaśny to niebezpieczny typ, kawał pierdolniętego pojeba, rozumiesz?

Ja się przed nim obronię, bo wiem jak, ale ty uważaj, jeśli skojarzy całą sprawę z tobą, to może nawet próbować cię wykończyć, bo to psychol jest, rozumiesz?

wyrzucił z siebie Miciński z prędkością kaemu.

Jasne, jasne, rozumiem odpowiedział flegmatycznie Antek, jakby chciał starego kapitanazirytować lekceważeniem.

Nie wkurwiał mnie, Szarzyński, żadne tam "jasne jasne", bo to jest poważna sprawa, rozumiesz?

Ja puszczać te zdjęcia w obieg, tak że on może nawet nie zjarzy, że to ja puszcza.

Ale pamiętaj, jak ktoś ci pokątnie gdzieś tam pokazuje albo Wichna nawet jak pyta, to ty nic nie wiesz, ale kurwa nic a nic, rozumiesz?

Dziwisz się jak inni, nie masz pojęcia, kto to mógł zrobić nic nie wiesz.

Paniał?

irytował się Waldek.

Antek odpowiedział, tym razem poważnie i naserio:

184

Jasne, człowieku, przecież nie będę bez sensu własnego łbanadstawiał, spokojnie.

Nikt nic nie wie, czeski film, jasna sprawa.

Miciński, uspokojony, kiwnął głową.

Wysiedli razem i weszli do komendy.

Rozdzielili się na korytarzu, Waldek poszedł do biura, a Szarzyński prosto do sekretariatu

Wydziału Czwartego.

Nie zapukał, otworzył drzwi, Sraka i Alicja jednocześnie podniosły głowy znad papierów, Cegła znad gazety.

Oczy Alicji były otwarte szeroko, a jej usta jakby nie mogły się zdecydować, czy się uśmiechnąć z radości, że przyszedł od razu, bo trochę obawiała się, czy nie zostanie klasycznie porzucona po pierwszej nocy, czy może jednak rozchylić się, bo kiedy ujrzała jego twarz, biodra i ramiona, fala lubieżnego gorąca przebiegła przez jej ciało.

Alicja, pozwól na chwilę, prosił powiedziała sucho, zimnym głosem.

Specjalnie tak, żeby te pięć sekund, bo tyle zając Alicji może sześć kroków od biurka do wyjścia, wypełnione było przerażeniem, że kiedy tylko zamknie za sobą drzwi, to z jego ust spadnie coś strasznego, jakieś słowa o tym, że się zapomniał, że tonie może się powtórzyć czy coś podobnego. Wstała i Antek uznał, że wywarł dokładnie takie wrażenie, jakie zamierzał.

Szła z zacisniętymi ustami, a oczy już zdążyły rozbliżyć się od łez, które lada chwila przebiegły przez powieki i popłynęły po policzkach.

Wycofał się, Alicja wyszła za nim i zamknęła drzwi.

Stali na korytarzu.

Postanowił jeszcze trochę podkreślić emocje, jak reżyser wzmacniający napięcie przed suspensem.

Alicja, muszę ci powiedzieć coś ważnego i z góry przepraszam za moje słowa.

Łza popłynęła po policzku, zanim jeszcze skończył zdanie.

Uznał, że kobiety muszą zapewne reagować w takich sytuacjach. Nasam ton głosu, skoro mózg Alicji zdążył wysłać do gruczołów łzowych informację, że należy zapłakać, zanim jeszcze słowa ucichły.

185.

A więc, wiem, że nie powinienem, ale.
nawet zawiesił głosna chwilę, jakby zaskoczony dwoma krętymi drogami, jakie znaczyły dwie
krople w pudrze na jej policzkach.
Chciałbym, żebyś ze mną zamieszkała!
wypalił wkońcu.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

Całe jej ciało, cała jej kobiecość nastawiły się już na cierpienie, zdążyła nawet jużpogodzićsię
zeswoim cierpieniem, już powoli zaczęły kiełkować zarodkiwściekłości, na razie maleńkie,
wszystko w jej głowie pracowałojuż nad drugą fundamentalną zmianą w jej życiu w ciągu
ostatnichdziesięciu godzin, tymczasem słyszy coś, co oznacza coś zupełnieinnego, coś co nie pasuje
do sytuacji, jakiej się spodziewała.

Co? zapytała jeszcze, nie oczekując odpowiedzi, trzeźwiała nagle, jakby welon czerni,
który jużchciała naciągaćna głowę, nagle okazał się już niepotrzebny.
Już docierałod niej, co chciał jej powiedzieć.

Antek.

wyszeptała w końcu, a on patrzył na nią, jakby nic nie rozumiał, tak zadowolony z efektu, który udało
mu się uzyskać.

Antek!

krzyknęła i rzuciła mu się na szyję, nagle uwolniona od ciężkiego brzemienia.

Antek, kochany!

Otarła łzy i zaczęła myśleć o tym, co możliwe.

Oderwała się od niego, na szczęście zanim ktoś zdążył zobaczyć.

Antek, zrobię to mówię pewnym głosem.

Zrobię to, bo chcę być z tobą, ale nie od razu.

To trzeba wszystko załatwić, muszę się rozwieść, jakieś pieniądze od tego dupka wyciągnąć, żeby
nie przyszła do ciebie bez niczego, muszę powiedzieć rodzinie, rozumiesz?

Dzisiaj wraca Jacek, dzisiaj nie będę mógł wyjść.

Ściągnął mięśnie twarzy, jakby się martwił, ale w środku gotował się z radości.

Kotku, jesteś wspaniały.

Kocham cię powiedziała ale teraz muszę wracać do biura, zanim Sraka pęknie z wrażenia, dobrze?

186

Kiwnął głową i pocałował ją w usta.

Na moment przywarła doń, po czym oddepchnęła, pocałowała go w policzek i zniknęła w
biurze.

Szarzyński, zadowolony z powodzenia planu, poszedł do biura.

Micińskiego nie było, za biurkiem siedział za to Klewka.

Mam dwie wiadomości, taką sobie itaką sobie powiedział.

Zacznę od takiej sobie.

Z realizacji "Seraju" chyba dzisiaj nic niewyjdzie.

Chłopak z miejskiego gówna wie na razie, musimy ryzykować albo czekać całą noc przed
drzwiami Zielarza, a to chybanie ma sensu.

Poza tym, ten dupka z Wydziału Tnie załatwił tego narkotyku.

Moglibyśmy, co prawda, gości przez rurę napoić wodą i też by poszło, ale byłby syf, porzygałby się
na pewno.

Bez sensu.

Przełożmy realizację na przyszły tydzień.

Antek wzruszył ramionami.

Może być, jeden chuj rzucił.

A taka sobie wiadomość?

Taka sobie jest taka, że jeden z naszych kolegów, zamiast w czwórcę, lepiej nadawałby się do
obsługi operacji "Hiacynt" tajemniczo uśmiechnął się Klewka.

Antekoczywiście wiedział o co chodzi, "Hiacynt" był kryptonimem rozpoczętej w tym roku akcji ewidencjonowania homoseksualistów.

Kiedyś, za Gomułki, wszystkie te dziady od Moczarai innych brzydziły się pedałstwem jak mało kto i pedryligoniło się za samo pedrylstwo.

Teraz pedałstwo nikomu nie przeszkadzało, ale pedziów zaczęto ewidencjonować, wyciągać od nich deklaracje homoseksualizmu; w sumie dość przykrasprawa, patrzeć jak pięćdziesięcioletni księgowy, ojciec dzieciom i mążżonie, przyłapany z jakimś chłopaczkiem w publicznym szalecie, drżącymi rączkami podpisuje deklarację, w brzmieniu: "Niniejszym oświadczam, że ja (tu imię i nazwisko) jestem homoseksualistą od urodzenia. Miałem w życiu wielu partnerów, wszystkich pełnoletnich. Nie jestem zainteresowany osobami nieletnimi.

" podpisuje i wie, co to znaczy, wie, że całe jego życie, żona z trwałą

187.

na głowie, pyzate dzieciaki, które przecież kocha, szacunek sąsiadów i kolegów z pracy, wszystko to może zwalić się w gruz i pyły tylko dlatego, że raz na miesiąc, czasem częściej, wymyka się domu i spaceruje po parku, obok kibla, aż znajdował chłopca, któremu płaci odrobiną codziennej krwawicy i potem, w śmierdzącej, upstrzonej numerami telefonów kabinie dyszy, wspartyna sedesie i spłucze.

Zajmowała się tym głównie milicja, bo trudno, żeby za byle pędzlem z dworca biegał oficer operacyjny, ale pracowali w zasadzie wyłączni rzecz Służby, bo to im były potrzebne te ewidencje.

Jasne więc było, o co chodzi Klewce.

Szarzyński jednak zapytał:

Zdzisiu, dawaj od razu, o co biega?

Jakiś pułkownik woli chłopięce dupcie?

Może nie pułkownik.

Popatrz sobie, wszyscy na komendzie już widzieli, oprócz bohatera tylko uśmiechnął się Klewka i przesunął w stronę Antka fotografię dobrze mu znaną.

Kiedy tylko to dojdzie do szefów, facet będzie miał przejebane.

Może niewyleci z resortu, ale wypierdola go gdzieś, nie wiem, do Olsztyna albo Kielc, gdzie go zrobią szefem logistyki albo czegoś takiego i do końca życia gość będzie napierdalał pieczątki na zestawieniach zużycia paliwa z milicyjnych nysek.

Mi go nie żal, wredny skurwiel zawsze był, także chuj mu w dupę.

To akurat mogłoby się mu spodobać zauważył Szarzyński i roześmiał się obaj.

Po godzinie było już pewne, że nie realizują dzisiaj "Sultana-Seraju".

Antkowi pozostawało więc potwierdzić swoją wiedzę "Sultanie" samemu.

Odczekał do popołudnia i chociaż obawiał się, że to ciągle może być jeszcze zbyt wcześnie, uznał, że jego niecierpliwość jest uzasadniona.

Napisał na kartce słowa "Cmentarz, wejście od Francuskiej, za 20 minut, bądź koniecznie gardłowa sprawa", po czym zmiął karteluszek w dłoń, w małą kulkę.

Zaszedł do sekretariatu, puścił Alicji oko i poprosił

188

głośno o trzy wkłady do długopisów.

Kiedy muje podawała, uśmiechając się szelmowsko, wcisnął jej papierową kulkę doręki.

Skierował się od razu do wyjścia z komendy, po czym przespacerował się na wielki cmentarz, gdzie leżały modernistyczne Katowice międzywojnia, to najnowocześniejsze, najdynamiczniejsze miasto ówczesnej Polski, w którym polskie nowe elity mieszały się ze starszymi, niemieckimi.

Po 1945 roku wszystko się skończyło i burżujeleżeli tam, gdzie ich miejsce, w internacjonalistycznej ziemi.

Czekał na nią za murem, przy głównym wejściu.

Nie zauważyła go, kiedy weszła na teren cmentarza.

Alicja powiedział cicho.

Odwróciła się i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, podszedł do niej, chwycił za rękę, ale nie tulił, nie całował, chciał, aby wiedziała, że sytuacja jest poważna.

Alicja, to sprawa życia i śmierci, rozumiesz?

Potrzebuję twojej pomocy.

Kiwnęła głową.

Wiedział, że ryzykuje romans skonsumowany w nocy, rano deklaracja, a popołudniu od razu prośba, ale wydawało mu się, że dobrze ocenia siłę uczuć dziewczyny.

Jeśli nawet przemknie jej przez głowę myśl, czy aby nie jest wykorzystywana, to stłumi ją, zepchnie i zapomni, bo po prostu nie chce być wykorzystywana.

Kochana, tylko ty możesz mi pomóc ciągnął szeptem.

Muszę dowiedzieć się wszystkiego o grze operacyjnej "Sultan".

Obawiam się, że Klewka i Miciński wrabiają mnie w coś bardzo groźnego, rozumiesz?

Muszę wiedzieć, bo tutaj chodzi już nawet nie o moją pracę, ale, cholera, o życie.

Zobaczył w jej oczach, że zagrał to lepiej, niż mógłby to zrobić jakkolwiek aktor, bo zagrał to tak, że adresatka, widz czyli Alicja uwierzyła w jego kreację.

Ponownie potwierdziła, kiwając głową.

Potrzebuję dokumentów, Ala.

Wiem, że to ogromne ryzyko, ale posłuchajnie mówilemci o tym wcześniej, ale w razie

189.

wpadki, znam jednego górala z Wisły.

Przeprowadzi nas przezzieloną granicę do Czechosłowacji, a tam jest specjalna, ściśle zakonspirowana siatka, służąca do przerzucania naszych ludzi na Zachód, do RFN i do Austrii. Znam kody i hasła i zanim wiadomość o naszej ewentualnej ucieczce doszłaby do jedyńki, to będziemy już dawno w Wiedniu albo w Monachium.

Nie mówiłem ci o tym wcześniej, bo to jest mój plan, który kiedyś chciałem z tobą realizować. Mampieniądze, sporo pieniędzy, więc jeśli coś by się posypało, to po prostu uciekniemy, dobrze? Chcę cię prędzej czy później zabrać z tego syfu, do Paryża albo do Stanów, ale najpierw chcę zarobić tyle, żebyśmy do końca życia mieli spokój.

Ale jakby co, to uciekniemy wcześniej.

Nie obmyślił wcześniej tych kłamstw, improwizował, bo wydało mu się, że czegoś takiego będzie potrzebowała.

Spojrzał jej w oczy i zaczęła się obawiać, że dziewczyna nie uwierzyła w historyjkę o ucieczce na Zachód.

Zrobię to powiedziała zdecydowanym głosem.

Zostanę po pracy i skopiuję ci wszystko, co uda mi się znaleźć i wyniosę.

Nie!

zaprotestował.

Wynoszenie dokumentów poza firmę to za duży ryzyko, poza tym nie ma wcale takiej potrzeby.

Nie jestem kretem z CIA.

Wystarczy, że przyniesiesz mi kopie dopokoju.

Pocałowała go szybko w usta, wbijając się na moment językiem pomiędzy jego wargi, po czym się rozeszli, Alicja prosto na komendę, Antek pospacerował chwilę dookoła cmentarza, aby niewchodzić do firmy razem z Kazimierczak.

W pustym biurze wszedł po pół godzinie, wyłożył nogi na blat, zapalił camela i czekał.

Przyszła po piątej.

Antek położył palec na ustach, kiedy weszła i pokazał jej miejsce nabiurku.

Położyła tam szarą, nieopisaną teczkę.

Niemym gestem posłał jej całusa.

Nie był pewien, czy pokój jest na podsłuchu, ale wydawało się mu to dość prawdopodobne.

Alicja zrozumiała, kiwnęła tylko głową i wyszła.

190

Rozwiązał zszarzałe tasiemki i otworzył grubą teczkę.

Na wierzchu leżała kartka, na której pospieszonym charakterem pisma wypisane były słowa:

"Bądździsiaj pod moim blokiem 21.

Wyjdęna piętnaście minut do nocnego papierosa.

W Twoim aucie jest dość miejsca".

Pod tym szminkowy odcisk ust.

Dobra, pojedę pomyślał.

Zmiał kartkę, wepchnął ją do popielniczki, podpalili skruszył popiół.

Pod spodem były dokumenty.

Antek przeczytał wszystkouważnie.

Miciński nie kłamał.

Grę operacyjną o kryptonimie "Sułtan" zaczęto opracowywać w roku 1956.

Wszystkie dokumenty dotyczące etapu przygotowawczego gry operacyjnej były sygnowane klauzulą "ściśle tajne" oraz opisane jako sporządzone w IV Departamencie nowopowstałego MSW.

W 1956 roku wielu mądrych ludzi na samym szczycie centralnej czwórki już dobrze rozumiało, że za pomocą księży-patriotów, Bola Piaseckiego z jego PAX-em i tym podobnych, nie da się przejąć kontroli nad polskim Kościołem.

Wszystko rozbijało się o otwarcie deklarowaną lojalność wobec komunistów, która dla ludu była probierzem czystych intencji.

Lojalność wobec resortu była oczywiście kluczowa; tego w zasadzie resort chcieli do tego dążyć ale projektując "Sultana" uznano, iż uzupełnienikom nie są potrzebne publicznej lojalności deklaracje.

Sens "Sultana" skupiał się od początku na dwóch planach.

Pierwszymi krytonim "Sultan-Spahis" i polegał na werbowaniu najinteligentniejszych seminarzystów na pierwszym roku.

Nie werbowano tych chłopców jednak jako TW, chłopcy zostawali funkcjonariuszami SB, na początku zaczynali ze stopniem szeregowca podchorążego, jak w wojsku.

Niedawano im żadnych zadań, poza szkoleniowymi, każdą wolną chwilę wakacje, urlopy, przymusową służbę wojskową wykorzystywano na szkolenia.

Kiedy chłopak kończył seminarium, miał stopień podporucznika

Służby Bezpieczeństwa na etacie niejawnym, spore umiejętności operacyjne i etat w IV Departamencie, za który przysługiwała mupensja, wpłacana na specjalne konto. Przysługiwały im wszystkie przywileje emerytalne i inne, składali przysięgę, posiadali nawet broń służbową, którą im uroczyście wręczano, pozwalano ponosić dzień przysięgi po czym zdawali ją do depozytu.

Oni właśnie stanowili kręgosłup "Sultana".

Z zasady niewykorzystywane ich do zadań inwigilacyjnych, od początku wbijano im dogłowy, że niosą informatorami cykapusiami, tylko oficerami wywiadu działają aktywnie, reaktywnie.

Przez pierwsze dziesięć lat nie dawano im faktycznych zadań, pisywali tylko roczne raporty, szkolili się i pracowali przede wszystkim nad swoją kościelną karierą.

Niektórzy nie kontaktowali się z centralą nawet przez parę lat, bo nie było takiej potrzeby ich najważniejszym zadaniem było pięcie się w górę kościelnej hierarchii.

Sami oczywiście nie werbowali nikogo, niemogli ryzykować dekonspiracji, zato cała oddelegowana do tego Struktura, oficerowie SB pracujący oficjalnie w różnych sekcjach czwórki, pracowali narzeczkariery "Spahisów" takim kryptonimem określano księży-oficerów.

O tym Miciński nie mówił nic, chociaż na zaprzysiężeniu major Wichna mówił zupełnie co innego, to Antek nie zdziwił się odkryciem, że Struktura nie ma nic wspólnego z rozwiązanymi Grupami D, poza tym, że, tak samo jak "D", jest wewnętrznie zakonspirowaną grupą specjalnego przeznaczenia.

I tym, że nie powstał niedawno, tylko prawie trzydzieści lat temu.

Jedynym zadaniem oficerów Struktury jest praca na rzecz "Sultana" i ci pracują już klasycznie, operacyjnie.

Tworzą siatki TW, za pomocą których przeprowadzają kombinacje, promujące tego albo innego Spahisa i zdobywają informacje.

Oficerowie Struktury zwykle nie są wtajemniczani w "Sultana", nie znają listy "Spahisów", nie wiedzą, czemu służą przeprowadzane akcje.

Wyjątkiem są oficerowie należący do grupy, opisanej kryptonimem

192

"Janczar", którzy, po półrocznym okresie próbnym, wtajemniczani są w całość gry operacyjnej "Sultana".

Studiując dokumenty, Antek nie potrafił rozszyfrować, czy "Janczar" jest kryptonimem dla jakiejś kolejnej, poziomej formy organizacji, dla podgrupy oficerów w Strukturze, czy raczej określenie oficera.

Uznał, że natknął się na barierę informacyjną, ominął ją więc czytał dalej.

Werbunek kandydatów na Spahisów dopiero w seminariach był zbyt mało wydajny.

Trzeba było potężnych gier operacyjnych, angażujących bardzo wielu oficerów, analityków i tajnych współpracowników, które bardzo często kończyły się porażką, bo nie chodziło przecież o werbunek byle agenta, lecz o stworzenie absolutnie lojalnego "kreta" wewnątrz wrogiej organizacji. Już w latach sześćdziesiątych zaczęto więc werbować inteligentnych chłopców z klas maturalnych i pierwszych lat studiów i przyjmować ich do służby wresorcie, a następnie oddelegowywać do seminarium, w stopniu chorążych lub podporuczników, jeśli zdążyli złożyć egzamin.

Taki system sprawdzał się lepiej i w efekcie od lat siedemdziesiątych nikogo już nie werbowano w seminariach, polegając na "Spahisach" własnego chowu.

Dokumenty dostarczone przez Alicję nie mówiły Antkowi niczego o celach działalności Spahisów, ograniczając się zasadniczo do opracowania pewnych ram ich pracy. Miciński powiadał coś o infiltracji Watykanu, jeszcze za pontyfikatu Jana XXIII, o zmiękczeniu stanowiska Kościoła w poszczególnych kwestiach związanych z katolickim obrazem moralności, zgodnie z założeniem, że im Kościół liberalniej sży, tym słabszy.

W kwestiach taktycznych rzucił coś tylko ogólnie o oddziaływaniu na kierunki polityki polskiego Episkopatu.

Druga część "Sultana" została ochrzczona, nieco bezsensownie nawet wewnątrz przyjętej

"tureckiej" konwencji, kryptonimem "Giaur".

"Sułtan-Giaur" zakładał werbunek osób bardzo wysoko postawionych w hierarchii kościelnej, od biskupa po 193.

mocniczego wzwyż, był to jednak werbunek zgoła nietypowy.

Nikt nie wymagał od biskupów podpisywania jakichkolwiek zobowiązań, deklaracji o współpracy czy nawet o zachowaniu tajemnicy rozmów, nic nie rozgrywało się na papierze ale to jeszcze nie było aż tak nietypowe, z pisemnych zobowiązań rezygnowano czasem nawet podczas werbunku zwykłych księży, jeśli figurant sprawy był wystarczająco wartościowy.

W "Sultanie-Giaurze" nie tylko to było niecodzienne.

Prowadzenie gozarezerwowano dla "Janczarów", którzy z zasady działając narzecząc "Giaura", nie identyfikowali się jako funkcjonariusze Służby, lecz jako wysłannicy, przedstawiciele lub nawet szare eminencje związane z najbliższą elitą władzy.

Ani Gomułka, ani Gierek nie byli tego świadomi, ale werbujący biskupów "Janczarzy" legitymowali się upoważnieniami, na których widniały podpisy I Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułka albo Edwarda Gierka, wraz z ciepłymi słowami na temat okaziciela rzeczony bumażki.

Mało tego, zdarzało się podobno, że do wątpliwego biskupa dzwonił głos samego Gomułka albo Gierka i zachowując wszelkie manieryzmy, przekonywał biskupa do racji "Janczarów".

Oczywiście, tego prawdziwi pierwsi sekretarze również nie wiedzieli.

Za Jaruzelskiego jak twierdził Miciński takich numerów już nie ośmielano się robić, Jaruzelski sam podpisywał odpowiednie papiery.

Werbujący "Janczarzy" twierdzili, iż są tajnymi przedstawicielami reformatorskiego skrzydła w PZPR, działającego pod auspicjami I Sekretarza, który wkracza na powolną, tajną drogę niezależnienia się od Moskwy.

Na tej legendzie była budowana cała współpraca.

Zwerbowanych "Giaurów" używano w sposób skoordynowany z działalnością "Spahisów" do werbunku wybierano pasterzy, u których identyfikowano mocne utożsamianie się z tak zwanym "duchem Soboru" i kiedy proszono ich o podjęcie jakiejś akcji, to była to zawsze akcja przynajmniej na zewnątrz rozpoznawalna jako zgodna z tym kierunkiem.

194

Kiedy skończył czytać, z pewnym rozczarowaniem stwierdził, że dokumenty, potwierdzając zasadniczo wersję Micińskiego, nie dodały do niej niczego sensacyjnego.

Opowieści o wielkich nielegalach z KGB, infiltrujących amerykańskie i angielskie instytucje, o wielkiej piątce z Cambridge, o Philbym i Burgessie, brzmiały o wiele bardziej spektakularnie.

Tym niemniej, ciekawość, chociaż ważna, nie była przecież głównym powodem, dla którego zdecydował się złamać zasady tajemnicy służbowej i zrobić coś, co przez jakiegoś formalistę mogłoby zostać zinterpretowane jako wrogi szpiegostwo.

Za co grozi czapa.

Głównym motywem, dla którego podjął turyzmo, był prosty fakt: życie to wojna.

Życie oficera służb to wojna szczególnie, w której wiedza i tajemnica są bronią.

On, podporucznik Antek Szarzyński, wolał raczej wygrywać, niż przegrywać.

Dlatego się zbroi.

Przejrzał jeszcze raz gruby plik dokumentów i nagle dostrzegł coś znajomego w podpisie pod krótką notatką, dotyczącą przystąpienia do organizacji grupy "Janczar".

Nie znał nikogo, kto podpisywałby się dokładnie w ten sposób, a jednak w zawijasach i łukach liter było coś znajomego.

Autograf był raczej fantazyjny, nieczytelny Szarzyński długobiedził się z jego odcyfrowaniem, aż w końcu, znużony, odsunął kartkę, zamknął oczy i nagle w kreskach i zawijasach zobaczył litery: "kpt. M. Holzmann".

Mojżesz Holzmann, od listopada 1956 roku znany jako Mirosław Drzewiecki, dziś pułkownik.

"Janczar".

Janczar.

Janczarzy, tureccy żołnierze od dziecka wychowywani do wojaczki.

Antek poczuł, jak pot ścieka mu po plecach, przeczesał dłonią włosy i nagle zrozumiał, dla czego jego dom dziecka można było nazwać "bidulem" tylko symbolicznie, bo biednie zasnął tam

ani on, ani żaden z jego nielicznych kolegów.

Zdziwił się, że rzecz tak oczywista objawiła mu się dopiero teraz.

W zasadzie, to żadne odkrycie, przecież nigdy nie zakładał, że Drzewiecki wyciągnął go z bidula z jakiejś dziwnej miłości starego żydka do blondwłosego, polskiego podrzutka.

To jasne,

195.

że Drzewiecki był jego Pigmalionem, a kiedy myślał o tym, że całe jego dotychczasowe życie zmierzało od samego początku do tego, aby został czekistą, to czuł się nawet dumny. Przypomniał sobie, co Drzewiecki mówił o strukturze, o jej funkcjach i zrozumiał nagle, że to nie było kłamstwo chociaż Strukturawydajesię być służebna względem "Sultana", to stary ubek dobrze wyjaśnił mu sens całego działania.

Wyprzedzić nieuchronne i kiedy nieuchronne nadejdzie być przygotowanym.

Pomyślał o tym, że chętnie pojechałby do swojego mentora, powiedzieć mu, czego się dowiedział, po czym zaraz przypomniał sobie, że Drzewiecki jest przecież w Uście. Uznał zaraz swój pierwszy odruch za głupi uczeń chciałby się pochwalić wujkowi, jaki jest mądry, zapominając, że wujek przecież bierze udział w tej grze dokładnie tak samo jak on.

Zadnego chwaleń się, wiedza daje mu przewagę tym większą, im mniej ludzi jest świadomych, że Antek tę wiedzę posiadał.

Pomyślał jednak, że mimo to warto wpaść do domu Mirosława Drzewieckiego na ulicy Piotra Skargi w Gliwicach.

Spojrzał na zegarek miał pięć minut.

O dziewiątej miał być u Alicji, zdąży przynajmniej załatwić pomocnika.

: Zbierał się już do wyjścia, kiedy najego biurku rozdzwonił się "telefon.

Odebrał.

Nosz kurwa, w robocie siedzisz, o tej porze?

zapiękniał

się Klewka wsłuchawce i uprzedzając odpowiedź Szarzyńskiego, kontynuował:

Słuchaj, kurwa, bo siedzicie.

Micińskinie żyje.

Rozwalił go Kwaśny, jechał za nim autem i przez szybę wpakował mu kulkę w łeb.

Cała milicja szuka tego wariata, chyba na razie niewiedzą o zdjęciach, podejrzewam, że Wichna opracowuje w tej chwili strategię działania.

Dzwonię, żeby ci o tym powiedzieć, dzwoniłem do domu, aleś nie odbierał pilnuj się, Kwaśny wie, że siedzimy razem z Micińskim w pokoju.

Ja zawiozłem dzieciaki i starą do teściów do Będzina, a sam śpię u kumpla.

Wichna

196

wydał zakaz szukania Kwaśnego na własną rękę, mamy się trzymać z daleka, szukają go milicjanci.

Przekazuję tobie, traktuj to jako rozkaz.

Dzięki, Zdzisiek.

zaczął Szarzyński i nie zdążył skończyć, bo Klewka rzucił słuchawką.

Niezgoda.

Marcin Niezgoda.

Skoro Kwaśny dopadł Micińskiego, to na pewno widział już zdjęcia.

Musi być u niego, zanim odwiedzi go Kwaśny.

Zbiegł więc na parking, rozglądając się dookoła, wsiadł do samochodu i spod siedzenia wyciągnął stieczkina, przeładował, dokręcił tłumik i założył kolbę, położył broń na siedzeniu pasażera i przykrył kurtką.

Ruszył z piskiem opon i pognął w stronę ulicy Klimczoka.

Zaparkował jeszcze na Gliwickiej, stieczkina okręcił kurtką i poszedł w kierunku kamienicy Niezgody.

Nie wiedział nawet, jakim samochodem jeździ porucznik Kwaśny, ale na Klimczokanie stał jeden, który wyglądałby na autoesbeka, tylko dwa pomarańczowe maluchy i jedna stara, przyrdzewiała sinica.

Wszedł na klatkę kamienicy, odwinął broń i po schodach szedł kolbą przyciśniętą do

ramienia, lewą ręką podtrzymując tłumik.

Stanął przed drzwiami mieszkania Marcina Niezgody.

Spojrzał na szparę dzielącą drzwi od framugi i uznał, że jeśli już, to zasunięta jest jedynie skuwka przy klamce.

Odsunął się od drzwi nakrok, lewą ręką nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły, powoli wszedł bronią przy ramieniu, sprawdził pomieszczenia.

Kwaśnego nie znalazł, znalazł natomiast to, co zostało z Marcina Niezgody.

Trup siedział na krześle, nagi, przywiązany tak, że niemógł się ruszyć nawet wtedy, kiedy jeszcze żył.

Na jego czole widniał czerwony otwór o równych brzegach, centymetrowej średnicy, jakby wycięty wielkim dziurkaczem do papieru.

Jak trzecie oko.

Z tego oka wyciekła tylko strużka krwi, po nasadzie nosa spływając na policzek, na brodę i z brody na pierś, gdzie dołączyła do wielu innych kropeł krwi.

Z tyłu głowy było dużo mniej porządkie, pocisk wyrwał dziurę wielkości małego jabłka.

To, co zostało wyrwane z głowy TW Skowronka, znaczyło kolorowym

deseniem jasny prostokąt na tapecie, w miejscu, w którym jeszcze niedawno wisiał plakat z Patti Smith.

Szarzyński przyjrzał się siedziurze i przypomniał sobie zajęcia z kryminalistyki, którą bardzo się interesował, chociaż w Wyższej Szkole Oficerskiej MSWiM.

Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie traktowano ją raczej po macoszemu.

Kwaśny musiał cieniutkim brzeszczotem ściać sam koniuszek miedzianego płaszcza, pokrywającego ołowianę środkową pocisków służbowej amunicji 9 milimetrów Makarow. Potem należało małym dłutkiem wybrać odrobinę ołowiu, tworząc zagłębienie, naciąć delikatnie płaszcz pozostały wokół ołowianego oczka na krzyż i papierem ściernym wyrównać brzegi, żeby pistolet się nie zaciął, kiedy zamek będzie wypychał nabój z magazynka do komory.

Tym sposobem, który znał każdy, kto w Legionowie dobrze żył ze starym wykładowcą kryminalistyki, pocisk, uderzając w tkanki, zachowywał się jak typowa amunicja myśliwska.

Zamiast wwiercać się w ciało bez odkształceń, jak działa się to w przypadku amunicji pełnopłaszczowej, pod wpływem oporu tkanki miedź rozrywała się wzdłuż nacięcia, pchana impetem ołowiu i pocisk rozwijał się pięknie, jak kwiat lilii, na cztery strony, zwiększając swój kaliber czterokrotnie i masakrując to, co stało mu na drodze.

W tym przypadku, był to mógł TW Skowronka, który umarł zanim zdołał usłyszeć strzał. Pocisków nie preparowało się tak po to, żeby skutecznie dziurawić ludzi, człowiek nie słon, wystarczy na niego zwykła kulka.

Cały zabieg miał ważniejsze zastosowanie, zasadniczo utrudniał lub często uniemożliwiał odczytanie wzoru, jaki w płaszczu odciskał gwint lufy, nie pozwalając technikom w sposób jednoznaczny przypisać pocisku do broni, której wzór balistyczny znajdował się w archiwum.

Niestety, chociaż Niezgoda umarł, zanim usłyszał huk rozprężających się gazów prochowych, to jednak wcześniej Kwaśny nie oszczędził mu cierpień.

Obicie krzesła było czerwone od krwi, esbek urznął TW Skowronkowi genitalia.

Krwawe strzępy, które

198

leżały u stóp trupa świadczyły o tym, że nie było to jedno cięcie, tylko oprawca pozbawiał swoją ofiarę przyrodzenia powoli, pokawałku.

Antek był przekonany, że Skowronek wyśpiewał Kwaśnemu wszystko po pierwszym ciosie w twarz, esbek nie urzynał mu łąki i jąder, aby wydobyć zeń jakieś informacje, robił to, żeby Niezgoda cierpiał.

I Departament MSW stracił potencjalnego agenta w Reichu.

Kwaśny wiedział już, czyje oko znalazło się za obiektywem aparatu.

Skoro zabił Micińskiego i Skowronka, bez wątpienia zechce również zabić Szarzyńskiego, sprawcę całej afery.

Ktoś otworzył drzwi do mieszkania, nie dbając, aby zrobić tego cicho.

Antek natychmiast wycofał się do rogopokoju, wcisnął się między szafę a ścianę i czekał.

To mógł być ktoś od nich, oficer prowadzący TW Skowronka, który przyszedł go ostrzec, może milicyjny detektyw, szukający Kwaśnego, ale mógł to być również Kwaśny.

Spojrzał na przełącznik ognia, pistolet był ustawiony na ogień ciągły.

Nie ośmielił się przestawić dźwigni wyżej, obawiając się metalicznego dźwięku przeskakującej zapadki.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli za ścianą idzie milicjant albo jakiś niewtajemniczony esbek, to z nielegalną bronią w ręce będzie miał poważne kłopoty.

Zaskrzypiały deski w korytarzu, a Szarzyńskiemu pociekł zimny pot po plecach, bo zrozumiał, że mogą go oskarżyć o rozwalenie Niezgody.

Jeśli wbity gdzieś w ścianę pocisk, który przewiercił łeb donosiciela, będzie nieczytelny dla techników, to stwierdzą tylko, że to dziewiątka Makarow.

Taka sama, jak kulew magazynku stieczkina.

Był już zapóźno, żeby chować spluwę gdzieś w pokoju, i tak by ją przecież znaleźli, a przy tym jeśli to Kwaśny to lepiej, żeby nie zastał go tutaj bezbronnego.

Skrzypnęła podłogowa deska, drzwi otworzyły się i Antek ujrzał zza nich plecy porucznika Kwaśnego, odzianego w ten sam szary sweter, który esbek nosił, kiedy spotkał się z Szarzyńskim poraz pierwszy, w sekretariacie czwórki.

Kwaśny nie miał broni

199.

w rękach, w lewej trzymał tylko czarny, pusty worek, więc Szarzyński czekał, korzystając z tego, że porucznik go nie zauważył.

No i widzisz, kurwo, na co ci przyszło?
powiedział Kwaśny do trupa.

Trup nie odpowiedział.

Dzień dobry, poruczniku powiedział Szarzyński.

Kwaśny drgnął, zaskoczony, odwrócił się i już sięgał po broń, ale zastygł, kiedy zobaczył wymierzoną weń grubą rurę tłumika.

Pobladł, raczej z nienawiści, niż ze strachu.

Antek i tak musiał Kwaśnego zabić, aleni strzelał od razu, bo chciał widzieć jego zaciśnięte usta i oczy, rozszerzone wściekłością, tak że białka widać było dookoła całych tęczówek.

Chciał patrzeć w jego pryszczatą twarz nie wtedy, kiedy Kwaśny będzie umierał, chciał mu patrzeć w oczy w chwili swojego zwycięstwa.

Uśmiechnął się.

No i widzisz, kurwo, na co ci przyszło?

powtórzył, udając naśladowanie przeciągłą intonacją Kwaśnego, po czym nacisnął spust.

Stieczkin szarpnął trzy razy, zamek trzy razy szczerknął, pchany impetem ściśniętych sprężyn, po czym Szarzyński puścił cyngiel.

Łuski zadzwoniły o podłogę, a na spowitejszarą łanobawelną piersi esbeka pojawiły się trzy ciemnoczerwone plamy, bardzo blisko siebie, bo obciążony tłumikiem pistolet nie miał wcale podrzutu.

Kwaśny wykonał ruch ręką, jakby chciał przygłodzić włosy, ale stracił sobie tylko okulary, po czym jego oczy, wcześniej powiększane przez szkła, wydały się nagle maleńkie i ślepe jak u kreta.

Zatoczył się, oparło trupa Marcina Niezgody, po czym upadł bokiem na podłogę i skonał.

Antek Szarzyński po raz pierwszy zabił człowieka.

Zdał sobie z tego sprawę dopiero po chwili, kiedy podszedł do zwłok kapitana i pomyślał, że powinien zrobić coś specjalnego, coś wyjątkowego, jakieś podniecenie, przerażenie albo żal zastraconym dziewictwem, jak bohaterowie filmów wojennych, kiedy stają po raz pierwszy nad swoją ofiarą.

Tymczasem nie czuł niczego poza satysfakcją.

Zastanowił się, co dalej.

Był prawie pewien, że Kwaśny nie

200

ma przy sobie ani jednego zdjęcia z wiadomej sesji, sprawdził resztą jeszcze potem, więc nie musiał się obawiać, byle gliniarczyk nie będzie go szukał.

Jeśli się w firmie połapią, że to on zabił Kwaśnego, to zrobią wszystko, żeby to zatuszować.

Sprawy nie będzie, milicja kiedyś tam umorzy śledztwo z powodu niewykrycia sprawców.

Zastanowił się nad pociskami.

Drzewiecki mówił, że APS, który Szarzyński otrzymał na "przysiędze" jest czysty, ale Antek nie ufał nikomu i nigdy.

Ktoś może go kiedyś zapomocą tych pocisków zrobić.

Rozważył, czy nie należałoby Kwaśnemu rozpruć klatki piersiowej i nie wygrzebać kulek, ale uznał, że wtedy w firmie mogą go, Szarzyńskiego, uznać za psychopatę, zdolnego do rozcięcia piersi świeżutkiego trupa.

Jeszcze sobie pomyślał, że zrobił to dla przyjemności, bo kocha krew.

Oczywiście, sama perspektywa wydawała mu się obrzydliwa, ale zrobiłby to bez mrugnięcia okiem, obmyłby ręce, skrwawione aż po łokcie, a wieczorem zasnęłby bez śladu koszmarów.

Jednak nie chciał przytknąć opinii szaleńca.

A że go połączą z trupem Kwaśnego, to jest bardzo prawdopodobne.

Rozłożył więc swój pistolet, zawinał w ciasny tłumoczek, z kabury Kwaśnego wyciągnął służbowy p-64, przez chusteczkę, po czym wyszedł z kamienicy przy ulicy Klimczoka,

zostawiająca sobą dwastygnące ciała.

Pomyślał sobie, że jakiś porucznik zkomendy miejskiej poczuje się trochę jak Hercules Poirot, próbując rozwiązać zagadkę podwójnej zbrodni.

Potem do Herculesa przyjdzie jegoszefer, major albo pułkownik i powie mu, że ma nie węszyć za bardzo, bo jeszcze wsadzi nos gdzieś, gdzie mu goprzytną.

Wtedy Hercules Poirot westchnie nad złym światem i pójdzie się zalać "Pod prasę", gdzie poczuje się już raczej jak Marlowe albo inna postać kryminału noir.

Zaleje pałę i opowie całą historię zaufanemu kumpłowi, równie zalanemu.

Potem obaj zapomną.

Antek uśmiechnął się do swoich myśli.

Spojrzał na zegarek.

Nie było jeszcze szóstej, a on już miał z głowy Kwaśnego, pozo201.

stawało mu więc jeszcze dość czasu, aby załatwić to, co chciał załatwić, zanim zadzwonił Klewka. Świecie, leżysz moich stóp.

Wsiadł do auta, schował stieczkina pod fotelem i pojechał pod uniwersytet.

Zaparkował za rektorem.

Pogrzebał w schowku i znalazł szmatę, której używał do wycierania bagnetu do sprawdzania oleju, rozłożył pistolet Kwaśnego, podarł tkaninę i owinał szmatą osobno szkielet z lufą, zamek i magazynek, po czym wyszedł z auta i przespacerował się na Bankową.

Stał na kładce kiedy w pobliżu nie było nikogo, cisnął części pistoletu od mędrzającego ścieku, zwanego dla niepoznaki rzeką Rawą.

Nie wracał już do samochodu, tylko przespacerował się rozgrzanym miastem, ulicą Warszawską, aż do rynku.

Zaszedł "Podprasę".

W lokalu skierował się najpierw do toalety, gdzie obejrzał się dokładnie przed lustrem, badając, czy nie ma śladów krwi na twarzy albo ubraniu, wymył na wszelki wypadek dokładnie ręce, po czym pomyślał o śladach prochu, poszedł więc do baru, kazał sobie podać ćwiartkę spirytusu w butelce, zapłacił, wrócił do kibla i dokładnie umył ręce alkoholem, zmywając niewidzialny osad z płonącej nitrocelulozy.

Odświeżony, zasiadł przystoliku, zamówił dwie setki, śledzi i dwa piwa.

Czekał.

Pierwszy ruszył się przedwcześnie pod starzą gość o aparycji rzeźnika, zalewający krwawy fach gorzałą.

Wielkie, czerwone dłonie zwisały mu niezgrabnie, dziwnie przyczepione do rąk grubych jak konary, po obu stronach imponującego brzu.

Cha i tłustych piersi, porośniętych siwym włosem, a osłoniętych przed światem jedynie białym, siatkowym podkoszulkiem.

Czas upał w ma swoje prawa.

Wśród futra błyskał złoty łańcuch.

Antek znał faceta, z widzenia i ze słyszenia, jeszcze z praktyki w Gliwicach.

Ksywa Mika, imię i nazwisko Mikołaj Szumina, urodzony w 1930 roku w Tarnowskich Górach, syn kurwy i złodzieja, jak z dziadowskiej ballady.

Działalność samochodowy z Zachodu, razem z Zbigniewem Pieprzorem, tajnym współpracownikiem

202

tfci1

II Departamentu z centrali.

Paru oficerów, z centrali i lokalnych, miało niemałą dolę w całym biznesie.

Mika był wszechstronny i otwarty na nowości handlował również walutami, ale tylko poważnymi kwotami, nie na ulicy przed Pewexem.

Kontrolował pomniejszych złodziei i włamywaczy oraz zbierał haracz od alfonsów.

Obdzieranie kurew z ciężko zarobionych pieniędzy było poniżej jego godności, żał mu byłoby biednych dziewczyn i zabierając alfonsom część ich doli, czuł, że dopełnia w pewien sposób sprawiedliwość społeczną.

Oprócz tego Mika dobrze żył z resortem.

Kiedy było trzeba, na prośbę oficera posłał dwóch byczków, żeby stłukli ryj jakiegoś inteligentowi, któremu zachciało się bawić w solidarność z robotnikami.

Księżę pięścią nie tykał i tykać nie pozwolił i w resorcie o tym wiedziano, więc nikt go o tonie prosił, ale w każdej innej sprawie Mika był do dyspozycji panów oficerów, jak mówił z przedwojenną gracją dziecka, przez którego dom rodzinny przewijali się kiedyś, jeden za drugim, innego rodzaju panowie oficerowie, piękni ułańską zadziornością, trzaskający obcasami i błyszczący blaskiem wypolerowanych oficerów i chromowanych pochew do szabel.

Kiedy teraz zobaczył przystoliku tego chłystka, na początku miał ochotę dać mu ryj za te wypindrzone, amerykańskie ciuszki, staranną fryzurę i wypielęgnowane paznokcie.

Potem przypomniał sobie, że niestety zna chłopaczka i niestety gość jestz bezpiekii skoro siedzi tutaj sam i czeka, topewnie majakiś biznes.

Dźwignął więc swoją tuszęze stołka przy barze i usiadłnaprzeciwko tego młodego esbeka, bowiedział, że inaczej się nie da.

Antek nie uśmiechał się, bo wiedział, że wzbudzanie sympatii nie jest dobrym sposobem na zbudowanie relacji opartej na wzajemnym szacunku.

Przysunął Mice małe i duże szkło.

Międzykciukiemi palcem wskazującym bandyty literatka z wódkawy dała się maleńkim stakańczykiem.

Wypił jednym haustem, sapnął, otarłwargi włochatym wierzchem dłoni.

Antekzrobił to samo.

Popili ciepłym piwem, zakąsili śledziem.

203.

Panie Mika, sprawa jest do zrobienia zaczął Szarzyński.

Godejce, oficjere odparł Mika po śląsku.

Szarzyński wiedział, że w świecie Mikołaja Szuminy ludzie dzielą się na trzykategorie.

Do pierwszej, obejmującej prawie całą, niegodną szacunku ludzkość, Mika mówił zwyczajnie, na "ty".

Tak mówił do swoich dzieci, do kurew, do podwładnych, do byle kogo, spotkanego na ulicy, do nieopierzonych milicjantów, zatrzymujących jego mercedesa s-klase za przekroczenie prędkości.

Druga kategoria ludzi, bardzo wąska, obejmowała tych, do których Mika zwracał się per "wy", czyli, jak się mówi na Śląsku, za dwoje.

W tej kategorii znajdowali się ludzie, których Mika uważał za równych sobie, a z którymi nie pozostawał w przyjacielskich stosunkach.

Antek był dobrym przykładem życzliwego esbeka, przychodzący poprzysługę.

Matkę Miki zastrzelił sowiecki żołnierz ale gdyby żyła, do niej również bandyta mówiłby za dwoje.

Trzecia kategoria była absolutnie elitarna i obejmowała zasuszoną jak śliwka do wigilijnej moćki babcię Miki i księdza z parafii na Załężu, w której Mika uczęszczał dwa razy do roku na mszę. Obejmowałyby również papieża-Polaka, ale narazie nigdy się nie spotkali, więc na razie tylko do tej dwójki ludzi, do babki i księdza, Mika zwracał się "za troje", czyli używał trzeciej osoby liczby mnogiej.

Gdyby przy stoliku "Pod prasą" naprzeciwko Miki zamiast Antka zasiadł uśmiechnięty człowiek wbieli i zagał rozmowę, odpowiedź bandyty brzmiałaby wtedy: godajum, papiyżu.

Panie Mika, proszę mnie nie tytułować oficerem.

Wie pan, konspiracja.

poprosił Szarzyński, a jego rozmówca zgodnie kiwnął głową:

No to godejce, chowie.

Już lepiej.

Panie Mika, potrzeba mi zdolnego kasiarza.

Nie ma pieniędzy do wyjęcia, ale jest sejf, który trzeba otworzyć.

Godzinka roboty, płacę pięć tysięcy, trzydla pana, dwadla chłopaka.

Mika przygładził rzadkie włosy.

204

Na kiedy go wumtrep.

zapytał.

Zaraz odparł Szarzyński.

Doce mu tri tyśunce, mię nic, bojo wum to robią jako prisuga, mię nybydżece za topuaćic.

Poćkejce sam yno.

W czterech długich łykach dopił piwo, bo pozostawienie wszklenapoju, którym go poczęstowano, uznawał za grubiańskie, a grubiaństwo się wystrzegał.

Wsparł się na stole, podniósł, po czym bez żadnych ceremonii wlaź za bar, sięgnął po telefon i wykręcił jakiś numer, odnajdując go wcześniej w pomiętym notesie.

Barman przysunął mu krzesło i Mika opadł na nie z impetem, aż skrzyknęło.

Powiedział parę słów do słuchawki, po czym odwiesił ją na widełki.

Bydże sam zapiytnośce minut powiedział do Antka, poczym wrócił na swój stół przy barze.

Szarzyński zamówił jeszcze jedno piwo i siedział i czekał.

Punktualnie po kwadransie do niego wszedł szary człowieczek, odziany w niemodny, szary garnitur, z szarą teczką w dłoni.

Szarzyński z uznaniem przyjrzał się niejakoś faceta, musiał okosztować gościa dużo pracy, aby żak nie wyróżniać się z tłumu.

Mika spojrzeniem wskazał stolik Antka i szary człowiek podszedł do młodego esbeka i uściśnął mu dłoń rybnym uściśnięciem.

Miał długie palce pianisty o wypielęgnowanych i wypolerowanych paznokciach, a kiedy już zza

nijakiej szarości udało Antkowi siędojrzeć rysy twarzy kasiarza, okazał się mężczyzną całkiem przystojnym, chociaż raczej filigranowym.

Zza niemieckich okularów, oprawnych w złoty drut, patrzyły na esbeka duże, inteligentne oczy Szarzyński, zaskoczony, zrozumiał nagle, że siedzący naprzeciwko człowiek musiał już jakiś czas temu przekroczyć siedemdziesiąty rok życia.

Płacę trzy tuzeny, po robocie.

Robota dzisiaj, w Gliwicach.

Będę czekał przeddworcem o drugiej w nocy powiedział.

Kasiarz skinął głową i czekał, czy Szarzyński doda coś jeszcze.

Kiedy ten milczał, szary człowiek wstał od stolika, machnął

205.

ręką w geście oznaczającym pożegnanie i wyszedł.

Antekdopiłpiwo.

Bez entuzjazmu pomyślał o wizycie, jak jest winien Alicji jeszcze dziś wieczorem, ale nie zamierzał się od tego wymawiać, dziewczyna zrobiła to, czego od niej chciał, należało się jej dobreżnięcie. Może zresztą nie chodzić o samorżnięcie, tylko chceposmakować perwersji siedzi z mężem w domu, wychodzi nakwadrans po papierosy wraca rozgrzana seksem zinnym mężczyzną. Niewykluczone, że cała sytuacja tak ją podnieci, że jeszcze pójdzie z tymnieudacznikiem dołóżka, może w ogóle ostatniraz, a potem będzie leżała w pościeli, patrzyła w sufit i przeżywała swoje zepsucie, z satysfakcją i obawą.

Nie chciało mu sięwracać do domu, ale musiał wziąć pieniądze dla włamywacza, zapłacił więc przy barze, dorzucając spory napiwek, i wyszedłna ulicę.

Było jeszcze jasno, ale słońce rzucało już światłopomarańczowo-żółte, dodając brzydkiemu miastu odrobinę uroku.

Pojechał do siebie, wspiął siępo schodach, zeschowka wyciągnął odpowiednią ilość banknotów z Kopernikiem, zbiegł na dół, wsiadł dosamochodu, włączył Clashów i przezgodzinę jeździł powoli poKatowicach, słuchając muzyki.

Za pięć dziewiąta zatrzymał się pod blokiem.

Pięć po dziewiątej Alicja wsiadła do Antkowej alfyromeo, siedem po Antekzaparkował parę przecznic dalej, w zacisznym miejscui wyłączyłsilnik.

Dwanaście po zażywny sierżant Milicji Obywatelskiej Marian Bańtuła zapukał pulchnym palcem wskazującym w szybę odstrony kierowcy, przedstawił się jako "dobry wieczór, Milicja Obywatelska, sierżant Marian Bańtuła" i poprosił o "dokumenciki".

Szarzyński sięgnął po opuszczone do kostek spodnie, zupełnie nie przejmując się obnażonym przyrodzeniem, co głęboko oburzyło sierżanta Mariana Bańtułę.

Sierżant Marian Bańtuła przez chwilę walczył ze sprzecznymi uczuciami.

Z oburzeniem walczyło w dobrotliwej duszy sierżanta Mariana Bańtuły życzliwe rozbawienie, tym życzliwsze, że dziewczyna miała ładne cycki i jakoś specjalnie ich nie ukrywała, więc sierżant Marian Bań206

tuła trochę się napatrzył, a dawno takich ładnych nie widział.

Wstrętny widok chwiejącego się prącia przeważył jednak na korzyść oburzenia, tym mocniejszego, że sierżant Marian Bańtuła nigdy nie siedział nawet w takim luksusowym samochodzie, niemówiąc już o tym, że nigdy w życiu nie będzie go pewnie stać natakie auto. Sama nazwa marki brzmiała egzotycznie i tchnęła dekadencją.

Alfa Romeo, Monte Carlo, savoir vivre, bon ton, highlife.

A nawet gdyby jakimś cudem stał się posiadaczem takiej pięknej, czerwonej alfy, to i tak nie poszłaby z nim dziewczyna z takimi piersiami.

No, chyba że za pieniądze, ale sierżant Marian Bańtuła był romantykiem i za pieniądze nie wolał.

Ryknął więc formułkę o obrazie funkcjonariusza na służbie i dobył swojej wiernej, gumowej loli, zamierzając wyciągnąć tego bananowego młodzieńca z auta i wymierzyć mu parę solidnych czałów, najlepiej naobnażone pośladki, aby w ten sposób świat stał się odrobinę bardziej sprawiedliwy.

Antek Szarzyński w końcu jednak dokopał się do pętających się przy kostkach spodni, wygrzebał legitymację, pokazał ją sierżantowi Marianowi Bańtułemu przez okno, równolegle wydając lakoniczne polecenie służbowe: "a teraz wypierdalać".

Sierżant Marian Bańtuła z poczuciem dotkliwej porażki schował pałkę i zsalutował. Porażka stała się jeszcze większa, bo esbek niezamknął nawet okna, nie spojrzął już więcej na sierżanta Mariana Bańtułę, tylko zajął się swoją partnerką.

O dziewiątej czternaście sierżant Marian Bańtuła, zgarbiony i smutny, oddalił się z parkingu i starał się nie słyszeć kobiecych pojękiwań i iskrzynięć resorów, bo tylko powiększały rozmiar jego pokorzenia.

Po chropowatym od blizno ośnie policzku sierżanta Mariana Bańtuły spłynęła łza, przesiąkła przez

nastroszone, czarne wąsy i poczuł ją sierżant Marian Bańtuła na wargach.
Słony smak przypomniał mu o nieapetycznych cyckach tłustej Zdzisławy Bańtuły, poślubionej
cywilnie małżonki sierżanta, oraz o ich pojeździe, piętnastoletniej zastawie 750, która przy
czerwo207.

nej alfie esbeka wyglądała jak zabawka dla dzieci.

Sierżant Marian Bańtuła uznał, że świat jest zupełnie pozbawiony sprawiedliwości, przez chwilę nawet pożałował, że w osiemdziesiątym nie zapisał się do milicyjnej Solidarności, po czym pozbył się tej głupiej myśli, bo był przecież człowiekiem życiowo rozsądnym i wiedział, że co jak co, ale choćby i za sto lat, to w Polsce pewnie dalej będzie socjalizm i partia, do której sierżant Marian Bańtuła należał, ale w której szans na karierę nie posiadał.

Poczłapał dalej, ku odległej mecie samotnego patrolu.

O dziewiątej dwadzieścia cztery Antek Szarzyński podciągnął spodnie i zapiął pasek.

O dziewiątej dwadzieścia siedem Alicja pocałowała swojego kochanka, wysiadła i pobięła do męża, zaś Antek Szarzyński pojechał prosto do Gliwic, zaparkował na pustym parkingu pod dworcem, rozłożył fotel w samochodzie i zdrzemnął się, czekając na kasjarza.

Obudziło go pukanie w szybę.

Zanim otworzył oczy, przez sekundę wydawało mu się, że to sierżant Marian Bańtuła wrócił, aby pomścić parkingowe upokorzenie, lecz kiedy za szybą zobaczył szary garnitur, przypomniał sobie, na kogo czeka.

Odblokował drzwi, specjalista od zamków wszedł do auta i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Teczkę położył na kolanach, zapiął pas, dłonie od długich palców złożył na teczce i milczał.

Antek wzruszył ramionami.

No to jedziemy powiedział.

Ruszyli uśpioną ulicą Zwycięstwa, potem przez rynek, potem obok cmentarza pełnego bezimiennych grobów radzieckich żołdatów, aż wreszcie alfa wjechała w wątle oświetloną uliczkę na Wójtowej Wsi i toczyła się powoli z górki, z silnikiem pracującym bezgłośnie na jałowym biegu.

Na zewnątrz słychać było tylko dźwięk opon gniotących asfalt, w środku również panowała cisza. Złodziej nasiedzeniu pasażera ani razu podczas jazdy nie zmienił pozycji, jak zasiadł teczką na kolanach i rękami na teczce, tak siedział nadal.

Antek zaparkował na chodniku, dwie przecznice od ulicy, na

208

której mieszkał Drzewiecki.

Resztę przeszli piechotą, nie przerywając milczenia.

To tutaj powiedział, kiedy stanęli przed domem z numerem 11.

Nie liczył na odpowiedź włamywacza.

Drzwi do domu pułkownika Drzewieckiego otworzył własnym kluczem dostał klucze do mieszkania swojego mentora po pierwszym roku w Legionowie, aby mógł przyjeżdżać do Gliwic na wakacje nawet wtedy, kiedy Drzewieckiego akuratnie było.

Weszli do środka, przeszli przez salon z skórzanymi meblami i Antek jak zawsze przypomniał sobie, kiedy siedział w tym fotelu po raz pierwszy zaraz uświadomił sobie, że teraz w pewnym sensie jest tutaj poraz pierwszy ponownie, jako intruz, niejako gość.

Nie włączali lamp, oświetlając mieszkanie rękami latarkami.

Sejf jest w tamtej szafce powiedział, wskazując kasjarzowi mebel, zasłaniający skrytkę.

Sam niczego nie dotykał, wyciągnął z kieszeni gumowe rękawiczki i naciągnął na dłonie.

Ma być otwarty bezinwazyjnie, tak, żeby nie zostawić żadnych śladów na zewnątrz ani wewnątrz dodał.

Kasjarz kiwnął głową, a Szarzyński zasiadł w fotelu w salonie, tak, aby cały czas widzieć pracującego przy sejfie specjalistę, nie patrząc mu jednocześnie naręce.

Starszy pan zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli, odsłaniając szczupłe, gruzłowate przedramiona.

Skórę pokrywały sine tatuaże, dziwnie kontrastujące ze spokojną prezencją włamywacza.

Otworzył swój sztywny neser, unieruchamiając górną część w pozycji pionowej, tak że Antek nie mógł zajrzeć, co kryje czarna walizeczka.

Wyjął cienkie, lateksowe rękawiczki i starannie wyciągnął jedną palce, na czołołożył opaskę z niewielkimi reflektorkami nie dotykając niczego, zaczął centymetr po centymetrze badać drewniane

drzwi.

Antekzrozumiał, że kasiarz szuka różnego rodzaju domorosłych zabezpieczeń, wetkniętych w zawiasywłósów, których przemieszczenie było dla gospodarzajasnym sy209.

gnałem, że ktoś grzebał w jego szafkach.

Nie przeszkadzał więc anininie poganiał, mimo że same oględziny mebla zajęły staremu kwadrans.

Pęsetą zdjął z górnej powierzchni drzwiczek jakiś paproch i odłożył go do plastikowego pojemniczka po filmie otworzył drzwi i rozpoczął oględziny sejfu.

Po kolejnym kwadransie wyjął urządzenie, którego wchwiejnym świetle latarki Antek nie rozpoznał, a które po chwili okazało się rodzajem stetoskopu.

Kosiarz dostrzegł zaciekawione spojrzenie Szarzyńskiego i odwrócił się, tak aby plecami zasłonić tajemnicę swojego kunsztu.

Po chwili schował przyrząd z powrotem do walizki.

Przez parę minut dokładnie badał pancerną blachę, po czym przekręcił dźwignię z ryglami i pociągnął, otwierając sejf.

Uchylił tylko drzwiczki, na parę centymetrów, nie próbując nawet zajrzeć do środka, po czym spakował rzeczy, założył marynarkę i zapytał, odzywając się po raz pierwszy:

Czy to wszystko?

Głósł starczy, chropawy, ale dostojny.

Nie pasował do urzędniczego garnituru tak samo, jak nie pasowały doń więzienna tatuaża.

Człowiek pełen przeciwnieństw pomyślał Szarzyński, wstał i wyjął z kieszeni plik, w którym znajdowało się pięć banknotów z Kopernikiem.

Pięć tysięcy powiedział.

Trzy za robotę, dwa za niepamięć, nawet gdyby pytali koledzy z mojej firmy.

Kosiarz znowu skinął głową.

Antek podał mu jeszcze małe karteluszki.

I jeszcze jedno.

Tutaj jest mój numer, do firmy.

Gdyby potrzebował pan kiedyś pomocy, niech pan zadzwoni.

Kosiarz pieczołowicie złożył papiereki i schował w przegródce portfela.

Dziękuję.

Niech pan położy ten paproszek z pudełka dokładnie w tym miejscu odezwał się po raz drugi, wskazując Antkowi miejsce na szafce.

Tutaj zapisałem kod do sejfu.

-Podał młodemu esbekowi świstek z paroma cyframi.

Uścisnęli

210

sobie dłonie, nie ściągając gumowych rękawiczek, i starszy pan wyszedł w noc.

Szarzyński wrócił do sejfu.

Otworzył ciężkie drzwiczki i ujrzał to, co zapamiętał z przysięgi, którą składał tak niedawno.

Na górnej półce leżały pieniądze, kasetka i pistolety.

Antek nie dotykał ich, ale przyjrzał się broni na drewnianej podpórce stało podniszczone parabellum, przedwojenny rewolwer typu nagant, wielki, półautomatyczny colt, tetetka i kieszonkowy walther ppk, taki sam, jakiego używał James Bond.

Młodego esbeka korciło, żeby powyciągać spluwy, potrzymać je w rękach, pooglądać dokładnie, ale powstrzymał się.

Skupił się na ustawionych na dolnej półce teczkach.

Miały sztywne grzbiety opisane nazwiskami, stały pogrupowane literami w tekturowych segregatorach, ułożone alfabetycznie.

Antek przesunął palec w gumowej rękawiczce pod segregator z literą "s".

Sawicki, Sędzikowski, Sommer, Szarzyński, Szymczyk.

A więc nie pomylił się.

Wyciągnął teczkę ze swoim nazwiskiem.

Niewygodnie było czytać w świetle latarki, a nie chciał zapalać lamp w mieszkaniu, aby nie zwrócić uwagi sąsiadów, poszedł więc do pozbawionej okien ubikacji, zapalił tam światło, zamknął drzwi i

siadł na desce.

Teczka z solidnej, brązowej tektury nie była gruba, między okładkami było jeszcze sporo miejsca. Rozwiązał tasemki i wyjął pierwszy dokument, położył kartkę wypisaną na maszynie, z przypiętą spinaczem czarno-białą fotografią.

Spojrzał na zdjęcie i zemdlał.

ROZDZIAŁ 6

Leżał, wciśnięty między porcelanowy sedes a wyłożoną białymi kafelkami ścianę. Kiedy otworzył oczy i ujrzał wetkniętą plastikową stojaczkę szczotkę klozetową, pomyślał, że jest najakiejś popijawie i przy rzyganiu urwał mu się film.

Gdzie się znajduje, przypomniał sobie dopiero wtedy, kiedy wygrzebał się z zakibla i zauważył rozsypane na podłodze papiery.

Zrozumiał, że stracił przytomność, po raz pierwszy w życiu, i przypomniał sobie tępowoli wzbierającą czerń, przypomniał sobie, co robił, nie rozumiał tylko, dlaczego zemdleł, bo nie pamiętał tego, co zobaczył.

Sięgnął porozsypane papiery i jego wzrok po raz drugi spoczął na czarnej fotografii.

Zdjęcie było pożółkłe i poplamione, niezbyt duże, takiego formatu, w jakim odbijają się zdjęcia do dyplomów.

Na emulsji wypaliła się światłem twarz kobiety.

Kiedy patrzył na twarz po raz drugi, zadrżał, poczuł mdłości i przyspieszony puls.

Kobieta miała około trzydziestu lat i w innych okolicznościach byłaby piękna, ale na zdjęciu z jej oczu dopiero schodziła opuchlizna, wargi miała pokancerowanej zapadnięte policzki.

Patrzył w obiektyw z przerażeniem, złamana, słaba, patrzyła jak patrzysz w lufę pistoletu.

Antek znał takie spojrzenia, przed paroma godzinami widział podobne ponad muszką i szczerbinką swojego gościa, kiedy naciskał spust, posyłając trzy kule w pierś porucznika Kwaśnego.

Kobieta na zdjęciu miała włosy krótko ścięte, rasową linię szczęki zakłócał guz, wykwitły przy lewym kącie.

ciku ust, zapewne po uderzeniu pałką albo kastetem.

Na kastet wskazywały przebarwienia, podbiegło czarno-białą krwią.

Ktoś, kto ją pobił, odczekał zapewne parę dni, zanim ją sfotografował, ślady na twarzy były właśnie takie, parodniowe, nie licząc starszych, jak ledwie widoczna blizna na skroni, z której niedawno chyba zdjęto szwy.

Antek znał tę kobietę.

W Antkowych snach, zamiast więziennej fryzury, miała płowe, niesforne loki, śmiała się, śmiały się jejoczy, na zdjęciu tak przerażone, alenie miał żadnych wątpliwości, to była tasama kobieta.

W jego snach była mniej więcej w tym samym wieku, co na fotografii.

Kartka, do której zdjęcie przypięto, była kwestionariuszemosobowym wypełnionym dla "ob. Parczewska Maria Janina, Maria Zielińska, ur.

23 grudnia 1929 roku w Łucku, pochodzenieziemiańskie".

Nie czytał wszystkich rubryk, lecz sięgnął od razu po drugi kwestionariusz, do którego również przyczepiono zdjęcie, w tym samym formacie, co fotografia Marii Parczewskiej.

Mężczyzna, którego oświetliła lampa więziennego fotografa, był w trudnym do oszacowania wieku między trzydziestyma czterdziestym piątym rokiem życia.

Postarzały go wychudzone, zapadłe policzki, porośnięte rzadką i miękką szczecina, jaka pojawia się na policzkach blondynów po pięciu dniach bez brzytwy.

Rozchylone wargi ukazywały bezzębne, poszarpane dziąsła, prawa powieka opadała na oko, jakby część twarzy była sparaliżowana.

Antek nigdy wcześniej niewidział tej twarzy, ajednak jąznał.

Rozstaw oczu, proporcje nosa, szczęki i czoła, wykrój ust były jak jego własne.

Anonimowy urzędnik, a może sam Drzewiecki, wypełnił ten kwestionariusz dla "ob.

Krzyszewicz Stanisław Jan, Miecz, Stanisław Zieliński ur.

1926 w Łucku, pochodzenie inteligentne".

Antek zrozumiał, że patrzy na twarz swojego ojca.

Pamiętał jego głos, słyszał jego głos we śnie, pamiętał jego dłonie, wąskie, o długich palcach.

Kobieta na fotografii była jego matką.

Drze 214

wiecki wiedział o jego prawdziwych rodzicach, może sam nawet nadał muto głupawe nazwisko poety, żeby zatrzeć to prawdziwe.

Krzyszewicz.

Krzyszewicz.

Antek nagle zrozumiał, że słyszał kiedyś o Stanisławie Krzyszewiczu.

Skupił się i przypomniał sobie.

Wykładowcom legionowskiej szkoły polecono kształtować esprit de corps młodych funkcjonariuszy w oparciu o bohaterskie, bojowe tradycje resortu z pierwszych lat po wojnie. Zapraszano kombatantów, popychanych po różnych mrocznych instytucjach, którzy robili na czekistowskiej młodzieży jak najgorsze wrażenie

oderwane od pługów leśne dziadki, dla których Gwardia Ludowa, a potem resort albo KBW były jedyną możliwą drogą awansu społecznego.

Prowadzono też z wielkim pietyzmem nudne izby pamięci, w których honorowano towarzyszy poległych w walkach z bandami.

Co znacznie si bandyci również miewali swoje małe gablotki, w których leżały wypisane namaszynie opisy ich strasznych zbrodni, czasem z jakimś artefaktem.

Porucznik czasu wojny Stanisław Krzyszewicz, pseudonim "Miecz", swojej osobnej gablotki nie posiadał, dzielił się jedną z dwoma innymi odinoczkami z Wołynia, którzy, jak wielu innych, hulali po Lubelszczyźnie dobre dziesięć, a niektórzy to piętnaście, i osiemnaście lat po wojnie, jak ostatni partyzant-bandyta PRL, Józef Franczak, pseudonim "Lalek".

Nie napisano tam o nim wiele, Antek nie zapamiętał nic, poza tym, że służąc w WiN, Krzyszewicz miał podobno zajmować się głównie mordowaniem Żydów.

Reszty dowiedział się z lektury raportu założonej przez Drzewieckiegoteczki.

Stanisław Krzeszewiczurodził się zbyt późno, aby nawojować się w AK, do czego na pewno było mu spieszno, jak wszystkim z jego pokolenia.

Autor dossier nie wiedział albotylkonienapisał wiele o pochodzeniu czydzieciństwie Krzeszewicza, pozatym, że pochodził z zamożnej, inteligenckiej rodziny szlachec215.

kich tradycjach.

Służył w 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej od marca do lipca 1944, o następnym roku z jego życiateczka milczała, odnajdując go ponownie na Lubelszczyźnie w sierpniu roku 1945, ze stopniem podporucznika czasu wojny.

Odsierpnia 1945 do października 1951 bił się w bandzie kapitana Edwarda Taraszkiewicza "Żelaznego", nie załapał się jednak na obławę w Zbereżu, ponieważ kurował się zran, ukrywając się w mieszkaniu w Lublinie, gdzie poznał Marię Parczewską.

Od 1952 ukrywał się w Lasach Włodawskich, po wsiach i przysiółkach, prowadząc czasem małe akcje zbrojne.

Zastrzelił paru partyjnych, dwóch milicjantów, paru ludzi z resortu, wymknął się sześciu obławom.

W 1958 zdecydował się przerwać działalność, przyjął fałszywą tożsamość, podając się za "Jana Zielińskiego";

wyjechał na Ziemię Odzyskane i zamieszkał we Wrocławiu, gdzie pracował jako urzędnik w urzędzie miasta.

W styczniu 1959 dołączyła doń Maria Parczewska, z którą Krzeszewicz się ożenił, w listopadzie urodził im się syn, Antoni.

Krzeszewicz jednak nieumiał wysiedzieć na miejscu i zaangażował się w coś, co w jego pojęciu stanowiło konspirację niepodległościową, a co w rzeczywistości było zastawionym przez resort więcierzem, do którego, jedna po drugiej, wpływały takie właśnie rybki.

Krzeszewicz, jako członek WiN, był zresztą najgrubszą rybą, jaka się na ten więcierz złapała, reszta to licealiści i studenci, co nasłuchali się w domach o wojnie, na którą urodzili się za późno.

"Zielińscy" zostali aresztowani w sierpniu 1960 roku.

Osądzeni.

Skazani.

Krzeszewicz na śmierć, Parczewska na piętnaście lat.

Krzeszewicza powieszono w grudniu 1961 roku we wrocławskim Zakładzie Karnym nr 1 przy ulicy Kleczkowskiej i pochowano na Cmentarzu Osobowickim.

Parczewska, jak ją konsekwentnie nazywano w dokumentach, nie uznając małżeństwa za ważne, ponieważ zostało zawarte przy użyciu fałszywych tożsamości, zmarła w więzieniu na zapalenie płuc w roku 1975.

W 1975 roku Antek chodził do liceum w Gliwicach i pierwszy

216

raz w życiu spał z dziewczyną.

Jego matka umierała wtedy w więzieniu we Wrocławiu.

Czy wedle znanych mu z filmów i książek wzorców, nie powinien teraz czuć, że całe jego życie wali się w gruzy?

Przemieniasię?

Przewartościowuje?

W pewnym sensie był wstrząśnięty.

Widok kobiety ze snu na fotografii był szokiem, nie w przenośni, lecz fizjologicznym, poraz pierwszy w życiu stracił przytomność.

Ale był przecież spokojny.

Nie buzowały w nim emocje, nie szarpał nim gniew ani żal zażyciem, które miałyby się właśnie rozsypywać.

Jednak nic się nierozsypało, bo przecież od samego początku wychowywanego donieufności.

Nie ufał nikomu, nie ufał Drzewieckiemu, ufał tylko sobie tak naprawdę, najważniejszą cechą jego osobowości była samotność.

Samotność rozumianą neutralnie, jako cecha, nie jako;

bolesny stan człowieka zebrzącego o uwagę i uwagę innych.

Był samotny, ponieważ dostrzegał to, czego starali się nie widzieć lub nie widzieli bojąc się samotności: faktu, że samotny jest każdy.

Wszyscy są zamknięci w pustelniach swoich czaszek.

Ból przeżywamy sami i radość przeżywamy sami.

Skoro więc uznawał i rozumiał samotność, nie mógł czuć się zdradzony, nie mógł smucić się tym, że ten, kto podawał się za jego przyjaciela, okazał się zdrajcą, ponieważ w ogóle nie wierzył w przyjaciół.

Stwierdził natomiast nie poczuł, lecz właśnie stwierdził że się zemści.

Za rodziców.

Nie było to pragnienie wynikające z gniewu, bo nie czuł gniewu.

Po prostu, Drzewiecki wykończył jego biologicznych rodziców i musi ponieść konsekwencje.

Antek nie żałował życia, które mu odebrano, nie zamierzał również przejść na drugą stronę barykady tylko dlatego, że ojciec strzelał do tych, których Antoniemu Szarzyńskiemu prezentowano nazajęciach w Legionowie jako bohaterów z heroicznych początków wresortu.

Widział, jak nędzni są to ludzie, nie imponowali mu jednak również ci przegrani partyzanci, którzy

217.

podejmowali walkę w imię czegoś, czego Antek nie potrafił nawet zrozumieć.

Może więc to nie miała być zemsta.

Wetza wet, oko za okoma przywracać jakoś równowagę wszechświata, ma być karą za złe albo zdjęciem hańby.

Anteknie żywili takich pobudek.

Po prostu, uznał, że odplaci Drzewieckiemu, bo z tąd wójką ludzi zedźnięć czuje jakąś więź, więź niezrozumiałą, bo ukrytą w jegogłowie, ale poza świadomością.

Poczeka nastosowny moment, który może nadejść jutro albo za dwadzieścia lat.

Ale nadejdzie, bo każdy ma w życiu takie momenty, że liczy na pomoc tych, których uważa za swoich bliskich i Drzewiecki również kiedyś poprosi Antka o pomoc.

A Antek, zamiast chleba, poda mu kamień, a zamiast ryby węża.

Lektura Biblii była ważnym elementem edukacji w Legionowie.

Poukladał dokumenty w teczce, zachowując ich chronologiczny porządek, włożył całość do sejfów, zamknął drzwiczki i ułożył paproch z pudełka po filmi na miejsce, które wskazał mu kasjarski. Zapamiętał kod do sejfów, karteczkę zmięli schował do kieszeni.

Sprawdził mieszkanie, zamknął drzwi od wewnątrz i wyszedł przez drzwi do ogrodu, zatraskując je za sobą.

Przeskoczył przez płot i okrężną drogą dotarł do samochodu.

Siadł za kierownicą i nagle przypomniał sobie swoją wtorkową wizytę u TW Hrabiego, jego słowa na temat domniemanego arystokratycznego pochodzenia Antka i to jak szybko zamilkł i zmienił temat, kiedy Antek wspomniał, że wychował się w domu dziecka.

Nazwiska rodziców w teczce, wpisane pochodzenie "inteligentkie" i "ziemiańskie".

Spojrzał na zegarek, była czwartek.

Dobry moment na wizytę.

Przejechał przez uśpione miasto, mijając po drodze tylko zmęczony autobus, toczący się z wysiłkiem po dziurawym asfalcie, i skrzypiący, roztrzęsiony tramwaj, pogrążony na ponemieckich torach.

Zaparkował pod budynkiem, w którym mieszkał Hrabia, zabrał steczkę i wbiegł po schodach.

Przyjrzał się szczytowi

linie przyframudze rygle dwóch zamków wypełniały swoje skuwki.

Nie miał przy sobie wytrychów, a nie chciał też narobić niepotrzebnego hałasu, nacisnął więc przycisk dzwonka i trzymał.

Jazgot brzęczyka był na tyle przykry, że jeśli Hrabia jest w domu, to wstanie, nawet jeśli jest pijany.

Po minucie szczęknęły zamki.

Hrabia nawet nie spojrzał przez szklane okno Judasza, rozwarł drzwi na długość łańcuszka, przetarł zaspane oczy, ale brakowało mu okularów i nie dojrzał swojego budziciela.

Czego?

zapytał niezbyt przejmie.

Szarzyński wsadził nogę w drzwi, żeby kapuś przypadkiem ich nie zamknął, po czym szarpnął bardzo mocno.

Blaszana kształtka, w której ryglowała się zaczep łańcuszka, wyskoczyła z cienkiej sklejką razem z gwoździkami, drzwi otworzyły się, łańcuszek zwisnął bezbronnie u framug.

Dobry wieczór powiedział po prostu Antek.

O, pan oficer, co się zna na lihyce Eliota.

Copas phowadza o tak bahbarzyńskiej porze?

zagrąsejował Hrabia, jakby nie zauważył, że Szarzyński zerwał łańcuch i stał w już otwartych drzwiach.

Ahystokratyczne pochodzenie odpowiedział Antek.

Hrabia stał chwilę w korytarzu, w swoim jedwabnym szlafroku i haftowanych kapciach, jak z innej epoki.

Zastanawiał się.

Wreszcie pokazał Antkowi drogę do kuchni.

Niech pan wejdzie, z chęcią powiedział.

Z drzwi w korytarzu wyjrzała przykryta zmierzwioną, jasną czupryną głowa młodego, acz rosłego chłopca.

Coś się dzieje, wujku?

zapytał chłopak.

Szarzyński nie powstrzymał śmiechu.

Wujku.

wykrztusił.

,

Chłopak schował się zaraz, zatraskując drzwi.

Kleszewski popatrzył na Antka z wyrzutem.

Czy ja panu płoszę dziewczyny, panie oficerze?

Zastrze219.

gam, że on ma skończone osiemnaście lat powiedział z wyrzutem, po czym zwrócił się do drzwi:
Słonko, bądź tak dobie dla wujka, ubierz się i whacaj dodomu, możesz potem przyjsćhano.
Wujek te haz będzie zajęty.

Siedliw salonie, przy stoliku z blatem zczeczoty, przykrytym grubą, koronkową serwetą.
Kochanek Hrabiego wyszedł pochwili z sypialni i bez pożegnania opuścił mieszkanie.
Kleszewski podał herbatę, w cienkich filiżankach w małe kwiatuszki.

Zaznaczam, że jeśli szanowny pan oficeh wolałby hehbatę ze szklanki, to w tym domu takiej pan nie otrzyma krygowalsię kapuś.

Co wiesz o domu dziecka, w którym się wychowałem?
zapytał bezceremonialnie Szarzyński, nie tykając napoju.

Ależ janie wiem, o czym pan oficeh w ogóle mówi!
odparł Kleszewski szybko.

Antek wyciągnął wsuniętego za pasek stieczkina i trzasnął broniąc blat stolika, tak mocno, że wystające dźwignie na pewno zostawiły solidny ślad na kosztownej okleinie.

Nie mam czasu na przekomarzanki.

Jasne?

wyszeptał.

To oburzające!

uniósł się Kleszewski.

Wyphaszamsobie, jestem lojalnym współphacownikiem, nie można tak pophostu ghozić mi bhonią!

Unosił się dalej, powołując się na swoje zasługi i prawa, ale Antek już go nie słuchał.

Wyciągnął tłumik z kieszeni kurtki i dokręcił do lufy, niespiesznie starannie.

Hrabia patrzył napoczynania swojego gościa z rosnącym przerażeniem im bardziej się bał, tym głośniej trąkotał, coraz głośniej i coraz cieńszym głosem, zapowiadając złożenie oficjalnego protestu, powołując się na konwencje i umowy.

Antek podniósł pistolet, wycelował worder na piersi Mikołaja hrabiego Kleszewskiego na portrecie konnym, nad głową Kleszewskiego-kapusia i nacisnął spust.

Drgnąłamu ręka i pocisk wyciął okrągłą dziurę w kapeluszu stosownym, który sportretowany pułkownik kawalergardów dzierzył wdzięcz220

nie w lewej dłoni.

TW Hrabia zamilkł z otwartymi ustami, jakby trząsk pistoletowego zamka, syk tłumika i uderzenie pocisku o ścianę wyłączyły mu fonię.

Ale ja naprawdę nie wiem, o czym pan mówi wykrztusił z siebie po chwili, zapominając z wrażenia o grasejowaniu.

Nic niewiem o żadnym domu dziecka.

Antek bez słowa przeniósł linię celowania na czoło białego popiersia Juliusza Cezara, stojącego nazabytkowym kredensiku w sąsiedztwie biustu Napoleona, porcelanowej wazy wymalowanej w chińskie smokii zegara w kształcie węża, który połknął słonia.

Nacisnął spust i głowa autora "Wojny galijskiej" i paru modnych powiedzonek rozprysnęła się jak kości rzucone nad Rubikonem.

Niech pan przestanie strzelać!

krzyknął Kleszewski.

Tłumik syknął ponownie, szczęknął metalicznie zamek, kolejna łuska zadzwoniła o parkiet i zabręczała, razem z licznymi sprężynkami, trybikami i odłamkami szkła, które wyprysnęły z rozłupanego tępych nosa pocisku zegara.

Antek nawet nie opuścił ręki, tylko przesunął muszkę ze szczyrbinką o pięć centymetrów w lewo.

Tylko nie Bonaparte.

wrzasnął Hrabia, ale było już późno, bo zanim kapuś skończył zdanie, to cesarz Francuzów stracił głowę, ostała się jedynie empirowe wymodelowana podstawka.

Antkowi podobała się chińska porcelana, więc wazę oszczędził, zamiast tego wycelował niżej i kolejnym strzałem rozwalil witrzynkę kredensiku, gruchocząc przy tym kilka kryształowych

kieliszków i butelkę chivas regala.

Droga whisky chlusnęła na podłogę.

Już powiem, tylko przestań niszczyć moje dzieł sztuki, barbarzyńco!
ryknął Kleszewski, zapominając już nie tylko o grasejowaniu i scenicznym "eł", ale nawet o formach grzecznościowych.

Antek przerwał poszukiwanie nowego celu, położył pistolet na blacie i spojrzał wyczekująco na TW Hrabiego.

Ten zawałał się, ale Antek zareagował natychmiast, sięgając po broń, więc Kleszewski zmitygował się:

221.

Już mówię, mówię.

Nietrzeba strzelać.

Westchnął, poprawił się na fotelu, machinalnie przygładził dłonią rzadką fryzurę.

Szarzyński milczał.

Wszystko, co wiem, to tyle, co opowiedziała mi pani Ponińska.

Pod koniec lat pięćdziesiątych zaproponowano jej pracę w specjalnym domu dziecka, tutaj, na Śląsku, w Pilchowicach.

To dziesięć kilometrów od Gliwic, w stronę Rybnika.

Wiem, gdzie to jest, wychowałem się tam, przerwał Hrabieemu Szarzyński.

No tak.

W tym domu nie było komunistycznej propagandy ani komunistycznego wychowania, zamiast tego wpajano dzieciom po prostu miłość do Polski, do takiej Polski, jaka jest, i dbano o ich rozwój intelektualny.

Dzieci tam były specjalne, wyłącznie najlepszych, przedwojennych rodzin, ziemiańskich i inteligentnych, niektóre osierocone w sposób naturalny, ale większość odebrano rodzicom, którzy poszli pod mur za Bieruta, zginęli w lesie albo siedzieli w więzieniach z wyrokami na całe życie. Niektóre dzieci, wybrane według jakichś tajemniczych kryteriów, kupowano od rodziców.

Kupowano?

nie zrozumiał Szarzyński.

Rodzicom oferowano dwieście tysięcy dolarów za emigrację, co przy ówczesnym kursie mogło wystarczyć na wygodne życie na Zachodzie oczywiście, w cenie był paszport w jedną stronę i bilet.

Musieli tylko zostawić dziecko w Polsce, oczywiście nie musieli zrzekać się praw rodzicielskich, przekonywano ich, że tylko czasowo, na rok albo pół roku, ale ja sądzę, że dobrze wiedzieli, na co się godzą.

Niektórych też, jak mi się zdaje, celowo wykańczano, żeby im odebrać dzieci.

Potem, w domu dziecka, Ponińska miała tych małych janczarów uczyć wszystkiego, co odróżniało te dobre, rasowe rodziny od pospólstwa tresowała więcich.

tu przerwał, popatrzył na Antka i powiedział:

Przepraszam, nie "ich, tylko "was".

Tego, jak was uczono i tresowano, chyba nie muszę powiadać?

222

Rzeczywiście, nie musiał.

Antek zrozumiał to nagle, jakby doznał buddyjskiego oświecenia.

Nie byli przecież indoktrynowani janczarów komunizmu, nie uczyli się bajek o Leninie, niewpajano im jakiejś szczególnej nienawiści do wrogów ludu, przynajmniej intensywniej, niż chociażby w gliwickim liceum.

Bywały akademie kuczki Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, ale przede wszystkim starszy dyrektor Ponińska uczyła ich, jak porządnie jeść widelcem i nożem, zmuszała do czytania książek, uczyła angielskiego i francuskiego i raz w miesiącu sadzała w autobus i wiozła do Krakowa, do teatru.

W domu dziecka mieli osobne pokoiki, nie wspólne sale, dobre jedzenie, jeden wychowawca przypadał na trójkę dzieci.

Przeciętny peerelowski bidul miał się do pilchowickiego domu dziecka jak hotel robotniczy do hotelu Ritz.

To wszystko, co wiem, ciągnął Kleszewski.

Wszystko o całej sprawie będzie wiedzieć ta stara dyrektorka, ona była od początku spiritus movens całego przedsięwzięcia.

Ponińska żyje?

zapytał lakonicznie.

Tak, żyje.

Mieszka w Żehnicy arystokrata odzyskałgrasejowanie, jakby przypomniał sobie, że stanowi ono niezbędny element jego entourage.

To niedaleko.

Wiem, gdzie jest Żernica.

Potrzebuję adresprzerwałHrabiemu Szarzyński.

Dostał, co chciał i zostawił hrabiego sam na sam z rozbitymi figurkami i dziurami w ścianach.

Nie więcej, jak pięć minut później siedział już w swojej alfie i gnał ulicą Daszyńskiego w kierunku na Sośnicowice, aby w Ostropie odbić w lewo, na Wilcze Gardło, w Smolnicy znowu w lewo i po dziesięciu minutach był w Żernicy.

Droga prowadziła wózem, pomiędzy pagórkami, naprawym szarobrunatnymigontami wystrzeliwał w niebo stary, drewnianykościół.

Zaparkował w bocznej uliczce, szybko odnalazł adres wskazany przez Kleszewskiego.

Schludny ogródek, w głębi typowyśląski dom, jakich tysiące wybudowano od końca XIX wieku, czy

może raczej od momentu, w którym Bismarck zabronił budować nowe domy z drewna. Ceglana, czerwona fasada, skośny, dwuspadowy dach, na fasadzie dwa okna z framugami pomalowanymi na zielono, między nimi drzwi, nad oknami pionowo ułożone cegły tworzące dekoracyjny łuczek, na poziomie dachu również cegły ułożono coś na kształt gzymsu.

A w środku pewnie siedzi pani Ponińska.

Siedzi?

Spojrzał na zegarek, nie było jeszcze piątej.

Pani Ponińska raczej jeszcze śpi.

W oknach nie paliło się żadne światło.

Postanowił odczekać do siódmej, wsunął do magnetofonu "Combat rock" the Clash i wyciągnął się w fotelu.

Ponińską pamiętał trochę jak przez mgłę.

Odeszła emeryturę, kiedy Antek miał trzynaście lat, wtedy wydawała mu się już tak stara, że zdziwił się, kiedy dowiedział się, że jeszcze żyje.

Zapamiętał ją jako pomarszczoną i wysuszoną, kostyczną kobietę.

Nigdy nie okazywała im uczuć, od leczenia choroby sieroczej byli opiekunowie, to oni stanowili ersatz rodziców.

Ponińską im nie matkowała.

Była zimna, surowa i wymagająca.

Bal się jej szanowali.

Wystarczyło, że ściągnęła swoje wąskie, blade wargi; marszczyły się jak ściskany miech akordeonu.

Zapamiętał jej broszkę, duży bursztyn oprawny w srebro, przypinała ją wysoko, przy najwyższym guziku bluzki.

Wyżej wznosiła się szyja, pod pergaminową skórą widać było każdą żyłkę, tętnicę i nerw.

"Co symbolizuje postać kapitana Ahaba?"

"Pytała, kiedy przerabiali "Moby Dicka".

Miał wtedy tylko dwanaście lat, przerabiali "Moby Dicka".

Bał się, że jeśli teraz zaśnie, to może spać do południa, otworzył więc radio, skontaktował się z Gliwicami i poprosił dyspozytora, aby wywołał go na określonym kanale, o godzinie siódmej dziesięć.

Zostawił radio włączone i zasnął.

Fabryka Glinianki do sanitariusza 242, sanitariusz 242, zgłoś się ryknęło radio.

Otworzyli oczy, sięgnęło po gruszkę radiotelefonu i zaspany głosem powiedział:

Tu 242, zgłaszam się.

Co jest?

224

Nic.

Prosiłeś o wywołanie osiódmej.

Jest siódma szeleszczącym głosem powiedział radio.

A, tak.

Już siódma?

Dzięki.

Bez odbioru odparł Szarzyński, przetaił oczy, wyłączył radio i wysiadł.

Ruszył ku pomalowanym na zielono drzwiom, odemknął furtkę, minął wypielegnowane rabatki i nacisnął przycisk dzwonka.

Ponińska powinna go pamiętać, widział ją ostatni raz po maturze, odwiedziła Drzewieckiego i wypytywała swojego młodego wychowanka o plany na przyszłość.

Drzwi otworzyły się bardzo szybko, dziesięć sekund po tym, jak Antek zwolnił przycisk.

Ukazała się za nimi twarz Ponińskiej, niewiele zmieniona od ich ostatniego spotkania, tylko jeszcze suchsza i jeszcze bardziej podobna do obciągniętej skórą trupiej czaszki.

Siwe włosy, rzadkie i cienkie, miała rozpuszczone, widać nie zdążyła jeszcze spać.

Wątle, białe kosmyki, spływająca ramiona sprawiały przerażające wrażenie, wyglądała jak dotknięta klątwą starościmłoda dziewczyna.

Dzień dobry, pani Ponińska powiedział Antek, kłaniając się uprzejmie.

Staradyrektor patrzyła nań niechętnie.

Nie pamięta mnie pani?

Jestem Antek Szarzyński, pani wychowanek.

Dziś podporucznik Szarzyński.

No, szczęście Boże powiedziała po chwili.

Podporucznik, powiadasz?

To znaczy, milicja?

zapytała.

Tak, tak, milicja obywatelska odparł.

I co, jestem aresztowana?

Nie, pani Ponińska, przyszedłem panią odwiedzić.

Jestem pani wychowankiem.

Antek Szarzyński.

Na pewno mnie pani pamięta.

Jakim wychowankiem?

pytania zadawała głosem beznamiętnym.

Z domu dziecka.

Ożywiła się nagle, otwarła szerzej drzwi.

Stała przed nim, owinięta w różową, pikowaną podomkę.

225.

Z domu dziecka.

Rozumiem.

Z Pilchowic, tak?

A jak się nazywasz, chłopcze?

Mówiłem już, pani Ponińska.

Antek, no, Antoni przypomniał sobie, że dyrektor nigdy nie zdrabniała imion Szarzyński.

Milczała, patrząc mu w twarz, jakby chciała połączyć rysy z nazwiskiem z jakimiś wspomnieniami z przeszłości.

Szarzyński.

Nie znam powiedziaław końcu.

Pan jesteś z elektrowni?

Licznik sprawdzić?

ożywiła się.

Nie!

zaprotestował.

Jestem pani wychowankiemz domu dziecka.

Z Pilchowic.

A, no tak.

Dom dziecka w Pilchowicach, wiem, wiem, sameporządne dzieci.

A jak się nazywasz?

zapytałaznowu.

Jerzy Popiełuszko zaryzykował.

Popiełuszko.

Zaraz, zaraz.

Jak ten ksiądz, tak?

Rodzina?

Brat?

wypytywała, marszcząc brwi.

Tak, brat.

Do widzenia, pani Ponińska zrezygnował.

Dowidzenia odpowiedziała zamknęła drzwi.

Antek stał, wpatrując się w przybite do drzwi mosiężne litery,

układające się w nazwisko właścicielki domu.

Nie wiedział, co

robić.

Chopie, dyć una je gupio\ odezwał się zza pleców Antka głos wyraźniemłody, acz już tubalny, tą charakterystyczną tubalnością Ślązaków.

Kiedy Szarzyński się odwrócił, ujrzał źródło tego głosu.

Czternastoletni na oko wyrostek byłmały i chuderlawy.

W rękę ścisnął ucha kraciastej torby, wypełnionej świeżymi bułkami i bochenkiem chleba.

Nie pasowałmu bas, przywodzącyna myśló wiele większy obwódkiatki piersiowej.

Głupia jest?

zapytał głupio Szarzyński i widząc grymaschłopaka, zrozumiał, że czysta, polska wymowa, której brzmienie zawdzięczał międzyinnymi pani Ponińskiej, raczej utrudnidalsze porozumienie.

Chłopieporzucił próby nawiązania kontaktu, mruknąłcoś ojeruńskich góralach i poszedł dalej.

Antek,

226

wiedziony instynktem, ruszył za nim, dogonił, po pięćdziesięciometrach, chwycił za ramię i odwrócił.

Co znaczy, że jest głupia?

ponownie zapytał, starając się być jak najbardziej przyjacielski.

Gupio, jeruna, tako jak do Toska,ńy rozumieć?

Staro fisńynto tłumaczyłz pogardą chłopak.

Wariatka, tak?

doprecyzował Szarzyński.

Chłopak potwierdził skinieniem głowy.

Ale dlaczego wariatka?

indagował dalej Antek.

Dyć godum, bo je gupio.

Durch ludzi na ceście chyto, a godo im o jakiś tam grafach, kumuńistuw ńiy mo rada, ale tyż nafarora gupie wydziywio.

Klacho se tam coś o Lundyńe, zdojei se, aże kuryjery ku ńyj jeźdzum.

Jak bez wojna.

A skąd wiesz, że jak w czasie wojny?

Skąd wogóle takimądry jesteś?

Chłopak znowu pogardliwie wzruszył ramionami.

Tatulek mi padali.

A teroski miepusće, bo wduma bydazańyskoro.

Antek zostawił rezolutnego Ślązaka, który pomaszerowałw swoją stronę.

Rozwazał, te szczątkowe informacje, jakie udało mu się uzyskać.

Ponińska ma zapewne jakiegoś zaawansowanego Alzheimera albo inną podobną chorobę.

Antek nie znał się natym, ale wiedział, że u takich chorych często, chociaż krótkotrwała pamięć już nie funkcjonuje, to, co zapisało się w mózgu kilkaczy kilkanaście lat temu, wraca bardzo wyraźnie.

Postanowił więc spróbować jeszcze raz i wrócił pod zielone drzwi.

Nacisnął beżowy przycisk dzwonka, drzwi otwarły się i wyjrzała z zanych Ponińska, z włosami już spiętymi w ciasny kok, ale ciągle w różowej, pikowanej podomce.

Słucham pana.

nie poznała Szarzyńskiego.

Dzień dobry.

Jestem kurierem z Londynu, moje nazwisko Sikorski przedstawił się.

Z Londynu?

No na Boga, cudownie, niech pan wchodzi!

227.

ucieszyła się Ponińska, otworzyła szeroko drzwi i uprzejmym gestem zaprosiła Antka do środka. Wszedł, ruszył korytarzem zagospodynią i zasiadł w salonie, na brzydkim, zielonym fotelu. Rozejrzał się w mieszkaniu było idealnie czysto, nigdzie nawet kłaczka kurzu ani nitki pajęczyny na ścianie, szyby w oknach kredensach lśniły, jakby wyrznięto je z kryształu.

A jednocześnie, w salonie panował dziwaczny chaos.

Ktoś bardziej refleksyjnym mógłby uznać ten chaos za ład wyższego rzędu, ale wymagało to pewnego wysiłku intelektualnego, skoro za błyszczącą witrynką, między wypucowanymi na glanc kieliszkami, stał również wypuczony czarny pantofel na obcasie.

Drugi but zajmował miejsce na parapecie, między doniczkami i wazonami, z których jeden był nietypowy uschnięty wiecheć kwiatków sterczał z dużej cukierniczki, wypełnionej kostkami cukru. Z prawdziwego wazonu, stojącego na okrągłym stoliku, zamiast kwiatów, wystawał wieniec długich pilników do metalu, okrągłaków z drewnianymi rączkami.

Wspinająca się po brzoście chrdza kazała się Antkowi domyślać, że ten wazon był akurat pełen wody.

Kawy panu zrobić?

zapytał dyrektor.

Poproszę zgodził się Szarzyński.

Już robię.

Widzi pan, Gomułka słusznie należy się bać, bo on jest polskim patriotą.

Reszta toruskie sługusy, a jemu naprawdę zależy na Polsce.

I właśnie dlatego należy się go bać, bo on, jako patriotą, jest dla nas groźny.

On może pociągnąć za sobą ludzi.

Nikt w Polsce nie pójdzie za jakimś parszywym żydkiem na ruskim żołdzie, prawda?

A Gomułka to Polak, chociaż chęć, ale jednak Polak i patriotą.

Dogaduje się z ruskimi, bo musi, ale myśli o Polsce, rozumie pan?

Oczywiście zapewnił Ponińską Antek.

A kawy by się pan napił?

zapytała.

Z przyjemnością.

Już robię.

No więc, jest pan z Londynu?

zapytał znów, nieruszając się z miejsca.

228

Antek zdziwił się, że zapamiętał informację, którą podał jej już parę minut wcześniej.

Z Londynu.

Jestem kurierem.

Kurierem z wiadomościami dla "Grupy W"?

- upewniła się, a Szarzyński przytaknął.

Puzzle nie pasowały do siebie z jednej strony, dom dziecka, produkujący dzieci arystokratów wybitnych funkcjonariuszy resortu, czyli, ogólnie rzecz biorąc, służba Polsce socjalistycznej, a z drugiej Londyn, kurierzy, nienawiść do komunistów.

Skoro z Londynu, to pewnie jest pan znużony podróżą kontynuowała starszka.

Zrzucili pana na spadochronie?

Nie, wysadził ich łodzi podwodnej zaszarżował Antek, przypominając sobie amerykańską "Operację Wulkan", tak pięknie rozbitą przez resort w latach pięćdziesiątych.

Z łodzi podwodnej!

To pewnie napiłby się pan kawy?

Nie, dziękuję.

Najpierw wiadomość dla "Grupy W", z centrali.

Centrala prosi o przedstawienie całej Struktury organizacyjnej "Grupy W" szarżował dalej.

Był przekonany, że Ponińska, chociaż bredzi, to jednak swoje fantasmagorie składa z

elementów rzeczywistości, chociażby miała być to rzeczywistość sprzed dwudziestu lat.
Chciał się dowiedzieć wszystkiego o pilchowskim domu dziecka, ale istota "Grupy W" również była cenną informacją, skoro Ponińska o tym wspominała, to znaczy, że jest jeszcze żywo obecny jej sparciały mózgu, może więc uda się z niej coś wyciągnąć.

Przypatrywała mu się trzeźwym, badawczym wzrokiem.

Antek miał przez chwilę wrażenie, że go poznaje, ale potem nagle zaniepokoił się, czy od momentu, w którym zadał pytanie, nie upłynęło już zbyt wiele czasu, czy starowinka jeszcze pamięta, o co ją zapytał.

Rozumiem!

ucieszyła się nagle.

Sprawdza mnie pan, a ja nie mogę tego uczynić!

Wiadomo przecież, że nikomu spoza "Grupy W" nie można niczego o niej zdradzić.

Brawo pogratulował Szarzyński.

To był test, pani

229.

Ponińska.

Zdała pani.

Teraz więc mogę przyznać, że jestem członkiem "Grupy W" i dlatego bez obaw może mi pani wszystko powiedzieć.

A, to co innego!

- ucieszyła się, nie dostrzegając logicznych braków tej propozycji.

W takim razie, mogę.

"Grupa W", do której wprowadził mnie pewien Żyd, wychrząta nazwiskiem Drzewiecki, to najtajniejsza i najpotężniejsza jednocześnie organizacja w Polsce i na świecie.

Jesteśmy wywiadem nowoczesnego, postępowego Watykanu, kierującym się duchem Soboru.

Papież Jan XXIII był generałem w "Grupie W", jako jej członek-założyciel, nowy papież Paweł VI ma dopiero stopień pułkownika, chociaż oczywiście to on ostatecznie dowodzi, ale grupa rządzi się swoimi prawami i generałem tak się od razu nie zostaje.

Szarzyński potwierdzał każde zdanie skinięciem głową, jakby słuchał składającego egzamin, świetnie przygotowanego studenta.

Moje zadanie w grupie to ochrona najwartościowszego elementu ludzkiego dla przyszłych pokoleń, tej esencji ludzkiej, młodych arystokratów ciągnęła Ponińska, gładko recytując zdania, jakby wyczone na pamięć.

W porozumieniu ze Strukturą, która głęboko spenetrowała komunistyczny wywiad, zorganizowaliśmy dom dziecka, do którego wynajdowaliśmy dzieci z najlepszych rodzin i tam wychowywaliśmy ich na ludzi wzniosłych.

Doskonale uśmiechnął się Szarzyński, uzmysławiając sobie, że co do jednego niemoże mieć wątpliwości Drzewiecki i Wichna nie powiedzieli mu całej prawdy o Strukturze.

Staruszkabredziła, ale dwa fakty były niewątpliwie wiedziało o Strukturze i jednocześnie Struktura musiała być owiele starsza, niż mu powiedziano.

Drzewiecki z Wichną zapewniali Antka, że Struktura powstała, aby zapłacić lukę po zdekonspirowanej "Grupie D", po śmierci Popiełuszki, tymczasem musiała istnieć już w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy Ponińska i Drzewiecki organizowali "Sułtana" i "Janczara".

Czytając dokumenty w domu Drzewieckiego, uznał, że "Sułtan" jest po pro

230
stu starszy od Struktury, która powstała właśnie po to, aby go skutecznie realizować, z myślą o nadchodzących przemianach, ale skoro wspomina o niej Ponińska, której teraz nieśmiałość zatrzymała się gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych, to znaczy, że Struktura jest znacznie starsza.

Pan jest z Londynu, tak?

zagadnęła nagle staruszka, przerywając wykład i patrząc podejrzliwie.

Tak.

Jestem członkiem "Grupy W".

Moje nazwisko Żbik.

Kapitan Żbik odparł Antek.

A, no to w porządku.

Boprzestraszyła się, że zdradziła tajemnicę, musiałaby wtedy pana kapitana zabić.

Wstała nagle, sprężyła się, jakby miała trzydzieści, nie osiemdziesiąt lat, otworzyła szufladkę farniowanej tanią okładziną komody i wyciągnęła z niej lśniący pistolecik, kieszonkową berette 950.

Drżącą dłonią wycelowała w pierś swojego gościa.

Pan jest z Londynu, tak?

Ponińska powtórzyła swoje pytanie, a Szarzyński zastygł bez ruchu.

Przestraszył się, że kobiecina tylko zgrywa sklerotyczkę, że tylko się z nim bawi i teraz go zastrzeli. Śmierć z ręki osiemdziesięcioletniej staruchy wydała mu się upokarzająca.

Beretta strzelała słabiotką amunicją kaliber 6,35 mm, ale nawet taka wątła kulka wystarczy, aby z pięciu metrów przebić kość Antkowej czaszki albo przedziurawić płuca.

Nie byłoby czasu na inną legendę, więc brnął dalej.

Tak, tak, z Londynu zapewnił.

Jestem członkiem "Grupy W", nazywam się kapitan Żbik.

A, no to świetnie.

Bo pani taki miły, a musiałabym pana zabić, bo opowiedziałam panu sprawy najwyższej tajności.

Odłożyła pistolecik na stół.

Antek odetchnął, rozluźnił napięte mięśnie grzbietu.

Broń w szufladzie komody niejako uwiarygodniała rewelację Ponińskiej, bo osiemdziesięcioletni starowinki rzadko miewają spluwy w zasięgu ręki.

A więc, pytał pani sposób organizacji "Grupy W".

Jest ona zorganizowana na wzór przedwojennych grup rewolucyjnych.

nych, w trójki, które jednak nie nazywają się trójkami rewolucyjnymi, a trójkami wywiadowczymi. W mojej trójce jest jeszcze ten wychrzta Drzewiecki i taki mądry, postępowy ksiądz, Grzonka się nazywa.

Młody bardzo, z rodziny raczej podłej, tutejsi autochtoni, widać to po nazwisku zresztą, żeto cham, ale jednak człowiek światły, rzutki i energiczny.

Grzonka.

zapytał niby od niechcienia Szarzyński.

Konrad Grzonka, z Katowic?

Tak, tak, Konrad.

A skąd pan wie?

znowu spojrzała podejrzliwie, sięgając po pistolet.

Bo jestem członkiem "Grupy W" z uśmiechem odpowiedział Szarzyński.

Ponińska, uspokojona, nie podniosła broni.

Grzonka.

Konrad Grzonka, biskup katowicki.

W trójce wywiadowczej, razem z Drzewieckim i zramolała Ponińską.

Czasem wpada jeszcze Elvis Presley, który nie umarł, tylko uciekł z kapitalistycznej Ameryki do PRL i jest sekretarzem POP w Zakładach Mleczarskich w Mławie.

Tak to wygląda.

Wiem, że damie to nie do końca przystoi, w jednej trójce z wychrzczonym Żydem i chamem ze Śląska, cóż tego, że księdzem ale to do brzy, poczciwi ludzie, służą nam, jak najlepiej potrafią tłumaczyć, gestykulując elegancko.

Nagle spojrzała Antka, jakby przypomniawszy sobie coś bardzo ważnego.

Czy kawa panu smakowała?

zapytała.

Była przepyszna zapewnił Szarzyński.

Serdecznie panu dziękuję, moja misja spełniona.

Wstał zsalutował dwoma palcami do gołej głowy, po czym ucałował Ponińską w dłoń.

Poczuł wargami nieprzyjemną szorstkość starczej, pomarszczonej skóry, ale odciągnął szaloną staruszkę od srebrzystej beretty.

Kiedy wychodził z domu, Ponińska zegnała go z miną, która jasno dowodziła, iż kobiecina nie miała pojęcia, co ten młody człowiek robił w jej domu.

Antek wsiadł do auta i ruszył w kierunku Gliwic, potem za 232

mierzał

wyskoczyć na mikołowską szosę i pojechać prosto do firmy.

Był zmęczony, prowadził więc po emerycku i myślał.

Do Hrabiego pojechał, bo chciał tylko dowiedzieć się czegoś więcej.

Uzupełnić niewielki luki, jakie pozostały po lekturze aktw domu Drzewieckiego.

Chciał wiedzieć, jaki był cel zorganizowania akcji "Janczar", kto był pomysłodawcą, iluich "Janczarów" było, czy byli wychowywani wyłącznie na potrzeby resortu, czy może trafiali też do innych instytucji państwa.

Słowa Kleszewskiego, potwierdziły tylko to, czego Antek już się domyślał że celem "Janczara" i całej Struktury, jest przygotowanie resortu na nieuchronne zmiany, które prędzej czy później nadejdą. Chciał porozmawiać z Ponińską, żeby mieć pełen obraz tego, co, jak mu się wydawało, dobrze już rozumiał.

Tymczasem, brednie staruszki wywróciły wszystkie nogami.

Na tej informacyjnej papce, wydalonej przez rozmiękczonego Alzheimera mózgu Ponińskiej, nie udało się zbudować żadnej wiedzy o rzeczywistości jednak nie mógł zignorować tego, że wie ona o istnieniu Struktury, zna Drzewieckiego i biskupa Grzonkę i jednocześnie identyfikuje ich jako watykańską agenturę.

W pewnym sensie tłumaczyło, dlaczego Antkowi kazano zwerbować Zielarza miał kontrolować

pracę arcyważnego kreta, weryfikować dostarczane przez niego dane.

Szarzyński, tak jak go uczono, rozważałpo kolei każdą, nawet najbardziejnieprawdopodobną hipotezę,na czas rozważania roboczo zakładając jej prawdziwość.

Wyjeżdżającna ulicęPszczyńską,założył więc na próbę, że Drzewieckirzeczywiście jest kretem Watykanu,działającym wewnątrz resortu niestety,wówczas również nic nie trzymało się kupy.

Zjeżdżając przed Mikołowem w stronę Katowic, pogodziłsięwięc z tym, że nie posiada żadnej teorii, wyjaśniającej intrygującą go rzeczywistość i postanowił jednocześnie taką teorięwypracować i następnie zweryfikować.

Parkując alnę pod granatowo-pomarańczową fasadą firmy,wiedziałjuż, jaksię do tego zabierze.

Wyszedłz auta, zamknął

233.

drzwi i odetchnął parę razy głęboko.

Był coraz bardziej senny, ale wiedział, że spokojnie wytrzyma do wczesnego wieczora, pójdzie spać koło siódmej i wystarczy, żeby wrócić do normalnego, dobowego rytmu.

Pod wejściem, prowadzącym do pomieszczeń zajmowanych przez pion Służby, zgromadziło się kilkunastu ludzi, wśród których Antek zauważył Zdzicha Klewkę i majora Wichnę.

Pewno znaleziono już Kwaśnego w mieszkaniu Marcina Niezgody, wieść się rozniosła i jest skandal roku.

Krwawy weekend, dwóch funkcjonariuszy i jeden TW martwi, szantaże, pedałstwo, tortury.

Jeszcze za pół roku będą gadać.

Podszedł do grupki, paru ludzi z czwórki, paru zinnych Wydziałów, twarze raczej znajome, chociaż imieniem i nazwiskiem mógł nazwać tylko kolegów z Wydziału.

Góra twierdzi, że obaj będą mieli oficjalne, resortowe pogrzeby.

Kompania honorowa, salwa nad grobem, orkiestra, MSW pokrywa wszystkie koszty.

Jeszcze im pośmiertnie Krzyż Zasługi dadzą mówił nieznanemu Antkowi z nazwiska porucznik z trójki.

Szarzyński chciał się od niechcenia włączyć do rozmowy, ale tym momencie zauważył go major Wichna i szybko ruchem głowy wskazał mu wejście do budynku.

Miało wyjść dyskretnie, ale właśnie przez gest Wichny wszyscy spojrzeli na Antka i zamilkli.

Szarzyński wytrzymał te spojrzenia, ale przestraszył się, że sprawa może być poważna.

Wichna ruszył do wejścia, Antek minął milczących kolegów, trącając barkiem ramiona tych, którzy nie odsunęli się z drogi niechwieją, że się ich nie boi, dostrzegli w nim zresztą gotowość do konfrontacji i trochę spuścili tonu.

W myślach uśmiechnął się do siebie.

Wiedział, że wystarczy parę dni utrzymać taką postawę, całym ciałem, spojrzeniem, zachowaniem obwieszczać gotowość do starcia, a zaczną się gobać, niezależnie od tego, co myślał w tej chwili.

Od strachu zaokrótka drogą prowadzi do szacunku, bo "szacunkiem" określa się

234

strach względem osoby, którą darzy się sympatią.

Bać się kogoś jest sprawą tchórze, polubią go więc i będą twierdzić, że szanują.

Wszedł za Wichną do budynku, major nie odzywał się słowem.

Wspinając się za szefem po schodach, Antek spodziewał się w zasadzie wszystkiego.

Nawet jeśli Wichna pokazałby mu podpisany przez samego Wojtyłę dokument potwierdzający rewelację Ponińskiej, Antek postanowił się nie dziwić.

Nawet jeśli w gabinecie Wichny siedziałby sam stuśmioletni Feliks Dzierżyński, to Antek nie będzie się dziwił; wiedział, że rzeczywistość zawsze przekracza ludzkie kryteria

"prawdopodobnego" i zdziwienie, czyli zaskoczenie rozwojem wypadków, jest cechą głupców.

Major otworzył drzwi, wpuścił Antka, po czym wszedł sam i usiadł za biurkiem.

Słuchajcie, Szarzyński zaczął oficjalnie.

Jak już słyszeliście na dole, Kwaśny i Miciński nie żyją.

Zapewne zdołaliście się zorientować, że nie będzie śledztwa, obaj zginęli w wypadkach, pełniąc zaszczytną służbę na posterunku, takie tam.

Teraz jednak, między nami mówiąc: wiem, że byliście w to jakoś zamieszani, podporuczniku Szarzyński.

Nie wiem, co zrobiliście, nie wiem, kto zabił Kwaśnego i już się nie dowiem, bo sprawą jest zamknięta.

Ale!

tu Wichna zrobił znaczącą pauzę.

Ale!

powtórzył, unosząc w górę palec.

Straciliście, Szarzyński, moje zaufanie.

Nie tylko moje, straciliście zaufanie resortu.

Będziecie się musieli, Szarzyński, mocno napracować, aby to utracone zaufanie teraz odzyskać.

Udzielam wam teraz dwutygodniowego urlopu, żebyście mieli czas zastanowić się nad sobą. Nie będziecie oficjalnie zawieszani, bo oficjalnie nic złego nie zrobiliście, o waszym dalszym losie zdecyduje pułkownik Drzewiecki, kiedy wróci.

Jasne?

Antek miał przygotowaną całą legendę, bo przecież spodziewał się tej rozmowy, ale uznał, że nie ma sensu spieszyć się z tłumaczeniem.

Odpowiedział więc tylko służbowym "Tak jest, obywatelu majorze!

".

235.

Dobrze.

Jako że udajecie się na urlop, zgodnie z ustawą, proszę zdać służbową broń.

Antek się wmyślał.

Chociaż Wichna był przecież świadkiem, jak Drzewiecki wręczył Antkowi Antkowisteczkina, niemógł go zażądać, bo to był przecież nielegal.

Wyjął więc p-83 z operacyjnej kabury pod pachą, wysunął magazynek, zablokował zamek i odłożył broń na stół, razem z drugim, zapasowym magazynkiem.

Wichna wręczył mu pokwitowanie.

Odmaszerować powiedział sucho Wichna i Szarzyński wyszedł z gabinetu.

Pomyślał nagle o swoim ojcu, pamiętał teraz dokładnie jego twarz.

Nie rozumiał ludzi takich jak on, bo ich nie znał, byli dla niego równie egzotyczni jak Masajowie albo Pigmeje, samotna walka przeciwko resortowi, za którym stała potęga całej Łubianki, była przecież równie absurdalna co próba osuszenia morza dziecięcym wiaderkiem.

Dlaczego pomyślał o tym właśnie teraz?

Otrząsnął się z niepotrzebnych rozważań i przypomniał sobie, co musi dzisiaj zrobić na komendzie.

Pobiegł do swojego biura, w środku na szczęście nie było nikogo.

Otworzył szafę pancerną i wyjął teczkę sprawy Zielerza, po czym upchnął ją zasklepieniem, w spodniach, przykrywając koszulką.

Nie miał pojęcia, co zamierza teraz zrobić z Zielerzem, ale wiedział, że musi ich uprzedzić, jeśli chce użyć księdza do realizacji własnego planu.

Z telefonu na biurku Klewki zadzwonił do sekretariatu i poprosił Alicję, aby spotkała się z nim za dwie minuty w korytarzu przed stołówką, zamknął drzwi na klucz i wybiegł.

Alicja przyszła po chwili, korytarz był pusty, więc wtuliła się w niego całym ciałem.

Objął ją na chwilę, pocałował, po czym delikatnie odsunął, tak, aby widzieć jej twarz.

Alicja, słuchaj.

Mam kłopoty.

Dostałem przymusowy urlop, nie będzie mnie przez parę dni w firmie.

Musisz przeczekać, rozumiesz.

Nie będziemy się widzieć przez kilka dni, niemogę cię narażać powiedział cicho.

236

Gdyby to był romans, powinna wybuchnąć, powiedzieć, że nigdy, gdzie ty Kajus tam ja Kaja, będę zawsze z tobą, cokolwiekby się działo, nic nas nierozdzieli, a potem trzymaliby się za ręce, uchodząc pościgowi, aż w końcu dotarliby do szczęśliwej przystani, na Zachód, gdzie żyliby długo i szczęśliwie.

Alicja Kazimierzczak wiedziała jednak, że to było życie, nieromans, na dodatek życie w resorcie. Również czekistki ulegały czasem porwaniom serca, ale wiedziała przecież, że z rzeczywistością Służb niemożna igrać, bo jeśli w całym socjalistycznym syfie cokolwiek było naserio, to właśnie Służby.

Wszędzie wszyscy udawali, każdy dostawał swoje dwa tysiące i szedł do domu, ale w służbach rzeczywistość była boleśnie bezwzględna.

Dlatego, jeśli Antek mówi, że ma kłopoty i że musi przeczekać, to znaczy, że naprawdę muszą.

Będę czekała powiedział cichutko.

Antek pocałował ją w usta i wybiegł na parking.

Grupa przy wejściu zmniejszyła się nieco, ale kiedy szedł wzdłuż pomarańczowych i granatowych pasów fasady, spojrzenia wszystkich spoczywały na nim.

Nie czuł dyskomfortu, właśnie przed chwilą zrozumiał, że dystans, jaki dzieli go od przeciętnego esbeka, jest podobny do dystansu dzielącego go od przeciętnego obywatela Polski Ludowej. Może nimi gardzić tak samo, jak oni gardzą prołami.

Wsiadł do alfy, przekręcił kluczyk, silnik prychnął i zamruczał swoim basowym klągniem.

Antek zawrócił zwinnie i wyjechał z parkingu.

Ścięty tył czerwonej alfy romeo prowadzący kilkanaście par oczu.

Nie wybierał się daleko, zaparkował pod katedrą.

Teczkę miądalej schowaną w spodniach, z tyłu za pasek upchnął stieczkina, wysiadł i poszedł prosto do budynku, w którym mieszkał ksiądz Zielarz.

Wchodząc, natknął się na młodego księdza w sutannie, zagadnął go o Zielarza i dowiedział się, że właśnie spowiadał katedrze.

Podziękował uprzejmie, twierdząc, że to dobrze się składa, bo on właśnie w tej sprawie.

Wszedł do kościoła, całym ciałem napierając na skrzydło po 237.

Jasne?

Zielarz zamyślił się na chwilę.

A więc jest pan amerykańskim szpiegiem, tak?
zapytał w końcu.

Proszę księdza, niech ksiądz będzie poważny i nie zadajemy takich pytań.
Jestem dobrym Polakiem i chcę księdzu pomóc odparć Antek, przekonany, że stworzył już
wystarczająco wiarygodny entourage tajemniczości.

Dlaczego?

zaperzył się nagle ksiądz.

Bo wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Teraz niech pan będzie poważny.

SB zajmuje się każdym księdzem w Polsce, ale niedo każdego przychodzić z jegoteczką,
zdradzającemu planowane obrzydliwości.

Czego pan chce odemnie w zamian za ostrzeżenie mnie przed niebezpieczeństwem?

Marcin Niezgoda nie żyje, proszę księdza.

Zabiligo, bo nie udało mu się księdza uwieść, przepraszam za te obrzydliwości.

Jest ksiądz w niebezpieczeństwie, a my nad księdzem otoczymy niewidzialną ochronę i nic się
księdzynie stanie. Klaraowa! Szarzyński półgębkiem, znowu gapiąc się na ołtarz.

239.

Zielarz milczał chwilę.

Szarzyński uznał, że rozważa swoją odpowiedzialność moralną za śmierć tego biednego, sponiewieranego chłopaka, więc nic nie mówił.

Ksiądz odezwał się dopiero po paru minutach.

Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Czego chcecie odemnie wzamian za tę pomoc?

Dobrze, już mówię.

Podejrzewamy, że biskup Konrad Grzonka pracuje dla SB.

Albo dla komunistycznego wywiadu wojskowego, nie mamy pewnościcelowo użył w zdaniu przymiotnika "komunistyczny", rzecz miała zabrzmieć wyraźnie, jak zdrada.

Cóż pan opowiada za bzdury!

zaperzył się Zielarz, wstając z ławki, co miało zapewne być gestem oburzenia i protestu.

Antek pokręcił głową, coraz bardziej wczuwając się w swoją postać spokojnego, nieco flegmatycznego agenta CIA, jak z filmu.

Pociągnął kapłana za rękaw sutanny, ściągając go z powrotem na ławkę.

Proszę księdza, ja księdzanie pouczam, jak się spowiada albo jak mszę odprawiać, więc niech mnie ksiądz mojego fachunie uczy.

Mówię, że podejrzewamy.

Nie mam pewnościci, ale podejrzewamy tłumaczył.

I chcecie pewnie, żebym ja Konrada szpiegował, tak?

Zielarz podniósł głos.

Niech się ksiądz uspokoi.

Pomogliśmy księdzu i nie żądamy wzamian zapłaty.

Czy ksiądz coś dla nas robi, czy nie, chronić księdza i tak będziemy.

Kontakt z Grzonką jest pewien, stary ubek, Żyd nazwiskiem Drzewiecki, ale może przedstawiać się inaczej.

Szczyły, na oko siedemdziesiąt lat, średniego wzrostu, zupełnie siwe, zaczesane do tyłu włosy, bładniebieskie oczy.

Nosi drogie, zagraniczne garnitury, prawie zawsze w różnych odcieniach brązu, i laskę, taką staroświecką, z gałką tłumaczył.

Po co mi go pan opisuje?

Bo chcę tylko, żeby ksiądz mnie uprzedził, jeśli kiedyś do 240

wie się o ich planowanym spotkaniu.

Nic więcej.

Jeśli się ksiądz tym nie dowie albo uzna, że nie chce mi o tym mówić to trudno.

Zadzwoń do księdza za tydzień, powiem, że w sprawie rekolekcji dla nauczycieli akademickich.

Dobrze?

Zielarz znowu milczał.

Dobrze odpowiedział, a Antek był pewien, że odpowiedź jest wynikiem głębokiego rozważenia moralnych za i przeciw.

Dziękuję księdzu.

Niech ksiądz się strzeże ostrzegł Szarzyński, wy dostał z ławki do głównego traktu kościoła, odstawił komedię z przyklękaniem i kreśleniem znaku krzyża, po czym wyszedł, zostawiając Zielarza sam na sam z jego sumieniem.

Na zewnątrz było gorąco, upał wzmagał się z każdą minutą, Antek przyspieszył więc kroku i szybko wsiadł do samochodu, który, zaparkowany w cieniu, nie zdążył się jeszcze nagrzać.

Włączył silnik i uruchomił klimatyzację, po czym zaczął przeglądać kasety, zastanawiając się, jaką muzyką miałby ochotę, aż w ręce wpadła mu przegrana z czarnej płyty "Roadhouse Blues" Doorsów; bardzo dawno tego nie słuchał.

Włożył kasetę w otwór radiomagnetofonu, alen nacisnął "play", bo poczuł na szyi chłodny dotyk metalu.

Bez żadnych ruchów gwałtownych, proszę powiedziałże śpiewnym akcentemktoś, kto siedział na tylnej kanapie alfy.

Pieprzone małeńkie, tylne okienka.

Zerknął w lusterko i zobaczył przeciętnąwarz usta przykryte wąsem, niezdrowa cera.

Tylko oczy, byłytrochę zbytzeroko rozstawione, akości policzkowe wystające.

Śpiewny akcent.

Rusek.

W lusterku zobaczył też mały, płaski pistolecik, któryprawie ginał w potężnym łapsku Rosjanina.

Jedź, kolego rozkazał przedstawiciel bratniego narodu.

Gdzie?

zapytał Szarzyński.

Przed siebie jedź, podzoo w Chorzowie, pójdę sobie miszkę polarnego obejrzeć.

No, pajechali ponaglił iAntek zrozumiał, że ruski będzie mu udzielał ostrzeżenia, nie mordował.

Zro241.

bił, co mu rozkazano, przejechał spokojnie przez rondo, koło Spodka i zaparkował niedaleko wielkiej, betonowej żyrafy, przedchorzowskim Parkiem Kultury i Wypoczynku.

Teraz słuchaj, malczuk.

Ty więcej nie rób to, co ty robił, bo nam się tonie podoba, rozumiesz ty?

Rusek tłumaczył tonem cokolwiek perswazyjnym.

Dwóch dobrych czekistów w ziemi, przez ciebie.

Węszysz tam, gdzieś nie powinien.

Nie podoba nam się to.

Następnym razem nie będę tutaj siedział ja, tylko będzie kostka trotylu i zapalnik, kluczyk obrócisz, iskra przeskoczy i bum.

A szkoda by było wozu takiego, piękny, zachodni.

Ty rozumiesz?

Rozumiem odparł po prostu Antek.

Bał się, dopiero teraz zaczął się bać, poruszył coś, czego natury nie rozpoznawał, a co nagle zaczęło owocować niepożądanymi konsekwencjami.

Teraz więc grzecznie wysłucha, co ruski ma mu do powiedzenia, po czym zrobi to, czego się od niego oczekuje.

No, maładiec.

Jeszcze będzie z ciebie dobry czekista.

Rusek lewą ręką mierzył włosy Szarzyńskiego, jak matka mierzy czuprynę niesforne, ale przecież kochanego urwisa.

Antek jednak nie był kochanym urwisem i o ile do tej pory zamierzał grzecznie przyjąć ostrzeżenie do wiadomości, może nawet przeprosić, to jednak kiedy nieproszony pasażer pozwolił sobie na ten protekcyjny gest, w Antku odezwało się coś, czego istnienia się nie spodziewał.

Nie rozważał jednak natury tego uczucia, ponieważ zamiast na refleksji, skupił się na działaniu.

W lusterku zauważył, że Rosjanin jest już rozluźniony, nie mierzy pistoletu w Antkowi głowę, więc obiema rękami wyciął grzebiące mu we włosach łapsko całą siłą swojego wytrenowanego ciała szarpnął do przodu, nad swoim prawym ramieniem.

Kagiebi stał potężnej postury, ale szarpnięcie go zaskoczyło.

Mięśnie Szarzyńskiego zadziałały jak sprężyna i Antek wciągnął przeciwnika między fotele, także głowa ruska znalazła się na wysokości kolan Antka.

Wiedział, że ma tylko sekundę, zanim gość zdąży

242

wyciągnąć do przodu rękę z pistoletem, działał więc błyskawicznie.

Lewą pięścią wyrzucił Iwana w skroń, z całej siły głowa Rosjanina uderzyła w konsolę między siedzeniami i wystające z niej dźwignie hamulca ręcznego i zmiany biegów.

Ruski nie stracił przytomności, ale był oszołomiony, Antek jednak nie zamierzał skończyć na jednym ciosie.

Chwytał łeb kagiebisty za szpakowate kudły i zaczął nim z całej siły tłuc.

Po drugim uderzeniu Rosjanin zwiózł się, ale Antek był pełen gniewu i uderzał, aż w

końcu zauważył, że na gałce odbiegów nie widać już czerwonego krzyża i zielonego węża ze znaczka alfy romeo, bo przykrywa je krew.

Odepchnął zwiózł się cielsko na tylne siedzenie, następnie obrócił się w fotelu i na kanapie odnalazł pistolet kagiebisty.

Małeńki i zgrabny, nie znał tego typu, ale opisany był po rosyjsku, pewnie jakaś tajna produkcja na potrzeby KGB.

Kiedy sadowił się z powrotem na siedzeniu, przed drzwiami kierowcy ujrzał przerażoną buzię kilkuletniego chłopczyka.

Małe ciałko na głowie czapkę z jakimiś piłkarskimi symbolami, w ręku wielki kłęb białej waty na patyku, nosił niebieską koszulkę, a oczymiało rozwarte tak, że białka widać było dookoła całych tęczęwek.

Ustami rozdziawione, prezentując dziecięce, szczerbate dziąsła.

Chciał sobie pewnie popatrzeć z bliska na piękny, czerwony samochód i zobaczył go z bliska, z tak bliska, że mógł się przyjrzeć kroplom krwi na szybach.

Antek popatrzył na przerażone dziecko, po czym, powoli, podniósł krwawą dłoń, wskazał chłopca palcem wskazującym, po czym dotknął ust, nakazując ciszę.

Chłopak zastygł jak żona Lota.

Antek nacisnął przełącznik i opuścił pochłapaną krwią szybę.

Jak ci na imię?

zapytał.

Gaweł odparł chłopiec.

Mam pięć lat dodał, jakby wiek miał dodać mu odwagi.

Gaweł.

Jak Paweł Gaweł, co w jednym stalidomu?

Dzieciak pokiwał głową.

- No to słuchaj, Gawełku: spierdalaj do mamy, w podsko243.

kach warknął Szarzyński, drząc jeszcze od krążącej w żyłach adrenaliny, po czym wrzucił wsteczny, dłoń ślizgała się po zakrwawionej dźwigni, wyskoczył na drogę, wymuszając pierwszeństwo na przestraszonym kierowcy malucha, i pognął w kierunku Gliwic.

Musiał gdzieś pochować ciało i wydawało mu się, że ciągnące się przez dobre kilkadziesiąt kilometrów, a zaczynające się w Pilchowicach Lasy Rudzkie będą odpowiednim miejscem.

Wyjechał na mikołowską szosę i gnał, wyprzedzając samochody natręckiego, wciskając się między wielkie ciężarówki, trąbiąc i mrugając światłami.

Kierowcy ustępowali, widząc sportowy, zachodni samochód, przekonani pewnie, że po szosie rozbija się jakieś czerwone książętko, z tatą w KC albo przynajmniej w katowickim ministerstwie górnictwa.

Na wysokości Przyszowic usłyszał, że zmasakrowany Rosjanin jęczy i próbuje się podnieść. Zahamował gwałtownie, zjechał na pobocze, wychylił się do tyłu, przystawił kabeł swojego własnego pistoletu do piersi i pociągnął dźwierz za spust.

Huk był ogłuszający, mimo małego kalibru, zamknięte wnętrze samochodu wzmocniło odgłos wystrzału tak bardzo, że Szarzyński przez chwilę przestał słyszeć cokolwiek.

Ruszyli skręcił z głównej drogi w Przyszowicach, dojechał do Gierałtovic, wytarł ręce z krwi i w sklepie z artykułami ogrodniczymi kupił szpadel, wiadro i kawał ogrodniczej folii.

W drogerii obok wzięły jeszcze dużą butelkę ludwika, proszek do prania i szmaty i wróciła prowadzącą do Gliwic szosę.

Z Gliwic pojechał na Sośnicowice, skręcił na Trachy, minął jej kiedy dojechał do Bargłówek, małej wioski otoczonej puszcza, zjechał w leśną drogę.

Minął rząd wielkich, wyniosłych dębów, znaczących granice cysterskich posiadłości, i jechał powoli dziurawą, szutrową ścieżką.

Skręcił w jeszcze mniejszą wystającą między dwiema koleinami garb trawy tarł o podwozie alfy. Zatrzymał się na polanie, gdzie, jak przypuszczał, korzenie drzew nie będą mu przeszkadzać w kopaniu.

Liczył, że w ponie 244

działek rano nie spotka tutaj nikogo.

Wytargał ciało Rosjanina z samochodu i prowizorycznie ukrył w krzakach, po czym wziął się do roboty.

Po trzech godzinach miał dół głęboki na półtora metra i uznał, że tyle wystarczy.

Nieproszeni goście szczęśliwie dla siebie nie przyszli na piknik na polanę, która miała stać się miejscem ostatniego spoczynku urodzonego w Omsku Wieniedikta Władimirowicza Pielewina, jak twierdził paszport, który Antek wyciągnął z kieszeni marynarki swojej ofiary.

Było to bezwątpienia fałszywe nazwisko, trup nie był również trupem, bo kiedy Szarzyński przetrząsał mu kieszenie, ze skrwawionych warg wydobył się jęk.

Antek nie strzelał więcej, bo nie chciał niepotrzebnie hałasować, jeszcze ściągnąłby sobie na kark tropiącego kłusownika leśnika, zepchnął więc towarzysza Wieniedikta do wykopanego dołu.

Wot, maladec, z ciebie już nie będzie dobry czekista powiedział, nie licząc, że rusek go słyszy.

Wrzucił do grobu paszport i pistolet, po czym zasypał go najszybciej jak umiał, zbierając ziemię delikatnie z rozpostartej na trawie folii.

Na koniec ułożył z powrotem wycięte starannie kawałki darni i udeptał wszystko.

Zatrzy dni albo pierwszym deszczu nie będzie nawet śladu, że ktoś tu kopał.

Zwinął folię i wrzucił razem ze szpadlem do bagażnika, po czym ruszył, dalej leśnymi drogami, szukając jakiegoś strumienia.

Kiedy znalazł, wziął się do prania.

Najpierw wyprał swoje ciuchy i rozwiesił je na drzewach, abyschły.

Było gorąco, za dwie godziny dzinsy, i koszulka będą suche i czyste.

W samych slipach wziął się do czyszczenia wnętrza samochodu, z tapicerką miał duży kłopot, ale po

czterech godzinach szorowania, fotele i kanapy były mokre, lecz bez śladów krwi. Umył jeszcze karoserię z zewnątrz, zostawił otwarte drzwi, żeby wewnątrz auta schło, po czym położył się na trawie i dopiero wtedy zaczął rozważać to, co uczynił.

Wiedział, że postąpił nierozważnie i nieostrożnie.

Nieważne,

245.

jak głęboko zakopał Ruska i jak dobrze wyszorował samochód, jego przełożeni będą wiedzieć, że tawariszcz lejtnant Pielewin został wysłany, aby skarcić szalonego Polacziszkę, esbeka, który zaczął węszyć po swoim, cholera wie po co.

I tawariszcz lejtnant, a może i kapitan albo major Pielewin z tej prostej misji nie powrócił, zapadając się jak kamień w wodę.

Ao Polacziszce gadano już wcześniej, że jest do strzelania prędko.

Niedobrze.

Porucznik Antoni Szarzyński, leżąc w samych slipach na miękkiej trawie, zdał sobie sprawę, że poczucie własnej wielkości sprowadziło go na manowce.

Prawdopodobnie przekreślił swoje szanse na karierę w resorcie, bo nie mógł znieść, że jakiś kacap traktuje go protekcyjnie.

On, oficer, syn "Miecza", z najlepszej krwi, on, wybrany spośród tysięcy rówieśników, wychowany, wytresowany do wielkości, przekreślił wszystko, co mógł osiągnąć, bo nie chciał nieść protekcyjnego zmierzwięcia zupy.

Rozważył możliwości rozwiązania.

Mógł zdradzić, wejść do ambasady amerykańskiej, wcisnąć idiotom z CIA rzewną bajeczkę dyktaturze i łamaniu praw człowieka.

Daliby mu na pewno azyłu, przemycili do Wiednia, czy gdzieś tam, ale co mógłby im zaferować podporucznik po stażu imiesiachu służby?

Kilka nazwisk albo kilkadziesiąt nazwisk, schemat organizacji i te nieuporządkowane urywki wiedzy, jaką miał o strukturze?

Do Kuklińskiego trochę mu brakowało.

Mógł uciec na własną rękę.

Przeszedłby przez dwie zielone granice, do Czechy potem do Austrii.

Udałoby mu się, bo nie byłby urzędnikiem, któremu zamarzyły się pełne półki w sklepach.

Dobrze wiedział, jak przejść.

Ale co potem?

Był jeszcze trzecie wyjście i w tej chwili wydawało mu się najatrakcyjniejsze.

Zależało co prawda dużej mierze od łut szczęścia, od tego, czy ksiądz Zielażna prawdę będzie współpracował, ale warto było spróbować.

Uciec do ambasady zawsze można.

Słońce grzało niemiłosiernie, ale Antek miał skórę, której

246

słońce nie parzyło.

Nigdy nie niszczyła się po opalaniu, tylko nabierała coraz ciemniejszego, brązowego odcienia.

Nie spał już dobre trzydzieści parę godzin, postanowił więc zdrzemnąć się na polanie, przynajmniej do późnego popołudnia.

Popęłił parę błędów, ale Micińskiego, Kwaśnego i Pielewina ani Marcina Niezgody, jedyne, którego było mu żal, nie wskrzesi.

Teraz obmyślił plan działania właśnie w takich warunkach, jakiego czekały, a w realizacji tego planu nie był konieczny pośpiech, przyda się natomiast wypoczęty, wyspany mózg.

Zamknął więc oczy i zasnął natychmiast.

ROZDZIAŁ 7

Otworzyłyocy i przez chwilę nie umiał sobie przypomnieć,dlaczego leży na trawie w samych slipach.

Dżinsy i koszulkawiszzące na krzaku zdziwiły go jeszcze bardziej.

Wstał,zakręciłomu się w głowie, oparł się osamochód, zobaczył szpadel ikląbfolii.

Przypomniął sobiewszystko.

Włożył spodnie, koszulkę i buty,przemył twarz w strumieniui spojrzął na zegarek.

Dochodziła osiemnasta, a słońce dalej prażyło niemiłosiernie.

Wsiadł do samochodu, podciągnąłszyby,uruchomił klimatyzację i ruszył wstronę szosy.

Zatrzymałsięjeszcze na chwilę w miejscu, gdziezakopał człowieka z paszportemna fałszywenazwisko Pielewin, rozejrzał się dokoła i pojechał dalej, zadowolony z efektu.

Po drodze zatrzymywał się trzyrazy, wyrzucił w przydrożnechaszczeszpadel, wiadro i folię.

Czwarty raz zatrzymał się w Gliwicach, przyautomacie telefonicznym.

Wrzuciłmonety i zamknął oczy.

Przywołał z pamięci obraz cyfr, napisanych palcemna tafli lustra.

Po dziesięciu sekundach otworzył oczy i wykreśliłnumer, który odczytał z zapisanegow głowie obrazu.

Halo?

powiedziała Beata, trochę zdenerwowanatelefonem, który przeszkodził jej w malowaniu paznokci.

Beata?

zapytał Antek.

Pamiętasz mnie?

Pytał ją, czy go pamięta?

Niech lepiejzapyta, czy czasemprzestaje o nim myśleć!

Czy nie zagaduje codziennie pana Stefana,czy przypadkiem ten esbek, co mieszka w Gwieździe, nie py249.

tał o nią.

Czy nie siedzi i nie gapi się w telefon, licząc, że może właśnie teraz zadzwoni?

Czy wreszcie nie zamyka oczu i nie wyobraża sobie, że jest z nim, kiedy czuje na sobie dłonie klientów?

No tylko tyle wydusiła z siebie, zamiast płomiennego wyznania.

Antek jednak nie potrzebował więcej.

Mieszkasz sama?

Mogę u ciebie przenocować?

Załatwisz jakiś wolny garaż?

Zapłacę, ile trzeba.

Potwierdziła bez namysłu i kiedy odłożyła słuchawkę, wiedziała jedynie, że jedzie doniej.

Od razu zrezygnowała z pójścia do pracy, on przecież załatwi wszystko z jej opiekunem.

Zbiegła na parter, zadzwoniła do drzwi pana Janka, który miał garaż w podwórku, i zaoferowała mu tysiąc złotych połowę swoich oszczędności za udostępnienie tej poskładanej z blachy budki.

Nie wiedziała, po co Antkowi garaż, ale skoro o to prosił, to znaczy, że to ważne.

Pan Janek zgodził się od razu, wyprowadził swojego nadgnitego trabant i zaparkował na chodniku przed kamienicą.

Był miły, więc nie protestowała, kiedy chwycił ją za tyłek i pomiętosił.

Wyrwała mu się jednak szybko i pobiegła na górę, do swojej kawalerki.

Próbowała posprzątać, przynajmniej żeby było widać, że się starała.

Zmiotła podłogę, starła kurze, zaścieliła łóżko świeżą pościelą i spryskała tę pościel jedynymi perfumami, jakie miała.

Włożyła do kasprzaka kasetę z samodzielnie wykonaną składanką rockowych ballad, której słuchała, czytając romans.

Będzie akurat, tak na strojowa.

Ubrała się dużo skromniej, niż do pracy, nie musi mu przecież przypominać o tym, że jest kurwą.

Chciała jeszcze pobiec do nocnego, może dostałaby jakieś wino i coś do jedzenia, ale nie zdążyła.

Antek zapukał do jej drzwi.

Otworzyła i od razu rzuciła mu się na szyję, wtuliła się weń z całej siły i stwierdził, że jej radość sprawiła mu przyjemność.

Stwierdził nawet, że zajmując się ostatnio Alicją, stęsknił się za tą małą dziwką w rumuńskich głąnach.

Alicja chciała z nim być, zewzględu na to, co mógł jej dać.

Zdecydowała się zaryzykować

250

i była to poprostu przemyślana inwestycja, a ta mała za jeden wieczór oddałaby mu wszystko, cały ten biedny szajs jaki posiada.

Zapytał ją o garaż, pokręcił głową z podziwem, kiedy wręczyła mu klucze, zbiegł na dół.

Schował alfę, wyjął stieczkinę spod siedzenia, wrócił.

Poszli do łóżka.

Poprosił go, żeby zadzwonił do jej opiekuna.

Zrobił to i zapytał alfonsa, za ile mu sprzeda tę panienkę.

Alfonso był zdziwiony pytaniem, trochę się śmiał, ale kiedy Antek go przycisnął, to w końcu zaryzykował, że chce dziesięć tysięcy.

Antek obiecał mu pięć, gość zgodził się bezdalszych ceregieli, rozbawiony melodramatyzmem sytuacji.

Socrealistyczny melodramat dobry ubek wykupuje biedną kurewkę z rąk złego alfonsa.

Wieczorem leżała w wąskim łóżku, przytuleni.

Beata spała, Antek patrzył na oświetlone blaskiem księżycy krzesło, stół, wzory na kaflach pieca.

Nie myślał o tym, co robi, czy co powinien zrobić, to ustalił ostatecznie, jadąc z Gliwic do

Bytomia i tego planu będzie się trzymał, aż do momentu, w którym stwierdzi, że jego realizacja jest

niemożliwa.

Dopiero wtedy będzie rozważał, co począć.

Teraz myślał o twarzach z dwóch fotografii, o słowach Ponińskiej i o tym, jak to wszystko posklejać.

Wymacał rękojeść pistoletu pod poduszką, sprawdził jeszcze raz komorę i bezpiecznik i zasnął.

Spał spokojnie, chociaż wąskim łóżku nie było mu wygodnie.

Rano obudził się wcześnie, zajrzał do lodówki i chciał coś przegryźć, ale Beatę zbudził jego krzątanie i wpadła dokuchni, owinięta szlafrocikiem.

Uparła się, że koniecznie musi zrobić śniadanie.

Pozwolił jej na to, zjadł niezbyt smaczne kanapki i zastanawiał się, kiedy zacznie zadawać pytania.

Dziewczyna jednak zdawała sobie sprawę z kruchości własnego szczęścia, dlatego nie pytała o nic.

W zasadzie, niczego też nie chciała wiedzieć.

Po śniadaniu chciała go znowu zaciągnąć do łóżka, ale odmówił, musiał wybrać się do Katowic, do kiosku z amerykańskimi papierosami.

Prawdopodobieństwo przy 251.

padkowego natknięcia się w Katowicach na jakiegoś wroga byłonikłe, ale samochodem nie ośmielił się jechać, alfa romeo gtv-6zbyt rzucała się w oczy.

Ucałowałwięc dziewczynęi obiecał, żewróci za parę godzin, po czympomaszzerował nadworzec kolejowy.

Wysiadł na głównym i pokluczył trochę.

Po kwadransie byłpewien, że nikt go nie śledzi, okrężną drogą poszedł więc dotrafiki przy ulicy Kościuszki.

Sprzedawca-filozof Marcin Pałęgasiedział za ladą, pograżony wlekturze"Młodego Technika".

Podniósł oczy na dźwięk otwieranych drzwi.

Kiedy zobaczyłSzarzyńskiego, zadrżał.

Próbował zaraz odzyskać kontenans.

Witam pana oficera.

powiedział głośno, z wymuszonym uśmiechem,ale w pół zdaniaprzerwało mu metaliczneszczęknięcie zamka i już Szarzyński stał przed nim zpistoletemw wyciągniętym ręku. Celował dokładnie wśrodek czoła.

Pałęga,jako zdeklasowany nauczyciel akademicki, miałprzeszłość bujniejszą niż przeciętny pracownik handlu detalicznego, odbyłrównieżsłużbę wojskową, gdzie nawet odpalił dwanaście nabojów z pistoletu model p-64, mimo to jednak nikt nigdy nie celował doń z broni palnej, nawet dla zabawy.

Mało tego, nikt nigdyniepatrzył na niego w takisposób.

W spojrzeniu esbeka widziałobojętną bezwzględność i wiedział, że ten człowiek, być może nawet jego rówieśnik, zabije go bez wahania, bez obaw o konsekwencje, jeśli tylkouzna to zastosowne.

Podniósł więc do góryobie ręce, takwysoko, jak potrafił.

Antek zauważyłstrachliwą reakcjęsklepikarzaod razu, kiedytylkwoszedł do trafiki, nie wiedziałjednak, cojąwywołało, dlatego na wszelki wypadekwyciągnął broń.

Teraz położył więc palec na ustach, nakazując ciszę, rozejrzał się po sklepie irzuciłokiem na zaplecze.

Po chwili byłpewien, że nikt nie zastawił tunań zasadzki, a zatem również jego paczka jestraczej bezpieczna,bo gdyby któs>wyciągnął od faceta pakiecik, zajrzał dońi znalazłpieniądze, to mógłby z dużądodać pewności zakładać, że Antekpotak znaczną sumęwróci.

252

Co jest?

zapytał więc, pewien, że przerażony sklepikarzbędzie mówiłprawdę.

Byli tutaj, pytali o panapowiedział Pałęga pospiesznie.

I co?

Nic, powiedziałem tylko, że kupuje pan tutaj papierosy odrzekł filozof, nie opuszczając rąk.

Co zpaczka?

Antek opuścił pistolet i gestem pozwoliłsprzedawcy opuścić ręce.

Nietknięta, schowana.

Nic im nie powiedziałem, naprawdę.

Zapytali, powiedziałem tylko, że kupuje pan tutaj papierosyi poszli sobie powtarzał Pałęga, odzyskując pewność siebie,'skoro już niełypało nań czarneoko lufy.

Przynieść?

Tak.

Sprzedawca poszedł na zaplecze, Antek ruszyłza nim, z bronią w ręce.

Filozof chciał protestować, ale rozmyślił się, kiedytylko zobaczył spojrzenie Szarzyńskiego.

Pomyślał zresztą, że cóż takiego, że facetpoznajego "sekretny" schowek.

Stanęli przypieczukafłowym, Pałęga sięgnął po pogrzebacz i uczynił nim to,do czego pogrzebacz, przynajmniej z nazwy, służy: pogrzebałw wąskiej szczelinie między piecem a ścianą.

Po chwili wygarnąłstamtąd paczkę,nieco przybrudzoną od kurzu, a lenieuszkodzoną.

Antek rozerwał papier i zajrzał do środka były i pieniądze, i zdjęcia.

Schował pakiecik do kieszeni, z portfela wyciągnął dwa tysiące i wręczył je Pałędze.

To za fatygę i za milczenie.

Dzisiaj mu nie tak było.

Sprzedawca skwapliwie kiwnął głową, ucieszony dodatkowym zarobkiem.

Antek wyszedł bez słowa, pokłuczył znowu w uliczkach i bramach secesyjnych kamienic, po czym poszedł na dworzec i pierwszym pociągiem wrócił do Bytomia.

W mieszkaniu Beaty spalił zdjęcia w piecu, takim samym, jaki stał na zapleczu trafiki, dał dziewczynie dziesięć tysięcy, z czego miała opłacić Alfonsa, za resztę kupić dolary od zaufanego cinkciarza i przynieść Antkowi ciuchy, kosmetyki i żarcie z Pewexu.

Zro253.

bił listę zakupów, wszystko miało kosztować w złotych około dwóch tysięcy.

Za resztę kup sobie coś ładnego, na co tam będziesz miała ochotę dodał.

Sam zamierzał nie opuszczać mieszkaniaco najmniej przez tydzień.

Żałował, że nie mógł sobie tutaj przynieść swojego komputera i wideo, ale następnego dnia wysłał Beatę po jakieś książki spędzali dni jak na prawdziwych wakacjach, tyle że w bytomskiej kamienicy.

Jedli, pili wino i koniak, pieprzyli się, słuchali muzyki, Antek czytał książki, a Beata "Przekrój" i "Przyjaciółkę"; oglądali telewizję i spali.

Przez pierwsze dwa dni zastanawiał się, czy woli Beatę od Alicji i w końcu w środę uznał, że tak.

W piątek ponownie zaczął mieć wątpliwości, bo uwielbienie, oddanie i uległość dziewczyny nie czego znużyły, Alicja miała w sobie więcej dzikości.

Z drugiej strony, do Beaty czuł autentyczną sympatię, a Kazimierzaku widział nazimno, bo jej potrzebował.

W sobotę miał ochotę do niej zadzwonić, ale powstrzymał się, jej telefon był pewnie podsłuchany, jeśli tylko połapali się, że coś ich łączyło.

Do poniedziałku nie ruszał się więc z mieszkania Beaty, które nie mogła uwierzyć, że to, co się jej przytrafia, nie jest snem.

Kiedyś myślała, że to określenie to tylko barwna metafora, teraz sama miała wątpliwości, czy to możliwe, że ją sama, Beatę Konieczny, spotyka takie szczęście.

Po tygodniu, w poniedziałek, Antek założył nowe ciuchy, wziął drobniki i pistolet, i poszedł poszukać automatu telefonicznego, gdzieś niezbyt blisko mieszkania Beaty.

Znow kluczył, sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi, po czym w końcu stanął przy budce, wrzucił parę monet i wybrał numer księdza Zielerza.

Halo?

powiedział sekretarz biskupa Grzonki do czerwonej słuchawki.

Szczęść Boże.

Proszę księdza, ja w sprawie rekolekcji akademickich dzwonię odparł Szarzyński w umówiony sposób, obniżając jednocześnie barwę głosu o oktawę.

254

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

Szarzyński stwierdził, że niepomierne irytują go długie pauzy, jakie musiał znosić w rozmowach z księdzem Zielerzem.

Dobrze, że pan dzwoni.

Mam coś dla pana, bardzo ważnego odezwał się w końcu kapłan, drżącym głosem.

W czasie długiej pauzy zastanawiał się pewnie, jak to powiedzieć i to, co Antek usłyszał było chyba szczytem konspiracji, na jaki był księdza stać.

Zastanawiał się, czy dla kogoś, kto może siedzi terazze słuchawkami na uszach i sporządza notatki z rozmów telefonicznych Zielerza, sprawa już stała się jasna, czy jeszcze nie.

Spotkajmy się tam, gdzie ksiądz po raz ostatni widział kleryka, którego ostatnio wspominałem.

Dzisiaj, o dwudziestej drugiej powiedział w końcu Antek, licząc na inteligencję Zielerza.

I znowu pauza.

Aha, tak.

niepewnie potwierdził w końcu Zielerz, zapewne zdziwiony, że Antek wie o miejscu prowokacji, której dopuścił się względem niego Marcin Niezgoda.

I niech ksiądz nie bierze samochodu, będę tam czekał swoim rzucił Szarzyński i odłożył słuchawkę.

Do mieszkania wracał spacerkiem, aby mieć czas na myślenie.

Zielarz mógł mieć dla niego coś ważnego lub jakąś błąhostkę, ale tak czy inaczej musiał się z nim spotkać, bo Zielarz był centralnym punktem planu Antka.

Problem leży jednak w tym, że w firmie mogą się tego domyślać.

I tutaj jest szereg niewiadomych albo firma wie, że Zielarz jest dla Antka ważny, albo nie.

Jeśli wie, to telefon Zielarza jest na pewno na podsłuchu, a jeśli nie, to ksiądz na pewno będzie miał go.

Na plus można zaliczyć to, że firma ma szansę się domyśleć, o jakie miejsce chodzi, więc będą leżeć za Zielarzem na czuj i Antek może to wykorzystać, żeby się ewentualnie ugonowi urwać, już z księdzem a miejsce, w którym podpatrywał nieudane rendez-vous starego księdza z byłym klerykiem, takiej ucieczce sprzyja.

Kolejnym problemem był jego charakterystyczny samochód.

Linia nadwoziowa 255.

zia alfy romeo gtv-6 nie była jakoś specjalnie ekstrawaganckai z daleka trzydrzwiowe nadwozie laik mógł pomylić nawet z polonezem, to jednak każdy, kto odróżniał trabanta od zastawy napierwszy rzut oka mógł dostrzec zadziorny, sportowy charakter tego coupe; wystarczyło spojrzeć na maskę z garbem, koniecznym, aby zmieścił się pod nią potężny, sześciocylindrowy silnik. Do tego głęboka czerwienkaroserii i basowy pomruk silnika.

Wracając, Antek zaszedł więc do sklepu i zakupił dwie puszeki czarnej, olejnej farby do drewna i duży pędzel.

Wrócił do mieszkania Beaty, przebrał się w ciuchy, których nie było mu żal zniszczyć, i z bólem serca pokrył czerwień błyszczącego lakieru alfa rosso możliwie cienką warstwą obrzydliwej, olejnej farby. Kiedy skończył, wziął z warsztatu śrubokręt i wyszedł, przespacerować się po mieście.

Szukał samochodu, zaparkowanego w jakimś zacisznym i osłoniętym od natrętnych spojrzeń miejscu, znalazł, zardzewiałego, starego moskwicza, ustawionego na ceglach.

Szybko odkręcił tablice rejestracyjne i wrócił do swojej alfy, szpetnej teraz w matowo czarnej sukni, pełnej zacieków i smug.

Wymienił tablice na skradzione, na których dodatkowo, za pomocą czarnej farby, literę "O" przerobił na "C", a cyfrę "8" na "3".

Zjadł prosty obiad, który przygotowała mu Beata, zdrzemnął się i po ósmej wstał, włożył wygodne ciuchy, do pistoletu przykręcił tłumik i przypiął kolbę.

Zszedł do auta, broń ułożył w podrękę w bocznej kieszeni drzwi.

Do Katowic pojechał bocznymi ulicami, przez Chorzów, potem trzymał się z dala od centrum.

Przejechał przez Brynów, Zadole, Piotrowicę i Ochojec, dotarł do Murceki leśnymi drogami dostał się w pobliże pola namiotowego, na którym tak niedawno obserwował Zielerza i

Niezgode, świętej, czy tam laickiej może, pamięci.

Zaparkował w dość zacisznym miejscu, zgasił światła, ale niewyłączał silnika, który cicho gadał sobie pod maską.

Pistolet położył na kolanach, gotowy do strzału, włączył radio i wszedł na kanał, na którym operacyjni

256

porozumiewali się sobą nawzajem i z firmą.

W eterze panował cisza, czekał więc cierpliwie.

Tu sanitariusz zero dwanaście do ordynatora, czy mnie słyszysz, odbiór? zatrzaśkało radio.

Antek rozpoznał głos młodego sierżanta z Wydziału B, któremu zlecił z Klewką obserwację Zielerza.

Tu ordynator, słyszę cię bardzo dobrze, zero dwanaście, Odbiór odpowiedział po chwili głos dowodzącego obserwacją dyspozytora z firmy.

Firma zareagowała dopiero po paru minutach; to dobry znak, znaczy, że obserwacja jest rutynowa. Prawdopodobnie nie wydedukowali również miejsca, w którym wyznaczył spotkanie, telefon więc raczej nie był na podsłuchu, chociaż oczywiście możliwe jest, że założyli tutaj zasadzkę i utrzymującą się radiową.

Możliwe, ale mało prawdopodobne, na testach spostrzegawczości Antek zawsze wypadał znakomicie, a tutaj niezauważył niczego podejrzanego.

Tu sanitariusz zero dwanaście.

Pacjent jest bez fartucha, wyszedł z kwadratu i na patyczkach idzie, prawdopodobnie w stronę żelaznego na tądzia, wsiadamy do karetki, bo obcina się jak dziki.

Odbiór powiedział obserwator.

Znaczyło to, że Zielerz w cywilnym ubraniu, bez sutanny wyszedł na piechotę i na przystanku na ulicy Kościuszki czeka na tramwaj, esbecyjadą za nim samochodem, na pewno klucząc po różnych ulicach, bo ksiądz rozgląda się podejrzliwie.

Trzysta jeden, zero dwanaście, przyjąłem.

Kontynuuj, nie przepal.

Bez odbioru odpowiedział dyspozytor z firmy.

Jeszcze w domu, Antek poślęczał trochę nad mapą, miał więc przygotowaną marszrutę, na wypadek konieczności urywania się gonowi.

Był więc spokojny i czekał.

Sanitariusz zerodwanaście do ordynatora, pacjent wysiadł z żelaznego na pętelce na tądziu, dalej idzie na patykach, zmieniam trzysta dziesięć na trzysta jeden, zero trzynaście zostaje w karetce na tądziu i czeka na mój sygnał.

Odbiór zaszumiało radio.

257.

Przyjąłem zero dwanaście.
Tak trzymać.

A więc Zielarz podjechał tramwajem do pętli, obserwatorzy rozdzielili się, jeden poszedł za księdzem na piechotę, drugi został w samochodzie na Kościuszki.
Za dziesięć minut Zielarz powinien być w pobliżu.

Radio milczało.

Po chwili Szarzyński ujrzał postać księdza w wąłym świetle latarni.
Błysnął krótko światłami.
Zielarznie zareagował, nie przyspieszył kroku, musiał mieć wzrok wbity w asfalt.
Antek ponownie błysnął.

Tu zero dwanaście, zero trzynaście, zbieraj się do mnie, ktoś tuna niegoczek w aucie, zbieraj się, bo nam spierdola!

wrzasnęło radio głosem pieszego obserwatora.

Daję do ciebie, gdzie jesteś, dwanaście?
odpowiedział esbek w aucie.

Nie wiem, kurwa, to jest ta droga w lesie, co leciz Ochojcana Giszowiec!
krzyczał zdyszany esbek.

Antek przestraszył się, że mogą Zielarza zdjąć, zapalił więc światła i wyjechał nad drogę, nacisnął nawet klakson.

Ksiądz wreszcie się zorientował i ruszył biegiem do samochodu.

Fosą mówcie, do jasnej cholery!
upomniał sanitariusz ordynator.

Kurwa, Piotrek, dawaj tutaj, zbierają się!
wrzeszczał do radiotelefonu esbek, Antek widział go, jak biegł, dekonspirując się zupełnie, za Zielarzem, ale alfa stała już na asfalcie, wycofało parę metrów, zbliżając się do księdza, ten wsiadł i zatrzasnął drzwi.

Tylne koła zabuksowały na zniszczonym asfalcie i sto sześćdziesiąt koni wyrwało alfę do przodu.

Pasy!
krzyknął Antek do księdza i zgasił światła.

Jadę, już jadę wrzeszczał do radiotelefonu sanitariusz Piotrek, w radiu było słychać ryksilnika.
Najlepsze, czym mogajechać, to wzmocniony polonez, ze stupiętnastokonnym silnikiem z fiata 1300, specjalnie produkowany na potrzeby resortu.

Z jego alfanie mają szans.

Jedyne, na co mogą liczyć, to blokady,

258

ale Szarzyński zamierzał trzymać się obmyślonej marszruty i być już daleko, zanim milicyjne spaślaki wsiadą do swoich nyseki i pobią drogę.

Wypierdalajana Giszowiec!
krzyczał sierżant, biegnąc bez sensu za samochodem Antka.

Przepadaliśmy, przepadali, Piotrek, dawaj tutaj, gazem!

Kurwa mać, panowie, fosa!

Fosą mówcie!
darł się ordynator.

Co to za karetka?

Numery podaj!

Nie wiem jaki, czarny.
Bez światła jedzie.

Numerów nie zdążyłem.

dyszał sierżant.

Widzę cię, dwanaście!
krzyknął Piotrek.

Zielarz zapiął pasy, prawą ręką trzymał się uchwyty przy podsufitce, lewą zaparł się gdzieś o fotelkierowcy, nawet stopy wbijał w podłogę z całej siły, jakby w razie kolizji to mogło mu pomóc. Był przerażony, Antek grzał sto pięćdziesiąt na godzinę poleśnej dróżce, radio wrzeszczało i migało czerwonymi cyferkami, ksiądz Zielarz zaś nie był zwolennikiem kina akcji.

Proszę pana.

zaczął, przekrzykując silnik i trzaski radia.

Nie teraz!

krzyknął Antek, skupiony na prowadzeniu.

Przed nim zakręt, pod kątem prostym, redukcja, zahamował sportowo, lewą stopą, w zakręt wszedł ślizgiem, równo obciążona alfawspaniale nadawała się do takiej jazdy.

Wypadł na Pszczyńskiej zaraz skręcił w prawo, wracając w kierunku, z którego nadjechał, drogą równoległą do ulicy 13 Pułku Piechoty, prowadzącą przez las z powrotem na Ochojeci Ligotę.

Tu zero dwanaście, do ordynatora, pacjent bryknął, powtarzam pacjent bryknął radio zaszeleściło z bóla tym głosem sierżanta.

Antek uśmiechnął się do Zielarza.

Zgubiliśmy ich powiedział.

Co ksiądz dla mnie ma?

Niewierzyłem panu, ale kiedy Konrad wspomniał coś o wizycie, to pomyślałem, że może chodzić o człowieka, którego pan opisał Zielarz odpowiedział nieco obok Antkowiego pytania.

259.

I co?

Zielarz milczał, a Antek, przyzwyczajony do księżowskichpauz, nie poganiał.

No i zostawiłemw szafie,w gabinecie biskupa, ukrytymagnetofon kasetowy, na pięć minut przed tym spotkaniem.

Takizwykły, kasprzak.

Antek miał ochotę krzyknąćcoś w stylu "brawo"albo "będąz księdza ludzie", ale powstrzymał się, bo zboląła mina Zielarzanie wskazywała, aby był on szczególnie dumny ze swoich wywiadowczych osiągnięć.

Wstydzilem się tego, ale pańskie słowa nie dawały mi spokoju.

Postanowiłem odsłuchać tę kasetęi pójść potem do Konrada, wyznać mu wszystkoi prosić o przebaczenie.

A gdyby na kasecie było coś niepokojącego, też nie zamierzałem się zwracać tym do pana, tylko chciałem przedstawić ją Konradowi i poprosić, abywyznał wszystko przedprymasem.

Ale jednakda mi ksiądz tę kasetę, tak?

Znowu pauza.

Antek jechałjużspokojnie,ulicą Kolejową,przeciał Kościuszki i sunął małymi uliczkami Ligoty i ZałęskiejHałdy.

W radiu wrzeszczeli na siebie esbecy, przeplatając fosękurwami i obwiniając się nawzajem.

Czyja będę miał jakieśnieprzyjemności, przez to, że panuciekł tym esbekomjak James Bond?

zapytał Zielarz, nie odpowiadając na wcześniejsze pytanie Antka.

Raczej nie.

Wysadzę księdza gdzieś tutaj i sobie spokojnieksiądz pojedzie autobusem do siebie.

Tam jużksiędza przechwycają dalej będą obserwować, ażim się znudzi.

Niepopenił ksiądz żadnegoprzestępstwa ani wykroczenia, nie będą się czepiać.

Dobrze.

Oto taśma, przewinięta do właściwego miejsca powiedziałkapłan, podając Antkowi jasnoszarą kasetę marki Stilon, bez naklejek ani opisu.

Nagrał się tylko krótki kawałek, napoczątkujest cisza.

Ja nie rozumiem ztego nic albo prawie nic,myślę jednak, że pan, tudzież pana mocodawcy poradzą sobie

260

z tym lepiej.

Ja nie mam panunic więcejdo powiedzenia.

Sampanoceni, co z tym zrobić, pańscy mocodawcy już pewnie będąwiedzieć,jak postąpić.

Proszę się zatrzymać.

Szarzyński zjechał na chodnik,kapłan wysiadł i poszedł w stronę centrum.

Antek ruszył dalej, zastąpił Doorsów kasetąksiędzaZielarza, ale nie włączał jej jeszcze, bo słuchał uważnie wściekłych esbeków,szukających zbrykniętego księdzaw całych Katowicach.

Zauważyli gow końcu, przypadkiem, jak szedł przezrynek.

Najważniejszebyło to, że żaden mądrala nie połączyłczarnegosamochodu z Antkiem Szarzyńskim.

Wjechał do garażu,wyłaczył silnik i wcisnąłprzycisk "play".

Kaseta szarpnęła i zaskoczyła, najpierw z głośnikówdobiegałmiarowy szum, potem bardzo cichy odgłos otwieranych drzwizdradził, że ktoś wszedł do pokoju.

Drzwisię zamknęły, zaskrzypiało krzesło.

Antek zwiększył głośność na maksimum.

Witaj, bracie.

Samochód Szarzyńskiego wypełnił sięgłosem Mirosława Drzewieckiego.

Witaj, mistrzu odparł drugi głos, zapewnenależący dobiskupa Grzonki.

Przychodzę do ciebie dziś, albowiem chciałem zwrócićtwoją uwagę na pewną kwestię, która powinna być kluczowymtematem naszegonastępnego konwentu.

A więc słucham cię z uwagą.

Otóż, zapytałeś mnie dobre dziesięć lat temu, po wizycie w Bydgoszczy naszego drogiego Teofila Ociepki, który miał zadać to pytanie tobie, kiedy nadejdzie czas drugiego przemienienia i w jaki sposób drugie przemienienie będzie możliwe.

Mistrzu, zapewniam cię, że pytanie to wynikało z mojej ówczesnej, młodszej niecierpliwości.

Brat Teofil był natchnionym artystą i mędrcem, ale nie był wiedzącym, lecz działającym, stąd u niego niecierpliwość znajduje usprawiedliwienie, u mnie nie.

Dziś wiem, że należy skoncentrować się na bieżących i następnych zadaniach, a tym właśnie się zajmuję, cele długofalowe

261.

pozostawiam sobie jedynie jako temat moich wieczornych modłów.

Bieżącym naszym zadaniem jest zwalczanie komunistów watykańskiej ciemnej reakcji, szczęśliwie stłumionej przez ostatnie pontyfikaty, a podnoszącej znów głowę za papieża, co wyszedł z tego kraju.

Skoro pierwsze przemienienie jeszcze przed nami, nie czas zajmować się drugim.

Zyskałiśmy kiedyś kontrolę nad Watykanem, jednak nasi wrogowie zostali wtedy jedynie pokonani, nie rozbici, dziś ponownie umocnili się na swoich pozycjach, walka więc trwa dalej. I to na tej walce teraz się skupiam.

Bracie, twoje słowa są świadectwem dojrzałości, która dowodzi, że ósme skrutynium przeszedłeś pomyślnie nie przez przypadek, lecz dzięki wspianiałym przymiotom twego ducha. Coraz mniej dzielicieli odnalezienia samego siebie.

Tym bardziej więc możemy na naszym nadchodzącym konwencie pomówić o drugim przemienieniu, bo to dla niego przecież wstąpiłeś do naszej organizacji to drugie przemienienie konstytuuje naszą organizację sens.

W końcu naszym ojcem założycielem jest baron Evola, nie Rahner, iskoro od dwudziestu lat pracujemy wszyscy na rzecz ducha soboru, co z pismami barona wydaje się tak zasadniczo sprzeczne, uznałem, że warto na następnym konwencie poruszyć tematykę drugiego przemienienia.

Zwłaszcza że czas pierwszego zbliża się nieuchronnie i nadejdzie jeszcze w tej dekadzie.

W związku z tym, mam dla ciebie zadanie.

Słucham, mistrzu.

Przygotuj, bracie, daną na temat arabskiej.

Kaseta zatrzymała się, szczęknęła, mechanizm magnetofonu przesunął głowicę, taśma zaczęła nawijać się na drugą, pustą szpulę i wnętrza wypełnił Mozart.

Antek wyłączył odtwarzacz i siedział przez chwilę w ciszy.

Wiedział, że dotknął czegoś, co przekracza rzeczywistość, w której żył wcześniej.

W drabinie tajemniczeń przesunął się o stopień wyżej.

Rozmowa Drzewieckiego z Grzonką uprawdopodobniła nieco bełkot Ponińskiej.

Wszystko się uzupełniało.

Operacja "Sulthan", w którą

262

w tajemniczył go Miciński, czyli resortowa gra, mająca na celu przejęcie kontroli nad Kościołem, i Struktura, powołana do wykonania tej operacji.

Grupa W, o której mówiła Ponińska, jako kościelna instytucja, używająca resortu do osiągnięcia swoich celów.

I wreszcie bezimienna organizacja, w którą otrzymał krótki wgląd, słuchając tej pełnej ornamentów rozmowy Drzewieckiego z biskupem.

Tytuły, barokowe zdania; przemawiali do siebie jak dwie postacie historyczne z filmu, wiodące ważny dialog.

Pewnie to kwestia przyjętej formy; w każdym razie, z ich rozmowy jasno wynikało, że jest jeszcze poziom następny.

Pierwsze przemienienie, o jakim mówili, to cel Struktury, w który został wtajemniczony podczas inicjacji.

Wielkie przemiany, które nadejdą jednak zaprezentowano mu je jako działanie resortu, przygotowujące go do tej transformacji, tymczasem w rozmowie Drzewieckiego z Grzonką był to akt walki z komunizmem, w imię ducha soboru.

I potem miałyby przyjść przemienienie drugie, związane z tym, czego miał chcieć baron Evola.

Szarzyński nie miał pojęcia, kim był Evola, jest lub kim był, stąd nie miał żadnego pomysłu, na czym miałyby to drugie przemienienie polegać.

Tego być może nie dowie się już nigdy.

Nie ma to natomiast w jego sytuacji znaczenia.

Oprytomniał, zrozumiał, że zajmuje się klasyfikowaniem kolejnych, odkrytych zasłon, kiedy

powinien raczej walczyć o przetrwanie.

W resorcie podejrzewali go o udział w wykończeniu Kwaśnego.

Prawdopodobnie nie domyślali się motywu, ale działanie na szkodę innego funkcjonariusza, którego rezultatem było dwóch martwych oficerów, nie było czymś, co resort łatwo chciałby puścić w niepamięć.

Z tego mógłby go wyciągnąć Drzewiecki.

Antek nie miał jednak ochoty korzystać z pomocy Drzewieckiego, teraz, a dwa, ani Drzewiecki, ani w ogóle mało kto w całej Polsce Ludowej nie mógłby pomóc mu w wyłganiu się zeznania o oficerze KGB.

Mało kto, nie znaczy jednak nikt.

Są ludzie, dla których osobiste bezpieczeństwo Szarzyńskiego i otwarcie dlań ścieżki kariery, może

nowe, w wojskowej, nie cywilnej rozwiędce, nie stanowiłyby ceny zbyt wysokiej za kasetę księdza Zielerza.

Antek wiedział również, jakim kanałem można tych osób dotrzeć.

Do tego jednak potrzebował pomocy Alicji.

Postanowił nie wchodzić na górę.

Wróci do Beaty, jeśli będziemy mogli, ale teraz nie miał ochoty na rozdierającą scenę pożegnań.

Wyjechał z garażu na wstecznym i wtedy zauważył, że Beata stoi na podwórku kamienicy.

Czeka.

Zrównała się z nią opuścił szybę.

Wrócę do ciebie.

Czekaj na mnie powiedział, dziwiąc się własnym słowom.

Beata skinęła głową, spokojna, smutna i pełna nadziei.

Wyjdziemy.

Na Zachód.

Zabiorę cię na koncert New Order.

Nie uwierzyła, ale była wdzięczna.

Szarzyński popędził do Katowic, po drodze przewijając kasetę wstecz, do konkretnego miejsca.

'Była druga w nocy.

W Katowicach zatrzymała się w centrum, na Armii Czerwonej, przy automacie telefonicznym, przyczepionym do ściany Superjednostki.

Wybrał numer Kazimierczak.

Halo?

słuchawkę podniósł mężczyzna.

Chciałbym rozmawiać Alicją.

Wie pan która jest godzina, do cholery?

Wiem.

Chwila ciszy, ciężki oddech w słuchawce, po czym człowiek, któremu brakowało odwagi nawet na to, aby w obronie swoich praw do tej kobiety rzucić słuchawką, odpowiedział pokornie:

Już proszę.

Do ciebie.

Jakiś facet.

Halo?

powiedziała Alicja.

Kochanie, potrzebuję twojej pomocy szepnął Antek.

Słuchaj.

poczekaj chwilę.

Jacek, mógłbyś wyjść?

Chcę spokojnie porozmawiać.

Antek, słuchaj, ja nie wiem, co się dzieje, ale wpakowałeś się w jakąś potężną aferę.

Wiedzą nas, to znaczy ja im nic nie powiedziałam, ale pytali, o dokumentach też im nie powiedziałam, ale szukają cię, chodzą ploty, że zabiłeś

264

Kwaśnego i jakiegoś, nowiesz, sojusznika.

Antek, nie wciągaj mnie w to, proszę cię.

Ja się boję wyrzuciła z siebie.

Ala, kochasz mnie?

zapytał bezwzględnie.

Antek, daj spokój, to są poważne sprawy, a nie jakiś tam romans!

Nie rozumiesz.

Ala, ja potrzebuję od ciebie tylko adresu Cegły.

Nic więcej.

Pomożesz mi?

Milczała.

Alicja, proszę cię.

Przecież to nie przestępstwo.

Cegła jest mi potrzebny, może mi pomóc wyplątać się z tej całej sprawy.

Smoleńska 36 rzuciła po prostu.

Dziękuję szepnął i odłożył słuchawkę.

Wrócił do samochodu i ruszył, najszybciej, jak się dało.

Na prostych, nawet krótkich, przekraczał sto pięćdziesiąt, sto osiemdziesiąt, na

Kościuszkidwieściedziesiąt, wciskał pedał gazu, alfa przysiadła, przyciskała tylne opony do asfaltu

i pędziła, Antek deptał hamulec, sprzęgło, redukcja, gaz i w zakręty wchodził w ślizgu,

zarzucając tyłem auta, i znowu gaz, sprzęgło, dwójka, wskazówka obrotomierza leci w stronę

czerwonego pola, widlasty silnik ryczy, sprzęgło, trójka, gaz, sprzęgło, czwórka.

Spieszył się, bo wiedział, że kiedy odłożył słuchawkę, Alicja zapewne odczekała chwilę, pozwalając,

aby rozsądek mocował się z miłością, ze wspomnieniami pieszczot i orgazmów.

Rosądekna pewno wygra, zapewne już wygrali Alicja podniosła słuchawkę ponownie i zadzwoniła

do dyspozytora w firmie.

Nie zaangażują do tego milicji, bo zależy im na dyskrecji, więc Alicja pewnie rozmawia, potem

dyspozytor łapie kogoś przez radio i wysyła samochód z funkcjonariuszami, żeby go zdjęli, kiedy

będzie u Ceglarka.

Liczył na to, że będzie miał przynajmniej dziesięć minut, żeby pogadać z Cegłą, i jeśli go przekona,

torazem pojedą do Warszawy.

Zwolnił nakrótki moment i włączył radio.

Chciał mieć nasłuch, ale tym razem nie byli już tacy głupi, weterze panowała cisza.

Minął sanktuarium w Panewnikach (przydały się żmudne tre265.

ningi z topografii miasta, układ ulic w Katowicach miał zapisany w głowie jak w atlasie), skręcił w Smoleńską i zaparkował pod domem Ceglarka.

Nie gasił silnika, wyciągnął kasetę, zabrał pistolet, zostawił auto na luzie z zaciągniętym ręcznym. Furtka była zamknięta, więc przesadził ją jednym susem, dopadł drzwi szarpnął.

Były otwarte, więc wbiegł do domu, przez przedpokój boazerią i spreparowanym bażantem, do dużego pokoju.

W centralnym miejscu telewizor rubin i wideo; na ekranie jakiś hojnie obdarzony przez naturę mężczyzna pompował ubraną w resztki bawarskiego stroju Helgę, która wypinała biały tyłek i krzyczała, a, ja, ja, ja!

"Ceglarek siedział na fotelu z butelką piwa w ręce przyglądał się bez śladu podniecenia.

Patrz pan, cholera, kiedyś to pod Moskwę doszło, a teraz tylko dupę potrafi wypinać. Zasmakowałem ja Niemceczek, jakżeśmy po wyzwoleniu z Berlingiem na Berlin szli. odwrócił się zaskoczony spojrzał na Szarzyńskiego.

A pan co tu robisz?

zapytał, nie rozumiejąc, dlaczego w jego dużym pokoju przebywa oficerz firmy. Nie dziwił się jednak zbyt, bo sześćdziesiąt lat życia nauczyło go, że świat zasadniczo przekracza jego zdolności poznawcze.

Towarzyszu Ceglarek, dajcie magnetofon.

Ceglarek był starym bojowcem, przyzwyczajonym nie zadawać pytań, kiedy szarża nawet młodsza wiekiem wydajerozkazy, zwłaszcza z oficjalnym "towarzyszu".

Wstał więc, ściągnął z półki Grundiga i włączył do prądu.

Towarzyszu Ceglarek, przepraszam waszanajście, ale socjalistyczna ojczyzna jest w niebezpieczeństwie.

Zna pan pułkownika Drzewieckiego?

Tego żydka?

Ceglarek nastroszył się bojowo.

Tak.

Otóż, ten śmierdzący Żyd zdradził resort i knuje przeciwko socjalistycznej Polsce i bratniemu Związkowi Radzieckiemu, razem z biskupem Grzonką.

W magnetofonie macie dowód.

Antek włączył kasetę.

Z głośnika wydobył się głos Drzewieckiego i Grzonki.

266

kiego i Grzonki.

Ceglarek słuchał, słuchał i coraz bardziej marszczył brwi. Antek nie miał wątpliwości, dialog biskupa i pułkownika dalece przekraczał leksykalne i intelektualne zdolności starego partyzanta.

Na szczęście, kiedy biskup Grzonką powiedział o walce ze Związkiem Radzieckim, Cegła odzyskał kontenans.

Nacisnął przycisk "stop".

Dla mnie wystarczy, towarzyszu podporuczniku.

Inteligenty pierdolone.

Co trzeba robić, towarzyszu?

zapytał, gotów do działania, jeszcze raz, po czterdziestu latach od wojny.

Tutaj, w rejonie, nic nie zrobimy, bo cały WUSW jest na usługach tego parcha.

Trzeba walić do centrali.

Wy macie dobre kontakty tam, prawda, towarzyszu?

Ceglarek podszedł do ściany, zdjął z niej oprawną w grubą ramę fotografię i podał Szarzyńskiemu.

Patrzcie, towarzyszu.

Zdjęcie było zbiorowe, na tle cienkich pni sosen stało dwudziestu chłopów, większość niskiego wzrostu; chudzielcy, w strojach stanowiących osobliwą mieszaninę bezkrawatowego

stylu "na Witosa" z mundurami wojskowymi.

Na głowach mieli rogatywki albo zwykłe kaszkiety, a całe towarzystwo obwieszone było szmaj serami, pepeszami, karabinami i erkaemami.

Totowarzysz Mietek, a to ja.

Byliśmy nierozłączni.

Ceglarek wskazał na dwie postacie w centrum zdjęcia.

Mamdomowy numer towarzysza generała Moczara.

Zadzwoń i walimy z tym do niego.

Podniósł słuchawkę czerwonego, plastikowego aparatu, założył okulary, otworzył notes, pracowicie przewracał kartki, studiując nazwiska zezmarszczonymi brwiami.

W końcu znalazł i wykręcił numer.

Antek spojrzał na zegarek.

Od kiedy wszedł do domu Ceglarka, minęło sześć minut.

Towarzysz generał.

Ceglarek stanął przed telefonem na baczność.

Tak, wiem którą jest godzina.

Przepraszam, towarzyszu generale, chorąży Ceglarek, to znaczy, pseudo "By267".

stry", się kłania.

Tak jest, towarzyszu generale.

Dziękuję, dobrze.

Towarzyszu generale, my tutaj właśnie z pewnym młodym, dzielnym oficerem, odkryliśmy żydowską konspirację.

Towarzyszu generale, nie żartowałbym z tak poważnych spraw.

Tak, mamy dowody, nagranie magnetofonowe.

Ojczyznaw potrzebie.

Tak jest, towarzyszu, dajędo telefonu tego oficera.

Ceglarek podał słuchawkę Antkowi.

Słuchamodezwał się chropowaty głos wtelefonie.

Towarzyszu generale, mówi podporucznik Antoni Szarzyński, Służba Bezpieczeństwa, Katowice, Czwarty Wydział wyskandował Szarzyński, podejrzewając, że wojskowym tonemtrafi w gusta starego partyzanta.

Towarzyszu generale, podczas rutynowych działań operacyjnych natrafiłem na dowody żydowsko-katolickiej konspiracji, która zdaje się swoimi mackamidokładnie oplatać cały katowicki Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych.

Zgodnie z odpowiednimpunktem ustawy, chciałbymzgłosić ten fakt towarzyszowiministrowi spraw wewnętrznych, generałowiCzesławowi Kiszczakowi, jednak tylko za pańskim pośrednictwem tobędzie możliwe.

Mówisz, chłopczyk, że macie dowody, tak?

Że żydkiknują cośz Watykanem przeciwko Polsce Ludowej?

zamruczał starczym głosem generał Moczar.

Tak jest, towarzyszu generale!

Żelazne dowody!

Jest nagranie.

Na nim Żyd, pułkownik Drzewiecki, knuje z biskupemkatowickim Grzonką przeciwko naszej socjalistycznej ojczyźnie!

Toprzyjeżdżajcie.

Zobaczmy, co się udazrobić.

Tak jest, towarzyszu generale!

ryknał Antek i odłożyłsłuchawkę.

Jesteście gotowi, towarzyszu?

zapytał.

Byłem gotowy czterdzieści lat temu, jestem i teraz mruknał stary alowiec z satysfakcją. Długoczekal na okazję, abywygłosić to zdanie, bardzo, jak musię wydawało, w stylunarracji Barw walki generała Moczara, ukochanej jedynej lektury Ceglarka.

268

Przed domem zapiszczały hamulce.

Szarzyńskiwyjrzał przezokno, z poloneza gramoliło się czterech esbeków, rozpoznał wśródnich Klewkę.

Nie pomylił się co do Alicji.

Są już!

wrzasnął do Ceglarka, tłumikiem wybił szybę oknie, przyklęknął za parapetem i posłał dwie krótkie serie wstronę samochodu, tak żeby przestraszyć, przydusić do ziemi, ale niezabijać.

Podziałało czasy walkz bandami dawno minęły, esbecy nosili broń, alenikt nigdy donich nie strzelał, bo na mocy niepisanego konsensusu peerelowska bandyterka ograniczała się domajchrów, pistoletów się nie tykając.

Kiedy więc kule zagwizdały im koło uszu, stracili rezon, wpelzli za samochód i zaczęliszarpać się z pistoletami, wiszącymi pod marynarkami na gumowych szelkach kabur.

Antekposłał następną serię, w okna poloneza, boczne szyby poszły wproch.

Szarzyński, daj spokój!
ryknął Klewkazza samochodu.
Do kumpli strzelasz?
Pojechało?

Odlóż giwerę i pogadajmy!

W okolicznych domach pozapalały się światła.
Szarzyński spojrzał na siebie, Ceglarek gdzieś zniknął.
Postanowił odgonić kolegów z resortu na tyle, żeby dojść do auta, alfa stała przed furką z zapaloną silnikiem.

Puścił im kolejną serię, poczym, na wszelki wypadek, zmienił magazynek na pełny.

Cofnijcie się, panie kolego powiedział Ceglarek.

Stał za Antkiem, ściskając w dłoniach wielki, półautomatyczny sztucerz lunetą.
Szarzyński odsunął się od okna, Cegła złożył się dostrzału i huknął potężnie, aż Szarzyńskiemu zapiszczało w uszach.

Żydowskie pacholki cholerne!

ryknął i strzelił ponownie.

Syjniści!

Odrzut mocnego karabinu potrzasał wątlym Ceglarkiem jak szmacianą lalką, ale on strzelał dalej, jeszcze dwa razy.

Po czwartym wystrzale schował się za framugą, wyjął magazynek z łoża i zaczął upychać naboje.

Browning.

Bije potężnie, ale to myśliwska broń, na jelenie, więc w magazynku tylko cztery naboje mieści wyjaśnił.

269.

Antek prawie stracił słuch, w zamkniętym pomieszczeniu huksztucera był obezwładniający, pokiwał więc głową i uśmiechnął się do swojego nowego sojusznika.

Wyrzwał przez okno.

Karabinowe strzały najwyraźniej zniechęciły Klewkę i kolegów od kontynuowania zadania, bo upychali się właśnie z powrotem do podziurawionego poloneza.

Antek puścił im jeszcze jedną krótką serię, na zachętę, polonez szarpnął i uciekł na wstecznym.

Pewnie już wzywają przez radio miształowców, bo w całym resorcie nie ma nikogo innego, kto byłby chętny do konfrontacji z uzbrojonym, umiejętnym i zdeterminowanym przeciwnikiem.

Ale zanim się ciągną tutaj dzielnych antyterrorystów, to minie trochę czasu.

Antek wyciągnął kasety, schował ją do kieszeni.

Jedziemy, towarzyszu.

Czas jest naszym sprzymierzeńcem rzucił do Ceglarka.

Jestem gotów, towarzyszu podporuczniku.

Jedziemy odparł Cegła, szczęśliwy jak nigdy od czterdziestu lat.

Zbiegli do alfy, mrużąc silnikiem najałowym biegu, Szarzyński siadł za kierownicą, a Ceglarek upchnął się ze sztucerem na miejscy pasażera.

Zapnijcie pasy, towarzyszu, i połóżcie ten karabin jakoś tak, żeby nie dostał w łeb kolbą zakomenderował Szarzyński, Ceglarek wykonał rozkaz i ruszyli.

Mógł przelecieć przez Katowice i od razu Roździeńskiego wbić się na gierkówkę, ale postanowił wybrać mniej oczywistą drogę, ruszył więc w stronę Bytomia.

Przejechał przez Piekary, tak dobrze znane każdemu funkcjonariuszowi czwórki, i skierował się na Tarnowskie Góry.

Jechał szybko, zatrzymał się tylko na moment na całodobowej stacji benzynowej, napelnił bak i od Tarnowskich Gór gnał leśnymi szosami przez Miasteczko Śląskie, aż do Częstochowy; dopiero tam wyskoczył na gierkówkę.

Samochodowy zegarek pokazywał czwartą nad ranem.

Powoli zaczynało świtać.

Ceglarek był podniecony nagłym powrotem adrenaliny, którą

270

pamiętał z młodzińskich czasów, lecz milczał.

Nie komentował ostrej jazdy Szarzyński ego, nie rozważał, co będzie, nie wymyślał scenariuszy.

Uznał tego młodego czekistę w amerykańskich ciuchach za dowódcę, więc ufał mu bezgranicznie.

Miał osobowość żołnierza, więc cieszył się nie tylko z tego, że jest znowu w akcji, ale także z tego, że znowu przestał za siebie odpowiadać.

Tutaj, w tym włoskim aucie jest młody podporucznik Szarzyński, a przed nimi, w swoim domu, generał Moczar, stary towarzysz z Lubelskich Lasów.

Antek, ku swojemu zdziwieniu, poczuł do Ceglarka odrobinę sympatii.

W jego bezrefleksyjnym posłuszeństwie dostrzegł pewną szlachetność.

Nie miał za grosz życzliwości do tego charakterystycznego typu, jakiego Ceglarek był reprezentantem autentycznych narodowo-bolszewickich leśnych dziadków; większość z nich zresztą związana była raczej z armią i poupychana po jakichś prowincjonalnych garnizonach albo, jak Moczar, już na emeryturach, umiała sobie czas polowaniami i kombatantkimi zbiórkami, gdzie wspominała sobie, jak to się goniło bandytów po wojnie i jaki to potem ucisk cierpieli od żydowskich ubeków.

Sam Cegła, przez swoją natychmiastową, obojętną gotowość do działania, wydał się jednak Szarzyńskiemu sympatyczny.

Starał się nie zaprzętać sobie głowy układaniem planów.

Niemiał pojęcia, czego może się spodziewać po spotkaniu z Moczarem i, później, z Kiszczakiem, ale był przekonany, że posiadana przez niego wiedza jest wystarczająco cenna.

Gdyby to nie wyszło, zawsze może próbować szukać azylu w amerykańskiej ambasadzie.

CIA go przeżuje, wycisnie, wyssie i wypluje, ale przynajmniej zapewni mu bezpieczeństwo.

Więcej planów nie miał i nieszukał innych alternatyw.

Skupił się na kierownicy, sprzęgle i przepustnicy, wsłuchał się w samochód, w pomruk widlastego silnika, czuł, jak tylne koła rwą asfalt, zmieniał biegi i gnał po pustej prawie drodze, wymijając nieliczne, samotne maluchy i duże fiaty.

O tym, że nie dojedzie do Warszawy, zdał sobie sprawę, kiedy
271.

gdzieś na wysokości zjazdu na Radomsko zza horyzontu wychynęła sylwetka helikoptera. Rozsunięte na bokikola napotężnychwspornikach wraz z kadłubem i wąskimiturbinami pod wirnikiem tworzyły charakterystyczny zarys trójkąta. Szyba kabinydzielona była na niewielkie prostokąty, niczym pojedynczeoko wielkiej muchy-cyklopa, w którym, niczym pomarańczowepłomień, odbijały się promienie wschodzącego słońca.

Helikopter przed nami zaraportował Ceglarek.

Mi-8, wojskowy.

Alfa pędziła ponad stoczerdziesięci na godzinę, Antek przyhamował, licząc na jakąś boczną, leśną drogę, na której mógłby się schować, jednak w zasięgu wzroku szosa biegła bez żadnych odbić, oddzielona od pokrytych rosą młodników i łąk blaszanymi barierami.

Śmigłowiec tymczasem obrócił się bokiem, na kadłubie widać już było ciemnyprostokąt otwartych drzwi.

Usłyszelistuknięcie i na wystającym z maskigarbie, kryjącym kolektor, pojawiła się niewielka dziurka.

Strzelajądo nas raportował Cegła, wygrzebując sztucerz ciasnej przestrzeni pomiędzy drzwiami i fotelem.

Jednak silnikdziałał dalej.

Zbliżali się do helikoptera z wielką prędkością, Antekwidział już strzelca w drzwiach kadłuba i czerwono-białe szachownice.

Drugi pociskuderzył o maskę tym razem grudka ołowiu w miedzianym płaszczu, być może z przeciwpancernym rdzeniem, musiała przedostać się do wrażliwej części motoru.

Rozbiła głowicę, wcisnęła się pewnie gdzieś między zawory a wałek rozrządu, sześć pulsujących tłokami cylindrów nieotrzymało zmieszanej z powietrzem benzyny i silnik trzasnął i przestał pracować.

Alfa jechała jeszcze, siłą rozpędu, bo Antek zdążył wcisnąć sprzęgło, po czym szarpnął dźwignię hamulca ręcznego, skręcił, wprowadził samochód w poślizg, ustawił się bokiem do osi jezdni i zatrzymał, znacząc oponami czarne ślady na asfalcie.

Wysiadamy i do lasu krzyknął do Ceglarka.

Cegła wyskoczył, podniósł do ramienia sztucer i strzelił w stronę wiszącego

cego pięćdziesiąt metrów przednimi helikoptera.

Może chciał słaniać Antka, a może nie słyszał rozkazu w każdym razie, w parę sekund pohuku myśliwskiego Browninga, przez ryk silników śmigłowca przedarł się trzask i Ceglarek padł na asfaltgierekówki, obficie krwawiąc dziury w czaszce.

Antek przesadził blaszaną barierę i biegł w stronę lasu, ślizgając się na mokrej trawie, ze stieczkinem w dłoni.

Helikopter po kilkunastusekundach znalazł się tuż nad nim, i włókł po ziemi grubelinę, po których desantowali się komandosi albo antyterrorysty Misztala.

Szarzyński miał czasu się im przyjrzeć, widział tylko płamiaste mundury, kołyszące się na plecach kałasznikowy i pistolety w dłoniach.

Od lasu dzieliło go jeszcze dwieście metrów otwartego terenu.

Zrozumiał, że nie ma szans.

Nie chcą go zabić, gdyby chcieli, już byłby trupem, ale jeśli ich przyciśnie, to w końcu któryś z komandosów to zrobi, chociażby wbrew rozkazom.

Zatrzymał się, odwrócił, rzucił broń i podniósł w górę ręce.

Popięciu sekundach leżał już z twarzą w trawie, z rękami skutymi na plecach, chwilę później silne ręce uniosły go i postawiły na nogi.

Dwóch komandosów trzymało go za wykręconą na plecach łokcie, helikopter tymczasem powoli przyziemia!

, wzbudzony wirnikiem pęd powietrza podrywał rosę z płożącej się po ziemi trawy, tworząc w powietrzu wodną mgiełkę, osadzającą się na twarzach, mundurach i broni zgromadzonych na łące ludzi.

Koła dotknęłygruntu,w drzwiach w kadłubie ukazała się szczupła postać Drzewieckiego.
Miałna sobie elegancki, brązowy garnitur,dziwniekontrastujący z wojskowym kamuflażem na
kadłubie śmigłowca i mundurach żołnierzy.

Antek pierwszy raz widział takiwzór "plamiaka", zauważył też,żekomandosi na plecach mieli
krótkie,małokalibrowe karabinki AKSU, rzadko widywane w Polsce.

Ładno.

Ubiericie etot bardak s dorogi, muzyka dawajcie siuda i smatrywajemsia.

powiedział Drzewiecki.

Antek zauważył, że jeden z komandosówma azjatyckie rysy i zrozumiał, dlaczego Drzewiecki
mówi po rosyjsku.

273.

Wszedł do kabiny, podtrzymywany przez specnazowców.

Naruczniki jemu snimitie polecił Drzewiecki.

Dwa rzędy siedzeń ułożone były wzdłuż kadłuba, komandosiposadzili Antka, siedli po jego lewej i prawej stronie, naprzeciwko pułkownika Drzewieckiego.

Tobył nawet niegłupi pomysł z tym Moczarem powiedział mentor do Antka, po polsku. Oczywiście durny dziad od razu uwierzył w twoje rewelacje i zadzwonił z tym do Czesia Kiszczaka. Tyle że Kiszczak nie jest głupi i skojarzył od razu całą sprawę z zaginionym w Katowicach funkcjonariuszem bratniego wywiadu, zadzwonił do pewnego generała bratniej służby, którego nazwisko nic ci nie powie, ów generał zaś zaraz zadzwonił domnie i oto jestem.

No, ale pogadamy o tym dokładniej w Gliwicach, w bardziej sprzyjających warunkach.

Drzewiecki rzucił do kabiny pilotów jakąś komendę, której Antek nie dosłyszał.

Silniki helikoptera zawyły głośniej, koła oderwały się od ziemi polecieci.

Po dwóch kwadransach byli już na lotnisku gliwickiego aeroklubu.

Czeka na nas samochód, do mnie do domu pojedziemy już sami.

Napsociłeś, chłopcze, ale ja ci dalej ufam, rozumiesz?

rzucił Drzewiecki, kiedy gramolili się ze śmigłowca.

Na trawiastej płycie lotniska stał mercedes.

Jeden z komandosów otworzył przed Drzewieckim tylne drzwi, niczym portier przed eleganckim hotelem, pułkownik wsiadł, Antek również, z drugiej strony.

W aucie czekał kierowca.

Jedziemy powiedział pułkownik.

Do mnie, do domu.

Przez uśpione Gliwice przejechałszy bciutko, chociaż szofer prowadził delikatnie, jakby wioził królową angielską.

Po chwili siedzieli już w salonie, na znajomych, skórzanych fotelach.

Na okrągłym stoliku leżała stara książka, w burej, kartonowej oprawie.

Antek przeczytał wypisany czerwonymi kapitali kamitytuł: Imperialismo pagano Il fascismo dinanzi al perico274

lo eurocristiano.

Autor J.

Evola.

Ktoś niedawno przerwał lekturę, spomiędzy kartek wystawała zakładka.

Drzewiecki przyniósł z kuchni tacę z filiżankami i dzbankiem.

Kawa w cienkiej porcelanie parowała przyjaźnie, i para mieszała się w powietrzu z niebieskim dymem żarzącego się w popielniczce camela, którym pułkownik poczęstował Szarzyńskiego, samemu nie paląc.

Może to poniekąd moja wina zaczął Drzewiecki.

Z jednej strony traktowałem cię jak syna, z drugiej jednak nie okazałem ci zaufania, zwlekając z twoim wtajemniczeniem w sprawy Struktury inastępnego, wyższego rzędu.

Dlatego, poniekąd, rozumiem i usprawiedliwiam to, że zacząłeś działać na własną rękę.

Siedział w fotelu, łaskę oparło stolik, elegancko założył nogę na nogę, z długopalcymi dłońmi zaplecionymi na kolanie i patrzył na Antka życzliwie.

Rozumiem, że chciałeś wiedzieć jak najwięcej.

Tak zostałeś wychowany, chęć wiedzy cię konstytuuje, więc wcale mnie to nie dziwi.

Wiem, że cała sprawa z tym pederastą Kwaśnym wyszła ci przypadkiem i skorzystałeś z niej, oddając Kwaśnego Micińskiemu tacy w zamian za informacje o Strakturze.

Wiem, że drażyłeś dalej, wiem, że za pośrednictwem starego Kleszewskiego dotarłeś do tej skretyniałej sklerotyczki Ponińskiej, którą przez jakieś przeoczenie, już zresztą naprawione, pozostawionosamą sobie z jej pogłębiającą się demencją.

Drzewiecki mówił spokojnie, jakby podporucznik Antoni Szarzyński nie miał za sobą czterech trupów, a w zasadzie pięciu, licząc Ceglarka, i Antek zrozumiał, że włosu z głowy

niespadnie.

Na pewno czegoś już się dowiedziałeś o projekcie "Janczar", prawda?
zapytał Drzewiecki.

I wiesz, że nie przez przypadek przyjechałem kiedyś do ciebie, do domu dziecka?

Wiem zgodził się Antek.

To dobrze, to znaczy, że nie muszę ci wszystkiego tłumaczyć.

czyć.

Muszę ci jednak powiedzieć, że od kiedy wyszedłeś z "Janczara", straciłem do tego projektu zapał i zamiłowanie.

Pięć lattemu został zamknięty, uznano, że ze względu na projektowaną przemianę nie potrzeba więcej takich jak ty, funkcjonuje za to "Janczar II", nie u nas, lecz w Rzymie, jako dom dziecka i niższe seminarium duchowne, kształcące księży.

Swoją drogą, uczy się bratanek Ponińskiej, będą z niego ludzie.

Przerwał na chwilę, upił gorącej kawy, ułożył się na nowym fotelu i kontynuował:

Nikt lepszy od ciebie w "Janczarze" się nie udał.

Dlatego właścicieli wybaczam.

Zaryzykowałem całym moim życiem, żeby cię z tego wyciągnąć i udało się.

Nie będziemy nawet pytać, co się stało z tym głupim ruskiem.

Do katowickiej komendy oczywiście już nie wrócisz, ale i tak miałeś tu służyć tylko rok czy dwa, to miał być twój kolejny staż, żeby dać ci odpowiednią praktykę, zanim pójdziesz pracować do centrali. Nie wiem jeszcze, co dalej z tobą będzie, nie wiem, czy będziesz w resorcie, czy gdzieś indziej, wiem jednak, że twój potencjał nie zostanie marnowany.

Malowniczo zapatrzył się za okno, na ogród, omiół spojrzeniem salon, w końcu zatrzymał wzrok na Antku.

Jesteś moim najdoskonalszym dziełem.

I jesteś jedynym, co w życiu kocham powiedział.

Proces twojego wychowania się zakończył.

Działając wbrew moim poleceniom, dowiodłeś swojej niezależności, od tej chwili jesteś już moim partnerem i przyjacielem, nie uczniem wychowankiem.

Dlatego możesz mnie pytać, o co chcesz.

Antek uśmiechnął się, nie starając się nawet, by uśmiech nie wypadł fałszywie.

Dobrze.

Na czym więc polega drugie przemienienie?

Drzewiecki pokiwał głową i milczał przez chwilę, rozmyślając.

A więc doszedłeś aż tutaj.

Domyślałem się, że to za pomocą księdza Zielarza, musiał jakoś podsłuchać rozmowę moją i biskupa Grzonki i to pewnie jest na tej kasecie, prawda?

Drugie przemienienie to dziejowy zwrot, który nadejdzie, a w którym Europa odzyska swoją tożsamość i stanie się na powrót podmiotem, a nie przedmiotem historii.

Rozumiesz?

Wystarczy mi.

Niech będzie, że rozumiem odparł Szarzyński.

Po pierwsze, przepraszam za nieznośny styl tej rozmowy.

Gdyby nie ta masońska stylistyka, tacy diocy jak Grzonka nigdy nie uwierzyliby, że to się dzieje naprawdę.

Po drugie, to pewnie jesteś dumny, że tak pięknie udało ci się rozegrać Zielarza jako swojego agenta?

Szarzyński wzruszył ramionami, ale istotnie, był z tego dumny.

Tutaj spotka cię pewne rozczarowanie, niestety.

Zielarz zrobił to, czego od niego chciałeś, bynajmniej nie dlatego, że jest absolutnym naiwniakiem, który maniewiarygodne szczęście, tylko dlatego, że naszym wrogiem z Watykanu, dla których Zielarz pracuje, wydało się, że mogą cię ten sposób rozegrać przeciwko nam.

Niby, że sodalitem pianum, tak?

zapytał Antek, z wyraźną drwiną w głosie.

Drzewiecki uniósł obie dłonie w geście:

"ja tego nie powiedziałem" i uśmiechnął się, z dystansem.

Zamierzam jednak być z tobą szczerym ciągnęło, co usłyszałeś w rozmowie mojej i Grzonki, to nie ostateczna prawda o rzeczywistości.

Dochodządo tej wiedzy, usunąłś tylko kolejnązasłonę.

Wyszedłś ponadpoziom, na którymStrukturabyła zakonspirowaną działalnością resortu i dostałś się do rzeczywistości, w której jestona działalnością Watykanu, prawda?

Chyba nieco dalejodparł Antek.

Zatrzymałem się napoziomie, gdzie organizacja,razem z biskupem Grzonka, działajako frakcja Watykanu, zwalczając i komunizm, i watykańskichkonserwatystów.

Dobrze.

Zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, że nieistnieje poziomostatni, poziom prawdziwej wiedzy o rzeczywi277.

stości?

Po którymś wtajemniczeniu odkrywasz, że nic nie jest już jasne, że nie możesz już oddzielić interesów różnych, wrogich sobie grup, bo splotły się w węzeł gordyjski.

Drugie przemienienie polega na tym, że wręcz wiści Watykan jest dla nas tylko medium, takim samym jak polskie służby specjalne, niczym innym.

Nie jesteście ludźmi Kościoła, Kościół to tylko jeden z frontów, na których walczymy.

Prawdziwą wartością jest dla nas Europa, jej wojownicze, starodawne cnoty.

Naszym wrogiem jest Europa zgnusiała, Europa, której jedynym zmartwieniem są brzuch i kabza.

Drzewiecki podniecał się własnymi słowami, brzmieniem swojego głosu, coraz bardziej zapalał do tego, co mówił, gestykulując coraz szerzej, unosząc się powoli z fotela.

W końcu, przechadzał się po salonie i perorował:

Aby Europę zmienić, muszę dokonać się dwa przemienienia.

Pierwszym jest zniesienie granic, które dzielą naszą cywilizację na dwoje.

Obóz socjalistyczny zniknie, znikną granice, Europa stopi się w jedno.

To na rzecz tego przemienienia odbywasz całą naszą pracę, wewnątrz służb specjalnych w różnych krajach, wewnątrz Kościoła, w rządach i w organizacjach międzynarodowych.

Kiedy więc Europa będzie jednością, pierwsze przemienienie się zakończy.

Jednak to przecież nie Europa nabijania kabzy, nie Europa powszechnego dobrobytu nas interesuje i wtedy przyjdzie czas na przygotowanie drugiego przemienienia.

Które dokona się jakim sposobem?

przerwał Drzewieckiemu Antek.

Właśnie do tego dochodzę.

Posiadamy teraz wpływ we wszystkich instytucjach, mających wpływ na kształt życia społecznego i politycznego w Europie.

Od PZPR, przez Kościół Katolicki, po portugalskie służby specjalne.

Pełne spektrum.

Wpływy są mniejsze, lub większe, w Kościele sporo straciliśmy, kiedy ten przeklęty Woj tyła zdołał wygrać konklawe, ale przecież się nie poddajemy.

To się wszystko zmienia, fluktuuje, rozwija, niema stanów, jest tylko dynamika zmiany, rozumiesz?

Szkoda, że

278

głupi Turek nie potrafił strzelać lepiej tuż wniósł oczy do nieba i przytknął palec do warg, nakazując milczenie sobie samemu, poczym śmiał się chwilę, jakby powiedział właśnie udany, acz nieco świński kawał, bezgłośnie, ale chuda klatka piersiowa podskakiwała, w skurczach przepony.

Ale, i tak, jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, to pod drugim przemienieniem wpływami zamienimy w kontrolę ciągnąć dalej.

Będziemy liberalni i demokratyczni do obrzydzenia i kiedy już będziemy kontrolować tę zjednoczoną Europę, to zalejemy ludzi takim potokiem liberalnych swobód, że przekroczymy masę krytyczną i niejako samoistnie wybuchnie w Europie coś na kształt liberalnej anty-rewolucji.

Ludziom zbrzydnie w końcu napychanie kabzy i brzucha i będą chcieli czegoś więcej.

Oczywiście, my staniemy na czele tej anty-rewolucji i my damy im to, czego będą chcieli szansę na wielkość.

Ta anty-rewolucja zmiecie wszystko, co kojarzy nam się ze starą, czyli współczesną Europą, zmiecie demokrację z partiami politycznymi, zmiecie Kościół, zmiecie kapitalistów i ich firmy, z niej wyłonią się zupełnie nowi ludzie.

I ty, Antku, możesz być jednym z tych, którzy będą na czele tego wielkiego, historycznego procesu. zawiesił głos.

Szarzyński pokręcił głową, z wystudiowanym powątpiewaniem.

Trochę dużo ruskich się przy tym wszystkim kręci.

Niby Watykan, episkopat, ale do auta przyszedł mi jakiś iwan, nie klecha, i ci chłopcy z helikoptera też się nad Tybrem, ani nawet nad Wisłą nierodzili.

Drzewiecki uśmiechnął się zawadiacko i puścił do Antka oko.

Nie przeciągaj struny, chłopcze dodał po chwili, nagle zupełnie poważnie, ale zaraz zmienił ton:

Niemógłbym ci nie wybaczyć, bo kocham cię, chłopcze, jak syna.

Poza tym, przemienienie wymaga ludzi nadzwyczajnego charakteru, ludzi nowych, ludzi, którzy wspięli się nawyższy poziom.

Ty jesteś właśnie taki i parę wybryków tego nie zmienia,

279.

a konsekwencja i bezwzględność, z jaką dążyłeś do celu, nawet topotwierdza.
Po to właśnie powstał "Janczar", żeby wydestylować ludzkiej mierzwy esencję człowieczeństwa.
I ty właśnie jesteś esencją, Antku.
Jesteś nowym człowiekiem.
I to też jest jakaś prawda.
Szarzyński słuchał z uwagą.
Wiedział, że w pewnej, zasadniczej części Drzewiecki ma rację.
Wiedział przecież, że on, Antek Szarzyński, różni się od zwykłych ludzi.
Zwykły człowiek, widząc miłość i poświęcenie tego starca, czułby jakąś tkliwość, może wdzięczność,
Antek zaś nie czuł nic, poza nienawiścią.

Czy Jan Krzeszewicz i Maria Parczewska byli mierzwą ludzką?
rzucił, nie podkreślając nijak wagi tego pytania, nie przestał się nawet uśmiechać.
Drzewiecki przerwał swoją perypatetykę, wspomagającą retorykę przechadzkę i usiadł w fotelu.
Skąd wiesz?

zapytał, wzdychając ciężko.
Ani Ponińska, ani Kleszewski nic nie wiedzieli.
Znow mnie zaskakujesz, chłopcze.

Śnili mi się.
A potem włamałem się tutaj i zajrzałem do sejfów odparł Szarzyński.
Drzewiecki milczał, zapewne szukając odpowiedzi.
Antek wstał.

Zabiłeś, wujaszku, mojego ojca.
Moją mamę zamknąłeś w więzieniu, byłą tam jeszcze całkiem niedawno, a ja przez cały ten czas
myślałem, że nie żyje.
Odebrałem mnie moim rodzicom, zrobiłeś z mnie janczara, wujku Pigmalionie.
Taka nasza mała Bildungsroman, co?
Nie wierzę, poza tym, w te opowieści o Europie i przemienieniach.
Za dużo tutaj starych, dobrych czekistów z Łubianki.

Antek, ja cię uratowałem!
szepnął Drzewiecki, unosząc się z fotela.
Uratowałem krew twojego ojca, uratowałem ją dla historii.
Musiałem to zrobić, bo nosisz w sobie to, co najcenniejsze w twoim rodzie, w twojej rasie.
Musiałem cię odciąć od nich, bo z nimi poszedłbyś na dno, tak jak oni szli.

Antek stał bez ruchu.
Drzewiecki położył mu ręce na ramionach.

280

Oni byli tylko balastem, synku powiedział.
Szarzyński krzyknął, nie artykułowując, jakby wypowiadał naraz wszystkie słowa świata i pchnął
starca, sadzając go z powrotem na brązowej skórze siedziska.
Zauważył łaskę Drzewieckiego, chwycił ją w obie dłonie i ścisnął z całych sił, przedsobą, jakby z
suchego drewna chciał wydusić soki.
Drzewiecki zerwał się z powrotem z fotela, wściekły i zawstydzony upokorzeniem.
Nie zważając na łaskę w dłoniach Antka, krzyknął:

Niewdzięczny gnojku!

Zamachnął się do ciosu.

Szarzyński nieuchylił się, sucha dłoń Drzewieckiego z płaskim, boleśnie spoczęła na policzku
Antka.

Pałący ból uderzenia podzielał namłodego czekistę jak uderzenie
prądem.

Ruchem nagłym, szarpnięciem mięśni całego ciała, jakby właśnie przebiegła przez nie ta
elektryczność, Szarzyński uniósł łaskę i trzasnął Drzewieckiego w głowę.

Ten zawył głucho, zalał się krwią izsunął na podłogę, ale nie stracił przytomności.

Uratowałem cię, Antek!

Uratowałem!

krzyczał, pełznąć po jasnych deskach iznacząc je krwią.

Szarzyński spojrzawszy złamany kikut laski i cisnął go na podłogę.

Odwrócił się, poszedł do kuchni, otworzył szafkę, przerzucił sztućce i wyciągnął długi nóż do mięsa.

Wrócił do salonu.

Ranny Drzewiecki doczołgał się do biurka, z szuflady wygrzebał pistolet i usiłował go przeladować, jednak zamek wyślizgiwał mu się z dłoni lepkiej od krwi.

Antek wykopał mu broń z ręki, kolaniem przygwoździł do ziemi wątłe, starcze ciało.

Uratowałem cię, niewdzięczniku!

zawył Drzewiecki, lecz Antek nie zważał na jego krzyki.

Usiadłmu na plecach, lewą ręką chwycił głowę starca, zadzierając ją do góry, po czym poderznął mu gardło.

Nóż był tępy, musiał więc piłować tam i z powrotem, kilka razy, aż luźna skóra, mięśnie, chrząstki żyły otwarły się wreszcie pod ostrzem.

Krzyk Drzewieckiego zamienił się w charkot, kiedy nóż rozciął grdykę, po czym ucichł, kie281.

dy z tętnicy trysnęła jasna krew.

Antek wstał, rzucił nóż, podniósł podłogi pistolet, walthera ppk, i poszedł do kuchni.

W zlewio obmył broń i ręce z krwi, po czym wrócił do salonu.

Czerwonaka łuża podciałem Mirosława Drzewieckiego powiększała się szybko.

Zajrzał do szuflady, znalazł w niej paczkę nabojów, kaliber 7,62 mm i zapasowy magazynek.

Amunicję wysypał na dłoń luzem wrzucił do kieszeni, pistolet i magazynek schował do drugiej.

Z szafy wyciągnął podróżną torbę, po czym otworzył sejf i wrzucił do torby wszystkie dokumenty i pieniądze, jakie w sejfie leżały.

Broni nie ruszał.

Zawartość torby odda jakiemuś miłemu człowiekowi w ambasadzie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

We wnęce kredensu stała ozdobna, mosiężna menorah z świecami, Antek wyjął ją, ustawił na stoliku i zapalił wszystkie świece, po czym poszedł jeszcze raz do kuchni.

W szufladzie z narzędziami znalazł klucz francuski.

Odsunął kuchenkę odściany i rozszczelnił dochodzącą do niej instalację gazową.

Uczyli ich tego w Legionowie; kiedy gaz dotrze do świec w salonie, będzie już w takim stężeniu, że wybuch wypali mieszkanie Drzewieckiego dogołych ścian.

Zarzucił torbę na ramię, wyszedł, zamykając drzwi na kluczy przespacerował się porannym miastem do postoju taksówek.

Wsiadł do zielonego dużego fiata i kazał taryfiarzowi zawieźć się do Bytomia, do kamienicy, w której czekała Beata.

Zawartość torby wystarczyłoby, żeby zażądać od Amerykanów wywiezienia chociażby i stu osób, ale Antkowi wystarczyła Beata.

Drzewiecki trochę się jednak pomylił.

EPILOG

Komisarz Świetlik siedział, zamknięty w swoim biurze.

Ukrył twarz w dłoniach.

Po huku wystrzału, dyktafon nagrał jeszcze kroki, krótką krzątaninę i odgłos zamykanych drzwi.

Potem już tylko cisza, z delikatnym, stłumionym ścianami szumem ulicy w tle.

Jednak to, co dyktafon zarejestrował wcześniej, przyprawiło komisarza Świetlika o dreszcze.

Wcześniej nie znał tego uczucia, a teraz uderzały go fale gorąca, po których zaraz robił mu się przerażająco zimno, a strugi potu ciekły mu po plecach obfitsze, niż na cotygodniowym squashu z panem prokuratorem.

Zastanawiał się, czy wciągnąć dyktafon na listę dowodów, poprzednim skasowaniu zawartości, ale bał się, że jeszcze komuś strzeli coś do głowy i jakiś dociekliwy prokurator da urządzenie specmod odzyskiwania zawartości.

Do tego, żeby opowieść tego esbeka wyszła na jaw, dopuścić nie mógł.

Nie miał pojęcia, ile z tej opowiedzianej księdz przed śmiercią historii jest prawdą, ale nie miał wcale ochoty się dowiadywać, bo wiedział, że konsekwencją takiej wiedzy jest nie tylko złamana kariera, ale również złamany kark.

Albo dziura w czołowie, wypadek na autostradzie, sto siedemdziesiąt na godzinę idup w betonową podpórę.

A komisarz Świetlik, autentycznie zaangażowany w zwalczanie przestępców, chciał ich zwalczać dalej, co najmniej przez te dziesięć lat, jakie pozostały mu do mundurowej emerytury.

Nadziurę wczole ani na bliskie spotkanie z betonowym filarem ochoty nie miał.

Ani na oskarżenie o defraudację firmowych pie283.

niędzy, pedofilię, szpiegostwo na rzecz Białorusi, narkomanięczy na przykład o morderstwo księdza Ponińskiego.

A tak właśnie mogła, wróć, tak właśnie musiała skończyć się sprawa, która dotykała, kurwamać, międzynarodowych spraw wiadomych służb.

Tutaj nie pomoże ani kolega ze studiów w ministerstwie, ani kumpel z krakowskiej delegatury ABW.

Tu trzeba podkulić ogonek pod siebie, zatuszować sprawę z własnej inicjatywy, nie czekając na ultimatum, i potem będzie można się zalać na smutno "Prozacem" i dla odreagowania dać po mordzie jakiemuś głupiemu Angolowi, co przyjechał do Krakowa na bachelor's party.

Dyktafon musi zniszczyć, przecież ten zbuntowany esbek, który wykończył księdza, nie wiedział, że jest nagrywany, więc nie będzie szukał, resztki wyrzuci się do Wisły i już.

Schował urządzenie do kieszeni i wyszedł, można się przespacerować, miasto zakorkowane, nie ma co auta brać.

Zgarnęli go, kiedy tylko wyszedł z firmy.

Nie było żadnego filmowego wciągania do samochodu czy szarpaniny.

Po prostu, szedł chodnikiem, wyprzedził go popielata, zupełnie zwyczajna Vectra, zatrzymała się, otworzyły się tylne drzwi i z kabiny skinął nań facet w piaskowej wiatrówce.

Światlik wszedł bez protestów, bo wiedział, że musi.

W środku siedziało trzech mężczyzn, kierowca, jakiś grubas na siedzeniu pasażera z przodu i gość w jasnej kurtce.

Człowiek na siedzeniu pasażera odwrócił się w fotelu, przenosząc z trudem swoją obfita tuszę.

Patrzyła Światlika wodnistymi oczami, flankującymi kartoflowaty nos, poznaczony wielkimi, czarnymi wągrami.

Przy zabitym księdzu znalazłeś dyktafon?
zapytał rzeczowo.

Tak równie rzeczowo odparł komisarz Światlik, bo wiedział, że tylko prawda może go wyzwolić.

Na drugim planie zmądrzył sobie, że Bańczyka trzeba bardziej uważać.

Jest na nim nagranie?
indagował tłuszcioch.

Tak jest.

284

Słuchałeś?

Tak.

Ktoś inny słuchał?

Nie.

Grubas pokiwał głową.

Mądryz ciebie pies.

Masz dyktafon przy sobie?

Komisarz wyjął urządzenie z kieszeni, powoli, żeby nikt nie pomyślał, że sięga po broń.

Podał grubasowi.

Ten nacisnął parę,

razy przycisk play, sprawdzając nagranie.

Cholerny Szarzyński, idiota.

mruknął pod nosem, mimowolnie.

Dobra, komisarzu Światlik.

Nie widziałeś żadnego dyktafonu, nie słyszałeś żadnego nagrania, nie siedziałeś w tym samochodzie.

Nie muszę grozić, bo mam do czynienia z inteligentnym człowiekiem, prawda?

Światlik skwapliwie przytaknął.

Świetnie.

Ksiądz Poniński popełnił samobójstwo albo napadli go źli ludzie i zamordowali, bo nienawidzą księży, bojówkapedałów albo Radia Maryja, tonas nie obchodzi, róbz tym, co sobiechcesz. To by było na tyle, komisarzu Świetlik.

Możecie spierdalać.

Komisarz przytaknął po raz drugi.

Wysiadł i vectra odjechała.

Do placu Dominikańskiego, gdzie stacjonował "Prozac", byłocalkiem blisko.

Można iść piechotą.

Komisarz Świetlik splunął, czując w ustach gorzki niesmak i ruszył do swojego ulubionego klubu.

Koniecznien musi się napić i jakiś angol koniecznien musidostać pomordzie.

KONIEC

Pilchowice, czerwiec-grudzień 2007

Specjalne podziękowania należne są księdzu Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu, który swoją książką "Księża wobec bezpieczeństwa na przykładzie archidiecezji krakowskiej" oraz długą i treściwą rozmową zechciał pomóc autorowi w poznawaniu zasad

285.

rządzących relacjami komunistycznych służb specjalnych i kapłanów Kościoła katolickiego.

Autor pragnie podziękować również Andrzejowi Fiderkiewiczowi za pomoc w tłumaczeniu i transkrypcji fragmentów w języku rosyjskim oraz Maciejowi Witkowiakowi za krytyczną lekturęmaszynopisu.

Jednocześnie autor zastrzega, że sam ponosi wyłączną odpowiedzialnośćartystyczną i moralną za ostateczny kształt książki.